



JUDITH MICHAEL



SPRAWY PRYWATNE

Tom 1



Michael Judith

Sprawy prywatne t.1

Po szesnastu latach małżeństwa Elizabeth i Matthew decydują się na szalony krok - postanawiają zrealizować młodsze marzenia. Wykupują upadający miejscowy tygodnik i z całą pasją usiłują uczynić z niego znaczący tytuł. Podjęte ryzyko i ogromna pracowitość przynoszą coś więcej niż sukces finansowy - na nowo rozkwita ich dawna miłość. Jednak nieposkromiona w porę ambicja kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo...

1

Elizabeth i Matthew Lovell. - Ksiądz wymówił imiona jakby tych dwoje przedstawiał, a nie ogłaszał mężem i żoną. - Możecie się pocałować - powiedział łagodnie. Młodzi byli szybsi; odwrócili się do siebie, złączyli dłonie i lekko musnęli się wargami. Była to zapowiedź tego, co nastąpi, gdy zostaną sami. Teraz zaś osłaniając oczy przed ostrymi promieniami czerwcowego słońca zwrócili się w stronę zaproszonych gości.

Matka uścisnęła Elizabeth.

- Nigdy nie widziałam cię tak szczęśliwej, dotyczy to zresztą was obojga. - Wspięła się na palce, by ucałować Matta. - Wydaje mi się, jakby na całym świecie nie było ani jednej chmurki na niebie.

- Nie ma ani jednej - odpowiedziała z uśmiechem Elizabeth. Spojrzała na Matta; był wysoki, szczupły, o ciemnych włosach, które potargał popołudniowy wiatr; głęboko osadzone, niebieskie oczy miały chłodny i skupiony wyraz, póki nie napotkały szarych oczu Elizabeth, wtedy spojrzenie jego nabierało ciepła otaczającego go niby ramionami.

- Skąd miałyby się brać chmury? Wszystko jest doskonale - rzekł Matt. Stojący obok Elizabeth ojciec przytulał twarz do jej policzka.

- Jak ten czas leci - wyszeptał. - Zdawałoby się, że wczoraj byłeś najśliczniejszym dzieckiem pod słońcem, a teraz jesteś najpiękniejszą panną młodą. Objął ją ramionami i nieco się odsunął. - Całe szczęście, że nie wyjeżdżasz z Los Angeles. Nie stracimy cię tak całkowicie...

- Proszę, nie mów o tym głośno - powiedział Matt. - Mój ojciec nie jest zbyt zadowolony z perspektywy, że... - nie dokończył, gdyż zobaczył swego ojca. - Tato, jak się cieszę, że dotarłeś! - Uścisnęli się. O głowę wyższy Matt schylił się, by ucałować ojca. Jego ciemne włosy kontrastowały z siwizną ojca. - Bałem się, że wcale nie przyjedziesz.

- Nie mogłem się wczoraj wyrwać. - Głos ojca, podobnie jak Matta, miał głębokie i miękkie brzmienie; mówił z lekkim zachodnim akcentem. Położył ręce na ramionach syna i ucałował w oba policzki. - Byłem wściekły, że nie zdążyłem na uroczystość wręczania dyplomów. Czy dobrze wypadłeś?

- Był gwiazdą całej naszej grupy - oświadczyła z dumą Elizabeth z błyszczącymi oczami. - Odbierał wszystkie nagrody...

- Z wyjątkiem tych, które zdobyła Elizabeth - dodał Matt. Delikatnie poprawił kołnierzyk u jej sukni, który przekrzywił się podczas składania życzeń. - Prawdziwą gwiazdą była moja małżonka. Wszyscy przepowiadali, że pierwsza z nas zdobędzie sławę. Och, tato, przepraszam, jeszcze przecież nie poznałeś rodziców Elizabeth, państwo Spencer i Lydia Evans...

- Zachary Lovell - przedstawił się ojciec Matta. Podali sobie ręce na powitanie. Uniósłszy szpakowate brwi Zachary przyglądał się Lydii z podziwem. - Teraz widzę, skąd się wzięła uroda Elizabeth. Ale chyba pani nie może być jej matką. Siostrą może... Lydia uśmiechnęła się z zadowoleniem, widać, że była przyzwyczajona do komplementów. Wiedziała, że były szczere; ona i Elizabeth istotnie wyglądały jak siostry. Obie były smukłe i zgrabne; matka i córka miały szeroko rozstawione szare oczy z ufnością patrzące na świat spod ciemnych brwi; obie były blondynkami, choć Elizabeth miała włosy o odcieniu platynowym, Lydia zaś przez lata przyciemniała swoje na kolor złocistego brązu.

Cała piątka witała gości w ogrodzie Evansow. Na tle strzelistych niebieskich ostróżek rósł obsypany karminowymi kwiatami chiński imbir, przed nim pomarańczowe i różowe lwie paszcze, białe floksy i żółte lilie. Dziedziniec otaczały krzewy kumkwatu i karłowatych nektarynek, tuż za nimi wzdłuż wysokiego ogrodzenia wznosił się jaskrawy żywopłot z ognika szkarłatnego.

Przy tej feerii kolorów Elizabeth, stojąc obok Matta, ubranego w szary letni garnitur z białą różą w butonierce, wydawała się wysmukłym białym kwiatem. Jej długa suknia z mory, rozkloszowana u dołu, wirowała przy każdym ruchu; we włosach miała wpiętą białą orchideę. Oboje promienieli ze szczęścia przyciągając wzrok wszystkich składających gratulacje: przyjaciół, ulubionych profesorów z uniwersytetu, paru sąsiadów Evansow, znajomych i współpracowników.

- Najlepsi i najbystrzejsi - rozległ się głos obok Spencera. Odwrócił się i ujrzał jednego z profesorów, który wytypował Elizabeth i Matta do nagrody Harpera przyznawanej corocznie przez *Los Angeles World*. - Po raz pierwszy w historii szkoły dziennikarskiej laureatem została para studentów, ponieważ nie mogliśmy się zdecydować na jedno z nich - tłumaczył profesor Spencerowi. - Każdy artykuł, jaki mieli zadany w tym roku, pisali wspólnie. I wie pan co, czekaliśmy na te artykuły jak dzieci na Boże Narodzenie, bo każdy tekst z podpisem Elizabeth Evans i Matta Lovella był najlepszy ze wszystkich złożonych do oceny. Dzięki nim nasza praca stała się bardziej interesująca.

Profesor spoglądał na nich z zadumą, - Mają przed sobą świetną przyszłość; będziemy się nimi szczycić. Matt zostanie wydawcą, a Elizabeth będzie redagować swoją wymarzoną rubrykę. I Dojdą do tego, że będą mieli własne czasopisma, i my wszyscy wtedy i przyznamy, że tego się właśnie po nich spodziewaliśmy. Jest z nich, wie pan, niezła spółka.

Kelnerzy ustawili okrągłe stoły. Szybko nakryli je zastawą z porcelany, srebrnymi sztuczkami, ustawili kryształowe kieliszki. Gdy wszyscy zasiedli, i podano obiad. Dwóch muzyków grało na flecie i gitarze melodie rewiowe ballady; głosy i śmiech mieszały się z dźwiękami muzyki; wzmagający się wiatr owinął suknię Elizabeth wokół jej długich nóg i rozwiewał końce opadających na ramiona włosów. Spencer stanął obok swego krzesła z kieliszkiem szampana w ręce i wznosił toast. - Za zdrowie Elizabeth i Matta, naszych najdroższych dzieci: oby żyli długo i szczęśliwie, w miłości i pomyślności, i oby spełniły się ich marzenia. Życzymy wam powodzenia w nowej pracy zawodowej i wszystkich innych przedsięwzięciach, nie tylko ze względu na was samych, ale i waszych profesorów, którzy wierzą, że jako najlepsi studenci zdobędziecie nagrodę Pulitzera, dzięki czemu wzrośnie także prestiż uczelni. - Goście śmiali się i klaskali, on zaś ciągnął dalej. - Obyście mieli wszystko, czego zapragniecie.

Nic temu nie stoi na przeszkodzie; cały świat wam się ściele u stóp i czeka, aż go podbijecie. Wypił szampana. Lydia również. Elizabeth i Matt stuknęli się kieliszkami. Anthony Rourke zrobił im zdjęcie.

- Dziękuję ci, Tony - powiedziała Elizabeth. - Nie chcieliśmy brać zawodowego fotografa, więc miło z twej strony, że sam się zaofiarowałeś.

- Droga Elizabeth, lubię się do czegoś przydawać, zwłaszcza tobie. Po tylu latach przyjaźni. Czy znasz moją żonę? Ginger, to jest Elizabeth Evans, o której ci tyle opowiadałem. Nie, nie... teraz to jest Elizabeth Lovell. Otóż to. Jak love - Lovell.

- Jak najbardziej - odparła z uśmiechem, bo Tony zachowywał się jak aktor. Kreował się na frywolnego lekkoducha, aby ukryć ambicje i umiejętności koncentrowania się przy realizacji swych planów. Odkąd go pamiętała, zawsze był taki.

- Miło mi cię poznać - powiedziała do Ginger i zaraz głosem nieco podenerwowanym do Tony'ego: - Widziałam cię razem z Mattem przed obiadem, więc z pewnością już się znacie.

- Łączy nas wiele wspólnego - bez namysłu rzekł Tony. - Na przykład przeszłość. - Elizabeth szybko przeniosła wzrok z obojętnej twarzy Matta na uśmiechniętą Tony'ego. Ten na moment teatralnie zawiesił głos. - Ojcowie - powiedział. - Ten sam typ ojca.

Ojciec Tony'ego, Keegan Rourke zbliżył się do stołu właśnie w chwili, kiedy padały ostatnie słowa syna.

- Wesele to nie najlepsza okazja, żeby się skarżyć na ojca - powiedział siadając na krześle. Twarz Tony'ego pociemniała; odsunął się nieco od ojca, ale nikt tego nie zauważył prócz Elizabeth i Keegana, którego uwagi nie umykało nic, nawet wtedy gdy zajęty był rozmową.

- Lydia i Spencer! Jak cudownie znowu was zobaczyć. Tyle lat! I Elizabeth! Tęskniliśmy za tobą. Tak długo mieszkaliśmy z dala od siebie, choć wcześniej byliśmy tak blisko - rzekł Keegan.

- No, ale kto się wyprowadził? - zapytała Lydia. - My tu nadal mieszkamy. To ty się wyprowadziłeś do Houston.

- I kupiłem mieszkanie tak duże, że może was wszystkich pomieścić. R nurkę przerwał. Elizabeth patrzyła na niego zastanawiając się, dlaczego mu nigdy nie przyszło do głowy, że inni nie pójdą w jego ślady ani nie będą go szukać jedynie dlatego, że nazywa się Keegan Rourke. Był uderzająco przystojny: musiała przyznać, że był najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego знаła. Czarnowłosa, o gęstych brwiach, z mocno zarysowaną szczęką i pionową rysą na brodzie; wysoki podobnie jak Tony i Matt - właściwie oni trzej byli najwyżsi wśród gości - ale cięższej budowy, choć jego tors i potężne ramiona wyszczuplała nienagannie skrojona marynarka. Tony przypominał go budową, był oczywiście smuklejszy, równie przystojny i mimo trzydziestki obok dominującego posturą ojca wyglądał bardzo młodo.

- Czasami - powiedział Rourke - trochę żałuję, że się wyprowadziłem. Nie dość mocno - pomyślała Elizabeth. Dzięki zmianie miejsca został milionerem - ilokrotnym? - i to było dla niego w życiu najważniejsze. I prawdopodobnie tak jest nadal.

- Czy to twój teść? - Rourke zapytał Elizabeth. Wyciągnął rękę do Zacharego. - Keegan Rourke z Houston. Stary przyjaciel Spencera, Lydii i Elizabeth. Oczy Zacharego zaiskrzyły się.

- Zachary Lovell z Santa Fe. Ojciec Matta. Stary przyjaciel Ewangelistów.

- Pan górą. Nie ma ani jednego Keegana w całej Biblii - zripóstował Rourke. Uśmiechnęli się do siebie.

- Niech pan ją napisze na nowo - zaproponował Zachary. Rourke potrząsnął głową.

- Nie udałoby mi się. Choćbym nie wiem ile zarobił pieniędzy, pewne rzeczy mi się wymykają.

- Chyba jest ich niewiele - zaprzeczył Zachary.

- To prawda. Staram się o to. Czy urodził się pan w Santa Fe?

- Nie, w Nuevo. - Zachary umoczył ostrygę w ostrym sosie i wsunął do ust. - Nigdy pan o tym miejscu nie słyszał. To mała miejscowość w górach, gdzie diabeł mówi dobranoc, choć tylko godzinę drogi na wschód od Santa Fe. - Podniósł wzrok i patrzył w jakiś odległy punkt. - Jest tam długa

dolina, na jakieś trzydzieści parę kilometrów, a jej sześciokilometrowy odcinek jest tak przewężony na obu krańcach, że tworzy się zamknięta kotlina, niemal całkiem odcięta od świata. Tam właśnie leży Nuevo, w samym środku kotliny, nad rzeką, z dala od ruchu; panuje tam spokój, jest pięknie...

Rourke zajęty był ostrygami.

- Kto tam teraz mieszka? - zapytał.

- Hiszpanie, trochę Anglo-Amerykanów, raptem trzydzieści rodzin. Pierwszą osadę zbudowali Indianie, ale wynieśli się stamtąd na początku XVII wieku. Później, kiedy w trakcie powstania Indian Hiszpanie zostali wyrzuceni z Santa Fe, niektórzy uciekli w góry i tam osiedli; miejsce to nazwali Nuevo, co po hiszpańsku znaczy nowy, nowy początek. Potem przybyli Anglo-Amerykanie: farmerzy, paru kowali, może jacyś uciekinierzy z więzienia - nikt się o to nie pytał. Współżyli i nadal współżyją bez konfliktów - nie mają za dużo pieniędzy, ale to dobre miejsce. Mój dziadek był jednym z farmerów, którzy się tam osiedlili, kupił plac, zbudował dom; mój ojciec i wuj tam się urodzili. Matt i ja jesteśmy ostatnimi potomkami; przyjaciel obrabia nam pole i pilnuje domu. Ja planuję tam wrócić, jak przejdę na emeryturę. Jeszcze to, rzecz jasna, nie tak prędko, ale...

- Chciałbym obejrzeć to miejsce - powiedział Rourke. - Przyjadę do Santa Fe któregoś dnia i może mnie tam pan zabierze. - Zwrócił się do Elizabeth. - A ty i Matt mnie odwiedźcie. Dobrze? - Zniżył głos: - Naprawdę tęskniłem za tobą, moja droga. Zawsze chciałem, byś była moją córką. Czy nie wiesz, że nawet miałem kiedyś plany wobec ciebie i Tony'ego?

Po twarzy Elizabeth przemknął cień zakłopotania.

- Wybacz - powiedział gładko Rourke. - To złe maniery, żeby na weselu przypominać dawne zamiary swata. Czy znaleźliście już z Mattem mieszkanie?

- Jest cudowne - oświadczyła Elizabeth i twarz jej się rozjaśniła. - Tylko trzy pokoje, ale ogromne. Dużo miejsca, żeby pracować w domu, jeśli będzie trzeba. Jest też w salonie balkon z pięknym widokiem na góry. Znajomy z redakcji powiadomił nas o możliwości jego wynajęcia jak tylko otrzymali ogłoszenie.

- No to macie fart - po raz pierwszy tego popołudnia odezwała się zniecka Ginger, żona Tony'ego. - No bo i mieszkanie, i nagrody, i wyróżnienia... nie dostaliście jakiegoś wyróżnienia?

- Tak, posadę w Los Angeles - mówiąc to Zachary nakłuł ostrygę.

- Tato - powiedział cicho Matt.

- Wiem, że to dobra praca - rzekł Zachary. - Może nie? I twoi profesorowie mówią, że na nią zasługujesz; twierdzą, że jesteś utalentowany. Ja wiem, że masz talent; wiem od dawna, wcześniej niż oni to odkryli. Ale chyba mi wolno powiedzieć, że nie szaleję z radości dlatego, że przez lata budowa-

łem firmę dla mojego syna, a teraz jego to nie interesuje! I że nie będziesz ze mną, gdy się zestarzeję i opuszczą mnie siły...?

- Tato - zaśmiał się Matt, ale wzrok miał poważny. - Masz pięćdziesiąt sześć lat i naprawdę nie pasują do ciebie te wyznania. Wiesz dobrze, że zakład poligraficzny tworzyłeś dla siebie; to całe twoje życie.

- Chciałem ci coś zostawić.

- To odległa przyszłość... - w głosie Matta pojawiła się nuta zniecierpliwienia.

- Ależ my wszyscy myślimy o przyszłości - powiedziała Lydia - zwłaszcza w naszym wieku. Spencer i ja już się zastanawiamy nad przejściem na emeryturę...

- Wesela i emerytury - skonstatował Matt. - Niezła kombinacja. - Uśmiechnął się, ale w jego głosie brzmiała stanowczość, gdy zmieniał temat rozmowy.

Uwagę gości przy stole zaprzątnęło Los Angeles, potem Santa Fe, wreszcie Houston.

- Dziki żywioł, rozpychanie się łokciami, bezguście. - Tony krytykował miasto z goryczą w głosie.

- Dużo jest w nim rozgoryczenia - szepnął Matt do ucha Elizabeth.

- Nie wiem jednak, czy nienawidzi tak miasta - powiedziała ściszym głosem - czy raczej, tego, że zamiast zostać aktorem pracuje u swojego ojca. Całe życie marzył o aktorstwie; nie rozumiem, dlaczego wylądował w przedsiębiorstwie naftowym w Houston.

- Ta część firmy, którą kieruje, prawdopodobnie wybija się postawą pracowników - powiedział Matt z ironią.

Tort weselny pokrojono, wzniesiono z tuzin toastów, szampana ubywało, rozmowa zaś potoczyła się na temat pracy, jaką mieli zacząć państwo młodzi tuż po miesiącu miodowym w Kolumbii Brytyjskiej. Nawet Zachary się włączył; podniecenie syna i promiennosc Elizabeth przyćmiły jego smutek. Potem, gdy Spencer z Lydią pożegnali gości, ucałował synową.

- Jesteś taka jak trzeba, kochana i dobra dla starego człowieka, przy tym urodziwa, no i zdaje się, że doceniasz Matta. Rób co chcesz, pisz do swojej rubryki, wydawaj własne pismo. Obiecuję, że będę je czytać. O ile mi tylko wzrok pozwoli.

Głos ojca, tęskny i zarazem pełen dumy, brzmiał w uszach Matta do końca przyjęcia.

- On nam nie wybaczy - powiedziała Elizabeth, gdy w promieniach gasnącego słońca siedli na tarasie nowego mieszkania.

- Czuje się samotny i odtracony i będzie nam o tym przy każdej możliwej okazji przypominał.

- Szkoda mi go - rzekła Elizabeth. - Czekał tyle lat na twój powrót.

- Ma przyjaciół, będziemy go odwiedzać, on będzie przyjeżdżał do nas. Tak będzie najlepiej. - Wstał i pociągnął za sobą Elizabeth. - Czas, byśmy się przestali o niego martwić. Mamy przecież własne sprawy, którymi się trzeba zająć.

- Wiesz, jeszcze ci nie powiedziałam „mój mężu”. - Elizabeth zarzuciła mu rękę na szyję.

- Mężu - zawtórował Matt i schylił się, by musnąć wargami jej usta. -Podoba mi się to słowo. A co myślisz o słowie „żona”?

- Daj mi z pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat, aż się przyzwyczaję - wymamrotała Elizabeth, oddając mu pocałunek, on zaś wymacał suwak z tyłu jej sukni i rozsunął go, po czym zaczął odpinać guziki swej koszuli; za chwilę jej piersi dotykały jego nagiego torsu, ich usta złączyły się. Odkryli, że ich miłość jest inna niż przez ostatni rok wspólnego życia.

- Nie wiem, na czym to polega - powiedziała Elizabeth. - Ale przecież sama ceremonia... czemu czuję się teraz inaczej?

- To przez ostrzygi - zakpił Matt i zaśmiali się, on zaś zsunął jej z ramion suknię, która opadła na ziemię. Elizabeth objęła go ramionami i pociągnęła na szeroką kanapę.

W miękkim świetle lampy padającym z salonu oraz chłodnej poświacie księżycy zrzucili z siebie resztę ubrania i kochali się powoli, jak gdyby po raz pierwszy. Kilka godzin wcześniej tego popołudnia ślubowali sobie uroczyste i przy świadkach miłość na zawsze.

- Moja najukochańsza - powiedział Matt dotykając wargami jej piersi. -Najdroższa Elizabeth. - Pochylając się nad jej piersiami szeptał najczulsze słowa, jego głos wymawiający jej imię przenikał ją; wargami muskał jej skórę i mówił - Elizabeth, moja żona, moja ukochana - i powtarzał tak długo, aż nic innego nie słyszała, nic innego nie czuła, ulegając jego ustom i dłoniom, poddając coraz bardziej wzbierającej fali pożądania. Przyciągnęła go ku sobie, a kiedy czarne, wysadzone gwiazdami niebo wchłonęło ostatnie promienie słońca, stopili się w jedność. Patrzyła w gwiazdy czując na sobie ciężar jego ciała, Matt widząc jej uśmiech przyciągnął jej twarz i pocałował.

- Jesteś nadzwyczaj uwodzicielską osobką.

Położyła mu dłoń na twarzy, pełna miłości, myśląc, że nigdy nie chciała niczego prócz tego, aby być we dwoje, wzajemnie się kochać i dzielić całe życie.

- To ty sprawiasz, że mam ochotę cię uwodzić, że się czuję potrzebna i kochana.

Orchidea z jej włosów spadła na podłogę tarasu i Matt pochylił się, by ją podnieść. Jeden płatek zgniótł się, delikatnie go wygładził i z powrotem włożył we włosy.

- I nadzwyczaj piękna. I adorowana - dokończyła. Poczuł, że jej skóra jest chłodna, i usiadł.

- Zrobiło się trochę zimno. Co byś powiedziała na to, żeby się przenieść do łóżka? Może to zbyt zwyczajne jak na noc poślubną, ale na pewno będzie nam tam cieplej niż... Usłyszeli z salonu dzwonek telefonu. Matt zmarszczył brwi.

- Zlekceważmy to sobie. Ktoś chyba zupełnie nie ma wyczucia, aby dzwonić o takiej...

- Nie mogę - powiedziała Elizabeth. - Przykro mi, Matt, nigdy nie potrafiłam lekceważyć telefonu. - Ujrzał jej szczupłą sylwetkę za przesuwanymi szklanymi drzwiami.

- Pani Lovell? - odezwał się jakiś głos po drugiej stronie linii. - Dzwonię z erki z Johnston Hospital. Pan Zachary Lovell jest tu od paru chwil. Wygląda na zawał. Lekarz go właśnie bada.

- Czy żyje? - krzyknęła Elizabeth.

- Kto? - zapytał Matt. - Elizabeth, kto?

- Tak - odparł głos ze szpitala. - Ale dopóki lekarz nie skończy badania, nie będziemy wiedzieć, czy...

- Twój ojciec - powiedziała Elizabeth przekazując Mattowi słuchawkę. - Miał zawał; żyje.

Matt chwycił słuchawkę.

- Czy jest przytomny? - zapytał.

- Czy to syn pana Lovella?

- Boże, a któż inny. Czy jest przytomny? Czy może mówić? Jak się czuje?

- Jeszcze nie wiemy, proszę pana. Bada go lekarz. Gdyby mógł pan tu przyjechać...

- Jadę natychmiast. Proszę mu powiedzieć - jeśli będzie o nas pytać - proszę mu powiedzieć, że właśnie do niego jedziemy.

Zachary leżał na oddziale intensywnej terapii; był bardzo blady. Pielęgniarka, która właśnie weszła, odczytywała zielone wykresy skaczące na monitorze. Poruszył ustami i Matt z Elizabeth pochyłili się, by usłyszeć, co mówi.

- ...potrzebuję cię, nie odchodź... - Słowa brzmiały niewyraźnie. - Tylko na chwilę... tylko, aż... znów dojdę do siebie. - Zamknął oczy. - Czuwaj nade mną... to znaczy firmą... czuwaj nad drukarnią... to wszystko, co mi pozostało, strzeż tego... Matt, nie zostawiaj mnie. Proszę, Matt... całe życie pracowałem... nie mogę tego stracić, Elizabeth!? Pomów z nim... błagam... powiedz mu, że go potrzebuję... potrzebuję was obojga... proszę...

Ostatnie słowo było właściwie westchnieniem, które mu zamarło na ustach. Lekarka przywołała ich skinieniem, bez słowa wyszli za nią na korytarz.

- Z Zacharym nie jest tak źle - powiedziała. - Może będzie miał na dłużej sparaliżowaną lewą stronę ciała, będziemy tego pewniejsi jutro czy pojutrze, chwilowo będzie mu brak orientacji, ale z czasem powinno mu się polepszyć, nie będzie inwalidą. Ale to potrwa długo; powinni się państwo z tym liczyć. Czy w rodzinie ktoś wcześniej miał zawał?

- Chyba nie. - Matt zmarszczył czoło. - Nawet sobie nie przypominam, żeby tata kiedyś chorował. Ani dziadkowie. Całe życie zajmowali się ran-czem, hodowali konie w Nuevo; umarli ledwo parę lat temu, byli po osiemdziesiątce. Nie wiem - powiedział bezradnie.

- Potrzebna mi historia chorób w rodzinie - stwierdziła lekarka. - Mój pokój znajduje się na końcu korytarza. - Zwróciła się do Elizabeth. - Może pani poczekać na górze, w oranżerii. Jest tam sympatyczniej.

- Dobrze - Elizabeth położyła dłoń na ramieniu Matta, który ją w przelocie pocałował.

- Zaczekaj na mnie - rzekł i poszedł za lekarką.

Elizabeth chodziła po oranżerii, prawie nie dostrzegając bujnej zieleni drzewek i wiszących roślin; łyzy dławili ją w gardle. Po chwili, ponieważ Matt nie przychodził, zadzwoniła do swojej matki.

- Muszę po prostu porozmawiać - powiedziała Lydii. - Usłyszeć tylko, jak mi mówisz, że nie mam racji, że się boję.

- Już do ciebie jadę - oznajmiła Lydia. - Potrzeba mi pięć minut, żeby tylko coś na siebie narzucić.

Gdy przyjechała, Elizabeth siedziała zwinęta w kłębek na wiklinowej kanapie.

- Jak on się czuje?

- Nie wiem. Matt nie wraca. Niewiele o tym mówili. Mamo, będziemy musieli się nim zająć.

- Zająć się Zacharym? To znaczy, że z wami zamieszka, tak? Jest to kłopotliwe, ale jeśli znajdziecie większe mieszkanie...

- Nie. To znaczy, że zamieszkamy u niego w Santa Fe. On chce, żeby Matt zarządzał jego firmą, póki sam nie będzie do tego zdolny.

- Ależ wy nie możecie tego zrobić! - Popatrzyły na siebie w milczeniu, po czym Lydia usiadła obok Elizabeth i objęła ją ramionami.

Elizabeth jak mała dziewczynka oparła głowę na ramieniu matki i rozplakała się.

- Tak mi żal. Wiem, że to małostkowe i samolubne, ale nie chcę rezygnować ze wszystkiego...

- Nie jesteś małostkowa ani samolubna - stwierdziła Lydia. - Ale może byś poczekała, zanim się zdecydujesz zrezygnować ze wszystkiego? Nawet jeśli będzie to dla Zacharego konieczne przez miesiąc albo dwa, można coś wymyślić... na przykład opłacimy menedżera, który poprowadzi firmę, dopóki Zachary nie wyzdrowieje...

- Nie pozwolę, abyś wydawała na to swoją emeryturę. Poza tym nie sądzę, żeby to w czymś pomogło. Lekarka powiedziała... - Elizabeth oddychała głęboko, dławiąc łyzy.

- Rekonwalescencja będzie trwała długo; wydaje mi się, że to nie kwestia jednego czy dwóch miesięcy, ani nawet czterech, lecz dłuższego czasu.

- Może więc zamknąć na ten okres firmę. I pójść do domu opieki dla rekonwalescentów.

- On tego nie chce.

- Czego on chce, Elizabeth, a co wy możecie, to dwie różne sprawy.

- Naprawdę? Och, mamo - łyzy znów wzbierały. - Ja go kocham i chcę mu pomóc.

- Komu? Zacharemu czy Mattowi?

- Och... jednemu i drugiemu. Matt darzy ojca silnym uczuciem... Mówiłam ci o jego matce, że rzuciła wszystko i zostawiła ich samych. Przez cały czas, kiedy Matt dorastał, żyli raczej jak bracia niż ojciec i syn... Byli dla siebie wszystkim. Mamo, czy istnieje w ogóle taka alternatywa, by poprosić Matta, żeby został tu ze mną, jeśli jego ojciec go prosi, aby się nim zajął i prowadził firmę w Santa Fe?

- Nie byłoby to łatwe - potwierdziła Lydia. - Mogłoby się to potem na tobie zemścić, po latach.

Powoli Elizabeth potrząsnęła głową.

- Cokolwiek zrobimy, będzie się na nas mścić.

Gdy za chwilę przyszedł Matt, zastał Elizabeth w objęciach Lydii. Obie były pogrążone w cichej rozmowie. Pocałował Lydię.

- Cieszę się, że przyszedłeś. - Usiadł obok Elizabeth. - Niech to diabli - powiedział zmęczonym głosem.

- Będziemy musieli zrezygnować z naszych planów - przyznała ze smutkiem Elizabeth - to tak jakbyśmy się cofali.

- Wspólnie zadecydujemy. - Matt wstał, przeszedł kawałek i ponownie usiadł. - Co, u licha, mogę zrobić, Elizabeth? Jestem dla niego wszystkim. Nigdy mnie nie zawiódł.

- Wiem. - Znowu się rozpląkała, łzy ciurkiem leciały jej po twarzy. - Wiem. Nie mamy wyjścia.

- Boże, całe nasze plany, wszystko bierze w łeb... Ale nie widzę rozwiązania. No bo co ja mu powiem? „Tato, mamy wygodne posady, więc zostajesz sam”? Czy ja mogę powiedzieć coś takiego? - Nie.

- Albo: „Tato, wynajęliśmy sobie mieszkanie”, czy też „planujemy w przyszłości wydawać własne pismo, więc musisz sam sobie jakoś radzić, bo my mamy własne życie”?

- Nie, nie możesz. - Elizabeth wytarła twarz rękawem bluzki. - Matt, usiądź obok mnie.

- To jego drukarnia, nie moja. To jego życie, nie moje. Ja nie chcę ani jednego, ani drugiego. Ale nie widzę innego rozwiązania.

- Przynajmniej nie w najbliższej przyszłości. - Elizabeth przełknęła ostatnie łzy i opanowała głos. - To nie jest na zawsze, rozumiesz; tylko do czasu, dopóki nie wróci do zdrowia. Przecież lekarka nie powiedziała, że zostanie inwalidą. On nas będzie potrzebował tylko przez pewien okres, póki nie będzie w stanie zająć się sobą i firmą. A na pewno nie będzie to trwało długo. Ma tylko pięćdziesiąt sześć lat. On będzie chciał czuć się pożyteczny i wrócić do czynnego życia tak szybko, jak się da, prawda? W ciszy, jaka nastąpiła, Lydia wstała.

- Jestem z ciebie dumna, Elizabeth - powiedziała Lydia po chwili. - Pójdę poszukać kawiarni, napiłabym się kawy. Przyłączycie się do mnie, jak będziecie gotowi?

- Dzięki, mamó. - Elizabeth popatrzyła na Matta, gdy matka jej wyszła. - Co powiedziałaś ojcu?

- Nic. Chciałem najpierw z tobą się porozumieć - rzekł zaciskając dłonie. - Elizabeth, obiecuję, że to będzie tymczasowo. Jak tylko wyzdrowieje albo jak tylko znajdziemy kogoś, kto by mu pomagał w domu i zastąpił w firmie, wrócimy tutaj. Albo przeniesiemy się gdzie indziej. Bez problemu znajdziemy pracę, dzienniki zawsze poszukują bystrych dziennikarzy, laureatów nagród.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się, bo wiedziała, że nie tyle ją, co siebie próbował przekonać o słuszności tej decyzji.

- Obiecuję - powtórzył Matt. - Wystartujemy nieco później. Jesteśmy młodzi. Mamy czas. To tylko nieoczekiwana przeszkoda. Zawrócimy. Obiecuję.

Elizabeth objęła go rękami za szyję, jak wcześniej tego wieczoru, kiedy ich widoki na przyszłość rysowały się bez przeszkód.

- Zgoda, Matt, nie możemy postąpić inaczej.

- Wszystkie nasze marzenia - szepnął obejmując ją. - Wszystko, czego pragniemy. Będziemy mieć to wszystko. Tyle tylko, że zajmie nam to trochę więcej czasu, niż planowaliśmy.

Przytuliła policzek do jego policzka i pocałowała go.

- W porządku, Matt - powtarzała szepcząc mu do ust. - Nie martw się. Uda się nam. - Łzy jej wyschły, mimo to nadal czuła, jak więzną jej w gardle. Nie bądź samolubna. Pomyśl o Zacharym, o Matcie. Nie bądź małostkowa. Jesteś młoda. Wszystko przed tobą - przekonywała się. - W porządku - powiedziała raz jeszcze. - Mamy siebie. To jest wszystko, co się liczy. A teraz może byśmy poszli na kawę? Wypadałoby też zrobić listę. Tyle mamy spraw do załatwienia.

Nie do załatwienia - dodała w myślach, ale zdławiła to w sobie, wraz ze łzami, które w niej wzbierały, kiedy z Mattem schodzili na dół.

Panstwo młodzi stali na wyłożonym cegłą patio wewnątrz *placita* okazałej rezydencji, goście zaś przesuwali się kolejno składając im życzenia w języku hiszpańskim i angielskim. Nie opodal pod drzewem oliwnym, którego wygięte w łuk gałęzie obsypane były drobnymi, niedojrzałymi oliwkami, stały podłużne stoły zastawione jedzeniem i piciem; wśród srebrnych kieliszków położono stroiki symbolizujące długie życie, radość i wielodzietność.

Ojciec pana młodego wyszedł z kolejki. Wycierając czoło ogromną chustką do nosa, zatrzymał się, by poprosić barmana o dwa kieliszki szampana, przemierzył ogród i podał jeden Elizabeth.

- Proszę wypić za nasze zdrowie. I obyśmy znaleźli siłę, gdy zajdzie potrzeba.

- Potrzeba czego? - spytała ze śmiechem.

- Cierpliwości, bo nie lubię przyjąć i okazywania wdzięczności, ponieważ syn się korzystnie żeni, wytrzymałości, bo zaraz będę musiał tańczyć z kobietami, których nie mam ochoty trzymać w ramionach. Nie miałbym nic przeciwko zatańczeniu z panią, bo jest pani niezwykle piękna, i to z każdym rokiem coraz piękniejsza. Na zdrowie - stuknęli się kieliszkami. - I czemu pani milczy? - zapytał po chwili, gdy Elizabeth nie odpowiadała.

- Przypomniało mi się moje własne wesele - odparła zamyślona. - Było też w ogrodzie, prawie tak uroczym jak ten, pewnego czerwcowego popołudnia jak dziś. I na twarzach wszystkich gości malowała się nadzieja, oczekiwanie, że szczęśliwych młodych czeka cudowna przyszłość.

- I dawno to było?

- Szesnaście lat temu - odparła.

- Czy te oczekiwania cudownej przyszłości spełniły się?

- Oczywiście - odpowiedziała automatycznie. Ojciec pana młodego przyjrzał jej się dyskretnie; rozmowę przerwali im goście, którzy czekali na moment, żeby móc wymienić z Elizabeth kilka słów. Starszy pan z westchnieniem oddalił się. Elizabeth słuchała tego, co mówili jej rozmówcy, czasem notując coś w brulionie, z wzrokiem utkwionym w młodej parze. Wyglądali bardzo młodo i uśmiechali się cały czas, choć rozgrzane do białości słońce Santa Fe dawało im się dobrze we znaki. Wszyscy prócz nich chowali się w cień; jaskrawe suknie i ciemne garnitury zlewały się z tłem wypielęgowanego ogrodu, wystrzyżonych trawników i cichego strumyczka zwieńczonego drewnianym mostkiem, który prowadził do basenu.

Elizabeth wciągnęła w płuca zapach lata i z zachwytem przyglądała się obszernemu *placita* osłoniętemu przed wzrokiem ciekawskich z trzech stron tak, że mogli je podziwiać wyłącznie zaproszeni goście. Sama rezydencja zbudowana z suszonej na słońcu cegły była rozległa i wraz z podjazdem i żwirowym parkingiem szczelnie ogrodzona wysokim murem, z wbudowaną weń ciężką drewnianą bramą. Rok temu z Mattem powiększyli dom i zbudowali wokół ogrodu mur z takiej samej cegły, ale mimo to nie było tam tyle przestrzeni i luksusu co tu. Za mały teren - pomyślała i dodała z żalem - za mało pieniędzy.

Coraz dłuższe cienie kładły się na ziemi, kolejka się skończyła. Muzycy zaczęli stroić gitary, służba zapaliła latarnie z kutego żelaza i otworzyła szeroko drzwi do podłużnej sali balowej. Młoda para zatańczyła z werwą przez całą długość sali. Ani śladu zmęczenia, ich twarze promieniały, zapatrzeni byli tylko w siebie. Za kilka chwil przyłączyli się do tańca ich rodzice, potem zaś goście weselni, którzy pod wysoki sufit rzucali konfetti zasypując nim całą salę. Ojciec pana młodego wrócił do Elizabeth.

- Zatańczy pani ze mną?

- Jeden raz - odparła. - Potem muszę pracować. Poprawnie objął ją w pól.

- Kobieta tak urocza jak pani powinna być otoczona opieką i rozpieszczana, a nie zmuszana do pracy.

Mówił to bardzo poważnie i Elizabeth powstrzymała się z trudem, od śmiechu. Był Anglo-Amerykaninem; jego ojciec przybył do Santa Fe z Detroit ledwo czterdzieści lat temu. Był członkiem władz ustawodawczych Nowego Meksyku i przejął wiele obyczajów od zamieszkujących Santa Fe najstarszych hiszpańskich rodów. Historia niektórych z nich, jak na przykład rodu panny młodej, sięgała ponad dwunastu pokoleń. Dlatego Elizabeth stwierdziła:

- Moja praca jest dla mnie czymś ważnym - i gdy taniec się skończył, wymówiła się od następnego ze sztywną elegancją, dorównującą jego manierom. Poszukała spokojnego miejsca do pracy. Wybrała ławeczkę pomiędzy *placitą* i salą balową, gdzie nie rzucając się w oczy zaczęła opisywać wesele do kroniki towarzyskiej *Santa Fe Examiner*.

„Atlas w kolorze kości słoniowej wyszywany naturalnymi perłami -notowała zerkając na pannę młodą. - Welon z trzech warstw koronki, dziedziczony z matki na córkę od roku 1730, kiedy to członkowie hiszpańskiego rodu królewskiego przybyli do Meksyku i Santa Fe"

Notowała pospiesznie: genealogia panny młodej, rozpoczęta praktyka prawnicza pana młodego, wpływowe stanowisko ojca jako przewodniczącego komitetu w legislaturze stanowej, lista zaproszonych gości, w tym stanowiska i pochodzenie rodowe najbardziej prominentnych, kolorowe opisy kreacji i potraw. Miała jednak tak długi staż w *Examinerze* jako zatrudniona nie na pełnym etacie reporterka, że pisząc mogła myślami przebywać gdzie indziej. Zastanawiała się więc równocześnie, co robią członkowie jej rodziny: Holly i Peter już powinni być w domu po zajęciach w college'u; Matt chcąc spędzać więcej czasu w domu zamieścił w tym tygodniu ogłoszenie, że szuka nowego asystenta do drukarni, Zachary zaś umarł trzy miesiące temu, ale jakby nadal stanowił część ich życia, gdyż wszystko, co robili przez ostatnie szesnaście lat, koncentrowało się wokół niego.

Jego śmierć była wielkim ciosem dla Matta, ale również Elizabeth przeżyła wstrząs. Nagle zostali bez celu w życiu. Opisywała menu na obiad: *came adovada*, suflet z zielonym chili, *tocina del cielo*... jednocześnie myśląc: potrzebne są nam wakacje, aby się wyrwać z domu i zapomnieć o Zacharym. Całą czwórką moglibyśmy pojechać autostopem albo samochodem do Denver...

Ale kto będzie zarządzał drukarnią? Nigdy nie było ich stać na zatrudnienie menedżera na pełnym etacie. A co z jej pracą? Stanowisko reporterki w niepełnym wymiarze godzin też nie dawało zabezpieczenia, wielu zaś młodych ambitnych dziennikarzy chciało pracować w *Examinerze*, bo jedyną jego konkurencję stanowił skromny, kiepsko prosperujący *Chieftain*. Holly i Peter zresztą mieli własne plany i może by nigdzie nie chcieli teraz wyjeżdżać. Chyba powinni poczekać na lepszy moment...

Zawsze mówiliśmy: nie teraz, jeszcze nie, potem.

Pochyliła się ponownie nad notatkami. Gdy skończyła pisać, podeszła do rodziców młodej pary, żeby się pożegnać. Goście zatrzymywali ją, gdy przechodziła przez zatłoczoną salę; wszyscy ją znali i wiedzieli, że pisze do *Examinera*, chcieli się więc upewnić, czy ich nie pominęła i nie przekreśliła nazwiska ani danych. Kiedy jednak chcieli się dowiedzieć, co napisała o weselu, Elizabeth tylko się uśmiechała i kręciła przecząco głową. Zawsze utrzymywała w tajemnicy swoje teksty, póki się nie ukazały w druku. Matt był jedyną osobą, który widział jej teksty, zanim je dostarczyła do redakcji, ale nawet on najczęściej nie czytał ich w całości. Tylu rzeczy nie robili już wspólnie - zaczęła rozmyślać za kierownicą w drodze do domu. Przeważnie rozmawiali o sprawach codziennych: o domu, dzieciach, Zacharym - nie, już nie o Zacharym. Co jej się stało? Dlaczego nie mogła się przyzwyczaić, że Zacharego już nie ma? I dlaczego tyle razy zastanawiała się

nad tym, co zmieniło się w jej małżeństwie i dlaczego myślała o tym, co ją martwiło, a nie o tym, co było w nim dobrego?

Z miejsca, gdzie odbywało się wesele, do jej domu na Camino Rancheros było niedaleko. Droga prowadziła wąskimi uliczkami; z obu stron wznosiły się murki z niewypalanej cegły i rzeźbione drewniane bramy; spoza nich z ogrodów wylaniały się czubki drzew. Niewypalana cegła i drzewa - myślała Elizabeth. Kiedyś, jeśli kiedykolwiek będzie mieć własną rubrykę w piśmie, zamieści opis Santa Fe. Tekst miała gotowy w głowie:

„...małe miasteczko jak na dwubarwnym obrazku; przydymiony róż niewypalanej cegły i ciemna zieleń drzew dominujące w kolorycie uliczek; pogodne i kojące; na tym tle mieniące się jaskrawymi barwami hiszpańskie i indiańskie stroje jego mieszkańców, biżuteria, meble, wytwory sztuki. Kiedy jednak ulice pustoszeją, w porze kolacji i o zmierzchu, przydymiony róż i ciemna zieleń, nabierająca charakteru marzeń sennych, przypominają spłowieły od słońca gobelin”.

Dość tego. Wjechała przez otwartą bramę i zaparkowała przed domem. Po co udawać? Nie pisała do własnej rubryki, bo redakcje dawały tę pracę dziennikarzom na pełnym etacie, ona zaś nie mogła pracować w pełnym wymiarze godzin, ponieważ musiała pomagać Mattowi prowadzić drukarnię, zajmować się domem i dwojgiem dzieci.

- Mamo! - Peter machał do niej od drzwi. - Telefon! - Oparł się o framugę, przygniatając ramieniem błękitny powój i patrzył, jak Elizabeth zakręca na żwirowym podjeździe.

Będzie tak wysoki jak Matt i kiedyś równie przystojny. Co pewien czas ich zaskakiwał, ze słodkiego chłopczyka o okrągłej buzi wyrósł z niego czternastoletni zabijaka; raz marudził, za chwilę tryskał humorem; wpadał na meble w domu, ale jeździł konno prosto i z gracją; ze wstydem uchylał się przed pocałunkami mamy, ale nagle ni stąd, ni zowąd opasywał ją ramionami i okręcał po pokoju śmiejąc się przy tym zaraźliwie, w czym przypominał Matta, Elizabeth uświadamiała sobie wtedy, że mąż tak się już od dawna nie śmieje.

- Nie wiesz kto? - powiedział Peter. - No, ten twój słynny gwiazdor z telewizji.

- Tony Rourke - domyśliła się Elizabeth. - Przecież doskonale znasz to nazwisko. - Pocałowała go w policzek i weszli razem do chłodnego wnętrza. Odebrała telefon w kuchni. Usłyszała gładki głos Tony'ego.

- Droga Elizabeth, jestem na lotnisku...

- Na jakim lotnisku? - zapytała przerażona.

- W Los Angeles. Próbowałem się z tobą skontaktować, żeby cię uprzedzić, że jestem w drodze do Nowego Jorku i zatrzymuję się w Santa Fe,

żeby się z tobą zobaczyć. To już trwa za długo. Czy możesz wyjść na lotnisko za trzy godziny? Zjemy późny obiad i potem mnie możesz zawieźć do La Posada, zarezerwowałem tam pokój na noc, a jutro jadę do Nowego Jorku. Samolot przylatuje o...

- Tony, posłuchaj. Nie mogę iść dziś z tobą na obiad.

- Dlaczego? Czy wiesz, jak mi trudno znaleźć taką okazję? Mój szef pilnuje mnie jak cerber, moje sekretarki ustalają dla mnie rozkłady dnia jak w więzieniu... Elizabeth, Marjorie rzuciła mnie.

- Och - Marjorie. Tony wspominał o niej parę razy tego roku, ale Elizabeth wiedziała o niej tyle samo co o jego poprzednich żonach. Niewyraźnie przypomniła sobie Ginger, która była na jej weselu, ale od tamtego czasu nie śledziła historii małżeństw i rozwodów Tony'ego.

- Przykro mi - rzekła.

- Mnie też. Lubilem ją. Stwierdziła, że nie nadaje się do wspólnego życia. Może i prawda, a może nie ożeniłem się z odpowiednią osobą. Dlaczego nie możesz pójść ze mną na obiad? - Bo obchodzimy rocznicę ślubu i spędzamy wieczór poza domem.

- Świętujecie. Ile to lat?

- Szesnaście.

- Z tym samym człowiekiem. Nie do wiary. Czy nadal tak na siebie patrzycie jak na weselu? Czekam, że i mnie spotka coś podobnego. Ale miałem szansę i ją straciłem - prawda? - dawno temu.

- Tony, przestań dramatyzować.

- Nie mogę, bo to leży w mojej naturze. Ale nie będę cię dłużej zatrzymywać.

Musisz się teraz wystroić i wyjść do miasta z mężem. I nie życzysz sobie - albo twój mąż sobie nie życzy - żeby mu po piętach deptał Anthony Rourke, prezenter telewizyjny, którego uwielbiają miliony ludzi. Jasne, że dziś nie przyjadę. Ale czy mogę się z tobą zobaczyć w drodze powrotnej? W przyszłą środę, jeśli ci to odpowiada? Chcesz się ze mną spotkać, prawda, że tak? Choć w połowie tak bardzo, jak ja chcę zobaczyć się z tobą?

Jego ciepły głos, miękki jak aksamit, od czasu do czasu nabierał ironicznego tonu; Tony nigdy by nie dał po sobie poznać, że mówi serio. Może sam siebie nie znał.

Dziesięć lat temu rzucił przedsiębiorstwo swojego ojca. Wiodąc w Houston hulaszczę życie stracił wszystkie pieniądze. Zadzwoił wtedy do Elizabeth i powiedział, że jedzie do Los Angeles robić karierę w telewizji. Jak powiedział, tak zrobił. Był teraz słynny i bogaty, mieszkał w willi w Malibu; przez ostatni rok dzwonił do Elizabeth parę razy w miesiącu i mówił, że jest jedyną osobą, z którą chciałby rozmawiać, jedyną, która go rozumie, jedyną, która go zna od dziecka, z czasów, zanim się wplątał w zwariowaną sieć telewizyjnego gwiazdorstwa.

- Droga Elizabeth, proszę, spotkaj się ze mną - mówił. - Muszę cię zobaczyć. Nie mam do kogo gęby otworzyć, została mi tylko lodówka, która

coś do mnie buczy w jakimś niezrozumiałym, egzotycznym języku. Tyle się zebrało do opowiadania! Właśnie skończyłem nagrywanie paru programów w Hiszpanii i w drodze powrotnej zrobiłem postój we Włoszech, gdzie kupiłem niewielki domek - chyba ze dwanaście pokoi - w Amalfi, i muszę się tą wiadomością z kimś podzielić. Elizabeth, czy ty mnie słuchasz?

- Może za tydzień albo za dwa tygodnie - powiedziała Elizabeth. Jej duma była zraniona, tak jak zawsze, gdy swoimi słowami sprawiał, że się czuła atrakcyjna, a zarazem nudna jak jakaś kuchta domowa w małym domu na nowomeksykańskiej pustyni, która czeka na Anthony'ego Rourke, ze spłynie do niej z wyżyn wielkiego świata.

- Będę musiał być wtedy znów w Europie. A za cztery tygodnie od dziś.' Wezmę się w karby i jakoś doczekam tej chwili.

- Dobrze - zgodziła się Elizabeth. - Ale na lunch, nie na obiad. Daj znać, o której się spotkamy. Wyjdę po ciebie na lotnisko.

- Czy chce z tobą przeprowadzić wywiad? - zapytał Peter, jak tylko odwiesiła słuchawkę.

- Nie jesteśmy dość sławni ani zasłużeni, żeby się dostać do programu Tony'ego - powiedziała lekko Elizabeth. - Chciałbyś, żebyśmy brali w tym udział?

Zastanowił się.

- Chyba nie. Ja nie jestem podobny do Holly; me lubię wystąpienia publicznych, wołałbym, żeby mnie nikt nie dostrzegał. - Zauważył spojrzenie Elizabeth i dodał - w każdym razie nie w programie tego faceta. Widziałas go przecież, mamó.

Najbardziej lubi robić z ludzi idiotów... na oczach miliarda widzów.

- Trzydziestu milionów - poprawiła go Elizabeth myśląc, że powinna porozmawiać z Mattem na temat nieśmiałości i unikania towarzystwa przez Petera. Spodziewali się, że znajdzie sobie w szkole średniej przyjaciół, ale stało się wręcz odwrotnie.

Jeszcze bardziej zamknął się w sobie, sprawiał wrażenie młodszego od swoich rówieśników; po szkole przebywał w towarzystwie Indian z pobliskich pueblów* i wołał żyć w cieniu utalentowanej siostry, stojącej zawsze w centrum uwagi.

- Nie ma w domu Holly? - zapytała Elizabeth.

- Była, ale poszła na jakieś przesłuchanie. Jeśli on me chce robie z tobą wywiadu, to czego chce?

- Przyjaźnimy się.

- Każdy, kogo ogląda trzydzieści milionów widzów, ma mnóstwo przyjaciół.

- Tak myślisz?

* pueblo (hiszpańskie: ludność, osada), nazwa nadana przez Hiszpanów osiadłym plemionom indiańskim zamieszkującym obecne stany Arizona i Nowy Meksyk (USA). Także nazwa charakterystycznych domów indiańskich.

- A czemu by nie? Ludzie zatrzymują cię na ulicy, choć piszesz tylko do jednego pisma. Ktoś taki jak on... ludzie to chyba ciągle do niego dzwonią, zapraszają na przyjęcia, kręcą się koło niego, mówią mu, że jest świetny... Gwiazdy mają masę przyjaciół. Przecież wiesz o tym, mamó.

- Wiem, że pełno ludzi się koło nich kręci - przyznała Elizabeth. - Tacy, co chcieliby się dostać do telewizji lub żeby na nich spłynęło trochę splendoru. Ale nie powiedziałabym, że są przyjaciółmi. W każdym razie nie takimi przyjaciółmi, jakich się ma, kiedy się spotyka ludzi, którzy cię po prostu lubią, bo się nazywasz Peter Lovell i jest im z tobą wesoło, i masz mnóstwo zainteresowań, i jesteś bardzo sympatyczny.

- Och, mamó! - Peter spojrział w śmiejące się oczy Elizabeth i, z niejakim oporem, uśmiechnął się. Oboje się roześmiali na głos. Uścisnął ją krótko. - Dzięki. Elizabeth ucałowała go w policzek.

- Nie śpiesz się, Peter - powiedziała. - Będziesz miał przyjaciół. I przyjaciółki.

- Hm, no... - wzruszył ramionami - chyba tak. Czy on tu przyjedzie?

- Myślisz o Tonym?

- Tak.

- Może, za parę tygodni.

- Nie wiem, dlaczego go lubisz.

- Ludzie się przyjaźnią z wielu powodów, Peter. I nie ma sensu tego tłumaczyć. Znowu wzruszył ramionami, powąłęsał się po kuchni podskubując placek kukurydziany, gdy tymczasem Elizabeth wyjmowała z lodówki mięso i ostre papryczki. Dlaczego lubię Tony'ego? - zapytała samą siebie. Sprawia, że się czuję jak ktoś nudny i zacofany, ale wnosi też w moje życie gwar wielkiego świata, a tego mi czasem potrzeba. I rozśmiesza mnie, i czuję się przy nim młodo, i tego mi też brak, i to bardzo często.

Właściwie powinien mi to zapewnić Matt. Krojąc mięso w kostkę zmarszczyła brwi i znów się zaczęła zastanawiać, co się z nią dzieje. Dlaczego nagle nie może się opędzić od myśli o tym, co złe? Może w gruncie rzeczy nie uświadomiła sobie tego tak nagle; może te myśli gromadziły się w niej od miesięcy. Ale od śmierci Zacharego zaczęły ją nawiedzać coraz częściej.

I to wesele dziś po południu, kiedy przypomniały jej się wszystkie emocje, wrażenia, nadzieje, jakie wiązano z ich małżeństwem na weselu w ogrodzie u jej rodziców szesnaście lat temu. Gdzie to teraz było? Gdzieś rozwiały się po drodze... I z czym zostali wraz z Mattem? Przyjemne, oparte na przyjaźni małżeństwo, wyważone, stabilne, od lat bez zmian i niespodzianek.

Ale jesteśmy szczęśliwi - powiedziała do siebie. - Żyje się nam dobrze, mamy wspaniałe dzieci, dom, własną firmę...

Wrzuciła kawałki mięsa na gorący olej do żelaznego rondla i mieszała, aż się zarumieniły. Może nasze małżeństwo jest idealne. Szesnaście lat namiętności pewnie rozłożyłoby nasze małżeństwo.

Uśmiechnęła się z żalem. W tym momencie drzwi frontowe otwarły się gwałtownie i wpadła Holly.

- Cześć, cześć, cześć, czy to nie cudowny, wspaniały wieczór?

- Dostałaś partię - domyślił się Peter.

- Dwie partie. Zatańczyła po pokoju.

- Patrzycie na pierwszą w historii nowicjuszkę w szkole średniej - a będę nią dopiero we wrześniu - ale to nieważne, pierwszą, która dostała dwie partie solowe w letnim koncercie chóru College'u Santa Fe.

Patrzyli na śliczną dziewczynę,omalże kobietę, z zaróżowionymi z podniecenia policzkami, która zrobiła jeszcze jeden krok w stronę dorosłości, oddalając się od dzieciństwa, od domu. Moja dwójka - zamyśliła się Elizabeth - za parę lat wyfrunie z gniazda układać sobie własne życie. Jak to się mogło stać tak szybko?

- Mamo? - zawołała Holly. - Nie jesteś szczęśliwa?

- Ależ jestem - odparła Elizabeth. - I jestem dumna z ciebie. Uściskała Holly i gdy poczuła, jak ramiona córki mocno się zaciskają

wokół niej, uderzyła ją myśl, że bardzo kocha swoje dzieci, że jej życie dzięki nim było pracowite, bogate i wesołe, usuwając na drugi plan jej mniej udane małżeństwo. Zobaczyła siebie obok Holly. Dwie blondynki. Jej własne włosy z wiekiem ściemniały, podobnie jak włosy jej matki, natomiast Holly była jak niegdyś ona, platynową blondynką z ciemnoniebieskimi oczami Matta i szczupłą twarzą Elizabeth. Była jedyną osobą utalentowaną muzycznie w całej rodzinie Evansow i Lovellow dysponując najczystszy sopranem.

- Muszę jednak powiedzieć - stwierdziła Elizabeth - że mnie to wcale nie dziwi. Zawsze wiedziałam, że jesteś wspaniała, i zawsze byłam z ciebie dumna.

- Dziś chór - zaintonował Peter - jutro Broadway. Będziesz tak sławna jak ten znajomy mamy z telewizji, który w ramach przyjaźni przyjeżdża tu za parę tygodni.

- Tony?! - wykrzyknęła Holly. - Kiedy przyjeżdża? Może zrobi ze mną wywiad.

Powiedział, że kiedyś to zrobi. - Nabijał się z ciebie - szydził Peter. - Nikt w tej rodzinie nie jest dość sławny ani zasłużony, żeby go wziął do swojego programu.

- Skąd wiesz? Ja będę sławna i może mnie właśnie dlatego weźmie.

- Wątpię, Holly - powiedziała Elizabeth. - Tony zaprasza tylko osoby znane. On nikogo nie lansuje. Robi wywiady dopiero, gdy są sławni.

- Ale on powiedział!

- Może wtedy tak myślał. Ale nie powinnaś tego brać serio. - Zamilkła myśląc, jak trudno było wyjść poza Tony'ego komukolwiek, kto nie wiedział, co się za tym kryje. - On nie chce, żeby go ludzie rozumieli. Wydaje mu się, że jest bardziej interesujący, kiedy dramatyzuje i osłania się tajemnicą.

- Mnie się też tak zdaje - potwierdziła Holly.
- Może tak jest - ugodowo odparła Elizabeth. - A teraz powiedz nam o przesłuchaniach.

Telefon zadzwonił i Peter podniósł słuchawkę.

- Tato jeszcze jest w pracy - powiedział do Elizabeth.
- Matt? - Elizabeth zawołała do słuchawki. - Czy się coś stało? Miałeś wcześniej wrócić.
- Zostałem załatwiony - wycedził przez zęby. Elizabeth wiedziała, że hamuje się, aby nie wybuchnąć. Złości się częściej niż dawniej; jeszcze jedna rzecz, która się zmieniła, odkąd umarł Zachary. - Simon się wczoraj w nocy upił. Przyszedł dziś do pracy w południe jeszcze wstawiony i przez pół godziny narobił takiego bałaganu, że go odesłałem do domu. Zostaliśmy we dwóch i musimy sami drukować materiały na Crownpoint Rug Auction. Przykro mi, Elizabeth. Będę w domu za godzinę. Możesz zmienić rezerwację?
- Jeśli się nie da zmienić, pójdziemy gdzie indziej. Rancho de Chimayo nie jest jedyną restauracją w okolicy.
- Ale jedyną, do której chciałaś iść. - Kiedy się tu sprowadziliśmy - pomyślał Matt - od razu tam poszliśmy, bo musieliśmy się gdzieś zabawić i udawać, że wszystko jest w porządku. Teraz znów udajemy. - Sprawdź, czy się to da zrobić. Wyrwę się stąd, jak to tylko będzie możliwe. Czy chcesz może, żebym ja tam zadzwonił?
- Nie, ja zadzwonię.
- Do zobaczenia niebawem. - Matt odłożył słuchawkę i stanął obok biurka, nieobecny myślami, patrząc, jak drukarz pakuje materiały do wysyłki pocztą. Ze złości i frustracji czuł ucisk w żołądku. Odetchnął parę razy głęboko, aby się rozluźnić, skończyć tę cholerną robotę i wreszcie wyjść. Za dużo działo się na raz, kryzys za kryzysem; nie było możliwości, żeby to wszystko uporządkować. Odkąd umarł Zachary, życie nabrało przyspieszenia, dzień zaczął gonić za dniem. Mężczyźni powinni być przygotowani na śmierć swoich ojców. Od szesnastu lat żył z tą myślą. Trzy kolejne zawały osłabiały coraz bardziej Zacharego, który do końca nie chciał jednak zrezygnować z pracy. Gdy pewnego dnia uświadomił sobie w pełni, że ojca już nigdy nie zobaczy, że już z nim nie porozmawia, ani się nie zaśmieje z jego dowcipów, odczuł ból, który go zaskoczył swą intensywnością.
- Matt - drukarz wkładał marynarkę - wszystko zrobione. Podrzucę je na pocztę w drodze do domu. Chyba że jest jeszcze coś do zrobienia...?
- Nie. Zrobiłeś więcej niż wymaga obowiązek. Dzięki, że zostałeś.
- Na pewno nie ma nic więcej do roboty? Może by się pan napił czegoś? Mogę przynieść dla nas? - Frank - zapytał go nagle Matt - czy robisz w życiu to, na co masz ochotę? - Teraz czy w ogóle?
- Tak i tak.

- Teraz to idę do domu, na co właśnie mam ochotę. W ogóle... chyba też. Nie zastanawiam się nad tym.

- Dlaczego się nie zastanawiasz? Czy zawsze chciałeś być drukarzem, czy może chciałeś być kimś innym? Czy nie ciekawi cię to, jak by wyglądało twoje życie, gdybyś inaczej nim pokierował na początku?

Frank spojrział na niego i zaraz spuścił wzrok.

- Czy ma pan dziś urodziny albo coś w tym stylu? To dlatego tak się panu zebrało na rozmyślanie?

Matt zawahał się przez chwilę i wybuchnął śmiechem.

- Dobra, Frank. Nie gniewaj się, że zadałem ci to pytanie. Koniec długiego dnia to nie pora na filozofowanie. Idź do domu. Ja pozamykam. Zapraszam cię na szklaneczkę kiedy indziej.

- Niech pan słucha. Ja nie kpię. Po prostu nie wiedziałem, co panu odpowiedzieć. Ja naprawdę się nad tym nie zastanawiam. No, wie pan, roboty w bród, raz ma się dobry dzień, raz zły, dzieciaki raz wkurzają, a kiedy indziej przychodzą ze szkoły z piątką i człowiek jest dumny, że jest dobrym ojcem... Cholera, nie myślę o tym. Nastąpiła długa przerwa.

- Chciałem być zawodowym baseballistą. Stoję na boisku. Patrzę w niebo, piłka leci wysoko, wie pan, długie podanie, i wpada mi prosto w rękawicę, trzy razy, słyszę owacje, biegnę przez boisko do ławki rezerwowych i rozpiera mnie radość. - Odwrócił się do wyjścia. - Nigdy się nie dowiedziałem, czy byłem w tym dobry. Moja dziewczyna zaszła w ciążę. Ożeniłem się, dostałem tu pracę u pana taty i już. Nadal mi się podoba, mam na myśli żonę. To jest jedna dobra rzecz w życiu. Byłbym naprawdę niedołągą, gdybyśmy się rozeszli po tym, jak zrezygnowałem dla niej z baseballu. Dobranoc, Matt. Do jutra. Mam nadzieję, że będzie się pan czuł lepiej. Lekko marszcząc brwi Matt umył ręce, zawiązał krawat, rzucił okiem na drzwi frontowe, włączył alarm przeciw włamaniowy i wyszedł tylnym wyjściem. Było po godzinach szczytu i ruch na Cerrillos Road był niewielki. Za dziesięć minut powinien być w domu. Dodając gazu myślał o Franku i ostatnich trzech miesiącach, jakie upłynęły od śmierci Zacharego, i o Elizabeth, która też jakby się nie mogła z tym uporać. Ale nie mówili o tym - właściwie poruszali teraz niewiele tematów. Nie pamiętał, kiedy ostatnio rozmawiali o czymś innym niż o dzieciach, domu, czy drukarni ~ i znów wrócił myślami do Franka, który chciał być graczem baseballowym, i ponownie do Zacharego.

Mój ojciec zmarł i mnie opuścił. To był omalże żart. Szesnaście lat temu Zachary błagał Matta, żeby go nie zostawiał samego, i Matt go nie zostawił. A teraz Zachary zostawił jego.

Przez szesnaście lat realizowałem marzenia mojego ojca kosztem własnych.

To go właśnie nurtowało. Kochał ojca, brakowało mu go, ale za każdym razem, gdy o nim pomyślał, to tak, jakby te szesnaście lat wisiało mu u szyi

jak młyński kamień. Szesnaście lat. Na czym, u Ucha, upłynęły? Z czym został? ^J Myślał o własnym ślubie; tyle było przepowiedni, że Elizabeth i Matthew Lovell czeka fantastyczna przyszłość. I nic z tego. Odkładali na później realizację marzeń, do czasu aż Zachary będzie mógł samodzielnie prowadzić firmę, aż zarobią na menedżera na pełnym etacie, który zastąpi Matta aż Holly i Peter będą starsi, kiedy Holly i Peter skończą college. I tak mijały lata.

Raz ma się dobry dzień, raz zły i człowiek się wiele nad tym nie zastanawia. Szesnaście lat.

Ale te lata były dobre - pomyślał. - Nie zapominaj o tym.

Nie zapominał. Miał żonę, którą kochał, dwójkę dzieci, dom, własną firmę, przyjaciół, wakacje... czy nie miał wszystkiego, czego trzeba?

Skręcając w Paseo de Peralta usłyszał pisk opon w swoim aucie; jechał za szybko.

A, do diabła, z tym wszystkim. Zrezygnował z własnych planów, gdy miał dwadzieścia trzy lata. Od szesnastu lat jeździł stale tą samą drogą, którą przez dwadzieścia pięć lat jeździł jego ojciec. Wracał Camino Rancheros do domu, który jego ojciec kupił w roku 1962, a który oni powiększyli, żeby się mogli wszyscy w nim pomieścić.

Matthew Lovell został bez ojca, ale ugrzązł w jego marzeniach.

Jak to, to ja mam prawie czterdzieści lat i do niczego nie doszedłem?

Ledwo zwolnił mijając znak STOP i skręcił w Cordova Road i znów przypomniał sobie dawne przepowiednie o tym, że czeka ich sukces. Nawet zdobyli z Elizabeth jakąś nagrodę. Jak się ona nazywała? Zapomniał. Wszyscy mówili wtedy, że osiągną wszystko, czego zechcą.

I dużo osiągnęli. Mimo to przepelniała go złość; odkąd umarł Zachary, żył w stałym napięciu. Przypomniał sobie, jak to się zaczęło: obserwował murarza, jak łąta walącą się ścianę domu, i zastanawiał się, jak długo ten dom postoji i czy będzie ich stać na nowy... i ujrzał nagle siebie, jak siedzi na tym samym stołku przez resztę życia, które mu zostało, aż umiera, dokładnie tak jak jego ojciec.

W te myśli wdarł się nagle dźwięk klaksonu i zobaczył, że jakiś samochód jedzie w jego kierunku z lewej strony. W tej chwili uświadomił sobie, że zlekceważył znak stopu. A niech to szlag! W głowie mu zahuczało, a jego ręce automatycznie obróciły kierownicę silnie w prawo. Skręcaj! Na bok! Uciekaj! Nadjeżdżający samochód przemknął obok niemal zawadzając o bok jego wozu. Matt nie zdołał jednak wyprostować kierunku jazdy, najechał na krawężnik, samochód podskoczył. Nacisnął mocno na hamulec, ale miał za dużą szybkość, żeby zahamować. Auto wpadło na chodnik, przewróciło słupek i uderzyło w mur. Matt usłyszał trzask stali trącej o tynk, brzęk tłuczonych szyb i poczuł silny ból, jakby mu się w brzuch wbił taran. A potem całkowita ciemność. I cisza.

3

Kiedy tu byliśmy ostatnio - szepnęła słabym, załamującym się głosem Holly - zmarł dziadek.

Peter niezgrabnie objął ją ramieniem. W poczekalni St. Vincent Hospital, dziwnie pustej o czwartej trzydzieści nad ranem, siedział spięty, sztywny, przygarniając do siebie siostrę i starając się opanować, bo czuł, że stanie się z nim coś złego. Czuł ból i strach, w gardle rosła mu gorzka kula, chcąc się jej pozbyć przetykał z coraz większym trudem. - Nie chcę zwymiotować - błagał w duchu - bo wszyscy pomyślą, że zachowuję się jak dziecko. Tato, nie umieraj, proszę, tato, nie umieraj - błagał.

- O czym myślisz? - wyszeptała Holly. Peter napiął mięśnie aż do bólu.

- O tacie - wycedzi! przez zaciśnięte zęby.

- Dlaczego mama nie przychodzi? - załkała Holly.

Peter chciał odchrząknąć, ale znów mu się zebrało na wymioty. Nic nie powiedział.

- Peter! Czy myślisz, że... no bo jak jej tu nie ma...?

- Jest z tatą! - wyrzucił z siebie Peter i nagle zaczął się cały trząść - Na... - prawie nie mógł złapać oddechu - oddziało... intensywnej... terapii.

Na dźwięk zduszonego głosu brata Holly jakby się cała skurczyła.

- Myślisz, że tata nie żyje.

- Nieprawda! Wypadki się zdarzają wielu ludziom i oni od tego nie... umierają!

- Nie cierpię tego miejsca - powiedziała Holly. Wybuchnęła płaczem. - Nie chcę, żeby tata umarł!

W tym momencie Peter przestał nad sobą panować i jego ciałem zaczął wstrząsać gwałtowny szloch. Obiema rękami objął Holly i poczuł na swoich

plecach jej dłonie. I tak zastygli, opleceni ramionami, sami w pustej poczekalni, płacząc.

Elizabeth zastała ich w tej pozycji, parę chwil potem, gdy z trzema styropianowymi kubkami wkroczyła do pomieszczenia.

- O, mój Boże... Holly... Peter... - Postawiła kubki na stoliku i uklękła przy kanapie obejmując ich ramionami. - Tato będzie zdrowy. Nie płaczcie. Tato wyzdrowieje. Szkoda, że nie przyszłam do was wcześniej. Tak mi szkoda, ale chciałam się upewnić, czy...

- Czy naprawdę będzie zdrowy? - zapytał Peter. Podniósł twarz znad ramienia Holly i zaczerwienionymi od płaczu oczami wpatrywał się w matkę. - Jesteśmy dorośli, więc możesz nam powiedzieć prawdę...

- Tato będzie zdrowy! - Elizabeth podniosła się z klęczek i podała im dwa kubki. Miała twarz bladą i ściągniętą. - Kakao. Wypijcie od razu, bo nie jest gorące. A teraz słuchajcie: mówię wam prawdę. Tato ma uszkodzoną śledzionę, krwotok wewnętrzny i był w stanie szoku, ale w wypadkach samochodowych to się często zdarza i lekarze wiedzą, jak należy postąpić. Wyjaśnię wam później. Najważniejsze, że operacja się udała. Tato będzie w szpitalu przez dwa tygodnie, po czym wróci do domu. A za sześć-osiem tygodni będzie mógł już pracować.

- Tak jak przedtem? - zapytała Holly. Siedzieli z Peterem wyprostowani i obserwowali, czy matka nie ukrywa czegoś przed nimi.

- Tak jak przedtem. - rzekła Elizabeth stanowczym tonem. - Nie miał wstrząsu mózgu. Będzie taki sam jak dawniej.

- Czy możemy go zobaczyć? - zapytał Peter i raptownie ziewnął. -Przepraszam.

- Nie możecie go zobaczyć, bo mocno śpi - powiedziała Elizabeth.

I wy też powinniście już leżeć w łóżkach. Nie macie tu nic do roboty. Możecie się z nim zobaczyć jutro, po południu. A teraz chcę, żebyście wrócili do domu.

Weźmiecie taksówkę. - Otworzyła torebkę i wręczyła Peterowi banknot dziesięciodolarowy.

- Byliście całą noc na nogach i nie będziecie mogli iść do szkoły. Wyśpijcie się i wróćcie tutaj. Zrobimy naradę rodzinną przy łóżku taty.

- A ty? - zapytała Holly.

- Do sali taty wstawią kanapę. Tam się prześpię. Jak się obudzi, nie będzie sam. No chodźcie już, skończcie kakao i zawołamy taksówkę. Holly potrząsnęła głową.

- Ktoś musi się zająć tobą. Ja zostanę.

- Nie ma dla ciebie miejsca w pokoju taty - powiedziała Elizabeth tracąc cierpliwość. - Proszę, Holly, chcę, żebyście pojechali do domu. Wyśpijcie się porządnie i wróćcie po południu.

Tłumiąc kolejne ziewnięcie Peter wziął siostrę za rękę.

- Pojedziemy, jeśli przysięgniesz, że mówisz prawdę.

- Peter, przecież ci powiedziałam...

- Dobra, dobra, tylko chciałem się upewnić. Ale zadzwonisz w razie czego, tak?
- Tak. A teraz proszę...
- Już idziemy. Gdzie są taksówki?
- Pójdę z wami.

Odprowadziwszy ich, wróciła do poczekalni i zwinęła się w kłębek na kanapie już nie udając, że jest spokojna i silna. Trzęsła się ze strachu i wyczerpania. Przez głowę przebiegały jej w kółko te same potępiające myśli. Nie byłaś zadowolona ze swojego małżeństwa. Nie było dla ciebie dość podniecające. I prawie je straciłaś. Prawie straciłaś Matta. Prawie straciłaś...

- Pani Lovell? - Lekarz stanął w drzwiach i Elizabeth zerwała się na równe nogi otwierając na siłę oczy, bo powieki same jej opadały. - Pan Lovell chce się z panią widzieć. Może się pani z nim zobaczyć za chwilę na oddziale intensywnej terapii. Jest bardzo niespokojny - dorzucił lekarz, gdy szli korytarzem. - Mówi o swoim ojcu. Może pani uda się męża uspokoić.

Cera Matta była ziemista, skóra na kościach policzkowych napięta. Głęboko osadzone niebieskie oczy ściemniały.

- Rywalizuję z tatą - szepnął z ponurą ironią, kiedy Elizabeth się nad nim pochyliła.
- Nie chciałem, żeby tylko on sam umierał.

Elizabeth pocałowała go i pogładziła po włosach. Otarła się policzkiem o jego policzki, usta nachyliła mu do ucha.

- Nie ma rywalizacji. On odszedł, Matt, my zostaliśmy. I nie chcemy stracić ciebie. Mruknął.

- Ostrzeżenie.

- Tak, ale wszystko jest w porządku - powiedziała. - Naprawdę, Matt. Lekarz...

- Zupełnie jak tata. Zawały... też stanowiły ostrzeżenie... aż umarł.

- Matt, będziesz zdrow! - Trzymała w obu dłoniach jego rękę. - Spróbuj mi uwierzyć. Ty nie umrzesz! - Odwrócił głowę. - Matt! - krzyknęła.

Wtrąciła się pielęgniarka.

- Proszę pani, mieliśmy nadzieję, że pani męża uspokoi.

- Przykro mi - powiedziała Elizabeth i to samo powtórzyła Mattowi - Przykro mi.

Porozmawiamy o tym, kiedy nabierzesz sił. - Pocałowała go w czoło i w usta. -

Chcemy, żebyś wrócił do domu. Kochamy cię.

Za mało - pomyślał Matt, kiedy się później obudził na szpitalnej sali

1 zobaczył obok siebie Elizabeth na kanapie. Spała. - Będziesz zdrowy

-przypomniał sobie jej słowa, choć środki znieczulające jeszcze mu blokowały świadomość. - Teraz już jest dobrze. Będziesz zdrowy.

Ale to nie było takie proste. Bo nawet kiedy już wyjdzie ze szpitala i wróci do domu, wiedział, że dolega mu coś, do czego żaden chirurg nie ma dostępu. Czuł się jak w potrzasku, przygnieciony czymś bardzo ciężkim.

Mój ojciec nie żyje.

O włos sam nie straciłem życia.

Mam coraz mniej czasu.

- Zostaw to - powiedział, gdy Elizabeth poprawiała mu poduszkę za plecami.

Siedział w fotelu przy drzwiach do ogrodu. Był upalny, czerwcowy poranek.

Upłynęły dwa tygodnie, odkąd wrócił ze szpitala.

- Jest dobrze.

- Przed chwilą twierdziłeś, że ci niewygodnie.

- To nieważne.

- Dla mnie to ważne.

- Elizabeth, proszę, przestań się czepiać. - Zrobiła szybki krok do tyłu. Wyrzucił ręce do góry. - Przepraszam cię. Jestem beznadziejnym pacjentem. Na domiar wszystkiego jeszcze musisz znosić moje humory. Nie idziesz do drukarni? A nie, miałaś dziś pisać do tego kącika dla kobiet.

- Frank może z powodzeniem zająć się drukarnią beze mnie, a artykuł do kącika dla kobiet się nie liczy.

- To należy do twoich obowiązków zawodowych. Zawsze mówiłaś, że twoja praca się liczy.

- Nie chcę zostawić cię samego.

- Ale wiesz, że ja właśnie niczego bardziej nie pragnę, jak tego, żeby mnie zostawić samego.

- Matt - po chwili powiedziała Elizabeth - co mogę zrobić?

- Nic. Elizabeth, przestań się o mnie martwić. Idź do pracy.

- Ty jesteś teraz moją pracą! - stwierdziła tępo. - Albo wymyślę jakiś sposób, żeby cię rozweselić, albo cię stąd gdzieś na jakiś czas wyekspediuję. Odkąd wróciłeś ze szpitala, roztaczasz wokół siebie cmentarną aurę, tyle w tobie goryczy i... złości. O co ci właściwie chodzi? Że miałeś wypadek? Że Zachary umarł? Coś nie tak z pracą?

- Wszystko na raz - odparł z wesołą nutką w głosie. - Przepraszam -dodał. Elizabeth wydało się, że ostatnio bez przerwy się za coś nawzajem przepaszali. - Chodzi o to, że... mam coraz mniej czasu! - wyrzucił z siebie. - Nie rozumiesz? Za dwa miesiące skończę czterdzieści lat...

- Ja też - szepnęła, ale nie usłyszał.

- Czas leci tak cholernie szybko, że tracę rachubę i stoję w miejscu. Nieudacznik. Co, do diabła, osiągnąłem, żeby się było czym chwalić, przez te czterdzieści lat?

- Masz rodzinę - odparła Elizabeth, powtarzając to, co sama sobie mówiła parę dni wcześniej. - Dom, własną firmę...

- Wiem. Ale to za mało!

Elizabeth dotknęła ręką dzbanka z kawą sprawdzając, czy jeszcze nie wystygła, i naląła do filiżanek. Wzięła swoją i usiadła na krześle naprzeciw Matta.

- Mów - zaczęła - Długo to w sobie dusiłeś. Może byś mi o tym wszystkim wreszcie powiedział?

Uśmiechnął się do niej, szybko, z sympatią; Elizabeth poczuła żal, że tyle im przez te lata umknęło. Chciała go objąć ramionami, zrekompensować całą miłość i namiętność, jakiej zabrakło w ich życiu, a którą pamiętała z dawnych czasów. Ale nie ruszyła się, uważnie trzymając w dłoni filiżankę, aby się kawa nie rozlała, i powtórzyła.

- Powiedz mi to wszystko. Wyrzwał przez okno.

- Czy ty wiesz, jak ja się czuję, kiedy tu tkwię unieruchomiony? Słucham, jak Holly śpiewa w swoim pokoju: ćwicz głos, słyszę gamy, przepiękne pieśni... i wyobrażam sobie Petera, jak siedzi w pokoju i zapisuje te legendy, które mu opowiadają chłopcy z pueblo... i myślę sobie: szczęściarze, robią to, co lubią najbardziej. I potem sobie myślę: no, tak, mając trzynaście, czternaście lat, w wieku kiedy nie mają innych obowiązków, czemu, u diaska, nie mieliby robić tego, co lubią najbardziej? Nienormalny jestem, własnym dzieciom zazdroszczę dobrego losu, dlatego że sam jestem skończony.

- Wcale nie jesteś skończony - zaprzeczyła Elizabeth. - Jesteś przygnębiony, że umarł Zachary i że miałeś wypadek, ale wcale nie jesteś skończony.

Uśmiechnął się blado i spojrział na stół zavalony papierami, notatkami, rachunkami, pośród których stał aparat telefoniczny. Elizabeth co wieczór przynosiła mu robotę z redakcji do domu. - Nie mogę się tym zajmować - rzekł niemal mimochodem. - Nie umiem się na tym skoncentrować, wcale mnie to nie interesuje. Bo stale wracam myślami do tej chwili, w której uprzytomniłem sobie, że nie mogę zatrzymać auta - i do spraw, nad którymi się zastanawiałem tuż przed tym. One właśnie mnie obchodzą. Gdybym zginął, byłby to koniec wszystkich planów, które niegdyś snułem. I w kółko o tym myślę, żeby pojąć wreszcie, co jest dla mnie ważne, co jest konieczne, co jest słuszne. Nie stanę się młodszy, czasu się nie da cofnąć, więc kiedy, do jasnej cholery, wreszcie się z tego wyrwę i zacznę robić to, co mnie naprawdę bawi?

Elizabeth spojrzała mu prosto w oczy.

- Czuję się tu niewidzialną - rzekła półgłosem - Czy w tych rozważaniach wzięto pod uwagę moją osobę? - Na jego twarzy odmalowało się gwałtowne zaskoczenie. Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nim zdążył wyrzec słowo, rozległ się dzwonek u drzwi. Matt się wykrzywił.

- Znowu samarytanie znoszą jedzenie, picie i połowę książek z całego Santa Fe. Kiedyż ja je wszystkie przeczytam? Czy im się zdaje, że ja będę niedomagał jeszcze przez dziesięć lat?

- Zaraz wracam - rzuciła Elizabeth uciekając przed jego złym humorem. Przeszła przez sień o łukowym sklepieniu, otworzyła drzwi wejściowe i ujrzała Tony'ego, który z założonymi rękami stał swobodnie oparty o ogrodzenie i czekał.

- Gdybym wpieryw zatelefonował - powiedział spokojnie - znalazłabyś jakąś wymówkę, żeby się ze mną nie spotkać.

- Tony, dlaczego nie zatelefonowałeś? Akurat tyle spraw się wali...

- Ale byliśmy umówieni. Cztery tygodnie temu pozwoliłaś mi przyjść na lunch. Może ty o tym zapomniałaś, ale ja w każdym razie nie. - Minął ciemną sień i wszedł do słonecznego salonu. Zmrużył oczy, aby się przyzwyczaiły do jasnego światła, które padało z zewnątrz przez okna zajmujące prawie całą ścianę i dwuskrzydłowe oszklone drzwi prowadzące na dziedziniec. Ujrzał pokój o białych ścianach, ciemnych belkach podtrzymujących niski, otynkowany sufit, czerwono-niebiesko-czarne indiańskie kilimy o żywych barwach, rozrzucone po posadzce z kremowej terakoty. - Zawsze mnie to zaskakuje - zastanowił się. - To powietrze, to światło... po smogu mojego ukochanego Los An...

Zaniemówił zdawszy sobie nagle sprawę z obecności Matta w szlafroku, który nie ruszał się z fotela.

- Matt! Co się stało? Niedysponowany? Boleści? Kac? - Gładko zmienił ton przeobrażając się z gościa Elizabeth w serdecznego przyjaciela rodziny, i przysunąwszy sobie krzesło siadł obok Matta. - Nie zabijaj mnie wzrokiem. Nie znoszę ceremonii, gdy mam do czynienia ze starymi znajomymi. Czy ktoś cię pobił? Zemszczę się na nim, jak tylko zgromadzę oddział wojskowy, choć sam jestem pacyfistą. - Zaczekał, lecz Matt, z twarzą bez wyrazu, nic nie odpowiedział. - Czy pokłóciłeś się z własnym koniem o kierunek jazdy? Jedna z twoich maszyn drukarskich dostała świra? A może Indianie dokonali kolejnego powstania, choć jak mi się zdaje, przestali się buntować jakieś sto lat temu? Elizabeth, czy nie usiądziesz z nami? Nagła elektryzująca obecność Tony'ego zaskoczyła Elizabeth. Stała nieruchomo i utkwiała w nim wzrok. Była w nim lekkość, nonszalancja, jaką daje sława; wysoki, przystojny, pewny siebie, zdawał się jej, zwłaszcza obok przygnębionego Matta, bardziej pociągający, niż dawniej. Emanowało z niego coś takiego, że zdawało się, jakby był wysłannikiem ciekawszego, lepszego świata, w którym się nieustannie coś wydarza, tętnił życiem, kipiał od pomysłów. A tymczasem ona i Matt tkwią w tym swoim małym ustabilizowanym światku, w spokojnym miasteczku, i czekają na wizytę kogoś takiego jak Tony, który im przyniesie wieści z wielkiego świata, za którym oboje tęsknią.

Matt też tak to musi odbierać - pomyślała widząc jego zmarszczone czoło i podeszła do Tony'ego zamierzając uroczo, ale stanowczo wyprosić go z domu. Lecz gość wygodnie się rozsiadł na krześle i po wysłuchaniu z uwagą wyjaśnień Matta, który zwięźle opowiedział o swoim wypadku, zaczął zabawiać gospodarza dykteryjkami na temat dziwactw producenta swojego programu telewizyjnego o nazwie „Anthony”. Gdy zaś Matt w jednym momencie zaczął się śmiać - po raz pierwszy od tygodni - Elizabeth przyszło do głowy, że to chyba dobrze, iż Tony jest u nich, bo Mattowi potrzeba trochę rozrywki, żeby się oderwać od myśli o własnej osobie i

Zacharym. Może więc obecność Tony'ego rozbije ten mur, jakim się otoczył Matt pochłonięty bez reszty własną osobą. Czasem trzeba kogoś z zewnątrz, aby mąż i żona zaczęli wreszcie na powrót ze sobą rozmawiać.

- Zostaniesz na lunchu? - zapytała, nie zwracając uwagi na gniewne spojrzenie męża.

- Z przyjemnością - odparł Tony z niewymuszonym uśmiechem. - Zbyt długo nie widziałem... was dwojga. Ale nic wymyślnego, bo jak utkniesz w kuchni, to nie będę miał okazji z tobą porozmawiać, a samolot nie będzie na mnie czekał.

- Porozmawiajmy w kuchni - zaproponowała Elizabeth. - Wszyscy. Matt? Proszę, przenieśmy się do kuchni. Tony opowie nam wszystkie plotki z Los Angeles.

- A wy mi się zrewanżujecie opowiadając o skandalach, jakie wstrząsają Santa Fe - rzekł Tony podając Mattowi rękę.

Matt wstał o własnych siłach.

- Niewiele jest w Santa Fe skandali. Tutejsi ludzie są ostrożni, zakorzenieni w przeszłości i zacořani.

- Czyżbym słyszał w twoim głosie nutkę niezadowolenia? - zapytał Tony. - Czemu więc nie wyjeżdżacie stąd? - Dotrzymywał kroku Mattowi powolnie przemieszczającemu się do kuchni, wreszcie usiedli na wiklinowych krzesłach w wykuszu z widokiem na dziedziniec. - Często się zastanawiałem, czemu się stąd nie wyprowadzicie.

- Żył tu mój ojciec - odparł krótko Matt.

- Mój ojciec był w Houston - powiedział Tony. - Zresztą jest tam nadal. A ja nie. - Rozparł się na krześle, wyprostował nogi w idealnie wyprasowanych białych spodniach, wziął od Elizabeth szklanę meksykańskiego piwa. - Ja zostawiłem Houston, zostawiłem ojca i jego firmę. Wszedłem z cienia ojca i wydostałem się z jego długich macek. Sam zdobyłem majątek, który nie ma nic wspólnego z Keeganem Rourke i jemu niczego nie zawdzięczam. Musiałem, rozumiecie, wyrwać się stamtąd, żeby żyć. Po jedenastu nie kończących się latach musiałem wyjechać, żeby nie pozostać na zawsze jego synalkiem. Jak zresztą Elizabeth wiadomo, jestem typem taty-synka.

Po chwili Matt odezwał się opanowanym głosem.

- Mówiłeś o swoim producencie. I o wywiadzie, jaki przeprowadziłeś z Sophią Loren. - Ach, tak. Fantastyczna kobieta, niezwykle piękna, pełna życia, ciepła, szczerza... - przerwał, gdyż Elizabeth podała do stołu półmisek z *sopapilla relenos*, z nadzieniem z mięsa, fasoli i chili, posypane tartym serem. - Elizabeth, zawstydzasz mnie. Zrobiłaś bardzo wymyślne danie. Zbyt dużo pracujesz. Trzeba cię było zaprosić do restauracji.

Matt zacisnął usta, Elizabeth zaś szybko odparła.

- Nie chciałam iść do restauracji. Chciałam zjeść tutaj. I umieram z ciekawości, jak to było z twoim producentem i Sophią Loren.

- Za sekundkę. - Tony poczęstował się *rellenos*. - Doskonale. Ależ ty rewelacyjnie gotujesz, Elizabeth. - Jedząc opowiadał im anegdoty o swoim producencie, niektórych gościach, jakich zapraszał do swojego programu, wywołując stłumiony chichot Matta i salwy śmiechu Elizabeth. - Czy mógłbym sobie nałożyć więcej? - zapytał po chwili. - Ze dwa? Nie chcę być żarłokiem...
- Nikt by cię o to nie posądzał - odparł łaskawie Matt. Tony uśmiechnął się.
- Chlubię się tym, że nigdy nie sięgam po to, co faktycznie nie należy do mnie.
- Ciekawa zasada - ironicznie skomentował Matt. - Ludzie, którzy mówią, że się tym chlubią, najczęściej chlubią się tym, że to lekceważą.

Tony obrzucił go ostrym wzrokiem.

- A ludzie, którzy zostali ranni w wypadku drogowym, miewają napady złego humoru. Cieszę się, że ciebie to nie spotkało.

- Och, dlaczego po prostu nie jecie? - zapytała Elizabeth, która poczuła się niezręcznie. Podsunęła półmisek Tony'emu. - Częstuj się. Ile chcesz.

. - Dzięki - powiedział łagodnym tonem. - No więc, miałem wam opowiedzieć o Sophii. Mój producent chciał, żebym ją wysondował, jakie ma fantazje seksualne i żeby je nam opisała. No wiecie, producenci to podglądacze, zбочeńcy wszyscy bez wyjątku. Ale coś wam powiem, tylko się ze mnie nie śmiejcie. - Zachichotał, jakby był małym chłopcem, który się boi zdradzić sekret, ale mimo to nie umie pohamować języka.

Wbrew sobie samemu Matta ciągnęło do niego, imponował mu. Nic dziwnego, że odnosił takie sukcesy. Jak on to wszystko potrafił wyrazić jednym małym uśmiechem - i na dokładkę o mały włos nie wyszydził go, Matta Lovella, którego denerwowało jego towarzystwo i któremu po głowie tłukły się jego słowa: zostawiłem ojca, zostawiłem jego firmę, musiałem się stamtąd wyrwać, żeby żyć!
- Nie, wy się nie będziecie ze mnie śmiać - Tony mówił prawie sam do siebie. - Powiem wam: byłem tak zafascynowany Sophią - jej urodą i zręcznością, z jaką mi pomagała, bym nie rozłożył programu - iż ledwie śmiałem jej zadać parę pytań, że już nie wspomnę o fantazjach seksualnych. Prawdę mówiąc sam miałem fantazje. - Zaśmiał się lekko, wciągając Matta i Elizabeth do wspólnej zabawy własnym kosztem. - To żadna tajemnica, że interesuję się kobietami; tym, jakie mają fantazje, za czym tęsknią, o czym marzą i jak to realizują. - Matt bezwiednie rzucił okiem w stronę Elizabeth; miał świadomość, że Tony to zauważył, ale Tony nie przerywał - ...i moja publiczność też się chce o tym dowiedzieć. Ludzie daliby się ze skóry obedrzeć, żeby się dowiedzieć wszystkiego; jakie słabostki mają sławni ludzie, kiedy udają lub co skrywają, czy mają jakieś odchylenia; różne smakowite szczegóły, dzięki którym mogą się wydać widzom bardziej ludzcy i bezbronni, choć wolą sprawiać wrażenie takich, którzy ponad...

Ma czterdzieści sześć lat - pomyślał Matt - i robi teraz dokładnie to,

o czym kiedyś marzył, gdy się widywał z Elizabeth. Jest w Los Angeles i ma wszystko, czego dusza zapagnie: pieniądze, sławę, sukcesy - i to od dziesięciu lat. - Ujawniam to wszystko w moim programie - ciągnął Tony. - Odsłaniam całą osobowość. Czasem sławom przydaje blasku, gdy ludzie poznają ich tajemnice. Bo ludziom się zdaje wtedy, że ukrywają znacznie więcej. Inne sławy tracą na tym, bo wtedy wychodzi na jaw to, co w nich paskudne. Tak czy owak publiczność przyjmuje to w całości. Dlaczego wciąż tu mieszkacie? - spytał nagle.

- Nie jesteśmy znani - krótko skwitował Matt. Zjedli potem babeczki z karmelem, wypili kawę aromatyzowaną cynamonem, Tony mówił o wywiadach, jakie przeprowadzał w Rosji, Afganistanie, Hongkongu, Indiach, Brazylii i Holandii - i nawet w Amalfi, gdzie kupił sobie willę.

- Naprawdę chciałbym, żebyście mnie w niej odwiedzili. Musicie tam do mnie przyjechać. Oboje, rzecz jasna.

Wielkoświatowe życie - pomyślała Elizabeth, ale już chciała, żeby Tony sobie poszedł. Gdy skończyli kawę i deser, wreszcie ich pożegnał recytując rozkład lotów, informując o czekającym go w Nowym Jorku spotkaniu, wywiadach, napiętym planie przyszłego tygodnia. Podziękował im za lunch i miłe towarzystwo, po czym Elizabeth odprowadziła go do drzwi i nawet nie powiedział, jak to miał w zwyczaju, że zadzwoni, że wpadnie się z nią zobaczyć, jak tylko będzie mógł. Podniósł tylko jej dłoń do ust, ucałował i już było po nim. Zostawił Elizabeth zdumioną jego umiejętnością idealnego kontrolowania czasu między jednym a drugim lotem i przebiegu prawie całej rozmowy, jaka miała miejsce w ich domu.

- Holly i Peter zaraz wrócą do domu - powiedziała do Matta, gdy wróciła do kuchni.

- Chcę z tobą porozmawiać, zanim tu dotrą.

Stał przy barze i parzył następny dzbanek kawy.

- Jak często on tu wpada?

Zbierając talerze ze stołu Elizabeth zerknęła na niego.

- Mówiłam ci o każdej jego wizycie. Z pięć razy w tym roku. Kiwnął głową.

- Istotnie. Mówiłaś. Dzwoni częściej.

- Też ci mówiłam.

- I myślał, że mnie dziś nie będzie w domu.

- Ja z nim nie sypiam, Matt.

- Ty to powiedziałaś, nie ja.

- Ale to miałaś na myśli - odpowiedziała ze złością.

- Bo tego chce. Na to liczy. Czy on myśli, że jestem ślepy? A ty?

- Tak, jeśli ci się zdaje, że poszłabym z nim do łóżka. Dlaczego mnie posądzasz...? - Ugryzła się w język.

- Dawne dzieje. To ci nie wystarcza?

- Matt! To było ponad dwadzieścia lat temu! I skończyło się długo przed tym, nim poznałam ciebie, i mówiłam ci o tym, zanim się pobraliśmy. Umówiliśmy się, że nie będziemy do tego wracać.

- Nie wiedzieliśmy, że za szesnaście lat będzie myszkował po naszej kuchni, dogadzał sobie i puszył się, jaki to on sławny i bogaty.

- Ty jesteś zazdrosny! - gwałtownie wykrzyknęła.

- Ty to nazywasz zazdrością! Dlatego że nie padam z zachwytu u nóg byłego kochanka mojej żony! To ty mu pozwalasz do siebie dzwonić, pozwalasz mu przychodzić niejednokrotnie na lunch, kiedy ma „przesiadkę” -jak to się pięknie nazywa. Kto, do licha, w to uwierzy? Przesiadka. Już mam pomysł na reklamę nowych linii lotniczych: trasa Los Angeles - Nowy Jork z przesiadką na pieprzenie w...

- Matt, przestań! - Elizabeth przysiadła na brzegu stołu. - Szukasz powodu do sprzeczki. Nie jesteś zazdrosny dlatego, że pewnego szalonego lata, kiedy miałam siedemnaście lat, przespałam się z Tonym, ale dlatego, że on się w życiu wybił i wiele rzeczy, których chcesz, a nie masz, on ma, lub się mu zdaje, że ma. - Podeszła do niego, stał oparty o barek. - Proszę, nie kłóćmy się. Gdy byłeś w szpitalu, myślałam sobie, że niewiele brakowało, a bym cię straciła, i to było nie do zniesienia, to było straszne. Nie wolno nam ze sobą walczyć, zwłaszcza o Tony'ego, zwłaszcza o niego. On jest dla mnie niczym.

- Czyżby? Czy ktoś nie powiedział, że stara miłość nie rdzewieje?

- To szczyt idiotyzmu. - A kto był twoją pierwszą? - zapytała znienacka.

- Ty - odparł i uśmiechnął się, co Elizabeth przyjęła jako chęć kontynuowania kłótni. Odrzuciła głowę do tyłu.

- Czemu nie możemy być jak dorośli i śmiać się razem? Mówiłam ci, że długi czas nie mogłam dojść do siebie po tym, jak mnie Tony rzucił, ale wreszcie się z tego wylizałam i parę lat potem spotkałam ciebie i ty byłeś o tyle od niego wspanialszy, uczciwszy, prawdziwszy, że zwariowałam na twoim punkcie. Gdy mnie objąłeś, poczułam, że należę do ciebie... Do licha, Matt, od tamtej chwili nie było nikogo innego. Ty wiesz przecież o tym.

- Wiem, że twój przyjaciel czyha u naszych drzwi. Przez te wszystkie lata, kiedy tu wpada z okazji przesiadki i chwali się.

- Matt, dajże spokój! - Zaczęła na powrót zbierać talerze ze stołu hałasując przy tym bez umiaru. - Dlaczego cały czas do niego pijesz? On nie jest człowiekiem poważnym!

- On jest bardzo poważny. Na swój własny sposób jest śmiertelnie poważny. Postanowił, że cię kocha. Z daleka, ma się rozumieć. Tak jest bezpieczniej, póki jesteś mężatką, i jest to bardziej teatralne: nieosiągalna miłość, przynajmniej chwilowo, jak gwiazdka, która błyszczy na niebie, odległa, niedostępna... co ci jest? Elizabeth otworzyła szeroko oczy.

- Chyba nic nie rozumiałaś...

- Mój Boże, nie masz do mnie zaufania. Gdybyś zapytała, co o mm myślę, tobym ci powiedział.

- Mogłeś to powiedzieć, nie czekając, aż zapytam. Zawsze gdy ci I mówiłam, że tu był, ty tego nie komentowałeś. Nigdy nie rozmawialiśmy na jego temat. . ^T .

- Ani na żaden inny temat. Lepiej mech siądę. Nogi mam z waty.

- Pomogę ci.

- Nie dziękuję. - Przeszedł do salonu, za nim Elizabeth zagryzając usta. To prawda, że nie chciała rozmawiać z Mattem na temat Tony'ego, prowadzonych z nim długich rozmów przez telefon i przeciągających się lunchów, podczas których udawał, że była jego jedyną miłością od ponad dwudziestu lat, że powinien być się z nią ożenić, nie z inną, że zawsze do niej tęsknił. Gdyby Matt wiedział o tym, zapytałby wtedy, po co tego słucha, a ona jakże by mu mogła powiedzieć, że słucha, bo choć wie, że Tony gra, czuje się przy nim młodo?

A przy mnie się nie czujesz młodo - zapytałby wtedy Matt. Nigdy o tym nie rozmawiamy.

- Nie nigdy nie rozmawialiśmy na jego temat - Matt powiedział, jakby nie było żadnej przerwy. Znow usiadł na krześle i patrzył przez okno. Miał zaciętv wyraz twarzy. - Zresztą, czy nie jest to choć odrobinę ciekawe -i warte zastanowienia?

Były kochanek przychodzi w odwiedziny do czyjejś żony. Przy okazji przesiadki. .

- Matt. - Usiadła obok niego na stołeczku, opierając brodę na splecionych dłoniach. - Są ważniejsze tematy do omówienia.

- Na przykład?

- Twój fatalny humor. Twoje przygnębienie. Co będziesz robił, kiedy wyzdrowiejesz. Co ja będę robić. Co zrobi nasza rodzina.

Matt spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- A czemu coś by się miało zmienić?

- Bo już się zmieniło. Wiesz o tym. Od lat się zmieniało, ale nie zastanawiałam się nad tym, dopóki nie umarł Zachary. Teraz cały czas się nad tym zastanawiam.

- To znaczy nad czym?

- Nad tym, co się z nami stało. Co zgubiliśmy. Nie tylko nie mówimy o Tonym. Nie poruszamy innych tematów prócz domu i dzieci, drukarni, czasem mojej pracy w *Exammerze*... mówimy o rzeczach powierzchownych, banalnych

Matt kiwnął głową. Znow patrzył przez okno na ogród, który wydawał mu się ładny jak nigdy. Wokół patio rosły kwiaty, w rogu dojrzewały warzywa nawadniane metodą, którą wymyślił Peter, gdy miał dziesięć lat Piękny dziedziniec przy pięknym, pełnym życia domu. Możę wyglądał nadzwyczaj pięknie dlatego, że był pełen życia. Gdyby rzuciło mm o parę centymetrów dalej, już nigdy by tego me oglądał.

Jak krótko trwa życie człowieka.

Kiedyś mogłem pytać o to, jak długo. Teraz już nie.

Zerknął na Elizabeth. Niespodziewanie uświadomił sobie, myśląc o Tonym, że była bardzo piękna. Inni mężczyźni i kobiety często mu o tym mówili, i zawsze im przytakiwał, ale kiedy ostatni raz spojrział na nią oczami kogoś z zewnątrz? Kiedy ostatni raz pomyślał, że jego żona jest atrakcyjną kobietą, a nie, że Holly dojrzeła i że ma urodę po matce? Kiedy ostatni raz myślał o Elizabeth?

Za dwa miesiące oboje skończą czterdzieści lat. Czy ona czuje, jak czas jej ucieka przez palce, gdy tymczasem tak wiele nie zostało zrobione? Czy ona uważa się za nieudacznika? Czy zadaje sobie to samo pytanie, jak krótkie jest życie kobiety?

- Matt - Elizabeth obserwowała jego twarz. Dalej miała brodę opartą na dłoniach. - Ile straciliśmy? Tak się kiedyś kochaliśmy, potrafiliśmy się wzajemnie inspirować, rozmawialiśmy ze sobą na każdy temat. I nigdy by ci do głowy nie przyszło, że sypiam z kimś innym.

Zadumał się.

- Inne sprawy nas zajmowały, zabierały nam czas, energię...

- Chciałabym, żeby mnie coś rozluźniło - mruknęła pod nosem.

- Co?

- Och, coś głupiego przyszło mi do głowy kilka tygodni temu, kiedy zastanawiałam się nad nami; że... skapcianieliśmy. Stoimy w miejscu. A po śmierci Zacharego cały czas chodziłeś wściekły, niezadowolony z tego co mamy...

- A ty jesteś zadowolona?! - zawołał i wreszcie wybuchnął: - Boże, Elizabeth, co się z nami dzieje? Czy to cię nie złości i nie denerwuje? Pytasz, co straciliśmy. To ci powiem: straciliśmy wiarę, że możemy być kim chcemy! Czy to cię nie przeraża? Bo mnie to przyprawia o piekielny lęk. Dawno, dawno temu zdobywałaś nagrody, wszyscy przepowiadali ci fantastyczną przyszłość...

- Ty zdobywałaś te same nagrody...

- Do diaska, w tym sedno sprawy! Czy kiedyś przyszłoby to nam do głowy, że - jak ty to określiłaś, że skapcanejemy, że staniemy w miejscu. Jeśliby ktoś nam to wtedy wyróżył, powiedzielibyśmy mu, że upadł na głowę. Wiedzieliśmy, czego chcemy od życia, pamiętasz? Ty nie mogłaś się doczekać, żeby mieć swoją rubrykę; ja miałem zostać wydawcą; planowaliśmy, że kupimy tytuł prasowy. Może dwa. Czy pamiętasz? Co, do diabła, się z nami stało, Elizabeth? Mamy czterdzieści lat na karku i dokąd zaszliśmy? Jak do tego doszło, że się tak bardzo zmieniliśmy? Czy to cię nie przeraża? Czy tylko mnie złość niszczy od wewnątrz?

Elizabeth wyprostowała plecy i obserwowała go. Jej oczy płonęły.

- Ja nie odczuwam wściekłości. Wydaje mi się, że mamy sporo szczęścia w życiu. Ale to prawda, że nie zawsze mi sprawia przyjemność pisanie na czyjeś zlecenie. I miło z twojej strony, że nie zapomniałeś, że jak się tu

sprowadziliśmy, miałam własne marzenia, że nie jesteś jedynym, który z wielu rzeczy zrezygnował...

- Nigdy o tym nie zapomniałem.

- Może się więc przesłyszałam. Tuż przed przyjściem Tony'ego powiedziałaś, jeśli się nie mylę, że nie stajesz się coraz młodszy. I wydawało mi się, że usłyszałam: „Kiedy, do jasnej cholery, wreszcie się z tego wyrwę i zacznę robić to co mnie naprawdę bawi?”

Matt powoli kiwał głową.

- A ty powiedziałaś, że czujesz się niewidzialna. Masz rację: litowałem się sam nad sobą.

- Zatracałeś się w litości nad sobą. Nadal to robisz. Elizabeth zaczęła spacerować po pokoju. - Nic innego nie robisz od śmierci Zacharego, tylko się litujesz sam nad sobą. - Odwróciła się do niego. - Do licha z tym wszystkim, jeśli taki jesteś sfrustrowany i taki nieszczęśliwy, to czemu nie weźmiesz się do roboty, zamiast się załamywać i unieszczęśliwiać wszystkich wokół? Jeśli drukarnia jest kamieniem młyńskim u twej szyi, to pal licho drukarnię! Kto cię zmusza do tego, żeby ją mieć? Jeśli chcesz mieć tytuł prasowy, kup go! Co cię powstrzymuje?

- Nie jestem nieodpowiedzialnym dzieckiem, to mnie właśnie powstrzymuje! Na Boga, mam przecież rodzinę, dom, ojca, który... nie, cofam to, nie mam ojca. Ale mam na utrzymaniu dzieci i nie będę rzucał się na oślep raz w tę, raz w inną działalność, żeby realizować osobiste marzenia, gdy wystawiałoby to na szwank rodzinę. - A czy zapytałeś się rodziny, co o tym myśli? Czy próbowałeś się dowiedzieć, kogo woła: zrządę z nosem na kwintę czy kogoś, kto stawia na swoim?

- Marzenia nie dają chleba.

- Czy zapytałeś?

- Nie. - Matt poruszył się na krześle. - A co by było, gdybym zapytał? Co byś odpowiedziała, gdybym ci zakomunikował, że sprzedaję drukarnię?

- Zapytałabym za ile.

Przez twarz przebiegł mu wyraz zdziwienia.

- A gdybym oznajmił, że kupuję pismo?

- Zapytałabym, czy kupujesz *Chieftaina*. Uniósł brwi.

- Dlaczego?

- Bo jest w kryzysie i wystawili je na sprzedaż pół roku temu, a jeśli byś kupował pismo, to szukałbyś właśnie takiego.

Lekko się uśmiechając, powiedział:

- A gdybym szukał, dowiedziałbym się, że chcą go sprzedać za dwa miliony.

- A więc dowiadywałeś się. No to wiesz, dlaczego są zdesperowani i mogą sprzedać nawet za połowę tej ceny.

Uśmiechnął się szerzej.

- Tylko pół? Czyli za jeden marny milion?

Elizabeth przestała chodzić.

- Tylko jeden - powtórzyła lekkim tonem. - Może trzeba będzie parę rzeczy sprzedać, żeby zebrać tę kwotę...

- Drobiazgi. Dom...

- I samochody...

- Tylko jeden. Drugi będzie nam potrzebny do pracy.

I nagle śmieli się razem, po raz pierwszy od miesiący. Elizabeth z powrotem usiadła na stołeczku. Matt dotknął jej włosów.

- Potrzebujemy też dachu nad głową.

- Coś wynajmiemy - odparła.

- W sezonie turystycznym? Niewiele jest wolnych miejsc. Ceny wysokie.

- No to zamieszkamy w górach na kempingu do pierwszego maja. Kiedy wszystko będziemy sprzedawać, zostawimy sobie sprzęt turystyczny.

- Na łono natury, pionierzy Lovellowie! Jasne, że jeśli się nam nie uda, zostaniemy z niczym, ale chyba zawsze moglibyśmy...

- Jak może się nam nie udać? - uśmiechnęła się wesoło. - Dopiero co mówiłeś o tym, jak wszyscy nam przepowiadali sukcesy. A nie jesteśmy młodzikami, którzy dopiero co startują. Może więc nie jest źle mieć czterdziestkę na karku. Znaczy to, że jesteśmy dojrzały, doświadczeni i rozsądni.

Matt zaśmiał się krótko.

- Dojrzały i rozsądni. - Elizabeth wiedziała, co miał na myśli: Dlatego więc będzie to tylko zabawa.

Ale jeśli to nie będzie tylko zabawą? Jeśli planują naprawdę zacząć wszystko od nowa, naprawdę ułożyć życie inaczej, zakochać się w sobie od nowa, uwierzyć, że możliwości są nieograniczone, jak w to wierzyli dawno, dawno temu?

Zamknęła oczy. Pomysł był niezwykły. Ale, pomyślała, dwoje dzieci tuż przed pójściem do college'u, nasz dom, nasze bezpieczeństwo, może się zdarzyć wypadek, choroba; nie stajemy się coraz młodszy, tyle rzeczy może stanąć na przeszkodzie...

Chwileczkę! Nie jesteśmy starzy! A będziemy starzy, jeśli Matt nie wydobędzie się z depresji, nie pozbędzie się złości, nie przestanie się czuć jak nieudacznik...

A co ze mną? Elizabeth przypomniała sobie niepokój i niecierpliwość, jaka ją ostatnio męczyła, myśli, które od siebie odpychała, o tym co złe. Czy dlatego, że jest kobietą, to je od siebie odsuwa, natomiast Matt się denerwuje z tego powodu? Czy zadowalała się tym, co ma łatwiej niż on? Co się stało z jej aspiracjami?

Tutejsi ludzie są ostrożni, powiedział Matt Tony'emu, zafocani w poglądach.

Czy Matt myśli, że jestem nazbyt ostrożna i że trzymam go odciętego od świata?

- Jeśli naprawdę jesteśmy dojrzały - powiedziała - wiedzielibyśmy, kiedy jest czas się zmienić. Czy rozsądni ludzie tkwią w bezruchu, gdy mają wybór?

- Taki wybór, że rzucamy wszystko na jedną szalę. I Ogarnęła ją panika, ale się opanowała. Dopiero co się razem śmiali, po raz pierwszy od miesiący. I w oczach Matta ujrzała blask, - To, że sobie zdajemy z tego sprawę, świadczy o naszej dojrzałości i rozsądku. Bo kiedy się człowiek chce wybić i realizować to, czego od zawsze I pragnął, to powinien mieć oczy szeroko otwarte. Nie myślisz? - Znowu chwycił ją strach i dodała: - Chyba że to za duże ryzyko. Nie musimy teraz i podejmować decyzji; pobawimy się w to trochę...

Ale Matt przechylił głowę w taki sposób, jak zawsze gdy rozważał, jaką podjąć decyzję. Wziął Elizabeth za rękę.

- Dziękuję, kochana. - Głos miał stłumiony. - Jesteś nadzwyczajną kobietą. Wiesz, że to nie zabawa. Wiesz o tym od samego początku. My kształtujemy teraz nasze życie.

Przez pewien okres utrzymywali to w tajemnicy. Cieszyli się na samą myśl o tym, a gdy zostawali sami i przychodziła noc, nie mogli się nagadać. Przez dwa tygodnie żyli wyłącznie tą sprawą. Czytali dawne numery *Chieftaina* i *Examinera*, porównywali oba pisma; zapisywali sobie wysokość nakładu, liczbę ogłoszeń; dokonywali kalkulacji; jeden milion na kupno tytułu, ćwierć miliona rocznie na opłacenie piętnastu pracowników, koszt dostaw, konserwacji maszyn i budynków, zakup nowych maszyn, kiedy zajdzie potrzeba, komputerów do składu, jak tylko będzie ich na nie stać, przychody z prenumerat i reklam.

- Pieniądze - Matt mruczał pod nosem - czuję się jak bankowiec, a nie wydawca. Spojrzeli po sobie.

- Czy to jawa? - zapytał. - Czy jeszcze leżę w szpitalu pod wpływem środków znieczulających i coś mi się roi?

- Jesteś w domu - stwierdziła Elizabeth. - Trzeźwy, pod wpływem kawy, całkiem zdrowy i w najbliższym czasie zostaniesz wydawcą.

Pochylił się i pocałował ją. Byli tak podnieceni nowymi planami, że ten pocałunek był czymś równie nowym.

- Zaczynamy od początku - powiedział Matt. - Ich życie zaczynało się od nowa.

Każdego wieczoru ręcznie pisane słupki cyfr się wydłużały, suma wydatków rosła, dochód wydawał się mniej pewny. Ale z każdym dniem trudności były jakby coraz mniejsze. Dlatego że Matt czuł się lepiej - myślała Elizabeth - i wszystko robili razem: pracowali w drukarni, układali plany, jadąc przez Santa Fe wyobrażali sobie, że mieszkańcy to ich prenumeratorzy, że firmy to ich reklamodawcy, obie zaś strony współpracują ze sobą na zasadzie partnerstwa.

- Co się z wami dzieje? - zapytał Peter. - Macie miny, jakbyście wygrali los na loterii. No bo najpierw mówicie, żeby nie denerwować taty, bo ma depresję, a tu nagle wszyscy szczerzą zęby... Czy odziedziczyliśmy milion dolarów?

- Pracujemy nad pewnym pomysłem, który nas bardzo ekscytuje -odparła Elizabeth.

- Niebawem wam o tym powiemy.

- A dlaczego nie teraz?

- Bo jeszcze nie wszystko dopracowaliśmy.

Rozmawiali, snuli plany, dzielili się myślami, nawzajem potęgowali w sobie uczucie podniecenia. Czekali na wieczór jak niegdyś w okresie narzeczeństwa, kiedy liczyli godziny do spotkania. Teraz czekali na spokojną chwilę, kiedy będą mogli usiąść przy kuchennym stole z notatnikami, ulotkami informacyjnymi, z zaostrzonymi ołówkami i rozmawiać o swoim sekrecie, i coraz bardziej go urealniać. Czekali na chwilę, gdy pójda do łóżka, zaczną się całować i przytulać z uczuciem, jakie towarzyszyło początkom ich znajomości. Zmieniali swoje życie. Zaczynali od nowa.

Wszystko było ryzykowne; stwierdzali to i gdy strach powracał, podtrzymywali się wzajemnie.

- Nie możemy sprzedać domu - powiedział Matt - musimy gdzieś mieszkać...

- Co będzie taniej? - zapytała Elizabeth przyglądając się jeszcze czystej kartce papieru - Wynajęcie czegoś czy założenie hipoteki na dom? Zapisywali kwoty, procenty, odpisy od podatku.

- Zatrzymanie domu - zawyrokował wreszcie Matt. - To jest bardziej sensowne.

Nienawidzę myśli, żeby brać kredyt pod zastaw domu, kiedy tato wszystko spłacił, ale...

- To chyba lepsze niż kemping w górach - dokończyła Elizabeth i pocałowała go. -

Nie cierpię rezygnować. - Spojrzała znów na wyliczenia, jakie poczyniła. -

Ogromne obciążenia, prawda? Miesiąc po miesiącu... I jeszcze spłata kredytu osobistego...

Objął ją ramieniem.

- Jeśli kupimy ten tytuł, zarobimy tyle pieniędzy, że w ogóle tego nie odczujesz.

Kiwnęła głową.

- Oczywiście.

Żadne z nich nie wierzyło w to do końca, ale żadne się do tego nie przyznało. Aż pewnej nocy, gdy leżeli w łóżku rozmawiając, nim sen ich zmorzy, nagle rzekli chórem:

- Kiedy kupimy tytuł... - i uświadomili sobie, że przeskoczyli ostatnią przeszkodę.

Już nie stawiali warunku „jeśli”. Następnego dnia mieli podpisywać dokumenty, czego skutki byłyby nieodwracalne. Leżeli w ciemności mocno się do siebie przytulając.

- Wierzę w ciebie - powiedziała Elizabeth po bohatersku. I tak zasnęli.

Rodzice Elizabeth osiem lat temu przeszli na emeryturę i przenieśli się z Los Angeles do Santa Fe. W jednej z wąskich kamienic z niewypalanej cegły przy Canyon Road urządzili księgarnię i galerię sztuki „u Evansów”,

dla siebie zaś kupili dom w pobliskim górskim miasteczku Tesuque. Mieli własne grono przyjaciół, ale najważniejszymi osobami w ich życiu byli Matt, Elizabeth i dziećmi. Zatem pewnego ciepłego, sierpniowego wieczoru Elizabeth zaprosiła ich na kolację, żeby coś z nimi omówić. I kiedy wszyscy zasiedli przy stole w patio - Holly i Peter niespokojni, przeczuwając, że dzieje się coś poważnego w ich życiu, Lydia i Spencer zaintrygowani - Matt obwieścił plany.

Wszyscy nagle zamilkli. Ciszę przerwał Peter:

- Obiecałeś dziadkowi Zacharemu, że nie sprzedasz drukarni.

- On nie żyje - odparł łagodnie Matt. - Mieliliśmy ją tak długo, jak żył.

- Czy wszystko musimy sprzedać? - zapytała Holly. - To znaczy dom i samochody? Elizabeth potrząsnęła głową. - Możemy sobie poradzić...

- Chwileczkę! - Spencer wszedł jej w słowo. Siwe włosy rozwiały się. - Tosię dzieje zbyt nagle! Nie można stawiać rodziny przed faktami dokonanymi!

- Nie można? - zapytał Matt.

- Nie można, do licha! Masz zobowiązania, nie możesz rzucać pracy dla kaprysu jak jakiś nastolatek...

- Poczekaj moment - przerwał mu Matt, ale Spencer mówił dalej.

- Jaka jest cena wywoławcza za to pismo, które myślisz, że kupisz?

- Cena pisma, które zamierzamy kupić, wynosi niewiele ponad milion - odparł rzeczowym tonem Matt.

- Właścicielom się bardzo spieszy - zaczęła Elizabeth.

- Milion dolarów?! - krzyknął Peter.

- Milion dolarów - szepnęła Holly. Spencer potrząsnął głową.

- To pomysł szaleńca! Czy wam się zdaje, że macie bogatych rodziców? Wiecie, że nie mamy niczego w nadmiarze. Już wam to mówiliśmy. Myśleliśmy, że się wam przysłużymy, jeśli będziemy oszczędzać i od ust sobie odejmować, po to, żebyśmy byli teraz niezależni i nie byli dla was ciężarem. Zrobiliśmy to dla was!

- Zrobiliście to, bo się baliście - zimno odparł Matt. - Zbyt się baliście, żeby zrobić to, na co my się decydujemy.

- Jesteś niemądry, byliśmy rozsądni, nie baliśmy się! Nie możemy wam dać wsparcia. Czy pomyślałeś o tym?

- Oczywiście, że o tym pomyślałem - odparł Matt, a Elizabeth cicho dodała:

- Wiemy, że gdybyście mieli możliwości, pomoglibyście nam. My chcemy Uczyć tylko na siebie.

- W jaki sposób? - z ciekawością spytała Lydia. - Jesteście tacy młodzi; my w waszym wieku nigdy byśmy czegoś takiego nie mogli zrobić.

- Kredyt hipoteczny pod dom, pożyczka z banku. Ledwo starczy, ale...

- Będziemy zadłużeni po uszy - powiedział Peter.

- Ale będziemy właścicielami tytułu prasowego - stwierdził Matt. Holly spojrzała najpierw na ojca, potem na matkę.
- Widać, że jesteście podnieceni. Matt uniósł brwi.
- Widać?
- Tak mówiliście do mnie, kiedy dostałam te dwie partie solowe na koncercie.
- Wygląda to na palenie za sobą mostów - skomentował Peter. Holly skarciła go.
- Nie kracz! - zawołała. - Mówisz jak dziadek, choć nie masz jego lat. Czy może martwisz się o siebie? Czy starczy na twój college i inne rzeczy? - Głos jej się załamał.
- A widzisz! - triumfalnie zawołał Peter. - Ty też się o to martwisz!
- Przewidzieliśmy to - uspokoiła ich Elizabeth - i założyliśmy dla każdego z was fundusz powierniczy. Starczy na college, obiecuję.
- Chwileczkę - Spencer znów się wtrącił. - Zbaczamy z tematu. Co wy, u licha, wiecie o tym, jak się wydaje pismo?
- Niezbyt wiele - odparł Matt. - Ale od szesnastu lat zarządzam drukarnią, znam się więc na prowadzeniu firmy, poza tym oboje studiowaliśmy dziennikarstwo, wspólnie redagowaliśmy pismo studenckie w college'u, a Elizabeth od lat pisze do *Examinera*.
- I już? - zapytał Spencer czerwony na twarzy.
- Niezupełnie. Zbadaliśmy kondycję pisma i konkurencji. Nie działamy na oślep. Wiemy, jakie się z tym wiążą problemy, i mamy pomysły, jak je rozwiązać. *Chieftain* ma dobrego redaktora naczelnego. Na początku, dopóki się nie zorientujemy, co robić dalej, on poprowadzi sprawę. Spencer walnął obiema dłońmi o stół.
- Uzależnić dobrobyt własnych dzieci od kogoś, kogo nawet nie znacie. Nawet nie macie pewności, czy jest wart waszego zaufania, czy możecie liczyć na jego pomoc.
- Nie mów do mnie jak do dziecka - zagrmiał głos Matta. Elizabeth położyła dłoń na jego ramieniu, wtedy ściszył głos. - Czy ja wam w ogóle mówiłem, że mój ojciec chciał być artystą plastykiem?
- Zachary? - zapytał zdziwiony Spencer. - Nie.
- Bo się z tym nie zdradzał. Za młodu studiował sztukę i uprawiał wszelkie techniki plastyczne: malarstwo, rzeźbę, drzeworyt, sitodruk, a nawet linoryt. I był w tym dobry. Tyle, że nie był wybitny. I dlatego rzucił to. Nie chciał być drugorzędnym artystą. Zamiast tego został współdziałowcem drukarni, którą później wykupił całkowicie na własność. Wykonywał litografie na zlecenie artystów tutejszych i z Taos. Mówił o sobie, że jest niewidzialnym pomocnikiem. Ale tego nienawidził. Powiedział mi, że nienawidził tego w każdej chwili swojego życia. A im bardziej nienawidził, tym bardziej się w to angażował, i to nie tylko na rzecz artystów, ale dla samego siebie. Projektował broszury, plakaty i mapy turystyczne. Tylko w ten sposób wyrażał się jako

artysta. Aż pewnego dnia przestał nienawidzić tego, co robi, i poczuł się dumny. Dlatego tak się bał, aby tego nie stracić. Choć wydaje mi się, że marzył o tym, by któregoś dnia, gdy przejdzie na emeryturę i wróci do Nuevo, znów się do tego przymierzyć, żeby zobaczyć, czy mu powiedzie się lepiej niż za młodu. Albo po prostu bawić się wykorzystując swój, jak mawiał, nieduży talent.

- Ale zanim zdążył spróbować, umarł - powiedziała Elizabeth.

- Prawda. Umarł.

Spencer wykrzywił twarz do lamp wiszących nad stołem.

- Słyszę, co mówicie, ale do mnie to nie trafia. Nikt nie wie, co się zdarzy. Nikt nie ma gwarancji, że będzie żył tak długo, że wszystko zdąży wykonać. Nic nie uzasadnia tego, żeby rzucać na jedną szalę własne bezpieczeństwo, firmę, która przynosi dochody...

- Rozważyliśmy ryzyko, jakie się z tym wiąże - powiedział Matt stłumionym głosem - i nie macie prawa nam mówić...

- Tato - łagodnie odezwała się Elizabeth - czy nie rozmiesz? My tego potrzebujemy.

- Chcesz przez to powiedzieć, że macie kłopoty małżeńskie? I że kupienie pisma wam w tym pomoże?

- Nie mówimy o naszym małżeństwie - odparł Matt. Elizabeth dosłyszała groźną nutę w jego głosie.

- Nasze małżeństwo ma wzloty i upadki, chyba tak samo jak wasze - lekkim tonem zwróciła się do ojca. - Chodziło mi o to, że wydaje mi się, iż musimy to zrobić teraz. Jeśli nie teraz, to może już nigdy. Może będziemy to odkładali na potem...

- Myśmy odkładali na potem! - Spencer podniósł głos. - My dogadanie sobie odkładaliśmy na potem: byliśmy dorośli i odpowiedzialni! Dlaczego nie zatrzymać drukarni - gwarantuje wam dochody! - i być współdziałowcem pisma? Wejść z kimś w spółkę! Iść drobnymi krokami...

- Nie - Matt odsunął na bok talerz i oparł się łokciami o stół. - My wierzymy w samych siebie. Musimy pójść na całość, bo jeśli zaryzykujemy częściowo i nam nie wyjdzie, nigdy się nie dowiemy, czy nie udałoby się nam, gdybyśmy mieli dość odwagi.

- Rozumiem to - bardzo spokojnie powiedziała Lydia. Twarz Spencera ściemniała.

- A teraz słuchajcie! - zaczął.

- Kochanie, teraz na mnie kolej, żebym się wypowiedziała. - A chcę powiedzieć, że jestem pod wielkim wrażeniem Elizabeth i Matta i że im zazdroszczę.

- Mamo! - wykrzyknęła Elizabeth.

- Twój ojciec nie czuł się zbyt dobrze przez ostatnie pięć lat pracy - oświadczyła Lydia. - Może się przed wami chlubić tym, że czekał cierpliwie, ale sam dobrze wie, że liczył dni, kiedy się wreszcie to skończy. Macie rację. Bał się zaryzykować przed przejściem na pełną emeryturę i przyznaję, że też

byłam pełna obaw i wcale go do ryzyka nie zachęcałam. Ale razem z nim liczyłam dni, aż się stamtąd wyprowadzimy. Nie dlatego, że nie lubiłam swojej pracy - bo ją kochałam - ale któż wytrzyma ze złym, sfrustrowanym mężczyzną?

- Elizabeth coś wie na ten temat - powiedział Mart.

- A co się stanie, jeśli to nie wypali? - zapytał Peter. - Chodzi mi o to, że jeśli... a jak wam... —zaniemówił. Jak mogło mu przejść przez usta, że się boi, bo jego rodzice mogą ponieść klęskę?

- Jak się nam nie uda? - zapytał Matt zamiast syna. - No to będziemy walczyć o pracę. Masz pietra, co?

- Pewnie, że mam. A nie powinienem?

- Czemu nie? Wszyscy się boimy. Było nam przez tyle lat wygodnie i bezpiecznie; teraz mówimy o dużej szansie, ale i dużym ryzyku. I prosimy was, abyście je z nami wspólnie podjęli.

- Peter - Elizabeth pochyliła się. - Przemyśleliśmy to dokładnie. Chcemy tego i bardzo to nam potrzebne. Ty i Holly macie przed sobą całe życie, ale jak się człowiek starzeje, lata tak szybko lecą... jak bym chciała, żebyście zrozumieli, jak to jest, kiedy czas biegnie coraz szybciej. Już kolejna wiosna albo lato, albo Gwiazdka, i znów cały rok za tobą. I nie możesz wrócić. Nie możesz nadrobić czasu straconego w minionym roku. Boimy się tego, że któregoś dnia się obudzimy i stwierdzimy, że już za późno, aby robić to, o czym zawsze marzyliśmy, czego zaniechaliśmy i o czym znów myślimy, odkąd nie ma z nami dziadka Zacharego. Jeśli nie wypróbujemy swych sił teraz, kiedy mamy dość zdrowia i energii, żeby zacząć coś nowego, to się obawiam, że nie zrobimy tego nigdy. I pewnego dnia obejrzymy się wstecz i zrozumiemy, że straciliśmy szansę, być może jedyną. I nie chcemy żyć z tak przykrą świadomością. - Nie mieliśmy przecież kiepskiego życia - powiedział pod nosem Peter. Holly zwróciła się do brata.

- Czy ty nie masz w ogóle wyobraźni? Ty i ja, moglibyśmy się, wiesz, gdzieś zatrudnić! Jeśli się nie staniesz bardziej elastyczny, to będziesz starą kluchą, zanim skończysz piętnaście lat. - Ktoś w tym towarzystwie musi być ostrożny! - krzyknął Peter. Przy ostatnim słowie głos mu zaskrzypiał i przeszedł w pisk. Zarumienił się ze wstydu. - Nie mogę na to poradzić, jeśli nikt tego nie czuje jak ja.

- Czujemy to samo co ty - powiedziała Elizabeth. - Ale również czujemy, że musimy dokonać wyboru. Czy ty tego nie możesz pojąć? Czy ty niczego teraz nie pragniesz tak mocno, że nie chcesz na to czekać? - Chcę zostać antropologiem i zajmować się badaniami Indian - odparł bez namysłu. - Ale zawsze powtarzasz, że najpierw muszę iść do college'u, że trzeba wszystko robić po kolei. A czy nie to samo mówi dziadek i babcia? Że czekali na właściwy moment, żeby kupić lokal?

Elizabeth i Matt wymienili spojrzenia, rozbawieni, zarazem zirytowani, zastanawiając się, dlaczego dobre rady rodziców często wracają rykoszetem w najmniej oczekiwanej sytuacji.

- To podobne - przyznała Elizabeth. - Ale nie identyczne. Prowadzenie księgarni nie wymaga aż tyle czasu i energii co pismo, poza tym na niektóre przedsięwzięcia jest w pewnym wieku już za późno. I powtarzam ci to w kółko, Peter: lata biegną.

Czekaliśmy szesnaście lat, żeby to, o czym marzyliśmy, stało się możliwe. Co by było, gdybyś musiał czekać szesnaście lat, żeby zostać antropologiem, albo gdyby Holly musiała tyle czekać, żeby dostać partię w musicalu na Broadwayu?

- Umarłabym - powiedziała po prostu Holly.

- Albo nauczyłabym się czekać - odparła Elizabeth z uśmiechem. - Ale wtedy pewnego dnia powiedziałybyś „No dobrze. Teraz albo nigdy”. I zaryzykowałybyś.

- Peter - powiedziała Lydia - nie istnieje bezpieczeństwo absolutne. Może każdy, gdy ma życiową szansę, powinien choć raz w życiu zaryzykować. Może każdy powinien choć raz ulec żądzy posiadania więcej niż ma.

Elizabeth położyła dłoń na dłoni matki, czując, że od tej chwili będą przyjaciółkami w inny, nowy sposób.

- Dziękuję - powiedziała i pocałowała Lydię w policzek. - To dla mnie znaczy bardzo wiele.

- A co ze mną? - zawołała Holly. - Ja też myślałam, że to dobry pomysł! Uważam tak jak babcia, że jesteś fantastyczna!

- I dziękujemy ci - powiedział Matt. - Potrzebujemy twojego poparcia.

- No więc, jeśli się uda, to oczywiście, że będzie... dobrze - zagrzmiał Spencer, który nie chciał zostać w tyle, gdyż wyraźnie nie dostał w tym gronie wotum zaufania. - I oczywiście udzielam wam poparcia na równi z Lydią; i pomożemy w miarę możliwości, jeśli trzeba będzie zacisnąć pasa...

- A ja też mogę pomóc! - krzyknął Peter. - Jeśli będą wam potrzebne pieniądze, to sprzedam moją kolekcję garncarstwa - i pójdę do pracy - dodał ponuro zerknąwszy na siostrę. Matt wziął Elizabeth za rękę i poczuł, jak jej szczupłe palce splatają się z jego palcami.

- Niczego nie będziesz sprzedawać, Peter, ani też nie pójdziesz jeszcze do pracy. Chcemy tylko jednego: byś w nas wierzył. Tego od was wszystkich potrzebujemy. Bo my wierzymy w siebie. My wiemy, że nam się uda. -Spojrzał z miłością i nadzieją na Elizabeth i objął ją ramieniem. - Człowiek nie żałuje wysiłków, gdy może coś osiągnąć teraz albo nigdy - rzekł zwracając się do wszystkich - i kiedy się pracuje z osobą, którą się kocha. Wkłada w to wtedy całą duszę.

Holly aż zaparło dech na widok twarzy rodziców. Przeszył ją ostry ból: zazdrość zmieszana z nadzieją - i obawą, że może nikt na nią nie spojrzy tak jak oni patrzyli na siebie.

- Kiedy zaczynamy? - zapytała chcąc mieć udział w uczuciu bliskości między rodzicami.

- Za parę miesięcy - odparła Elizabeth. - Kiedy sfinalizujemy transakcję kupna pisma. Prawdopodobnie w październiku. Zaczniemy w październiku.

Matt mocniej ścisnął jej rękę, ona zaś rozejrzała się po całej zebranej przy stole rodzinie. Wiał ciepły wiatr, światła lamp migotały.

- Jesteśmy tacy szczęśliwi - powiedziała. - Wiemy co ryzykujemy i jesteśmy przekonani, że od dziś wszystko się będzie układać cudownie.

- I żyli długo i szczęśliwie - powiedziała Holly cienkim głosem.

- Tak - odparła Elizabeth. - Zdaje się, że to brzmi idiotycznie, ale dokładnie tak. Będziemy żyć długo i szczęśliwie.

4

Był to początek ich najlepszych, złotych - jak mawiała Elizabeth - lat, ale jak niegdyś w dzieciństwie, gdy trzymała za coś kciuki, tak i teraz nie chciała zapeszyć szczęścia nie wiedząc, jak długo będzie trwało.

Okres ten był w odczuciu ich obojga bardzo niepewny: jakby wypłynęli malutką łódką na rozszalałe morze i raz unosili się na fali w górę, raz spadali w dół pełni obaw, że narazili się na zbyt wielkie ryzyko. Pod grubym plikiem dokumentów spisanych drobnym drukiem złożyli swoje podpisy - odcinając sobie drogę powrotną - pomyślała Elizabeth; tym samym sprzedali zakład poligraficzny Lovella, zastawili pod hipotekę swój dom, wzięli z banku kredyt. Jedyne, czego nie tknęli, to domu z działką Zacharego w Nuevo. Matt nie mógł się przełamać i w ostatniej chwili zrezygnował ze sprzedaży. Podpisali resztę dokumentów, wypełnili czek opiewający na astronomiczną kwotę - i *Sania Fe Chieftain* stał się ich własnością. Tamtego pamiętnego wieczoru zaprosili całą rodzinę na zwiedzanie pomieszczeń należących do pisma. Za Mattem, który przekręcał klucz w drzwiach frontowych *Chieftaina* stali Spencer z Lydią oraz Holly i Peter. Gdy cała gromadka weszła do środka, Matt i Elizabeth zostali na zewnątrz i wpatrywali się przez chwilę w ciemne gmaszysko, które w świetle ulicznej latarni wyglądało szczególnie masywnie. Elizabeth lekko zadrżała w październikowym chłodzie. Matt ujął jej rękę.

- Do przodu - szepnął. Wkrótce dobili do reszty towarzystwa. W pomieszczeniach redakcji pisma nigdy nie panuje cisza. Nawet gdy są opustoszałe, odbija się w nich echem gorączkowa działalność dnia: pracownicy wertują stosy papierów, fotografii i książek, które zalegają potem biurka i podłogi, przyczepiają nalepki samoprzylepne i notatki gdziekolwiek na I ścianach i przepierzeniach, nie dopijają kawy, która zimna pozostaje na dnie styropianowych kubków, wystukują na maszynie artykuły do nowych nume-

rów, które dołączają do żółknących starych numerów piętrzących się bezładnie w narożnikach pokoju i pod biurkami.

Jako pierwsi szli szybko Holly i Peter z przodu, razem ze Spencerem i Lydią; na twardej podłodze słyhać było ich kroki. Natomiast Elizabeth i Matt wsłuchiwali się w znajome echo, jakby się przenieśli do czasów uniwersyteckich, kiedy wydawali gazetę studencką i odbywali praktyki wakacyjne w *Los Angeles Times* jako reporterzy. Korzystali wtedy z każdej szansy, by się znaleźć blisko siebie - czy to w sali uczelnianej, czy w parku, czy na ulicach, w łóżku - zakochani w sobie, planujący wspólną przyszłość.

- I to mamy - wyszeptała Elizabeth. W głównej sali redakcyjnej w rogu za szklaną ścianą znajdował się gabinet naczelnego. Zrobiła gest w tę stronę. - Twój - powiedziała i jej głos drżał, gdyż uświadomiła sobie ogrom tego, czego dokonali. - Twój, Matt. Wydawco i redaktorze naczelny! Rób przymiarę.

Nadal trzymając się za ręce weszli do gabinetu. Matt okręcił się na obitym skórą obrotowym krześle z wysokim oparciem, które stało przed biurkiem. Mógł stamtąd objąć wzrokiem całą salę redakcyjną, zastawioną ciasno biurkami: te w środku, zajmowane przez czterech reporterów, dwóch fotografów i dwie sekretarki, i te wzdłuż jednej ze ścian, poprzedzielane przepierzeniami osobno dla sekretarza redakcji, szefa działu publicystyki oraz kierownika działu ogłoszeń i kolportażu.

- Nasze imperium - rozmarzył się Matt.

- Na jedno pstryknięcie palcami - weszła mu w słowo Elizabeth - cały zespół staje do naszej dyspozycji.

- Masy nowych czytelników...

- Kuszące reklamy...

- Na nasz rozkaz góry się przenoszą...

- Albo chociaż meble - sprostowała Elizabeth, gdy ich śmiech wypełnił mały gabinet.

- Matt, czuję się jak mała dziewczynka, która dostała pierwszą prawdziwą zabawkę. Pocałował ją w czubek nosa.

- Cały czas chce mi się chichotać. Tylko, że to dziecinne.

- Lubię od czasu do czasu być dziecinna. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Twój ojciec jest przekonany, że się teraz martwimy. Uśmiechnęli się do siebie.

- Kocham cię - powiedziała Elizabeth.

- A to najlepszy numer ze wszystkiego. Ilu to wydawców i publicystów przepada za sobą? Ale a propos. Prowadzimy ten interes wspólnie, ale mnie przypadł cały splendor - rozejrzał się po zatłoczonym pomieszczeniu i nędznym umeblowaniu - a tobie jedynie jedno z tamtych miejsc za przepierzeniem. Zbudujemy ci prawdziwy gabinet obok mojego.

Elizabeth potrząsnęła głową.

- Ja powinnam dotrzymywać towarzystwa reszcie. Oni tego oczekują, a ja nie chcę im dawać podstaw do obaw wobec nowych właścicieli pisma, bo na pewno je na razie żywią. - Odetchnęła głęboko. - Matt, zaczynam wierzyć, że to nie sen. Znowu uśmiechnął się od ucha do ucha. - Ja też. Elizabeth, moja najdroższa, to jest nasze i wszystko będzie dobrze.

Ogarnęli się ramionami czując podniecenie, a zarazem przerażenie, powagę i euforię.

- Wolność - wymamrotał Matt ustami dotykając włosów Elizabeth. - Nowy początek; wszystko po mojemu, moje własne marzenie. - Poczuję, że i ciało Elizabeth sztywnieje, i poprawił się: - Po naszymu. Dokonamy tego wszystkiego, o czym marzyliśmy. Tak długo czekaliśmy, a teraz wszystko to i osiągniemy. Mój Boże, będziemy największą w Ameryce firmą rodzinną.

Elizabeth zaśmiała się i pocałowali się objęci, idealnie do siebie dopasowani.

- Przepraszam was - powiedział Peter wynurzając się zza drzwi. - Wydawało mi się, że jesteśmy tu na zorganizowanej wycieczce, na którą zaprosił nas szef. Szefowie.

- Ja nie chciałam wam przeszkadzać - dodała Holly. - Myślałam, że to byłoby niegrzecznie.

- No więc jestem niegrzeczny - odparował Peter siląc się na nonszalancję. - Ja tylko pomyślałem sobie, że chyba fajnie byłoby obejrzeć w końcu ten nasz nowy nabytek.

- Oczywiście - odparła Elizabeth ciągle w objęciach Matta. - Po prostu pomyślałam sobie, że chyba dobrze byłoby pocałować twojego tatę.

Peter zaczerwienił się.

- Przepraszam - mruknął.

- Nie ma sprawy - odparł Matt lekko. - Odbierzemy to sobie z nawiązką. A teraz - dodał widząc, że podchodzą do nich Lydia i Spencer - proszę wycieczki, zaczynamy zwiedzanie.

Elizabeth przyglądała się Mattowi, który w zorganizowany sposób prowadził wycieczkę przez cały długi gmach wyczerpująco wyjaśniając, na czym polega planowanie numeru, pisanie tekstów, drukowanie i kolportaż w mieście i okolicy, aż dotarli do rampy przeładunkowej na tyłach budynku. Słuchała go jednak jednym uchem, poddając się własnym myślom. Odbierzemy to sobie z nawiązką. Już nic nie było zwyczajne jak dawniej; wszystko było nowe. Pomyślała o tym, co będzie robić jutro i w najbliższym czasie. Będzie sama zlecać prace, już nie będzie brać zleceń od innych. Będzie pisać jak zechce, a nie jak jej każą. Będzie pracować z Mattem. Są właścicielami pisma. Jest nasze.

Wszystko zaczęło tracić blask następnego ranka, gdy w świetle słońca *Chieftain* okazał się zwykłym brązowo-różowym budynkiem z niewypalanej cegły, jakich pełno w Santa Fe; trzeba było zakasać rękawy i wziąć się do roboty; Elizabeth i Matt przygotowywali się tymczasem do pierwszego spotkania z pracownikami.

- Jest piątek rano - powiedział Matt. - Kolejny numer pisma ma się ukazać w najbliższy czwartek. Jedyne, co musimy zrobić, to poznać grono osób, z których każda ma własne przyzwyczajenia, przekonać ich, że nie zamierzamy wprowadzać od razu drastycznych zmian, dać im odczuć, że są potrzebni, a jednocześnie zaprezentować się od najlepszej strony jako nowi właściciele, którzy zasługują na szacunek i lojalność, bo znamy się na tym, co robimy...

- Nie za bardzo - uśmiechnęła się Elizabeth - po prostu bądźmy jak zwykle czarujący. - Z biurka Matta podniosła kopertę. - Ktoś już do nas pisze.

- Może to na powitanie. - Matt ujrzał, że Elizabeth czytając zmienia się na twarzy. - Od kogo?

- Podpisane Ned Engle. Odchodzi. Od dziś

- Odchodzi?

Matt rzucił okiem na list i poczerwieniał.

- A to drań. Dał mi słowo, że zostanie na stanowisku sekretarza redakcji.

Przynajmniej przez pół roku, tak sam powiedział ten zakłamaný drań...

- Matt, on znał tę gazetę na wylot. Co my bez niego zrobimy? Matt mierzył gabinet krokami. - Łajdak. Nawet nie poczekał, żeby się przyjrzeć, jak prowadzimy interes - jeśli go poprowadzimy. Mamy sześć dni na zrobienie numeru. On chyba myśli, że my mu padniemy do stóp...

- Jasne, że tak myśli! - wykrzyknęła Elizabeth. - Dokładnie o to mu chodzi! Czeka, aż go wezwiemy i będziemy błagać, żeby wrócił.

Matt zatrzymał się.

- Słusznie. I niech czeka do grobowej deski. Nie będziemy na łasce jakiegoś drania, któremu się wydaje, że ma asa w rękawie.

Elizabeth zaschło w gardle. Jej ojciec ostrzegał ich, ale odsunęli od siebie myśl o tej ewentualności, raczej daliby się zabić, że Engle zostanie, że dzięki jego kompetencji ich brak doświadczenia nie będzie tak bardzo widoczny, że da im to czas, aż się wciągną i przejmą ster.

- Reporterzy - powiedziała rozejrzawszy się wokół siebie. - Oni znają ten tygodnik. Czy któryś z nich nie mógłby zastąpić Engle'a, choćby chwilowo?

- Nie będę pierwszego dnia zaczynał od proszenia reporterów, żeby za nas kierowali pismem. A do diabła! - Matt kopnął krzesło wprawiając je w pełny obrót. - Ten łajdak kierował całym procesem wydawniczym. Zdecydowanie nie okazał się orłem, bo pismo podupadło, ale nie da się zaprzeczyć, że nim kierował. - A my nigdy nie wydawaliśmy pisma - pomyślał. - To nie to samo co uprawianie dziennikarstwa na chronionym gruncie uczelni.

Elizabeth ostrożnie i starannie układała zaostrzone ołówki na biurku Matta nie pozwalając, by ją ogarnął lęk.

- Jak myślisz, co powinniśmy zrobić?

Wzruszył ramionami i znów zaczął przemierzać pokój. Za chwilę stanął obok niej, przy biurku.

- Poczekaj - powiedział i ujął w obie dłonie jej twarz. - Jesteśmy we dwoje, nie zapominaj. Dwoje bystrzaków, którzy połączyli siły. A więc niech ci zadam pytanie: czy dwie szykowne, utalentowane, dojrzałe, ambitne jednostki mogą zastąpić jednego nieokrzesanego, bezmyślnego i prawdopodobnie tępego drania?

Elizabeth roześmiała się, przyciągnęła do siebie twarz Matta i go pocałowała.

- Jeśli chcesz być połówką sekretarza redakcji, to ja chętnie będę drugą połówką.

- Górną czy dolną? - wyszczerzył do niej zęby siadając obok.

- Co wolisz. - Zamyśliła się. - Ale jeśli mam być szefem działu publicystyki i połową sekretarza redakcji...

- To ci zostanie niewiele czasu na sen i jedzenie. Mnie też, jeśli mam być tą drugą połową, plus redaktorem naczelnym.

- I wydawcą - dodała Elizabeth. - Ale myślałam o mojej rubryce. Zamierzałam za parę tygodni zacząć do niej pisać.

Zamilkli.

- Trzeba będzie z tym poczekać - powiedział Matt. Nie odezwała się. Czekala już od szesnastu lat.

- Nie na długo - ciągnął z większym przekonaniem niż naprawdę czuł. - Gdy tylko się zorientujemy, jak dalej postępować, zatrudnimy nowego sekretarza redakcji. Coś ci powiem - mówił dalej, choć ona ciągle się nie odzywała. - Ustalmy termin. Dwa miesiące. Za dwa miesiące będziesz pisać do swojej rubryki, nawet jeśli będę musiał zrobić napad na dzienniki z Nowego Jorku i Chicago, żeby znaleźć kogoś, kto cię zastąpi. Elizabeth uśmiechnęła się blado.

- Raczej na szkołę dziennikarstwa na uniwersytecie Nowego Meksyku; nie stać nas na więcej. W porządku, Matt. Mogę poczekać. - Przez oszkloną ścianę zobaczyli pracowników. Wchodzili do dużej sali redakcyjnej, kręcili się niespokojnie, parzyli sobie kawę, przysiadali na krzesłach zerkając ukradkiem lub otwarcie w stronę Matthew i Elizabeth Lovellów: nowych szefów.

- Są zdenerwowani - powiedziała Elizabeth. - Ciekawa jestem, czy domyślają się, że my też. Matt wstał.

- Dopóki my będziemy spokojni, pewni siebie, rzeczowi i opanowani, wszystko będzie grać.

Zaśmiała się.

- Ty rządz. Ja sobie usiądę z tyłu i będę cię podziwiał. Chyba tego oczekują od kobiety. Do przodu! - dodała powtarzając jak echo wczorajsze słowa Matta i wyszli powitać zespół.

Odkąd *Chieftaina* sprzedano, jego cały piętnastoosobowy zespół redakcyjny spekulował na temat osoby Matta, którego nikt z nich nie znał, i Elizabeth, której nazwisko od lat widywali w konkurencyjnym piśmie. - I jest dobra. - stwierdzali. - Dobrze pisze. Ale jaka jest jako szefowa... a jaki jest on... co, u licha, o wydawaniu gazety wie jakiś drukarz?

Dotychczasowe kierownictwo było beznadziejne, ale to nie znaczyło, że nowych właścicieli powitają z otwartymi ramionami. Gdy zaś ujrzeni parę młodych ludzi wychodzących z gabinetu Matta, to starsi popatrzyli po sobie i pokiwali głowami niedowierzająco. Była wystrzałową kobietą, ale osoba obdarzona taką urodą nie nadaje się do ciężkiej pracy. On zaś stawiał duże kroki i robił wrażenie człowieka pewnego siebie, prawdopodobnie upartego. Potraktowali ich chłodno i z rezerwą, gdy Matt przedstawił im siebie i Elizabeth. Nie odzywali się wcale, gdy Matt im opowiedział o swoim przygotowaniu zawodowym i determinacji, by zrobić z *Chieftaina* pismo równie poczytne co konkurencyjny *Examiner* i w perspektywie je prześcignąć.

- Chciałbym się dowiedzieć, jakie państwo mają problemy i propozycje - powiedział.

- Ale przede wszystkim powinni państwo wiedzieć, że Ned Engle zrezygnował ze stanowiska sekretarza redakcji - poczekał, aż ucichnie gwar spowodowany tą wiadomością - i dopóki nie zatrudnimy kogoś na jego miejsce, będziemy sobie radzić sami wespół z Elizabeth.

- Radzić? - zapytał Herb Kirkpatrick, mężczyzna z siwą brodą i krzaczastymi brwiami. - Jeśli pan nigdy nie pracował w prawdziwej redakcji? Czy ma pan podręcznik wydawcy prasowego?

- Zamknij się, Herb. - Bruzdy na twarzy Barneya Kella pogłębiły się, bo się skrzywił. - To nie jest ich wina, oni go nie wylali. Prawda? - zapytał Matta tracąc nagle pewność.

- Prawda. Prosiłszy go, by został. Powiedział, że zostanie. Ale odszedł. Napisał list. - Skurwiel - kwaśno stwierdził Barney. - Tak więc zostawił pana na pastwę losu. No i jak pan się do tego weźmie?

- Sami napiszemy podręcznik - krótko odparł Matt.

- Poprosimy państwa o pomoc - cicho odezwała się Elizabeth. - Wszystkich.

Państwo znają to pismo, my nie. Ale zdziwią się państwo, jak zobaczą, że uczymy się w piorunującym tempie. - Brawo - powiedział Wally McLain pod nosem.

Matt ochłonawszy zignorował pogardliwą minę Kirkpatricka i poprosił pozostałych o uwagi. I jakby się niebiosy nagle otworzyły, spadła na nich powódź skarg: poważnych i drobnych, takich, które im uwierały od lat, i takich, które wymyślili na poczekaniu: odnośnie płac, godzin pracy, urlopów, świadczeń medycznych, kiepskiego ekspresu do kawy, przestarzałego powiększalnika w ciemni fotograficznej, dziwacznej decyzji poprzednich właścicieli, żeby nie wprowadzać komputeryzacji.

- Komputery właśnie zamówiliśmy - powiedział Matt, który robił notatki. Spojrzał znad kartki papieru na twarze, które się uśmiechały.
 - Dobra robota - mruknął Barney. Przez czterdzieści lat był świadkiem, jak pięciu kolejnych właścicieli zabiera się za *Chieftaina* i żaden z nich nie startował z takim rozmachem. - Może się przy tym taki staruch jak ja nauczy paru nowych sztuczek.
 - My wszyscy będziemy się uczyli nowych sztuczek - powiedział Matt wdzięczny za wsparcie. - Jakies inne propozycje?
 - Więcej sensacji - odezwał się Cal Artner, mężczyzna o długim podbródku i wąskim nosie, w grubych szklach powiększających jego czarne oczy. - Jedyna metoda, żeby sprzedawać prasę. Wydobyć na jaw brudy, seks, sekrety...
 - Nie! - wybuchnął Wally McLain, młody, przystojny człowiek w wykrochmalonej koszuli, którą mu pewnie jego dziewczyna wyprasowała na pierwsze spotkanie z nowymi właścicielami pisma. - Proponuję solidną dziennikarską robotę. W naszym mieście nie zawsze jest spokój, ale na podstawie *Chieftaina* można byłoby wywnioskować, że jest tu raj na ziemi. Powinniśmy pisać o problemach współżycia Anglo-Amerykanów z Hiszpanami, o tym, jak przedsiębiorcy budowlani budują dla bogatych i lekceważą miejscowych, których nie stać na...
 - Nie jesteśmy tu po to, żeby deprecjonować Santa Fe - wtrącił Herb Kirkpatrick. - Ilu mielibyśmy turystów, gdyby się rozeszło, że miasto ma furę kłopotów?
 - Ja nie mówię o kłopotach; mówię o problemach.
 - Jedno złe, drugie niedobre.
 - Gówno.
- Delikatnie włączył się Matt.
- Zawsze mi odpowiadało dziennikarstwo demaskatorskie. Będziemy je w dużej mierze uprawiać. No, ale nie aż do tego stopnia, żeby zniszczyć Santa Fe - zwrócił się do Kirkpatricka. - Ale żeby je ulepszyć. I żeby podnieść nakład. Ludzie lubią mieć świadomość, że ktoś patrzy politykom na ręce i zdaje sprawozdanie z tego, co się faktycznie dzieje w ich mieście. -Zamilkł.
 - Czy ma ktoś jeszcze jakieś uwagi, bo chcę przedstawić własne propozycje?
 - O ile ma wzrosnąć nakład? - zapytał Barney Kell.
 - W ciągu roku o sto procent.
- Wlepili w niego oczy. Ołówek Elizabeth skrzypiał na papierze. Usiłowała nie pokazać po sobie, że to ją zaskoczyło. Matt nigdy o tym nie wspominał; zawsze mówili, że trzeba będzie się bardzo starać, aby utrzymać nakład na obecnym poziomie dziesięciu tysięcy, bo przez ostatnie dwa lata ciągle spadał.
- O sto procent - zdumiał się Barney, a jego poorana bruzdami twarz wyrażała rosnącą aprobatę. - Jak pan to zamierza osiągnąć?

Matt zaczął w szczegółach przedstawiać plany, które ustalili wspólnie z Elizabeth. Zamierzali zmienić układ graficzny stron: wprowadzić szersze szpalty, większy, bardziej czytelny krój pisma, więcej ilustracji, grubszą czcionkę w nagłówkach. Zamieszczaliby więcej artykułów reportażowych, kupiliby od pisma w Denver dział gastronomiczny, z Los Angeles - dział mody, wprowadziliby nową rubrykę zatytułowaną „Sprawy prywatne”, do której pisywałyby Elizabeth Lovell na temat problemów zwykłych mieszkańców. Zamierzali obciąć wszelkie wydatki, to znaczy nie nabywać żadnego nowego sprzętu orócz komputerów, które już zostały zamówione. Kiedy nakład wzrośnie, wtedy dopiero przyjrzą się sprzętowi, wynagrodzeniom pracowników, godzinom pracy, świadczeniom socjalnym i urlopom. - Dopóki nakład nie zacznie systematycznie wzrastać, proszę się liczyć z koniecznością bardziej wyętej pracy i wydłużonego czasu pracy - powiedział stanowczo. - Wraz z Elizabeth potrzebujemy od państwa propozycji i krytyki, ale to my ustalamy zasady i pierwsza reguła jest następująca: jeśli panowie zrobią tak dobre pismo, że drugie dziesięć tysięcy osób zechce je kupować, zostaną panowie wynagrodzeni. W innym wypadku - nie.

- Ale powiększalnik... - zaczął fotograf Bill Dunphy.

- Obejrzę go. Może zrobimy jeden wyjątek.

- I ekspres do kawy - powiedział Herb Kirkpatrick. - Kawa jest mi niezbędna do życia i pracy. Bez kawy jestem rano słaby, w południe senny, a o trzeciej dętką. Rozległ się przyjazny śmiech i Matt się rozluźnił. Kirkpatrick, potencjalny podżegacz, wybrał zamiast konfrontacji humor. Początek niezły - skonstatował dając Kirkpatrickowi zadanie, żeby zorientował się w cenach ekspresów ciśnieniowych do kawy. Ale jeszcze musiał się wybronić przed Elizabeth.

- Od dawna myślałeś o tym, żeby przyspieszyć tempo - powiedziała, kiedy wrócili do jego gabinetu. Przysiadła na krześle przy jego biurku. - Nie przyszło ci to do głowy nagle, w trakcie spotkania. Ale nigdy mi o tym nie wspomniałeś.

- Powiedziałybyś, że jestem fantastą.

- A nie jesteś?

- Nie wiem, i ty też nie wiesz. Na co stać ten zespół, jak się ich naprawdę zmobilizuje? Co czytelnicy kupią? Nie wiemy. Zgaduj-zgadula. - Jakiś uparty rys w okolicach szczęki przypominał Elizabeth Zacharego, nieugięty, lecz domagający się aprobaty. - Nigdzie nie dojdziemy, jeśli będziesz zbyt bojaźliwa...

- Chwileczkę - po spotkaniu odczuwała napięcie - przecież zostawiła mu pole do popisu, sam przemawiał do tych mężczyzn, by ich oswoić, ona zaś wobec nich nie zakwestionowała żadnego jego słowa, a on ją teraz oskarża o bojaźliwość! Poczula, że wzbiera w niej gniew. Zniżyła głos. Wspólnie się wpakowaliśmy w ten interes, wspólnie ustalaliśmy plan działania i nie życzę sobie, żebyś mnie teraz oskarżał o bojaźliwość.

- Przepraszam, nie to miałem na myśli - Matt pochylił się. - Wiem, że wspólnie ustalaliśmy plan działania, ale tempo jest za wolne! Słyszałaś, co j mówili: nadal są przeświadczeni, że nie wiemy, jak się wziąć za ten interes. , Ale jeśli byśmy ich pobudzili do działania, wytyczyli cel, choć zwariowany, i ale mający szansę powodzenia, to czy nie sądzisz, że moglibyśmy robić S szybsze postępy? Czy nie czułaś tego? Poszło nam o wiele lepiej, niż się spodziewałem, ani słowa nie powiedziałaś o tym, że poszło doskonale...

- Miałam zamiar. Miałam ci powiedzieć, że jesteś wspaniałą, ale potem zaczęłam myśleć o...

- Nigdy nie powinnaś myśleć o czymś innym, kiedy zamierzasz powiedzieć swojemu mężowi, że jest cudowny.

Uśmiechnęła się. - Chyba masz rację.

- Kocham cię - powiedział Matt. - I wiem, że nie jesteś bojaźliwa. -Przez szklaną ścianę zobaczył Cala Artnera, który się wahał, czy zapukać do nich. - Chcę cię pocałować, ale chyba trzeba z tym poczekać. - Gestem zaprosił Artnera do środka.

- Mam rewelacyjny pomysł - Artner zwrócił się do Matta. - Od dawna mnie ta sprawa zajmuje i czekałem na kogoś, kto wreszcie pójdzie na całość, aby przyciągnąć więcej czytelników. Zbliżają się obchody Dnia Tańca w Nambe Pueblo - może coś pan wie o tym... Matt, rozbawiony, odparł.

- Co rok tam jeździmy.

- Ach, to świetnie. No więc na pewno pan wie, że oni nie lubią, żeby fotografowano tańce...

- Nie lubią? - wtrąciła się Elizabeth. - Oni tego zabraniają. Nie zgadzają się nawet na to, żeby ktoś ich rysował. Artner spojrzał na nią i odezwał się do Matta.

- Jeden z moich znajomych ma helikopter i może mnie tam zawieźć i latać na takiej wysokości, że mógłbym trzasnąć parę zdjęć. To byłby hit! Nikt tego jeszcze nie zrobił, a te ich uroczystości stanowią wielką tajemnicę dla ludzi, którzy nigdy nie byli w pueblach. Roztrącilibyśmy ten ich sekret i turyści kupowaliby nas jak świeże bułeczki. Poza tym moglibyśmy sprzedać , fotografie innym pismom w kraju... cholera, żeby tego nie przepuścić, taka okazja, *Chieftain* zaczęły się liczyć.

- Cal, nie rozumie pan? - zapytała Elizabeth. - To jest zabronione.

- Proszę pani - powiedział Artner z przesadną cierpliwością. - Przedstawiam propozycję panu Mattowi.

Zapanowała ciężka cisza. Spojrzawszy w twarz Mattowi, Artner otrzymał wyraźną odpowiedź, że się pomylił.

- Państwu razem - pospiesznie się poprawił. - Ja tak powiedziałem, bo chcę, żeby to potraktowano poważnie.

- I my to traktujemy poważnie. Nas to nie interesuje. - Matt mówił zrównoważonym głosem. - Bo jest to rezerwat Indian Nambe, jest to ich

własne pueblo, są to ich własne uroczystości. I oni mówią, że fotografowanie jest zabronione.

- Wiem, co mówią! Ale nie zatrzymają w górze helikoptera, chyba pan nie sądzi, że nas zestrzelą, co? Czyli, że pan tych zdjęć nie chce?

- Mówię, że nie damy się poznać jako pismo, które lekceważy świętość indiańskich uroczystości religijnych lub łamie prawa puebla. A to znaczy, że pan tego nie będzie fotografował.

- Co za sakramenckie gówno! Pan nie ma zielonego pojęcia o tym, jak się robi interesy w tej branży. Od dwudziestu lat pracuję w prasie i od razu widzę, czy coś będzie hitem czy nie. Rany, moglibyśmy zdystansować *Examinera* jak jasna cholera. - Czy nie o to w tym wszystkim chodzi?

- Chodzi o kierowanie pismem - sztywno odparł Matt. - I pan u nas pracuje. Albo pan to zaakceptuje, albo się pan wynosi.

- Co to, to nie - zaczął Artner, ale jego słowa straciły moc. Próbował przeniknąć Matta.

Elizabeth stanęła obok Matta. Nagle przyszło jej do głowy, że Artner może odejść i wtedy będą musieli szukać dwóch nowych pracowników miast jednego.

- Cał, nasz syn, Peter, ma przyjaciół w pueblach. Wiemy, jak oni to traktują. Jeśli opublikujemy ich zdjęcia, mogą zamknąć uroczystości dla zwiedzających.

- Nie stać ich na to. Potrzebują forsy.

- Potrzebują również religii. Artner znowu zwrócił się do Matta.

- Myślałem, że pan zrozumie, że to dla nas ważne.

- My rozumiemy, że to ważne dla pana - odparował Matt. - Ale już panu powiedzieliśmy, że my się na to nie piszemy.

- Poważnie? Nie zgadza się pan?

- Nie. Fotografie są wykluczone. Proszę napisać artykuł o tych uroczystościach, ładny styl, dużo przymiotników i przysłówków. Narzędzia dobrego reportera.

- Ktoś powiedział, że zdjęcie jest warte tyle co tysiąc słów.

- Czasem tak jest. Jeśli zdjęcie można zrobić. Nam nie wolno. - Matt odetchnął głęboko. - Proszę posłuchać, Cał, cenię pański pomysł, ale moja decyzja jest ostateczna. Żadnych zdjęć. A helikopter kiedyś się przyda do czegoś innego.

Dziękuję za tę propozycję. Czekam na chwilę, kiedy przeczytam pański artykuł.

, - Dobra robota - cicho powiedziała Elizabeth, gdy zostali sami.

- Chodzi ci o to, że prawie przez cały czas starałem się nie wybuchnąć. Pomijając zresztą ten jego kretyński pomysł, czemu ten typ nie zwracał się do nas dwojga?

- Chyba nie jest jedynym facetem, który nie lubi podlegać szefowi-kobiecie - sucho odparła Elizabeth. - Może się przyzwyczai.

- Będą z nim kłopoty.

- Tak, ale sobie z nim poradzimy. Chyba nie będzie chciał stracić jposady. - Zebrała w stos papiery. - Potrzebujesz mnie jeszcze? Muszę Ipopracować, jeśli mam skończyć o szóstej.

- Wydawało mi się, że sami damy przykład, jak pracować po godzinach. - Ty możesz zostać. Ja muszę gotować kolację dla rodziny. - Pewnie dlatego nie pracują tu kobiety.

- Jedna już pracuje - odparła wesoło Elizabeth. - I jeśli nie skończy przed szóstą, będzie musiała wziąć robotę do domu. Do zobaczenia później, i kochanie.

I kiedy zamknęła za sobą szklane drzwi, oboje poczuli w równym stopniu zadowolenie i satysfakcję: po latach dryfowania każde po swojemu, znów byli razem pod każdym względem: razem pracowali, rozmawiali ze sobą, I kochali się; jednym słowem: pełna harmonia.

W ciągu następnych dwóch tygodni sekretarka zaniemogła na gripę, podczas nagłej burzy okazało się, że dach przecieka w dziesięciu miejscach, kierownik produkcji umieścił drugą część artykułu na stronie tytułowej, i a część pierwszą na stronie dwudziestej, tak że obie strony trzeba było s w ostatniej chwili składać od nowa; kiedy zaś ciężarówka dostawcza *Chieftaina* zepsuła się na środku Paseo de Peralta, mechanik stwierdził, że jest I w tak złym stanie technicznym, że jedynym rozsądnym wyjściem będzie I zakupić nową.

Trzymając w ręce słuchawkę telefoniczną Matt patrzył nie widzącym i wzrokiem przez szklaną ścianę gabinetu. Elizabeth spoglądając znad maszyny do pisania uśmiechała się do niego. Ale uśmiech zamarł na jej twarzy. I Weszła do gabinetu. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Matt powiedział jej, co I się wydarzyło.

- No i musimy kupić nową ciężarówkę, nawet używana będzie kosztować pięć tysięcy dolarów, których nie mamy.

- I musimy załatać dach - dodała Elizabeth.

- Właściwie trzeba cały dach wymienić. Nie sprawdziliśmy przed kupnem, w jakim jest stanie. A ciężarówka...

- Za bardzo się spieszyliśmy. Para niewiniątek kupiła sobie nową zabawkę.

I Elizabeth usłyszała w jego głosie gniew: na siebie samego, nikogo innego. - No więc się wpakowaliśmy w kabałę - powiedziała celowo lekkim tonem. - Chyba czas, żebyśmy skorzystali z pomocy mojego ojca, którą nam i obiecał, jak myślisz?

- Co? Brać pieniądze od Spencera i Lydii? Nigdy w życiu.

- Nie brać, Matt, ale pożyczyć. Oni wiedzą, że s płacimy. Z odsetkami.

Matt napisał na skrawku papieru. Dług do oddania: \$5000. Będziemy, zapożyczeni po uszy - powiedział kiedyś Peter. I to prawda. Byli u kresu możliwości kredytowych. Rodzice Elizabeth byli ostatnią deską ratunku.

- Zadzwoń do nich - odezwał się w końcu. - Twój ojciec na pewno mi powie, że trzeba było posłuchać jego rad.

- On lubi mieć rację - odparła Elizabeth.

Matt podniósł głowę i zauważył u niej niewielką zmarszczkę między brwiami. Po raz pierwszy, odkąd weszła do gabinetu, naprawdę się jej przyjrzał. Czyżby straciła na wadze? Wyglądała szczupło i blado, choć może to wrażenie wywołał jej strój: prosty, omalże surowy, czarny kostium, albo sposób, w jaki się uczesała: włosy upięte do tyłu, przytrzymane dwoma srebrnymi grzebykami, ale Matt nie był tego pewien. Tak ciężko harowali w redakcji i w domu, jadali byle kiedy, spali niespokojnie, nie mieli czasu na relaks ani życie towarzyskie, ledwo wygospodarowali godzinę, najwyżej dwie dla Petera i Holly - prawdopodobnie on sam też wyglądał mizernie.

- Ale nie miał racji - nagle powiedziała Elizabeth. - Postąpiliśmy dokładnie jak trzeba i ja się z tego bardzo cieszę. Uwielbiam z tobą pracować, nawet jeśli miejsce pracy przypomina dżunglę afrykańską, gdzie woda w rytm tam-tamów kapie do wiader...

Zaśmiał się.

- A ja uwielbiam żonę, która umie żartować, gdy jest urwanie chmury, i wyglądać efektownie, gdy mówi na temat ciężarówek.

- Jak nie przestaniesz, to cię pocałuję - powiedziała Elizabeth. - I Cal sfotografuje nas z helikoptera i zamieści nasze zdjęcie na stronie tytułowej.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Jesteś nadzwyczajna - pochwalił ją Matt. - Dziękuję ci. Po raz pierwszy dziś od rana poczułem się dobrze na tym świecie.

Elizabeth podeszła do dzbanka z kawą stojącego w rogu gabinetu i napełniła płynem dwa styropianowe kubki. Powąchała. - Jak długo tu stoi?

- Ze cztery godziny. Zajęty byłem, nie zwracałem uwagi.

- Zaparzę świeżej. - Wyszła z gabinetu i wróciła niosąc pojemnik z wodą, którą nabrała ze źródła. - Matt, czy możemy porozmawiać o czymś innym?

Przyniosłam próbki stron do wyrywania; chciałabym, żebyś rzucił na nie okiem; powinniśmy czym prędzej je drukować. I coś trzeba postanowić a propos działu politycznego. - Herb Kirkpatrick musi dostawać więcej wskazówek, bo nie pisze tak dobrze jak mu się wydaje - no i sprawa mojej rubryki: chciałabym...

- Nie jest to odpowiedni moment, żeby to omawiać... odparł Matt bagatelizując ją.

Odwróciła się trzymając w ręce dzbanek z kawą. - Niby dlaczego?

- Dopiero co powiększyliśmy nasze imperium o nowy dług. Czy to jest odpowiedni moment, żeby rozmawiać o rozwoju? Ważniejsze jest teraz, żeby przetrwać, a nie wprowadzać innowacje i twoją rub... - Ugryzł się w język. -Do diabła, przepraszam, kochanie. Wiem, że ta rubryka jest dla ciebie czymś ważnym. Ale ja usiłuję jakoś związać koniec z końcem.

- Ty usiłujesz? A ja niby co robię?

- Ty mówisz o wydawaniu pieniędzy. Nie krytykuję ciebie, ale jedno z nas musi myśleć perspektywiczenie.

- I ty to robisz, tak? - w głosie Elizabeth czuło się chłód. - A moje i pomysły, żeby pismo stało się bardziej atrakcyjne i przyciągało więcej czytelników i ogłoszeniodawców... - Twoje pomysły wymagają pieniędzy.

- Pewnie, że tak. Ale to ty z nas dwojga chciałeś powiększyć nakład I gazety o sto procent w ciągu roku.

- Do diabła, nie wypominaj mi tego w takim momencie! Jestem do tyłu o jedną ciężarówkę, muszę zrobić nowy dach... - Ty jesteś do tyłu? Ty musisz zrobić nowy dach? - My. My musimy zrobić nowy dach. Wiesz, że to miałem na myśli.

Elizabeth nie odzywała się. Parę minut wcześniej cieszyli się z przyjemnością z wspólnej pracy. Ale każdy medal ma dwie strony. Może za bardzo jesteśmy razem: w pracy, przy stole, w domu... może działamy sobie na f nerwy.

- Niech się tylko zajmę sprawą ciężarówki - powiedział Matt - i dachu. Muszę jeszcze zrobić bilans za ten miesiąc i kwartalne sprawozdanie - kiedyś będzie nas stać na to, żeby zatrudnić ekonomistę - i obiecałem Dunphy'emu,

że rzucę okiem na ten powiększalnik... a wtedy porozmawiamy o twojej rubryce. I innych twoich problemach.

- Nie mam innych problemów, z którymi sobie nie umiem poradzić - odpowiedziała Elizabeth prawie z rezerwą. - To znaczy, jeśli się za nie zabiorę. Będę przy biurku, gdybyś mnie potrzebował.

Przez resztę dnia pracowali osobno. Matt zadzwonił do Spencera i jeszcze tego samego popołudnia wspólnie wyszukali i kupili używaną ciężarówkę. Spencer pomachał kartką, na której Matt napisał na maszynie: dług do oddania.

- Prywatna pożyczka, Matt. Oczywiście, że gdybyś mnie posłuchał... a do licha, cofam to słowo! Obiecałem Lydii, że nie będę do tego wracał. Nie powiesz jej o tym, dobrze? I nie spiesz się z oddawaniem. Uważamy, że stanowicie we dwójkę dobrą inwestycję. Stawiamy na was.

Stawiają na nas - pomyślał Matt, gdy później tego popołudnia jego sekretarka umówiła dekarza. Mógł w końcu zasiąść do lektury stosu artykułów, jaki się piętrzył na jego biurku. Elizabeth zredagowała większość i z nich i te przejrzał jako pierwsze, odczytując naniesione przez nią ołówkiem poprawki, nim zabrał się za resztę. Była niewiarygodnie dobra - za dobra, i żeby redagować czyjeś artykuły. Powinna sama pisać. - Pisać - pomyślał. - Mieliśmy porozmawiać na temat jej rubryki.

Ale w momencie, gdy wstawał od biurka, do gabinetu wparował Herb Kirkpatrick. Elizabeth zleciła mu napisanie reportażu z wystawy rzemiosła I w Taos, bo Artner gdzieś znikł, ale dlaczego jemu? Ma on przecież do I napisania artykuł z własnej działki: o politycznym wysięgu szeryfa do...

- Proszę się uspokoić - powiedział Matt. Nie chciał zadzierać z Kirkpatrickiem, chciał się z nim dogadać. Zresztą dlaczego, u licha, on ma łagodzić sprawy dotyczące Elizabeth? - Herb, na spółkę z żoną pełnimy funkcję sekretarza redakcji. Ona prócz tego zajmuje się działem publicystyki. Jeśli coś panu zleca, to niech to pan, do cholery, robi.

- Jestem specjalistą od polityki - oświadczył Kirkpatrick. - Mam w dupie sztukę i rzemiosło.

- Będziemy się więc zwracać do pana tylko w nagłych wypadkach. - Kiedy Kirkpatrick znów zaczął protestować, Matt wstał. - Herb, to jest polecenie służbowe. Jest pan reporterem. Proszę pisać tekst. Spojrzeli sobie w oczy; Kirkpatrick pierwszy odwrócił wzrok. - Nawiasem mówiąc - dodał Matt - czy Cal kogoś uprzedził, że dziś po południu bierze sobie wolne?

- Nie - krótko odparł Kirkpatrick, zakręcił się na pięcie i wyszedł.

O ósmej Matt mógł wreszcie wyjść z redakcji. Elizabeth wyszła wcześniej, o siódmej. Kiedy dotarł do domu, zastał ją przy stole z Holly i Peterem.

- Czy współnik może prosić o wybaczenie? - zapytał. - Czy mąż może się przysiąc i zjeść kolację ze swoją rodziną?

- Dwa razy tak - powiedziała Elizabeth z uśmiechem i przelotnie się pocałowali, zanim usiadł. Ale atmosfera nadal była napięta i nie było czasu, żeby naprawić wszystko od razu. Cały wieczór omawiali kryzysowe sytuacje minionego dnia i ustalali plan pracy na dzień następny. Rano zaś zaraz po przyjeździe do redakcji pracowali osobno, pisząc i dokonując na ostatnią chwilę poprawek, by zdążyć przed czwartą trzydzieści, kiedy to Axel Chase rozpoczynał druk. Dopiero gdy numery pisma wyszły spod prasy, zostały powiązane w paczki i wyekspediowane do setek punktów kolportażowych w Santa Fe i okolicznych miasteczek, mogli wreszcie spokojnie usiąść w gabinecie Matta i napić się kawy mając przed sobą na biurku każde własny, świeży, jeszcze nie rozpakowany numer *Chieftaina*.

Matt wyciągnął rękę i Elizabeth wsunęła w nią swoją dłoń.

- Zwariowany tydzień - westchnął - ale ty byłaś fantastyczna. Jesteś najlepszym redaktorem, najlepszym współnikiem, jakiego sobie można wymarzyć. Przepraszam za moje humory. Jeszcze to wszystko musisz znosić.

- Miłość zwycięża humory - zauważyła Elizabeth. - Uważam, że razem jesteśmy całkiem do rzeczy. - Ja też tak uważam. No to porozmawiajmy teraz o twojej rubryce. - Najpierw odprężmy się. - Popijając kawę Elizabeth rozpakowała pismo. Twarz jej zamarła. - Matt.

- Co? - Idąc za jej wzrokiem zobaczył pismo do góry nogami; rozerwał swoje. Razem wpatrywali się teraz w fotografie zamieszczone u dołu strony tytułowej: dwa wielkie zdjęcia przedstawiające tańczących Indian z napisem u góry: *jedyny widok świętego tańca z lotu ptaka* i pod spodem artykuł opatrzone datą i miejscem imprezy: Nambe Pueblo i nazwiskiem autora: Cal Artner.

Elizabeth w życiu nie widziała u Matta takiej furii. U niej gniew przybrał formę twardej grudy w żołądku. Panowała jednak nad sobą, by uspokoić reakcje Matta. Najpierw gotów był wszystkich wyrzucić z pracy. Później, w domu, nieco ochłonął. Gdy jednak zadzwonił do nich adwokat reprezentujący Indian Nambe i zagroził, że wytoczy ich pismu proces, Matt znów 1 zawrzał. Elizabeth chciała czymś rzucić, na kogoś wrzasnąć, dać ujście własnej frustracji, że przeciwstawiono się ich woli, ale nie mogła sobie pozwolić na żaden z tych cudownie uwalniających od stresu wybuchów: miast tego musiała zaparzyć kawę, usiąść przy kuchennym stole i spokojnie rozmawiać z Mattem. - Musimy zwolnić Cala.

Matt przytaknął, jego nastrój oscylował między furią a podejrzliwością.

- Bezwarunkowo. Cal leci na pysk. Ale kto jeszcze? Ktoś przecież zrobił nowy skład po tym, jak zatwierdziłaś stronę tytułową i wysłałaś do hali drukarni, a Axel Chase zrobił nową płytę... Oczywiście, gdybyś tego dopilnowała...

- A cóż to znowu? - Elizabeth wyprostowała się na krześle. - Czy mnie też zamierzasz wyrzucić?

- Powiedziałem, że nie dopilnowałaś. Dopilnowałaś?

- Każdą stronę sprawdziłam i podpisałam, a po zrobieniu płyt każdą sprawdziłam i podpisałam. Kiedy numer poszedł do druku, założyłam, że...

- Błędnie. Odetchnęła głęboko.

- A co robił w tym czasie Matthew Lovell, redaktor naczelny? Dlaczego sam tego nie dopilnował i nie sprawdził każdej strony gazety, jak tylko wyszła spod prasy?

- To należy do obowiązków sekretarza redakcji:

- Którą to funkcję pełniemy wspólnie. Ja zrobiłam swoją połowę. Czy mówisz, że powinnam była zrobić wszystko, abyś miał na kogo zrzucić winę, kiedy wytoczą nam proces?

- To nie jest kwestia winy, ale tego, czy zachowujemy się jak profesjoniści, czy jak amatorzy.

- Uczymy się profesjonalizmu. I popełniliśmy pomyłkę. Wiedzieliśmy, że z Calem będą kłopoty. Myślę, że kiedy wczoraj nie przyszedł, trzeba było się wykazać większą czujnością.

- Jesteś jego szefową. Czy próbowałaś go odnaleźć?

- Oboje jesteśmy jego szefami. Nie, nie próbowałam. Byłam wczoraj bardzo zajęta, zbierałam wszystkie materiały do numeru i jeszcze musiałam tracić czas na idiotyczne dyskusje z Herbem Kirkpatrickiem, czy kobieta ma prawo zlecać mu pisanie artykułu, na którego napisanie nie ma ochoty.

- Stałem po twojej stronie.

- Naprawdę? Czy powiedziałaś mu, że zajmuję się działem publicystyki i i ma się stosować do moich poleceń? - Tak.

- Tak? - Elizabeth odebrało mowę. - Naprawdę?
- W trzech słowach. Zmarszczyła brwi.
- Mówił mi coś innego.
- A co mówił?
- Że ty mu powiedziałaś, że nikt inny by się tego nie podjął na pięć przed dwunastą i że mu obiecałaś, że za tydzień dostanie więcej miejsca na artykuł o szeryfie.

Matt wybuchnął śmiechem.

- Ale z niego niezła sztuka! Powiedziałem mu jedno: że jest reporterem i polecono mu napisać reportaż i niech go, do cholery, pisze.

Po chwili Elizabeth odchyliła się na krześle.

- Szkoda, że mi tego nie powiedziałaś wczoraj.
- Miałem inne problemy na głowie. Zbyt serio wszystko traktujesz, kochana.
- Czyżby? Ciekawe, jak nazwałbyś faceta, który mówi do własnej żony takim tonem, jakby ją zamierzał wyrzucić z pracy, a która jest, nawiasem mówiąc, jego współniczką?

Matt chrząknął.

- Powiedziałbym, że upadł na głowę. Po pierwsze nie mógłbym cię zwolnić, bo jesteś współwłaścicielką. Po drugie, mój Boże, Elizabeth, przecież nie dałbym sobie rady bez ciebie. Potrzebne mi twoje opanowanie... jesteś dla mnie partnerką do rozmowy... - Zmarszczył brwi. - Co mi znowu przywodzi na myśl rozeźlonych Nambe. Co robić, do diabła?

- Zamieścimy przeprosiny drukiem.

- To nie starczy.

- No to damy im pełną satysfakcję. Nie mamy szansy z nimi wygrać; wina jest wyraźnie po naszej stronie.

- Jaka szkoda, że jeszcze nie piszesz do swojej rubryki. Mogłabyś nakreślić portret jakiegoś ich przywódcy i wraz z przeprosinami na pierwszej stronie mogłoby ich to udobruchać i wycofałoby pozew. Nie stać nas na proces sądowy: nie mamy pieniędzy i potrzebujemy rozgłosu, ale pozytywnego.

Elizabeth powiodła palcem po brzegu kubka do kawy.

- A kto mówi, że nie piszę do mojej rubryki?

- Ty tak mówiłaś. Powiedziałaś, że czekasz, aż porozmawiamy na ten temat.

- Ależ ja już teraz mogłabym zacząć pisać. Dlatego podczas naszej ostatniej rozmowy wspomniałam o mojej rubryce. Kiedy sprzeciwiłaś się pomysłowi Cala z helikopterem, pomyślałam, że najlepszą rzeczą byłoby nakreślić portret jakiegoś przywódcy Indian Nambe.

- I to chciałaś ze mną omówić? A ja myślałem, że się po prostu niecierpliwisz, choć zgodziłaś się poczekać dwa miesiące.

- To było nieporozumienie - cicho odparła Elizabeth.

- Nie! - krzyknął Matt znad kubka z kawą. - Zbyt często się kłócimy. Miało być tak wspaniale... dlaczego tak nie jest, jak myślisz?

- Nie jest?

- Nie całkiem. Nie zawsze.

- Jesteśmy zbyt często razem. Może dlatego, że nie mamy jak się odseparować. Inni ludzie separują się od pracy udając się do domu, albo z domu idąc do pracy, ale dla nas to niemożliwe. No i obciążamy się nawzajem wszystkimi problemami.

- To ja cię najczęściej obciążam - powiedział Matt. - Zaslugujesz na coś lepszego.

- Lepszego męża? Ja kocham go, jaki jest.

- Zdumiewające. Ja też kocham cię, jaka jesteś. Wstał i przyciągnął ją do siebie. - Przepraszam, że ci sprawiłem przykrość. Przepraszam, że ci utrudni nam życie.

- Ty mi upiększasz życie.

- Nie zawsze, wiem o tym; nagromadziło się dużo spraw i przestaję dostrzegać to co najważniejsze... ale zawsze najważniejsza jesteś ty, kochana, nawet jeśli czasem się zdaje, że tak nie jest. - Ich usta dotknęły się, najpierw lekko, potem coraz mocniej. - Spać - wymamrotał Matt. - Niewiele czasu zostało do rana.

- Dobra myśl. Zgasisz światło? - Kiwnął głową. Wyślizgnęła się z jego objęć. Mięśnie ją bolały ze zmęczenia, ale czuła w sobie ciepło po tej rozmowie. Przeciągnęła się w łóżku, mając oczy zamknięte słuchała, jak Matt chodzi po sypialni, otwiera okna i nakręca zegarek, rozbiera się. Wsunął się pod kołdrę.

- Nie śpisz? - zapytał. - Masz gonitwę myśli. Nie otwierając oczu powiedziała.

- Skąd wiesz?

- Drgają ci powieki, piękne usta się uśmiechają, nos się marszczy. Otworzyła natychmiast oczy.

- Mnie się nos nie marszczy. Pocałował ją w czubek nosa.

- Wiem. Chciałem sprawdzić, czy słuchasz.

- Zawsze słucham, gdy mojemu mężowi zbiera się na miłość.

- Skąd wiesz?

- Bo nie zgasił światła. Matt zaśmiał się cicho.

- Już się nic nie da ukryć. Nie czujesz się zmęczona?

- Ostatnio jestem ciągle zmęczona. Nie zwracam na to uwagi. A ty?

- Zmęczony, ale nie zwracam na to uwagi. Chciałbym, żebyśmy wyjechali gdziekolwiek na parę dni, tylko we dwoje.

- Wyjedziemy. Kiedy się wszystko uspokoi, znajdziemy sekretarza redakcji, zacznę pisać do rubryki i będziemy mieć pieniądze na waka...

- Przestań. Przepraszam, że o tym wspomniałem. - Oparłszy się na łokciu Matt odsunął na bok kołdrę i popatrzył na smukłe ciało żony o delikatnych kościach, którego kontur ledwo się rysował w miękkim świetle nocnej lampki. W gorączkowym okresie, kiedy kupowali *Chieftaina*, oboje skończyli czterdziestkę. Elizabeth była szczupła jak dziewczyna, o ciele jędrnym i giętkim dzięki nartom i tenisowi - ale kto miał teraz czas na uprawianie sportów? - Pomyślał z żalem Matt. Jej uroda była bardziej dojrzała niż tej młodej dziewczyny, z którą brał ślub. - Niezwykła kobieta - powiedział do siebie i pochylił głowę, żeby pocałować jej piersi. Uśmiechnął się, gdy sutki stwardniały pod dotykiem jego języka. - Wcale, ale to wcale nie zmęczony - wymamrotał.

- O czym miałam gonitwę myśli? - Elizabeth zapytała i znów zamknęła oczy i poddała się jego ustom i dłoniom, które wodziły po jej ciele. Powoli przesunęła dłoń wzdłuż jego pleców i wokół wąskich bioder. Gdy się złączyli, wydawało się im, jakby przeżywali coś nowego, czynili to pierwszy raz, Matt pocałował Elizabeth i powiedział:

- Kocham cię.

Następnego dnia o siódmej trzydzieści rano byli w redakcji czekając na pracowników. Matt w gabinecie pozrywał suche liście ze zmizerowanego fikusa, którego poprzedni właściciel zostawił po sobie na pamiątkę.

- Czy pamiętasz, o której miał przyjść adwokat reprezentujący Nambe?

- Około jedenastej. Porozmawiam z nim, jeśli chcesz, i powiem mu o mojej rubryce: może mi zasugerować osobę, z którą warto przeprowadzić wywiad.

- Myślę, że oboje powinniśmy z nim porozmawiać, ale ty możesz zacząć.

- A ty się zajmiesz zwolnieniem Cala? Zaśmiał się cicho.

- Ponieważ uczymy się partnerstwa, powinniśmy to zrobić wspólnie. Ale o wilku mowa.

Artner wchodząc do redakcji z Barneyem Kellem mówił o czymś bez przerwy, rozglądał się na boki, lecz pominął wzrokiem Matta i Elizabeth. Barney miał twarz poważną, gdy zaś przyszedł Herb Kirkpatrick, wraz z Wallym stanęli przy ekspresie do kawy i zostawili Artnera samego. Zaraz wszedł drukarz Axel Chase, a za nim kierownik działu ogłoszeń, kierownik produkcji i dwóch fotografów. Nikt nie zbliżył się do Artnera, który stanął przy swoim biurku i w dłoniach przesunął ołówki.

Matt podszedł do drzwi.

- Proszę do środka, Cal - powiedział. Jego głos rozległ się w całej sali redakcyjnej. Ale do środka weszli wszyscy i stanęli w kręgu wokół Artnera, jakby chcieli go chronić.

Mattowi zeszywniał kark. Stał mając u boku Elizabeth, pokój zaś podzielił się na dwa fronty, z jego biurkiem pośrodku. Matt przyglądał się pracownikom, których do środka nie zapraszał chcąc ich zwolnić. W myślach

otrząsnął się jednak. Do licha, pismo było nieduże, a sprawa dotyczyła wszystkich.

- Ponieważ zrobiło się z tego zebranie załogi - powiedział wyważonym głosem - omówimy teraz punkt pierwszy i będziemy kontynuować resztę na regularnych zebraniach co piątek w sali redakcyjnej, gdzie jest dość krzeseł dla każdego.

Nikt się nie odezwał.

- Cal, przypuszczam, że pan już wie, że pan tu nie pracuje. W głowie mi się nie mieści, po cholere panu było wycinać ten kretyński numer, po tym, kiedy wyraźnie tego zakazałem, i przykro mi, bo jest pan dobrym reporterem, ale nie może pan być moim - naszym - pracownikiem i zachowywać się tak, jakbyśmy dla pana nie istnieli. Załoga albo wykonuje polecenia, albo zostaje zwolniona. Proszę opróżnić biurko. Ma pan czas do dziesiątej.

- Matt - Barney Kell miał wygląd zatroskanego ojca. - Czy nie przemyślałby pan tego jeszcze przez chwilę? My nie chcemy...

- Już przemyślałem - uciał Matt. - Z Elizabeth o niczym więcej od wczoraj nie rozmawiamy, od chwili, gdy zobaczyliśmy ostatni numer pisma.

- Do jasnej cholery - wypluł z siebie Herb Kirkpatrick. - Czy pan nie widzi, że stoimy po stronie Cala? Nie zgadzamy się na żadne arbitralne zwalnianie z pracy...

- Nie tym tonem - Barney ostrzegł Kirkpatricka. - Matt, to jasne, że Cal nie powinien był tego robić, on wie o tym i jest gotów przeprosić i obiecać, że to się nie powtórzy. Ale my nie chcemy, żeby tu kogoś wyrzucać z pracy.

- Nas to niepokoi - dodał poważnie Bill Dunphy. - Jeśli pan wyleje jednego z nas, wszyscy się poczują zagrożeni. Pracuje się lepiej, wie pan, jak ma człowiek poczucie bezpieczeństwa.

Axel Chase wpadł w ten sam ton.

- Każdy powinien mieć szansę, żeby się poprawić. Żeby w ten sposób karać kogoś za jedno potknięcie...

- To było coś więcej niż potknięcie - zaproponował Barney.

- Cokolwiek by było - powiedział Kirkpatrick przeciwstawiając się Mattowi - wszyscy sobie pójdziemy stąd, jeśli Cal wyleci.

- Ja nie... - zaczął Barney, ale przerwał nagle, poczuwszy się nieswojo, nie trzymając z resztą. Artner triumfująco spojrział na Matta. Elizabeth zaś zauważyła, że proste plecy Matta zaczynają się kulić, jeszcze nie w garb, ale tracą sztywność. Położyła mu na ramieniu dłoń i zauważyła, że drżą jej palce.

- No to co? - Mogłoby przepaść wszystko - i powiedziała, jakby byli sami we dwoje.

- Będziemy pracować i wydawać *Chieftaina* sami, dopóki nie zatrudnimy nowych pracowników. Artner przeniósł wzrok z twarzy Matta na jej twarz. Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

- Nie stosuje się pan do poleceń służbowych. Gwałci pan indiańskie święta i jeszcze innych podburza, żeby szkodzili naszemu pismu. Ma pan ode mnie order: blaszaną gwiazdkę szeryfa. Czuje się pan dumny z siebie i dorosły?

- Dobra robota - powiedział pod nosem Wally McLain.

- Mam to w dupie - wypluł z siebie Artner. - Jednej strony by pan nie wydrukował bez nas. Kto utrzymywał to piśmidło przy życiu, kiedy pan z żoną zabawiał się w redaktorków?

- Cal, przestań! - rozkazał Barney.

- Dobra rada - powiedziała Elizabeth. - Proszę się do nas nie odzywać jak do...

- Pieprzę to, damulko. Zwolniła mnie pani, prawda? Będę więc mówił, co mi się podoba. Mielicie szansę, dwoje bobasków na leśnej polance, żeby się wybić na najlepsze pismo w całym Nowym Meksyku, i przestraszyliście się. Gdybyście dali mi funkcję sekretarza redakcji po tym, jak Engle odszedł, wszystko by tu chodziło jak w zegarku. Ta posada miała być moja! Czekałem na nią pięć lat, aż tamci dranie ją sprzedali parze zepsutych, bogatych palantów - jeszcze na dodatek małżeństwu! Pitu-pitu, gruchanie przy biurku-czku, cały teatr, a kiedy im się znudzi, to kogoś sobie zatrudnią z zewnątrz. Prawda? A nie kogoś, kto czeka pięć pieprzonych lat.

- Zamknij się, Cal - Kirkpatrick spojrział na Elizabeth. - On mówi, że nie podoba mu się, aby ludzie z zewnątrz obejmowali stanowiska, na które my się nadajemy.

- Słyszałam, co mówi - ucieła Elizabeth. - Pismo było bliskie upadku. Stwierdziliśmy, że potrzebny jest sekretarz redakcji, który nie jest obciążony przeszłością i będzie potrafił, jeśli to będzie konieczne, zmienić wszystko. -Matt obserwował ją, jak odetchnęła głęboko. - Nie jesteśmy bogaci i nie bawimy się w teatr. Od dawna marzyliśmy o tym, żeby mieć na własność czasopismo i próbujemy je podreperować, choć nie mamy wiele kapitału ani doświadczenia. To prawda, że wiele się musimy nauczyć: przyznaliśmy się do tego na samym początku. Ale nie jesteśmy ani ignorantami, ani głupcami. Wiemy, co chcemy robić, i wiemy bez wątplenia, jak to robić. I nikt tutaj nas nie powstrzyma ani nie zniszczy tego, co już zaczęliśmy robić. - Oddychała coraz szybciej. — Każdy z was może sobie od razu iść i nie wracać, ale to nie zlikwiduje pisma. Będziemy wydawać dwie strony, jeśli nie zdołamy więcej -nieważne ile stron, o ile będzie miało tytuł *Chieftain*, i będziemy je wydawać co tydzień, dopóki nie znajdziemy nowego zespołu i nie wrócimy do pełnej objętości. Bo może panowie chcą to pismo wykończyć, ale my do tego nie dopuścimy.

- Fantastycznie! - wykrzyknął Wally. - Na Boga!

- Fantastycznie? - sarkastycznie zawtórował Kirkpatrick. - Wyrzucić z pracy cały zespół?

- Nikogo nie wyrzucamy, z wyjątkiem Cala - powiedziała Elizabeth. -Jeśli reszta odejdzie, to z własnej woli. A my we dwoje będziemy...

- Troje! - huknął Wally. - Ja zostaję.

Za biurkiem Matt odszukał dłonią rękę Elizabeth. Stojąc blisko siebie ściskali się za ręce wyrażając tym wzajemne wsparcie. Uśmiechnął się do niej, po czym zwrócił się do Wally'ego.

- Cieszymy się, że jest pan z nami. Pozostali mają do dziesiątej czas, żeby ię wynieść.

- Matt, niech pan nie będzie głupcem! - ryknął Barney.

- Głupcami są ci, co odchodzą przez Cala. - Matt obrzucił wzrokiem ich warze. - Nie lubią się panowie martwić o przyszłość! Ja też nie lubię. Wszystko, co mamy, włożyliśmy w to pismo. Sprzedaliśmy dochodowy akład i wzięliśmy kredyt pod dom, jesteśmy po uszy w długach, pracujemy o dwadzieścia godzin na dobę, aby bardziej nie ugrzęznąć. Ale panowie nie ubią się martwić o przyszłość. No więc jest na to sposób, żeby o nią zadbać, mogą panowie wziąć się do roboty tak jak my i zapewnić sobie posady jracując nad sukcesem pisma. Jeśli panowie sobie z tym nie poradzą, my panów nie potrzebujemy. - Spojrzał na zegarek. Dochodzi dziesiąta. Proszę ię zbierać do wyjścia. Elizabeth i Wally, czeka nas praca.

Nikt się nie poruszył. Bill Dunphy odchrząknął.

- Jeśli państwo nie mają nic przeciwko temu, wolałbym tu zostać. Nawet dwustronicowe piśmko musi mieć fotografie.

Matt skinął głową.

- Kto zrobił zdjęcie tańca Indian Nambe?

- Nie wiem, proszę pana. Nikt mi nie mówił.

- Dobrze, wierzę panu. Cieszę się, że pan zostaje.

- No więc - Barney zaszurał nogami. - Ja też nie chcę odchodzić. Dokąd pójdę w moim wieku? Zresztą podoba mi się pana sposób bycia, Matt, i pani styl, Elizabeth. Chodziło o - no wiecie - solidarność pracowniczą. Ale jasne, że w każdej redakcji pisma ktoś musi rządzić...

- Ty gnoju - mruknął Artner.

Szuranie nogami przeniosło się na drugą stronę gabinetu.

- Chcę zostać, jeśli państwo się zgodzicie.

- Z przyjemnością - odparł cicho Matt.

- Hmmm - Kirkpatrick niezręcznie zamruczał. - Może ja... - Herb, do licha! - zagrział Artner.

- Będą państwo potrzebowali prima wiadomości z polityki - zaczął Kirkpatrick. -

Nie mógłbym odmówić państwu moich umiejętności, bo są

wam naprawdę potrzebne. Matt i Elizabeth mieli kamienne twarze, ściskali sobie

tylko ręce. - Dobrze, że pan tak stawia sprawę - powiedział Matt. Pojedynczo

pracownicy przechodzili na drugą stronę pokoju. Jedyne Axel Chase się nie ruszył.

Miał cierpiącą minę, która zdradziła Elizabeth, że maczał w tym palce:

prawdopodobnie on właśnie jako drukarz pomógł Calowi złożyć tę nową stronę. Ale nie mieli na to dowodu i potrzebowali drukarza.

Jednak Chase nie czekał, aż go wyrzucą.

- Jestem po stronie Cala - powiedział buńczucznie. - Możecie sobie drukować pismo beze mnie. Nie podoba mi się, żeby ludziom dawać kopa po latach pracy...

- Oszczędź sobie płuca - zachrypiał Artner. Spojrzał na Matta. - Ty pierdolony draniu, jeszcze ci pokażę. - Matt bez słowa spojrział na niego. - Nie zapominam jak mi się ktoś narazi - zagroził mu Artner, po czym opuścił gabinet. Za nim wyszedł Chase i znikł w drukarni. Pozostali, zaszokowani żądzą odwetu Artnera obserwowali go, jak otwiera z hukiem szuflady w swoim biurku i wrzuca do kartonowych pudeł papiery, ołówki, fotografie kubek na kawę, zniszczoną parę obuwia, aż Elizabeth, zdając sobie sprawę że go bezwiednie śledzi, odwróciła się.

- Powinniśmy zwołać zebranie załogi - odezwała się do Matta. - Jeśli każdy znajdzie sobie miejsce, żeby gdzieś przysiąść...

Znaleźli sobie miejsca na zdezelowanej sofie, obitym skórą krzesło, dwóch składanych krzesłach i głębokich wnekach, okiennych. Zza rogu biurka Matta, Elizabeth rozejrzała się dookoła siebie. Mieli bardzo mało pracowników, nie mieli sekretarza redakcji, nie mieli drukarza, mieli zaledwie trzech reporterów. Ale w tej chwili to się nie liczyło. Ponieważ - pomyślała - po raz pierwszy *Chieftain* jest prawdziwie nasz.

Dni się wydłużyły. Peter i Holly spędzali czas w połowie u dziadków i w domu rodzinnym, natomiast ich rodzice siedzieli w redakcji do północy lub dłużej. Każde z nich wykonywało swoją pracę, wspólnie pełnili funkcję sekretarza redakcji, w dziale politycznym zastępowali Artnera, w drukarni Chase'a: Elizabeth pomagała przy produkcji płyty, Matt zaś drukował pismo.

- Już myślałem, że do tego nie wrócę - żalił się do Elizabeth pierwszego dnia po odejściu Chase'a. Miał ręce i koszulę utyłane farbą drukarską, oczy ze zmęczenia, jak i u niej, w czerwonych obwódkach. Tygodnik natomiast ukazał się z dwugodzinnym opóźnieniem i kierowcy niecierpliwie czekali przez ten czas w ciężarówkach dostawczych w doku załadowniczym na tyłach budynku. -

Przynajmniej znam się na robocie. Chyba powinienem odczuwać wdzięczność do taty. Tym razem byłby ze mnie dumny.

- Byłby dumny z wszystkiego, co robisz - powiedziała Elizabeth. - I wszyscy są z ciebie dumni. Tylko się rozejrzyj. Rozejrzał się i zrozumiał, co miała na myśli.

Główna sala redakcyjna wyglądała jak na przyspieszonym filmie: wszyscy próbowali robić wszystko na raz, zamiast czekać, aż wykonają to inni. Elizabeth i Matt rozkręcili całą załogę. Elizabeth na kilka godzin zostawiła swój dział publicystyki, sama zaś stanęła przy stole metrapaży i łamała szpalty. W trakcie tej pracy uczyła się widzieć w wyobraźni całą stronę i nalepiać w odpowiednim miejscu artykuły, nagłówki i fotografie, przewidując układ graficzny pozostałych stron, na których trzeba było zamieścić dalszy ciąg artykułów, tak aby się ładnie komponowały z innymi nagłówkami, fotografiami i ogłoszeniami wymiarowymi. Matt zaś zostawił swój oszklony gabinet i uruchomił prasę, dokonując nawet pewnych napraw

mechanizmu, co mu świetnie się udało po szesnastu latach kierowania nakładem poligraficznym Lovella, dla reszty załogi było to chińszczyzną. I tak zawojowali całą załogą począwszy od recepcjonistki, a kończąc na Serbie Kirkpatricku. Nie czując już rezerwy wobec nowych szefów, zespół się zgrał, dawał z siebie wszystko, stał się wspólnotą.

- To dzięki Axelowi, niech mu ziemia lekka będzie - powiedział Matt po pierwszym szalonym tygodniu pracy. - Staliśmy się prawie rodziną.

- To dzięki tobie - powiedziała Elizabeth, ale Matt odbił piłeczkę.

- Nie, to dzięki tobie - i zrobił się z tego małżeński żarcik. Nawet gdy w końcu zatrudnili nowego drukarza, i Matt powrócił do swego gabinetu, a Elizabeth na dziennikarski stółek, nikt z załogi nie zapomniał widoku Matta Lovella, redaktora naczelnego, całego w farbie drukarskiej, i Elizabeth Lovell, szefowej działu publicystyki, stojącej przy stole i łamiącej szpalty, gdy wszyscy inni szli do domu.

- Poradzili sobie - mówili za każdym razem, gdy ktoś to wspominał. - Udało im się. Naprawdę sobie poradzili. Jak profesjonaliści.

Indianie Nambe oraz ich adwokat przedyskutowali sprawę i zgodzili się na propozycję Lovellów, żeby zamieścić na stronie tytułowej oficjalne przeprosiny i artykuł pióra Elizabeth prezentujący jednego z ich przywódców. Sam ten pomysł wydał im się fantastyczny i tylko pół dnia rozmów wystarczyło, żeby wycofali pozew z sądu i umówili na wywiad Edwarda Orteę, którego indiańskie nazwisko brzmiało Soe Khuwa Pin, to znaczy „Góra we Mgle”.

Ortega był zaprzyjaźniony z Peterem. - Był to jeden z Indian, który przy okazji załatwiania czegoś w Santa Fe woził go z pueblów po szkole i w weekendy; dlatego Peter towarzyszył Elizabeth, która przeprowadzała z Ortegą wywiad u niego w domu. Peter słuchał, zżymał się, kiedy jego matka zadawała dociekliwe pytania, chcąc ukazać prawdziwe oblicze Ortegi, które ukrywał pod maską postaci publicznej.

- Twoje pytania były zbyt osobiste - powiedział, gdy wracali do domu. Elizabeth skinęła głową.

- Czy zauważyłeś, jak się wykręcał od odpowiedzi, kiedy nie chciał czegoś wyjawiać? Powiedział jednak dużo. Czasem, rozumiesz, fotografia nie jest warta tysiąca słów. Niekiedy właśnie słowa, najtrafniejsze, najlepiej dobrane, potrafią pokazać czytelnikowi, jaki kto jest naprawdę.

Ale gdy później usiadła przy kuchennym stole, na którym ustawiła maszynę do pisania, słowa nie przychodziły jej do głowy. Przez wiele lat gdy wykonywała to na czyjeś zlecenie, pisała łatwo i lekko. Teraz, gdy miała to publikować we własnym imieniu, czuła się spięta, w głowie jej kłębiły się myśli; miała trudności, by znaleźć jakiś początek, szukała słów, rezygnowała z nich, szukała innych.

Zrobiło się późno; wszyscy już byli w łózkach. Wcześniej Peter i Holly weszli cichutko do kuchni, żeby życzyć мамie powodzenia przy pisaniu pierwszego artykułu do nowej rubryki, po czym zniknęli w sieni i przeszli do swoich pokoi. Matt skończył pracę, którą wzdął ze sobą do domu, przeczytał dzienniki z Nowego Jorku, Denver i Albuquerque, zapytał Elizabeth, czy chce z nim porozmawiać, ale gdy podziękowała, też poszedł spać.

Elizabeth siedziała sama przy sosnowym stole i rozkazała sobie, że ma się rozluźnić. Sosnowe szafki i obramowania meksykańskiej glazury w kolorze płowóżółtym odbijały światło padające z żyrandola; na siedzeniu we wnęce okiennej stały ustawione rzędem lalki Kachiną z kolekcji Holly i łypały na nią krytycznie czarnymi źrenicami. Z maszyny do pisania wystawała pusta kartka papieru.

O trzeciej nad ranem wszedł Matt zawiązując w pasie szlafrok i ujrzał, jak żona marszczy brwi wykreślając iksami całe zdanie. Wlał wodę do czajnika i postawił go na kuchence.

- Trema? - zapytał. Elizabeth zaśmiała się niepewnie.

- Coś w tym rodzaju. Przez tyle lat się skarżyłam, że nie mam możliwości pisania po swojemu. A teraz jestem sparaliżowana ze strachu.

Pocałował ją w czubek głowy.

- Dlatego jesteś lepsza od większości osób parających się pisaniem. Masz do tej roboty szacunek, nie lekceważysz jej.

- Dlatego jest mi trudniej - smutno skomentowała. - Nigdy sobie nie zdawałam sprawy, że jest wielkim komfortem - aż mi się wierzyć nie chce, że to mówię - pracować na czyjeś zlecenie, kto bierze odpowiedzialność za decyzję, czy to, co piszę, nadaje się do druku. - Ja też odkryłem, że wielkim komfortem była praca w zakładzie poligraficznym Lovella, kiedy ojciec zapewniał bezpieczeństwo.

Spojrzeli na siebie w kręgu światła wokół stołu. Z twarzy Elizabeth zniknął wyraz niezadowolenia i za chwilę parsknęli śmiechem.

- Oboje - powiedział Matt wlewając wrzątek do imbryka - mamy lęk przed wielkim światem, w którym się trzeba sprawdzić. - Dotknął policzka żony. - Bez ciebie nawet bym nie zaczynał.

Przytrzymała jego dłoń przy swoim policzku.

- Ani ja. Podnosimy się nawzajem na duchu, gdy ogarnia nas strach. Ale tym razem, Matt, jestem sama: tylko maszyna do pisania i ja z głową, w której huczy od słów. I nic nie umiem z nich sklecić.

- Posłuchaj mnie. - Nalał herbatę i usiadł naprzeciwko Elizabeth. - Mówię ci to nie jako twój mąż, ale redaktor naczelny, że jesteś cholernie dobra. Umiesz tak pisać, że słowa tańczą i śpiewają, umiesz tak autentycznie, prawdziwie odzwierciedlać charakter ludzi i miejsc, że gdy się czyta twoje opisy, to jakby się tam samemu było. Ze słowami potrafisz czynić cuda, pod warunkiem, że wierzysz w siebie. Teraz przestań się martwić o to, czy

potrafisz czy nie; pozwól, by słowa same wypływały z tego tajemnego miejsca, w którym się rodzą, i po prostu je notuj. Jeśli chcesz się bać, to czekaj do jutra, kiedy mi pokażesz swój artykuł, a ja ci powiem, co o nim myślę.

Elizabeth roześmiała się.

- Po tym, co teraz powiedziałeś, jakbyś mógł go skrytykować?

- Najlepsi pisarze mają złe dni - powiedział z uśmiechem od ucha do ucha. - I złe noce. Ale ja się nie martwię: pójdzie ci dobrze. - Stał za jej krzesłem, pocałował ją w kark i wsunął ręce pod bluzkę dotykając piersi. - Kocham cię i pragnę, ale zostawiam cię tu samą, żebyś mogła spokojnie pisać. - I zabierając ze sobą filiżankę z herbatą wyszedł z kuchni.

Oparłszy głowę na ręce Elizabeth gapiała się w maszynę do pisania i myślała o mężu. Matt znalazł sposób, żeby ją podnieść na duchu, dlaczego więc nie ogarnęła jej pasja twórcza? Dlatego, że czuła na sobie jego dotyk i go pragnęła. To co teraz było między nimi, ta odnowiona namiętność była czymś niezwykłym, porywającym, cennym jak skarb; kochała sam fakt, że kocha męża. - Mogłaby pójść do niego - pomyślała. - Już musi być z powrotem w łóżku i dopóki nie zaśnie...

Ale spojrzała wtedy na zdanie, które napisała na kartce wkręconej w maszynę, i gdy je przeczytała, słowa same zaczęły się układać w głowie. Cofnęła kartkę, żeby coś poprawić, i natrafiła na inne zdanie, które przez cały wieczór wydawało się jej nieudane. - Ależ to proste - pomyślała -dlaczego wcześniej nie wiedziałam, co z tym zrobić? I wtedy przyszło jej do głowy zdanie - Edward Ortega trzyma się swych marzeń jak alpinista skalnego występu - i już miała początek. Przynęła krzesło bliżej stołu.

- Najdroższy Matt, dziękuję ci - powiedziała cicho. I zaczęła pisać. „Sprawy prywatne” ukazały się w następnym czwartek i zajmowały jedną trzecią od dołu strony tytułowej *Chieftaina*. Ponieważ był to pierwszy artykuł w tej rubryce, we wstępie Elizabeth napisała: „Będą to portrety ludzi, którzy nie są na świeczniku. Ludzi z małych miasteczek i zapadłych wsi, oddalonych o kilometry od dolin i zaludnionych okolic. Ludzi biednych i zamożnych, pięknych i zwyczajnych, sfrustrowanych i zadowolonych z życia. Losy ich mogłyby być tematem książki lub filmu - ale prawie zawsze są to ich sprawy prywatne, pozostające nieznanne światu. Kiedy ich historia będzie opisana na łamach, jeśli zechcą być anonimowymi bohaterami artykułów, wystąpią pod zmienionymi nazwiskami. Ale czy to pod własnym nazwiskiem, czy pseudonimem, w »Sprawach prywatnych« podzielią się historią swego życia z nami wszystkimi. »Sprawy prywatne« dotyczą nas wszystkich”. Po tym wstępie zaczynał się artykuł.

„Edward Ortega trzyma się swych marzeń jak alpinista skalnego występu. Nie oderwał się od nich przez całe czterdzieści osiem lat swojego życia. Czarnowłosa, o ciemnych brwiach, bystrym wzroku, dostrzega wszelką

pretensjonalność, mówi szybko, śmieje się wesoło, do głębi oburza go niesprawiedliwość i snuje marzycielskie opowieści, które brzmią jak modlitewne zaklęcia, gdy roztacza wizję przyszłości swego ludu".

W dalszym ciągu artykułu Edward Ortega, przez własne, cytowane wypowiedzi i opisy Elizabeth, stawał jak żywy przed oczami czytelników. Ożył też jego dom: na wielkich obszarach pustynnych, gdzie dominują barwy różu, szarości i brązu, poprzedzielane gdzieniegdzie kępami zieleni, stoi pośród niewielkiej zabudowy za zakrętem szosy, po której obu stronach rozciągają się nierówne poletka uprawne i łąki, w dobrych latach nawadniane przez kręty strumień, jaki spływa z szarych gór. Elizabeth wplatała w swój tekst opowieści Ortegi o przeszłości i życiu współczesnym Indian, ich miłościach i legendach, wojnach i świętach; o Anglo-Amerykanach i Hiszpanach, którzy mieszkali w okolicach puebla przyciągając do siebie młodych ludzi i utrudniając starszym zachowanie własnego języka i tradycji.

Następnego ranka Elizabeth znalazła na biurku rzadką odmianę kaktusa z pióropuszem białego kwiecia i kartę ze słowami „Dla najlepszego dziennikarza za najlepszy artykuł, jaki się ukazał w *Chieftainie*. Będziemy znani!" Wszyscy z zespołu złożyli na niej swój podpis.

Ale to był dopiero początek. Trzy osoby zadzwoniły jeszcze tego samego dnia: jedna zwymyślała Elizabeth, że robi z jakiegoś Indianina bohatera, pozostałe dziękowały za artykuł.

- Nigdy nie wiedziałam, co oni czują - wyznała jedna z nich.

- Pani sprawiła, że myślę o tym, by im jakoś pomóc - powiedziała druga osoba.

Następnego zaś dnia rano nadeszło pocztą dziesięć listów pełnych pochwał i jeden, w którym zadano pytanie: skoro tak kocha Indian, to czemu nie zamieszka u nich? Matt szalał z radości.

- Jedenaście listów! - ogłosił zespołowi na porannym piątkowym zebraniu. - W odpowiedzi na jeden artykuł!

Jack Jarvis, kierownik działu ogłoszeń i kolportażu, zastukał ołówkiem o swoje biurko. - Na każdego czytelnika, który się pofatygowałby napisać do nas, setki innych komentują artykuł, choć sami do nas nie napisali, a ilu przeczytało go, rozmawia o nim ze znajomymi, zaczyna się interesować rubryką Elizabeth, być może znów kupią tygodnik, żeby się dowiedzieć, o czym teraz napisała? Jedenaście listów. To robi wrażenie.

- Wydrukujemy je - zaproponował Wally. - Nigdy nie mieliśmy rubryki „Listy do redakcji”. - Zamieścimy ogłoszenie, że rozpoczynamy nową rubrykę w dziale publicystyki - ciągnął Jarvis.

- Wyślijmy kopie do szkół, żeby trafił do nauczycieli - powiedział Barney. -

Mogliby go wykorzystać na zajęciach z nauk społecznych. Niech się uczą o pueblo. Albo niech się uczą, jak pisać.

Jarvis coś zanotował.

- Dobry pomysł. Co tydzień można sprzedać parę setek egzemplarzy więcej.

Kirkpatrick przyglądał się badawczo swojemu cygaru.

- Ilość pracy dla pani jest ograniczona - zwrócił się do Elizabeth. - Nie zawsze można znaleźć temat na tyle kontrowersyjny, żeby wywołał rozgłos.

- Ty łotrze! - zagrzmiał Barney. Kirkpatrick ledwo nań spojrział.

- Wszyscy tutaj mają swoje obciążenia. Mimo to gratuluję pani. Artykuł jest majstersztykiem. Mam nadzieję, że będzie pani tak dalej trzymać.

Elizabeth parsknęła śmiechem.

- Dziękuję, Herb. Spróbuję, żeby te pochwały nie przewróciły mi w głowie.

- Proszę nie zwracać na niego uwagi - powiedział gorączkowo Wally. - On pani zazdrości. Ja też. Chciałbym pisać tak dobrze jak pani.

- Ja też - szybko dodał Barney. Był to największy komplement, jaki usłyszała z ust innych osób parających się piórem. Elizabeth znów ogarnęło uczucie triumfu, jak w chwili, gdy na swoim biurku zobaczyła kaktus z gratulacjami.

- W porządku - powiedział Matt. - Mamy teraz do zrobienia resztę pisma. Może omówimy główne artykuły, które mają się ukazać w tym tygodniu.

Zabrali się do dzieła z nowym zapalem. Wszyscy pracowali wystarczająco długo w branży, ażeby rozumieć, co to znaczy, gdy czytelnicy zaczynają dzielić się z gazetą swoimi reakcjami.

Peter i Holly zmywali i suszyli naczynia, rozmawiając w trakcie tego zajęcia o własnych problemach.

- Skrytykowałam wszystko, co śpiewałam - wyznała Holly smutnym głosem. -

Najgorsza lekcja, jaka mi się przytrafiła.

- Miał wszawy humor - zasugerował Peter. - Żona coś mu tak ugotowała, że się pod truł. Kochanka znalazła sobie kogoś z większym, dłuższym...

- Peter!

- Oj, no co? Coś mu się nie układało, ale to nie miało związku z twoim śpiewem.

Zawsze ci mówi, że czeka cię rewelacyjna przyszłość. Zobaczysz, że następnym razem będzie znów jak zawsze. Albo że zatruje się na śmierć.

Zaśmiała się.

- Dzięki. Co robiłeś po szkole?

- Pojechałem do Nuevo.

- Nuevo! Nie byliśmy tam od wieków. Jak się dostałeś?

- Podwiózł mnie ojciec Mai.

- Mai?

Peter zaczerwienił się jak burak i zaczął z taką energią skrobać rondel, że woda z pianą chlapnęła mu na koszulę. Jeżdżę tam ostatnio. Maya uczy się

garncarstwa u Isabel no, wiesz, tej przyjaciółki marny. A może już się nie przyjaźnią, bo ona mówi, że się przestały spotykać...

- Rozmawiałam z nią przez telefon, kiedy dzwoniłam do Luz. Gdybym wiedziała, że jedziesz, zabrałabym się z tobą. Powiedz mi coś o Mai. Prawie jej nie pamiętam.

- Jest drobna i piękna, i... delikatna. Umie słuchać. I śmieje się z moich dowcipów.

- Ekstra - przyznała Holly. - No dobrze, cieszę się, że w końcu masz dziewczynę. Szkoda, że nie mogłeś sobie znaleźć kogoś ze szkoły, żeby było bliżej domu.

Peter potrząsnął głową.

- Lubię Nuevo. Przypomina mi dziadka.

- Ja też lubię Nuevo. Czy nie mogłabym się z tobą zabrać następnym razem?

Strasznie dawno nie widziałam się z Luz i tęskno mi do niej. Tak się ze sobą serdecznie przyjaźniłyśmy, kiedy dziadek żył... chciałabym, żeby mama i tato nie byli tacy zajęci.

- Mają ten swój skarb - tygodnik.

- Wiem - Holly westchnęła. - Chyba są jednak dzięki temu szczęśliwi. To podobnie, jak ja, kiedy śpiewam, wtedy naprawdę czuję się szczęśliwa.

- Gdybyś miała dzieci, to byłabyś szczęśliwa spędzając z nimi czas.

- Wiem, ale teraz oni tak naprawdę to kochają tygodnik.

- Powinni kochać nas! To miałem na myśli!

- Ależ kochają nas! Tyle tylko, że nami się już nie trzeba zajmować jak czasopismem: ono jest ich dzieckiem. My jesteśmy duzi.

- Klituś-bajduś.

- Wcale nie klituś-bajduś, ale prawda.

- Akurat.

- Przyszli do domu - oznajmiła Holly.

- Pracować - odparł Peter.

- Cóż... - znów westchnęła. - Ja chyba też powinnam popracować. Mam zadane lekcje do odrobienia w domu.

- Ja też. Holly?

- Co?

- Czy uważasz, że jesteśmy normalni?

- Kto? Nasza rodzinka?

- No. Albo... sam nie wiem... nigdy nie czujesz się samotna? Jakbyś do nikogo nie należała? Bo... ja tak się czuję. Z wyjątkiem Mai, no i tego faceta, którego niedawno poznałem, on jest w porządku... Ale z nikim poza tym. Wszyscy mają własne towarzystwo i... należą do różnych grup. A ja nie. To normalne, czy nie?

- Nie wiem. Ja też się bardzo często tak czuję, z wyjątkiem kiedy śpiewam.

- A poza tym?

Holly wzruszyła ramionami.

- Chyba nastolatki nie muszą się czuć szczęśliwe.
- No dobrze, ale ja chcę być szczęśliwy.
- Jesteśmy za młodzi - odparła smutno.
- Do czego?
- Prawie do wszystkiego. - Rozłożyła moką ścierkę na suszarce. - Chyba lepiej pójde odrabiać pracę domową.
- Ja też. Praca domowa. Chciałbym po prostu przeskoczyć najbliższe dziesięć lat.
- No, może tylko pięć... - powiedziała Holly i wycofała się do swojego pokoju.
Elizabeth zobaczyła ją w przejściu do salonu i zastanowiło ją, o czym rozmawiała z Peterem, ponieważ miała ponury wyraz twarzy.
- Czy nie ma to być najlepszy okres w ich życiu? - zapytała Matta. Matt podniósł na nią wzrok.
- A dla ciebie szkoła średnia to był twój najlepszy okres?
- Skądże. Faktycznie, nigdy nie miałam pewności, kim mam być, ani jak się zachować.
Uśmiechnął się do niej.
- Ale się nauczyłaś. Powiedz Holly, że jest nadzieja.
- Spróbuję. Może rni nie uwierzy?
- Powiedz jej, że jeśli się wdała w mamę, to będzie kiedyś bić wszystkich na łeb.
Elizabeth zaśmiała się. Radosny, intymny nastrój ogarnął ich dwoje, gdy się zagłębili w fotelach stojących po dwu stronach kominka w rogu salonu. Matt zajął się stertą ofert, które napłynęły na jego ogłoszenie o poszukiwaniu sekretarza redakcji, Elizabeth zaś wzięła do ręki ołówek i zaczęła pisać artykuł. Zamyśliła się - cała rodzina w komplecie. Brakowało tylko Zacharego. Wszystko układało się idealnie. Jak długo to potrwa? Potrząsnęła głową, zła na siebie. Nie będzie końca. Czemu nie? I pochyliła głowę nad artykułem.
Wykreślała całe wiersze, zmieniała poszczególne słowa, czuła, że była zdenerwowana. - Nie ma się czym martwić - powtarzała, przypominając sobie wszystko, co powiedział Matt tamtej nocy, gdy pierwszy raz pisała do rubryki. Mimo to nadal się denerwowała. Sześć artykułów z serii „Sprawy prywatne” ukazało się drukiem od tamtego pierwszego, magicznego dnia, ale dostała tylko dwa listy. Czuła, jakby jej artykuły ktoś wpychał do pustych butelek i wyrzucał do oceanu; natychmiast tonęły na dnie: nie widziane, nie czytane.
Nie zawsze można znaleźć temat tak kontrowersyjny, żeby wywołał rozgłos - stwierdził Kirkpatrick. Elizabeth usilnie szukała innych tematów, czekała na korespondencję. Barney prosił ją, żeby się rozluźniła. Większość artykułów nie wzbudza żadnych reakcji, aż rubryka sobie nie wyrobi marki - stwierdził - artykuł o Ortedze to był traf. Ale ona nie chciała trafu, pragnęła sukcesu.

- Zbyt się wysilasz - powiedział Matt. - Napisz o kimś, kto przypomina czytelnikom ich własnych synów, córki, sąsiadów. Czy nie na tym polega zamysł „Spraw prywatnych”?

Niedługo potem odkryła Heather Farrell, która właśnie zaczęła pracować u Spencera i Lydii w księgarni-galerii przy Canyon Road. Pochodziła z zamożnej rodziny z St. Paul. Miała pobłażliwych, nadopiekuńczych rodziców. Postanowiła wyjść za mąż, ale jej rodzice stwierdzili, że jej wybrankowi zależy tylko na ich majątku. Kiedy sprzeciwiła się im, za karę przestali jej wypłacać co tydzień kieszonkowe. Wtedy Heather po raz pierwszy okazała się nieprzejednana, w ślad za kochankiem wyjechała z Minnesoty do Santa Fe, gdzie odkryła, że on szczęśliwie żyje z dziedziczką fortuny naftowej i cieszy się większym życiowym komfortem niż oni w St. Paul.

Znalazła się sama w obcym mieście. Usiadła na ławce na Płaza i przyglądała się, jak przechadzają się rodziny i zakochani. Nie mogła wrócić do domu i przyznać się do błędu, ale nie mogła też zostać w Santa Fe nie mając pracy. Dlatego właśnie wahając się weszła pewnego dnia do księgarni-galerii Evansów i w wielkim pośpiechu wyznała o tym Lydii.

- Nie znam się na niczym specjalnie, ale kocham książki i obrazy, i podoba mi się bardzo pani galeria. Wygląda jak prywatny salon - i będę robić, co pani każe, jeśli mnie pani przyjmie.

Lydia zaproponowała jej kawę. Na ten matczyne gest Heather zareagowała szczerością i opowiedziała o kochanku, porażce miłosnej, braku finansów i potwornej radości, którą odczuwała po raz pierwszy w życiu mając za sobą dwadzieścia dwa lata chowu pod kloszem.

Lydia zatrudniła ją z miejsca, choć, jak się przyznała rozmawiając przez telefon z Elizabeth, nie była pewna, co z nią robić, bo w listopadzie prawie wcale nie było turystów. - Czy możesz ją trochę przetrzymać? - poprosiła Elizabeth. - Będziemy mieć pracę dla drugiej sekretarki, jak tylko nas będzie na to stać. Czy ona umie pisać na maszynie?

- Nie mam pojęcia. Ale wątpię. Potrafi zręcznie pakować. Elizabeth uśmiechnęła się. - To nie należy do obowiązków sekretarki. Ale chciałabym ją poznać. Wpadnę dziś po południu. Kiedy Lydia przedstawiła jej Heather, dziewczyna westchnęła.

- Myślałam, że Lydia przesadza, jak wszystkie matki, ale tak nie jest. Jest pani tak piękna, jak mówiła pani matka. Czy mówiła też coś pani na mój temat?

Elizabeth przyjrzała jej się dokładnie. Filigranowa, o zielonych oczach, naturalnie kręconych kasztanowych włosach, stała i czekała na aprobatę. Kiedy się uśmiechnęła, Elizabeth podobała się żywa mimika twarzy dziewczyny, jej otwartość i podbródek zdradzający charakter.

- Nie powiedziała mi pani, dlaczego nie wraca do siebie do domu i nie chce, żeby się panią zaopiekowali rodzice.

Heather wysunęła brodę do przodu.

- Nie chcę, by ktoś się mną opiekował. Sama się sobą zajmę.

To był moment, w którym Elizabeth uświadomiła sobie, że chce, aby

Heather była bohaterką jej następnego artykułu. Matt zaakceptuje ten plan.

Heather Farrell tak bardzo przypominała wiele innych córek i synów, którzy i walczą o niezależność i szacunek dla siebie, a tymczasem odkrywają, że życie jest o wiele bardziej skomplikowane i trudniejsze, niż im się zdawało.

Przeprowadzała z nią wywiad przez cały wieczór, następnie napisała

i z dziesięć razy przerabiała artykuł, próbując tchnąć w Heather życie i w sposób zrozumiały tak dla rodziców, jak i dla dzieci. Może wówczas będzie

jakiś odzew: parę osób - myślała - zadzwoni lub napisze, wtedy będę mieć świadomość, że ktoś to czyta.

Usłyszała dzwonek telefonu; za chwilę do sieni wpadła tańcząc Holly.

- Tony Rourke dzwoni do ciebie. Chce do nas jutro przyjść. Powiedziałam, że będzie mile widziany. Dobrze zrobiłam?

Matt podniósł wzrok, potem go opuścił, ale Elizabeth wiedziała, że słucha.

Zawahała się. Jeszcze parę miesięcy temu cieszyłyby się na widok Tony'ego i

sprawiłaby jej radość atmosfera podniecenia, jaką roztacza wokół siebie. Teraz nie miała dla niego czasu.

- Jest twoim przyjacielem - stwierdziła Holly - i również moim, nie był tu od wieków i chce się dowiedzieć o moich postępach w śpiewie - o mojej karierze, tak się wyraził! - Będzie miał tylko parę godzin czasu na przesiadkę z jednego samolotu na drugi, no to może przyjść? Mamo, on czeka przy telefonie!

- Lepiej się więc z nim przywitam - Elizabeth podniosła się. - Ale nie możemy go tu zaprosić. Jutro jest czwartek i nie będziemy mieć wolnej chwili, dopóki pismo nie pójdzie pod prasę. Potem chciehbyśmy spędzić wieczór z tobą i Peterem. Może przyszedłby kiedy indziej... no, zobaczymy. - Trzymając ciągle w ręce brulion przeszła do sypialni i tam podniosła słuchawkę. - Droga Elizabeth, mija pięć miesięcy - głos Tony'ego był głęboki i ciepły. - O wiele za długo. Jutro będę leciał do Nowego Jorku i mogę się z wami po drodze zobaczyć... czy Holly ci powtórzyła?

- Tak. Przykro mi, Tony... - Opowiedziała mu o tygodniku. - Wszystko się zmieniło - powiedziała. - Wydajemy go całkiem sami. Nawet mam własną rubrykę; pamiętasz, jak ci mówiłam, że tego chcę? - Mówiłaś mi o tym, kiedy miałaś siedemnaście lat. Kiedy leżeliśmy w łóżku u ciebie. I nie chcesz, żebym o tym zapomniała. Ale to było dawno temu. Teraz jestem zupełnie inną osobą - pomyślała. Zrozumiawszy, że popełnił błąd, powiedział serdecznie.

- Opowiedz mi o tej rubryce. Musisz się czuć z tym fantastycznie - i mieć stracha, co? Tak troszeczkę?

- Tak. - Zdziwiona była, że to wiedział. - Ale czasem myślę sobie, że jestem jednak prawdziwą autorką.

- Nigdy w to nie wątpiłem. Zawsze w ciebie wierzyłem. Czy mi przeczytasz coś, co napisałaś? Jeśli mi nie pozwolisz zobaczyć, daj mi przynajmniej posłuchać, co piszesz.

Elizabeth stwierdziła, że go lubi. Miał szczery ton głosu i zdawał się bardziej koncentrować na jej osobie, niż własnej.

- Właśnie piszę zakończenie artykułu do jutrzejszego numeru. - powiedziała spoglądając na brulion. - Czy naprawdę chcesz posłuchać?

- Bardzo.

- To o młodej dziewczynie, która pracuje u moich rodziców. Przeczytam ci zakończenie.

„Jeszcze niedawno Heather Farrell marzyła o romantycznej miłości; marzenia jej przysły w zetknięciu z twardą rzeczywistością. »Świat nie jest tak dobrze urządzony, jak sobie wyobrażałam. Jeżeli się nad tym dobrze zastanowić, to jest on właściwie spartaczony«. Ale kiedy to mówi, unosi brodę, której kształt świadczy o uporze. Heather Farrell nieznacznie uśmiecha się z zadowoleniem. Odkrywa bowiem, że właściwie ten świat stwarza więcej możliwości niż jej się do tej pory śniło, i nie będąc w stanie dłużej czekać, pragnie podjąć próbę ich wykorzystania".

Tony zamilkł.

- Bez komentarza? - nerwowo zapytała Elizabeth.

- Jest piekielnie dobre - powiedział. - Bardziej wyrafinowane niż się spodziewałem. Ty mnie zawsze zadziwiasz. Wiesz, mogę sobie twoją Heather wyobrazić. Pewnie była do tej pory posłuszna jak grzeczna mała dziewczynka, a teraz głowę daje, że wszystkich ustawia.

- Skąd wiesz?

- Powiedziałem ci: mogę ją sobie wyobrazić. Widzę ją jak na dłoni, jakbyś przyszpiliła motyla do tekturki. Elizabeth, jesteś rewelacyjna. Chcesz pracę?

- Mam pracę.

- Skromną. Co byś powiedziała na publiczność w całej Ameryce? Potrzebny mi ktoś, kto będzie pisał teksty do mojego programu. Pięć tysięcy tygodniowo i wielomilionowa publiczność. Bierz, jak chcesz.

Jego słowa zadźwięczały jej w uszach. Na siłę je uciszyła. - To bajka. Nie ma nic wspólnego ze mną. Z nami.

- Tony, wraz z Mattem jesteśmy współwłaścicielami tygodnika. Pracujemy razem. Czuję się mile połączona twoją propozycją, ale...

- Nie bierzesz. Nie sądziłem, że przyjmiesz moją ofertę. Ale jest cały czas aktualna, nie zapominaj. Czy pozwolisz, że od czasu do czasu zadzwonię, nawet gdyby wszystko się zmieniło?

- Jeśli chcesz.

- Oczywiście, nie jest to to samo, co zobaczyć się z tobą... ale lepiej nie mówmy o tym. Czy przysyłasz mi kopię artykułu o Heather?

- Jasne

- Przyślesz wszystkie swoje artykuły? Albo lepiej ja zaprenumeruję... jak się to nazywa? *Warrior!*

- *Chieftain*, wiesz przecież. Ale ty, Tony, nie musisz prenumerować. Z przyjemnością wyślę ci moje artykuły.

- Nie, chcę mieć całe pismo, co tydzień. Wiadomo, że jestem ciągle w podróży, ale kiedy wrócę do domu, będzie na mnie czekać i będę wiedział, co porabiacie z Mattem. Niebawem znów zadzwonię. Bądź zdrowa, droga Elizabeth. Pozdrów ode mnie rodzinę.

Odwiesiła słuchawkę i usiadła nieruchomo na brzegu łóżka. Mimo wszystko nadal udawało mu się dać jej odczuć, że jej świat jest mały i powolny. Był taki miły, po czym połechtał jej ambicję propozycją wielomilionowej publiczności i pensją, przy której wszystkie zarobki zdały się Elizabeth kieszonkowym, bez względu na to, jak wysoko by wzrósł nakład *Chieftain*

Dość tego. Rozejrzała się po małej sypialni, czterech kątach pod niskim, mrocznym sufitem. Razem z Mattem na aukcji w Crownpoint kupili niebiesko-czarny indiański kilim, wczesnoamerykańską pikowaną kapeę - w antykwariacie nad rzeką Hudson podczas wycieczki do stanu Nowy Jork, hiszpańskie łóżko wynaleźli bawiąc w Mexico City. Wszystko do sypialni czy domu wybierali razem.

A teraz wybraliśmy wspólne życie. Pracowali wyłącznie na własny rachunek i to uwielbiali. I kochali się. Natomiast Tony ze swoimi oszałamiającymi propozycjami nie ma w tym żadnego udziału.

Gasząc światło Elizabeth postanowiła, że mimo wszystko więcej z nim nie będzie rozmawiać. Nawet w swoich najlepszych momentach coś w nim było destrukcyjnego. Nie podobało jej się, że Holly zaczynała go idealizować.

-Następnym razem powiem mu, żeby więcej nie dzwonił - pomyślała. -Polecę, żeby mu wysyłano *Chieftaina*; nie ma w tym nic złego. Ale na tym koniec. Lepiej nam się będzie wiodło bez jego fanfaronady; niech poszuka sobie innej publiczności. Już go oglądają, jak mówi, miliony.

Oglądają go miliony. Ale tego nie mówił serio - powiedziała do siebie. -Nie był poważny. A nawet, jeśli mówił serio, to byłoby to niemożliwe. Robię co chcę na spółkę z Mattem. I wierzę w naszą spółkę.

Przeszła przez ciemną sień i wróciła do oświetlonego salonu, gdzie czekał Matt.

Saul Miligrim był tyczkowaty, o melancholijnej twarzy, która podczas śmiechu pokrywała się zmarszczkami. Ulicznik z Nowego Jorku, wielokrotnie nagradzany dziennikarz prasowy, otrzymywał oferty pracy od wszystkich głównych gazet w kraju, ale jedyne, czego obecnie pragnął, jak powiedział Mattowi i Elizabeth siedząc u nich w gabinecie, to praca w niedużym czasopiśmie w niedużym mieście.

- Jestem dla państwa idealnym sekretarzem redakcji - stwierdził poważnym tonem. - Wiem wszystko co trzeba na temat dziennikarstwa i prasy, ale mam dość wysokich lotów. Chcę wrócić do podstaw procesu wydawniczego. To tak jakby się zrezygnowało z zakupów w Macy's dla jakiegoś małomiasteczkowego sklepiu spożywczego.

- Co będzie, gdy zatęskni pan do wysokich lotów?

- Nie zatęsknię. Mam kompletnie dość tego życia: zbyt wielu kolegów po fachu, którzy mnie chcieli wyeliminować z gry, zbyt wiele kobiet, zbyt wiele alkoholu... Dobry Boże, czas, bym zwolnił, nawet się ustatkował. (Heather -pomyślałaomalże bezwiednie Elizabeth.) - Mam prawie trzydzieści pięć lat. - Zobaczył, że Matt i Elizabeth uśmiechają się do siebie. - Czy powiedziałem coś śmiesznego?

- My mamy po czterdzieści - uśmiechnęła się Elizabeth - dlatego trzydzieści pięć nie wydaje się nam dużo.

Saul przyjrzał się jej badawczo.

- Nikt by nie pomyślał. - Pochylił się do przodu. Z jego głosu znikł niedbały ton. - Proszę posłuchać. Odkąd skończyłem trzynaście lat, żyję w szybkim tempie: po szkole miałem się drobnych zajęć, aż dorosłem i mogłem się zatrudnić w gazecie jako pomocnik drukarza; przez cały college utrzymywałem się sam: byłem taksówkarzem, kelnerem, jednocześnie redagowałem gazetkę studencką; po ukończeniu uczelni zatrudniało mnie sześć

znanych gazet, uganiałem się, żeby zdobyć atrakcyjne materiały i wszystkich prześcignąć, przeczytać swoje nazwisko na pierwszej stronie; zdobyłem też kilka nagród. Wiedzą państwo o tym z mojego podania o pracę. Ale już mam dość tej gonitwy. Nawiasem mówiąc miałem żonę przez parę miesięcy; małżeństwo rozpadło się, bo żyjąc szybko miałem czas na seks i krótką wymianę zdań, ale nie na czułość, opiekuńczość i myślenie o przyszłości. Teraz chcę się uspokoić, zastanowić nad swoim życiem, przemyśleć, czego pragnę dalej. I chcę przy tym pracować w czasopiśmie w mieście małym, ale wystarczająco kulturalnym, żeby przyciągało turystów z całego świata. -Odchylił się do tyłu. - Podobają mi się państwo, podoba mi się wasz zamysł pisma, podoba mi się Santa Fe. Jest tu spokojnie; nie ma tego wrzasku jak w Nowym Jorku. Zanim tu do państwa przyjechałem, rozejrzałem się po mieście. Wiedzą państwo, co mi się najbardziej spodobało? Wąskie uliczki, niezbyt zajęci sklepikarze, mieszkańcy ukryci w skromnych domach ze swoimi prywatnymi sprawami, nie afiszujący się bogactwem. A ponadto lubię pył.

- Pył? - powtórzyła Elizabeth.

- Przyjemny, czysty pustynny pył. Miło go wdychać, kiedy całe życie się oddychało miejskim smrodem. Chyba z dziesięć lat trzeba, żeby mi się płuca z tego oczyściły. Wtedy będę wiedział, co z sobą począć. Mam wrażenie, że będę zadowolony nie ruszając się z miejsca, będę się bujał na fotelu na werandzie i wydawał w Santa Fe *Chieftaina*.

Matt podniósł brwi.

- Po tym, jak pan wyeliminował aktualnego wydawcę?

- Nie będzie to potrzebne. Pana już tu od dawna nie będzie; pan chce czegoś większego i lepszego niż tygodnik w małym mieście. Widzę oznaki tego. -Elizabeth i Matt znów na siebie spojrzeli. -To zresztą nie mój interes. Jedyne, czego pragnę na dziś, to zostać u państwa sekretarzem redakcji. Czy może mam się oddalić, żeby państwo mogli się swobodnie zastanowić nad moją kandydaturą?

Elizabeth uśmiechnęła się. Tak bardzo go polubiła, że bała się, iż nagle się obudzi stwierdzając, że śniła.

- Matt właściwie już podjął decyzję na podstawie pańskiego podania i się nie pomylił. I pan też się nie mylił twierdząc, że jest pan idealnym dla nas sekretarzem redakcji. - Wstała i podała mu rękę. - Witam w *Chieftainie*.

Saul powstał. Gdy podał jej rękę, na twarzy pojawił mu się szeroki uśmiech.

- Będziemy przyjaciółmi. Co za szczęście. Nie zawsze tak się układa. Musi być państwu trudno razem pracować i być małżeństwem.

- Czasami - krótko odparł Matt. - Ale tego właśnie chcemy. - Wstał i ucisnęli sobie z Saulem dłonie. - Cieszymy się, że pan do nas dołącza. Elizabeth przedstawi pana reszcie zespołu, a potem zjemy lunch. Do zobaczenia o pierwszej. Spróbuje pan, jak smakują niebieskie kukurydziane *tortillas* w „The Shed”.

- Niebieskie? - Saul z niedowierzaniem potrząsnął głową. - Mam wrażenie, że to jakaś inicjacja. Jeśli się sprawdzę, to poradzą mi państwo, gdzie tu można wynająć jakiś kąt? I ewentualnie poznać jakieś miłe dziewczyny?

- Już o tym pomyślałam - odparła Elizabeth i poprowadziła go do głównej sali redakcyjnej.

Po przyjeździe Saula wszystko się zaczęło układać, ponieważ uwolnił ich od nawału różnych drobnych spraw. Elizabeth i Matt mogli więcej czasu spędzać ze sobą i w pracy, i podczas odpoczynku. Pewnego czwartkowego popołudnia, kiedy pismo poszło pod prasę, zrobili sobie relaksującą przejażdżkę. Począwszy od dawnej autostrady Taos zaglądali do starych kościółków, po czym zatrzymali się na obiad w Rancho de Cinayo, żeby wreszcie uczcić rocznicę ślubu, którą odkładali na potem od tamtego feralnego wieczoru, kiedy Matt miał wypadek. W lutym zaś podczas jednego weekendu zabrali Holly i Petera na narty do Taos; w pozostałe weekendy jechali jak niegdyś do Nuevo w odwiedziny do Cesara Aragona z jego córką Isabel i Luz, córką Isabel i wnuczką Cesara.

- Nigdy się nie zdążę wami nacieszyć - Luz mówiła z ożywieniem do Holly. - Opowiedz mi o Santa Fe, o twoim śpiewaniu i wszystko o chłopcach, z którymi się umawiasz! - Usiadły po turecku na podłodze przy kominku wyrzynając w kasztanach różne znaki. Rude loki Luz dotykały prostych platynowych włosów Holly, gdy obie mówiły na raz.

Isabel, wysoka i grubokoścista, o czarnych oczach i wydatnych kościach policzkowych objęła rękami Elizabeth i przyglądała się jej twarzy.

- Dobrze wyglądasz. Może trochę jesteś blada, ale tak dawno cię nie widziałam, że już sama nie wiem.

- Isabel - powiedziała Elizabeth z wyrzutem w głosie - rozmawialiśmy przez telefon; wiesz, że byłam bardzo zajęta.

- Nie byłaś u nas od czterech miesięcy. Elizabeth objęła ją ramionami.

- Nie gniewaj się.

- Niestety, gniewam się - odparła Isabel z nagłą rzeźkością. Oddała uścisk. -

Głównie na siebie, że jęczę. Jestem zazdrosna, bo siedzę na tym odludziu i lepę garnki, kiedy ty żyjesz sobie pełną parą. No i stęskniłam się za tobą. Przyjaźni nigdy za wiele, a już takiej wypróbowanej nie chcę tracić.

- Nie tracisz. Tylko brakowało czasu. To się nie powtórzy. Jesteś mi potrzebna. Ostatnio przyjaźniłam się wyłącznie z moim mężem.

Isabel zaśmiała się.

- To za mało, prawda? Co u was słychać? Za bardzo sobie siedzicie na głowie?

- Elizabeth zerknęła na Matta, który z Cesarem wkładał szczapy drewna do

kominka. - Saul nam pomaga - powiedziała. - Ale stęskniłam się za tobą. bardziej niż sądziłam.

Isabel popatrzyła na dwie młode dziewczyny przy kominku.

- Luz też się stęskniła za Holly. Wzgórza Pecos wzbudzają w niej nostalgię. Dziwne, że nagle poczuliśmy się tak daleko od waszego wielkiego świata.

Nasz wielki świat. - Kiedyś Elizabeth tak się czuła po wizytach i telefonach Tony'ego. Niewiele trzeba - pomyślała - żeby świat stał się większy. -Przyjaźniły się jednak z Isabel od szesnastu lat i ona też nie chciała utracić tej przyjaźni.

- Będziemy zawsze przyjeżdżać do Nuevo - powiedziała. - Jest tu spokój, który koi nerwy. A poza tym, kto mnie lepiej zrozumie niż ty? -Uśmiechnęły się do siebie. - Znajdziemy czas - przyrzekła Elizabeth -obiecuję.

Między wyjazdami na weekendy, w dni pracy Elizabeth i Matt obarczyli Saula większą odpowiedzialnością i ułożyli dla siebie stały harmonogram zajęć. Pracowali o regularnych porach; Elizabeth miała więcej czasu na pisanie do rubryki; Matt miał czas, żeby czytać jej artykuły, nim pójdą do druku; raz czy dwa razy w tygodniu szli we dwoje do restauracji na kolację: zasiadali w łoży w Pink Adobe albo w oświetlonym świecami kącie w Compound, gdzie rozpoznawali ich inni goście, podchodzili do ich stolika i mówili, na przykład, że im się podoba nowa szata graficzna *Chieftaina*. Od czasu do czasu miejscowy biznesmen mówił, że planuje się tym razem zareklamować w obu pismach Santa Fe i zobaczyć, jaki będzie rezultat. W pozostałe wieczory cała rodzina jadła razem kolację i nie spiesząc się rozmawiali przy stole, jak to czynili w czasach, zanim kupili *Chieftaina*. Elizabeth i Matt mieli też czas, żeby usiąść wieczorem na dziedzińcu, póki ich chłód nie wygonił do wnętrza, i wślizgnąwszy się między zimne prześcieradła grzać się wzajemnie o swoje ciała, być tak bardzo częścią drugiego, że nie potrafili już sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy jest się osobno.

Tony nie zadzwonił. Przez pewien czas Elizabeth czekała, gotowa mu powiedzieć, że jest zajęta i szczęśliwa i że nie ma czasu z nim rozmawiać. Po jakimś czasie przestała oczekiwać jego telefonu, a potem już w ogóle myśleć o Tonym. Należał do świata, który Elizabeth i Matt zostawili daleko w tyle. Żyli teraz inaczej.

I tak jak oni kwitli, rozwijał się ich biznes. Pierwszym znakiem powodzenia pisma był sukces „Spraw prywatnych”. Dostali parę listów i telefonów po tym, jak się ukazał artykuł o Heather i w reakcji na parę innych artykułów, lecz, choć nikt w redakcji nie zdawał sobie z tego sprawy, zaczęło się o nich mówić w mieście.

Pewnego piątkowego popołudnia w marcu zadzwoniła do nich Lydia.

- Elizabeth, ludzie mówią o tym, co piszesz. Moi klienci... potem w spożywczym... ludzie mówią! Zwracają też uwagę innym, żeby przeczytali! Czy ty wyobrażasz to sobie?

- Nie - powiedziała szczerze Elizabeth, bo nie zdawała sobie sprawy, że to jest zjawisko przekazu „z ust do ust”, dzięki któremu książka, film,

rubryka w prasie odnosi sukces. Choć istniało od miesięcy, Elizabeth się zdało, że nastąpiło w ciągu jednej nocy. Coraz więcej osób pisało i telefonowało do redakcji, aż pewnego dnia ludzie w samoobsługowym sklepie spożywczym zaczęli ją prosić o autograf, gdy popychając wózek z zakupami odchodziła od kasy.

- Może to tylko przejściowa moda - powiedziała podczas lunchu Saulo-wi i Mattowi. Ale naprawdę nie wierzyła w to; choć chciała. Chciała wierzyć, że staje się sławna. Przynajmniej w Santa Fe.

Nie myślała wcześniej o sławie. Byli znani razem z Mattem jako para współwłaścicieli *Chieftaina*, ale to Matt Lovell, wydawca, wywoływał poklask biznesmenów jako siła napędowa czasopisma. Teraz nieoczekiwanie Elizabeth uświadomiła sobie, że jeśli nie spotyka się z uznaniem jako współwydawca *Chieftaina*, to może się stać sławna jako Elizabeth Lovell, autorka „Spraw prywatnych”.

Na jej biurko napływały listy od czytelników, dziennie około dziesięciu, czasem więcej. Niektórzy ją łajali, ponieważ się z nią nie zgadzali, inni ją chwalili, bo byli podobnego zdania; większość pisała jednak proponując jakąś konkretną osobę na bohatera reportażu. Niektórzy dzwonili, żeby powiedzieć, że „Sprawy prywatne” są najlepszą rubryką w tygodniku. Pewnego razu napisał do niej Indianin zajmujący się wyrobem rzeźbionych fajek, właściciel zakładu, i wyznał, że ma dwa razy większe obroty, odkąd o nim napisała, i że po raz pierwszy stać go na reklamę prasową - oczywiście nie gdzie indziej jak w *Chieftainie*.

Ponieważ drukowanie ogłoszeń to źródło zysków prasy, dzięki napływowi ogłoszeń zespół nabrał ponownie zapału do pracy. Matt przyznał pracownikom premię od wiersza cotygodniowych ogłoszeń drobnych; to zmobilizowało Jacka Jarvisa i jego asystenta do akwizycji ogłoszeń: odwiedzali pracodawców, którzy na drzwiach swoich zakładów wywieszali kartkę z napisem „Zatrudnię pomoc”, pomagali ludziom formułować ogłoszenia o sprzedaży domu, zagubionych psach, strojeniu pianin, architekturze zieleni, nawet pilnowaniu dzieci. Wszyscy, którzy czytali „Sprawy prywatne”, przeglądali również zamieszczone w piśmie ogłoszenia.

Cały zespół wiedział, że ogłoszenia drobne przynoszą pieniądze, bo bardzo wiele wierszy wydrukowanych małą czcionką zmieści się na jednej stronie. Kiedy zaś ogłoszenia drobne zaczęły im zajmować nie jedną, ale już dwie strony, a potem blisko trzy strony, słychać było, jak Herb Kirkpatrick mruczy pod nosem.

- Niech to diabli. To pismo chyba ma jednak przed sobą jakąś przyszłość.

Saul przechodząc to usłyszał.

- Powiedz głośniej - zawołał i wszyscy wybuchnęli śmiechem, a wraz z nimi zaambarasowany Herb Kirkpatrick, do którego po chwili dotarło, że nie jest przedmiotem żartu: śmiali się, bo im ulżyło, że nawet ten ponurak Herb Kirkpatrick myśli, że wszystko będzie grało.

Następnie nadeszły ogłoszenia wymiarowe; sklepy, galerie, kina i agencje mieszkaniowe kupowały u nich miejsce na ilustrowane ogłoszenia w ramkach: dowód, że społeczność biznesu w Santa Fe wreszcie zaczęła traktować *Chieftaina* poważnie. - Czas na coś nowego - powiedział Saul pewnego upalnego lipcowego, wieczoru na kolacji u Elizabeth i Matta. Wyciągnawszy długie nogi, sączył trzecią szklanekę lemoniady. - Zwlekaliśmy z krytyką operową, teatralną, muzyki kameralnej: całą kulturą, stać już nas na zatrudnienie jeszcze jednego reportera, możemy więc zacząć dodatkowy dział, który Elizabeth ma w planie od miesiąca. - Dobra myśl - zgodził się leniwie Matt. Przyglądał się Elizabeth, ubranej w długą spódnicę-chłopkę i białą bluzkę na ramiączkach; w świetle lampionu skóra jej połyskiwała, włosy przybrały ciemnomiodową barwę.

Odwróciła się, zauważywszy jego wzrok na sobie, uśmiechnęła się do niego intymnie, obiecująco; usłyszeli, że Saul wstrzymał oddech. - Coś ci się stało? - zapytał Matt.

- Nic poważnego. Mordercza zazdrość. Czy nie czas, żebym skończył z życiem jak mnich i znalazł sobie damskie towarzystwo?

- Chciałam cię komuś przedstawić pół roku temu - zaprotestowała Elizabeth. - Ale rozmyśliłeś się i powiedziałeś „żadnych swatów, póki się nie zaaklimatyzuję w redakcji”.

- Tak, i już się zaaklimatyzowałem.

- Zaproszę wobec tego następnym razem Heather na kolację - powiedziała szybko Elizabeth. Saul uniósł brew.

- Heather. Ładne imię. Nie hiszpańskie, nie indiańskie, nie żydowskie. Jaka jest?

- Urocza - stwierdził Matt. - Rodzice Elizabeth omalże ją adoptowali. Mieszka u nich w domku dla gości i obowiązkowo chce płacić czynsz. Wykonuje śliczne pakunki. Uczy się pisać na maszynie, bo chce pracować w czasopiśmie. Możesz się więcej o niej dowiedzieć z jednego z pierwszych artykułów Elizabeth. Chcesz coś wiedzieć więcej?

- Tak. Kiedy będzie „następny raz”?

- Jutro wieczór - odparła Elizabeth układając już w głowie menu na jutrzejszą kolację. Następnego wieczoru, od chwili gdy się poznali, Saul i Heather nie zauważali nikogo prócz siebie. Upłynęło osiem miesięcy od czasu, gdy Heather zjawiała się w księgarni-galerii Evansów; od tamtej chwili dzięki matkowaniu Lydii nabrała większej pewności siebie, ale uporu nie pozbyła się ani o odrobinę. Saul zauważył, że zielone oczy dziewczyny i zarys podbródka wyrażały tę samą zawziętość, z przyczyny której on mając piętnaście lat opuścił dom rodzinny i został dziennikarzem, a nie prawnikiem, przeciwstawiając się marzeniom rodziców. Czy mieli jeszcze coś wspólnego? Chyba nie: on - nowojorski Żyd, który od wczesnej młodości

utrzymywał się z pisania; ona - bogata metodystka z Minnesoty... ale warto było spróbować - pomyślał Saul. Poza tym już pokochał jej podbródek.

- Z moimi rodzicami jest taki kłopot - wyznała Heather, kiedy ją o nich zapytał podczas kolacji - że oni zawsze muszą mieć rację. Taki mieli wpływ na mnie, że albo czułam, że muszę być w błędzie, albo, że nie jestem sobą.

- To też często byłaś w błędzie.

- Nieczęsto - w jej głosie brzmiał żal. - Przeważnie postępowałam tak, żeby mnie rodzice kochali. Aż pewnego dnia zrobiłam jedną potworną rzecz. Pomyślałby ktoś, że całe życie się do tego szykowałam.

- Porwałaś statek załadowany futrami z norek - kpił Saul. - Namalowałaś fałszywego Rembrandta.

- Nabijasz się ze mnie.

- Tak, i przepraszam. Ale nie potrafię sobie wyobrazić ciebie, jak robisz coś potwornego.

- To było potworne. Nabrałam się na jednego faceta. Przyjrzał się jej.

- Dlaczego to było potworne?

- Dlaczego! Bo jak się na kogoś nabierzesz, to jesteś ofiarą.

- Zamiast zdobywcą?

- Nie...

- No więc co jest między ofiarą a zdobywcą?

- Szeryf - wtrącił Matt zauważywszy zmieszanie Heather. - Co to, Saul, jakaś zgaduj-zgadula?

-Przepraszam jeszcze raz - powiedział Saul do Heather. - Ale nie rozumiem, co w tym takiego strasznego, że się komuś zaufało. Nawet jeśli się człowiek sparzy, to czy nie znaczy to, że jesteśmy ludzcy dlatego, że ufamy?

- Ja ci powiem, co sprawia, że jesteśmy ludzcy - odparła Heather. - Co jest między ofiarą a zdobywcą. Partnerstwo. Równość. Ufność, która zostaje wynagrodzona, a nie podeptana. A ja byłam głupia, że nie sprawdziłam najpierw, czy to będę mieć.

- To znaczy, że się tego nie sprawdza - odparł Saul. - To znaczy, że się zostawia miejsce na niewiadomą. Spojrzeli sobie w twarz, jakby już teraz wiedzieli, że był to dopiero początek długiej serii dyskusji, jakie mieli ze sobą toczyć. Elizabeth i Matt skrzyżowali spojrzenia. - Dzięki Bogu, że już to przerabialiśmy - wymamrotał Matt.

- Te tańce wokół siebie, porównywanie poglądów, poznawanie siebie... - Elizabeth kiwnęła głową, ciepła, zadowolona.

- Tak jest o wiele lepiej.

Saul wpatrywał się w Heather. Była od niego niższa o głowę, młodsza o trzynaście lat, ale miała w sobie coś bojaźliwego i w równym stopniu nieustraszonego, co mu przypominało jego własny charakter, zanim się nauczył cynizmu. Wiedział, że Elizabeth z sympatią mu się przygląda,

i zastanowił się, czy Heather pociągała go dlatego, że tak dużo musiała się

jeszcze nauczyć, czy dlatego, że jest zaprzyjaźniona z Elizabeth, czy dlatego, że potrzebuje kobiety, czy zwyczajnie dlatego, że wygląda interesująco i stanowi wyzwanie. - Co u licha - pomyślał - będę analizował? - I zaprosił ją na następny wieczór do opery.

Od tego czasu Lydia wiedziała o nich więcej niż Elizabeth, bo auto Saula często stało przed domkiem dla gości, Elizabeth zaś była zbyt zajęta, żeby się interesować tą parą. Oprócz pracy dotychczas wykonywanej zaczęła redagować wkładki tematyczne poświęcone, na przykład, sportom zimowym, restauracjom, modzie, podróżom, rozrywkom domowym, sztuce i rzemiosłu oraz dorocznemu świętu obchodzonemu w Santa Fe. Czytelnicy zaczęli je zbierać i ogłoszeniodawcy, którzy zwąchali następne popularne wydawnictwo, wydzwaniiali teraz do Jacka Jarvisa, żeby przyjął ich ogłoszenie; nie musiał już o to zabiegać, co czynił latami, aby ich pozyskać.

Chieftain zyskał rozgłos również z innych powodów: Saul domagał się, aby artykuły i fotografie były bardziej dynamiczne i poruszały więcej niż dotychczas tematów z życia Santa Fe; Matt pisywał gromkie artykuły wstępne, obok których nikt nie mógł przejść obojętnie. Ludzie się o nie spierali, czytelnicy pisali listy pełne oburzenia lub pochwał, politycy odsyłali artykuły Matta do wyborców, na zebraniach zaś społeczności lokalnej obrzucano Matta epitetami, których nie mógłby wydrukować w *Chieftainie*, lub mówiono o nim w takich superlatywach, że go to krępowało. Ale był w sumie zachwycony. - To miasto potrzebuje kontrowersji - mówił. - Poza tym kupuje prasę. Przybywało coraz to więcej nowych ogłoszeniodawców. Im więcej miejsca zajmowały ogłoszenia, tym więcej trzeba było zamieszczać artykułów w *Chieftainie*, ażeby stosować się do reguł przemysłu prasowego, w myśl których na około sześćdziesięciu procent ogłoszeń przypadać winno czterdzieści procent artykułów. Dlatego Elizabeth, Matt i Saul wymyślali i zlecali coraz więcej tekstów i ilustracji, reporterzy zaś i fotografowie, choć przepracowani i źle wynagradzani - (narzekali po cichu, bo płace nadal były zamrożone), byli jednak pełni zapału, gdyż redakcja tętniła życiem i poziom adrenaliny u większości wzrastał. Wszyscy pracowali na najwyższych obrotach chcąc zdążyć na termin, który niemiłosiernie narzucał Saul. Hałas i chaos były większe niż kiedykolwiek, głosy podnosiły się podczas namiętnych dyskusji na temat tego, który z artykułów powinien mieć nagłówek na stronie tytułowej i które fotografie powinny się pojawić u dołu strony; na najwyższym cenionym miejscu, na którym niegdyś Cal Artner przemycił zdjęcia tańczących Indian Nambé. Napływała także masa listów do redakcji w odpowiedzi na „Sprawy prywatne” Elizabeth i artykuły wstępne Matta, wobec czego Saul zaczął w końcu drukować „Listy do redakcji”. Barney Kell odtańczył przy swoim biurku taniec zwycięstwa, krzyząc:

- Na Boga, w mieście są prawdziwi ludzie, istoty z krwi i kości i oni czytają nasze pismo!

- Na Gwiazdkę będzie premia - Matt powiedział na piątkowym zebraniu załogi. - Pod warunkiem, że nakład będzie dalej wzrastał. Mógłbym wam poradzić, żebyście trzymali kciuki, ale wtedy nie dalibyście rady pisać. Dlatego radzę wam modlitwę. Zaśmieli się, bo modlitwą nie drukuje się prasy, jak mawiał Saul przydzielając każdemu co tydzień do wykonania nowe zadania. Ale pracą prasę się drukuje i na Gwiazdkę dostali czek z premią w kopercie razem z wypłatą.

- Małe, ale wiele znaczące - mruzczał Saul. - Na dobry początek; co roku większe, na coraz większą kwotę. Kto chciałby coś lepszego na Gwiazdkę? Czy, jak kto woli, na Chanukę?

- Lub rocznicę - powiedziała Elizabeth. - Pierwszą rocznicę *Chieftaina*. Przyjdź na kolację. Jest wiele powodów do radości.

Heather pomagała Spencerowi i Lydii posprzątać po całym świątecznym zamieszaniu bożonarodzeniowym, siedzieli zatem tylko we trójkę i wznosili toasty za pierwszy rok wspólnej pracy, zwłaszcza za ogromny wkład Saula, który całą redakcję wciągnął w wir pracy. Leniwie przypominali sobie wydarzenia minionego roku: kryzysy i triumfy, to, że Elizabeth nabierała coraz większej wprawy jako autorka „Spraw prywatnych”, a Matt jako szef finansów gazety; mówili o licznych spotkaniach z mieszkańcami Santa Fe, o wzroście udziału *Chieftaina* w życiu miasta. Anegdoty, wspomnienia umilały im deser i następny dzbanek kawy, w roztopionym wosku dopalały się z sykiem świece.

- Jak mi przykro - powiedział w końcu Matt. - Ale faktycznie zrobiło się późno. - Prawie w zupełnej ciemności podszedł do kontaktu i zapalił żyrandol. Zamrugali oczami oślepieni nagłym światłem.

- Miły wieczór - podsumował Saul. - Kuchnia domowa, dzieci w swoich pokojach odrabiają lekcje... Za każdym razem, jak do was przyjdę, uświadamiam sobie, jak bardzo mi to odpowiada.

Elizabeth czekała, aż wspomni Heather, ale nie padło na jej temat ani słowo. Mogła zapytać o nią Saula, ale ostrzegawcze spojrzenie Matta mówiące „nie nasz interes” powstrzymało ją.

- Możemy tego rodzaju spotkania powtarzać tak często, jak sobie życzysz - zaproponowała Saulowi. - Tylko nie w środę, w przeddzień publikacji pisma.

Widzisz, że wszystko zależne jest od tygodnika, nawet nasze rozrywki? Nie mam pojęcia, co bym zrobiła, gdybyśmy wydawali dziennik.

- Może trzeba o tym pomyśleć - powiedział od niechcenia Matt. Atmosfera rozleniwienia prysła. Saul marszcząc brwi wlepił oczy w Matta.

- Tygodnik zły?

- Wiesz cholernie dobrze, dlaczego zły: bo wychodzi co tydzień. Zawsze będziemy gorsi od *Examinera*, bo brak u nas najświeższych wiadomości. Kto jak kto, ale ty, Saul, wiesz to najlepiej.

- Bez wątpienia. Rzuciłem dziennik, żeby się tu znaleźć. Ależ gadasz od rzeczy. Tygodnik pod niektórymi względami jest lepszy niż dziennik.

- Słusznie. Ale nigdy nie będzie równie ważny. Saul westchnął.

- Oto ta ambicja, którą zauważyłem, jak tylko tu przyjechałem.

- I wiedziałeś już wtedy, że nam pomożesz się rozwinąć. Aż skończysz bujając się w fotelu na werandzie - pamiętasz? - jako wydawca *Chieftaina*.

- Jak odejdziesz. Odchodzisz?

- Nie. Ale musimy się rozwijać, bo inaczej pismo zaśniedzieje i nasze notowania spadną. Stanie się z nim to co było, gdy go kupowaliśmy.

- Kup więc drugi tygodnik.

- To druga ewentualność, jaką biorę pod uwagę.

Elizabeth odsunęła krzesło; jego nogi aż zapiszczały o terakotę.

- Od kiedy to nasz biznes jest jednoosobowy?

- Przepraszam, Elizabeth. Odszedłem od tematu. Nie spodziewałem się, że Saul będzie miał tak cholernie negatywne nastawienie... - Czego spodziewałeś się po mnie? - zapytała zimno. - Całusa od żony w ambitne czołko? Potulnych pochwał? Czy ty się mnie zapytałeś o moje zdanie: dziennik czy drugi tygodnik? Czy skonsultowałeś się ze swoją współpracowniczką na temat tego, czy powiększać nasze małe imperium? - Do diabła, powiedziałem, że przepraszam! - Matt okrążał stół z rękami I głęboko w kieszeniach spodni. - Dość często mi powtarzałaś, że chcesz robić jeden krok za jednym razem, a ja chcę przeskoczyć parę kroków, i już. Razem z Saulem nie widzę, czemu...

- Mówię o czym innym - głos Elizabeth był nadal zimny. - Mówimy o porozumiewaniu się. Nie robi się jakiegoś kroku, jednego, dwóch ani pięciu, kiedy go się najpierw nie omówiło. Czy może masz inną koncepcję partnerstwa? Saul odchrząknął.

- Czy jestem świadkiem sporu pomiędzy dyrektorami korporacji, czy małżeńskiej sprzeczki? Jeśli to pierwsze, mam prawo w nim uczestniczyć. Jeśli to drugie, idę do domu.

Po chwili Elizabeth uśmiechnęła się.

- Nie wiem co, Saul. Pierwszy raz nam się zdarza robić to przy świadkach.

- Dobrze. Stwierdzam, że to spór w ramach korporacji i włączam się jako mediator. Matt, zechciałbyś usiąść? Wyglądasz, jakbyś miał chęć w coś uderzyć. Albo w kogoś. - Poczekaj, aż Matt zrobi jeszcze jedną rundę i usiądzie na krześle. - Czy jest jeszcze kawa?

- Jest zimna - odparła Elizabeth. - Mogę zaparzyć drugi dzbanek.

- Zimna kawa to krew z krwi dziennikarza prasowego. I dziennikarki -dodał. - A teraz posłuchajcie. Nie jesteśmy jeszcze przygotowani do wydawania dziennika. Matt, wiesz o tym. Jesteś wydawcą i wiesz o tym równie dobrze jak ja. Dlaczego więc poruszyłeś ten temat?

- Bo nie możemy stać w miejscu. - Matt rozpostarł ręce. Chciał, by byli coraz więksi, szybsi, zdolni do większych przedsięwzięć. Pragnienie to żywił z przerwami od lat, począwszy od poślubnej nocy, kiedy z Elizabeth nie mieli wyboru i trzeba było ułożyć całe życie biorąc pod uwagę Zacharego. Czuł się wtedy sfrustrowany, stłamszony, chciał się z tego wyrwać - tak jak teraz. Saul to widział.

Matt popatrzył na swoje ręce. Boże, myślał, że wreszcie sam zacznie sterować swoim życiem, że będzie pracował na własny rachunek i nikt go nie będzie hamował. Myślał, że żona go w tym popiera, że panuje nad sytuacją. Marzył coraz śmiej. Skąd mężczyzna ma wiedzieć, jeśli nie będzie próbował pokonywać oporu materii, na ile go stać? Muszę wiedzieć, jak daleko mogę zajść.

Nie był jednak przygotowany na walkę z Saulem ani z Elizabeth.

- Oczywiście wiem, że nie możemy się jeszcze przekształcić w dziennik. Wiem, że nie stać nas na zatrudnienie dodatkowo dwudziestu pracowników i nie mielibyśmy dla nich pomieszczenia, chyba że kupilibyśmy drugi budynek - chciałbym, ale tego teraz też nie możemy zrobić. Wiem, że nasza prasa, drukarska jest przestarzała i powinniśmy kupić nową prasę i mieć drugą w zapasie. Wiem, że musielibyśmy się włączyć do serwisu telegraficznego, kupować wiadomości i artykuły agencyjne, zreorganizować kolportaż...

- Matt - zapytała Elizabeth - od jak dawna o tym myślisz?

- Od jakiegoś pół roku. Każdy wydawca z prawdziwego zdarzenia ma ekspansjonistyczne plany. Saul to wie. Muszę mieć przed sobą cel, Elizabeth. Nie dążyć do czegoś zwyczajnego, ale do celu przez duże C. I chciałbym, żeby moja współpracowniczka i mój sekretarz redakcji mnie w tym popierali, nawet jeśli¹ to nie wzbudza w nich entuzjazmu. Nigdy nie tailem, że pragnę ekspansji, większego wpływu... Mój Boże! - wybuchnął. - Czy wy naprawdę chcecie, żebym przez resztę życia stał w miejscu i był z tego zadowolony?

W pokoju zapadła cisza. Matt podszedł do rzeźbionego barku i wyjął butelkę koniaku.

- Elizabeth? Saul? - Skinęli głowami; postawił na stole kieliszki i rozlał. - Jesteśmy właścicielami czasopisma od prawie osiemnastu miesięcy - zaczął. - Podwoiliśmy nakład prawie przez rok. To był nasz cel, który ustaliliśmy na samym początku. - Elizabeth otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale się opanowała. - I to jest obecnie nasz punkt wyjściowy - kontynuował Matt. - Celem będzie znów dwukrotne podniesienie nakładu, powiększenie zasięgu terytorialnego, zwrócenie na siebie większej uwagi władz ustawodawczych... żeby sprawdzić, jak daleko sięgają nasze wpływy. Jak inaczej zespół zechce dalej pracować na pełnych obrotach, przynosić rewelacyjne materiały do druku? Do licha, oni są pełni zapału, dają z siebie wszystko, a my musimy ich mobilizować.

- Ty także - powiedział Saul. Upił kroplę koniaku, chuchnął, uśmiechnął się łagodnie. - Nie sądzę, by ten magiczny napój mógł ich mobilizować.

- Też nie sędę - Matt odpowiedział z uśmiechem. - Masz jednak rację, mam niespokojnego ducha i brak mi często cierpliwości. - Pochyliwszy głowę ucałował Elizabeth w czubek głowy. - Ale jestem zakochany w mojej współniczce i postępuję według planu, który uzgadniamy razem.

Elizabeth wyczuwała głęboką frustrację Matta. Jej miłość do męża była gorąca, zwłaszcza po kilku ostatnich szczęśliwych miesiącach, więc jej gniew na niego, że ponosi go fantazja z pominięciem jej osoby, złagodniał. Wiedziała, że za każdym razem, kiedy Mattowi mówi, by z czymś poczekał, przypomina mu te szesnaście lat, podczas których mógł kupować własne tytuły prasowe, a zamiast tego prowadził zakład poligraficzny ojca. Przypomina mu tym samym, że ma czterdzieści jeden lat. I wiedziała, że nic z nim nie wskóra, przeciwstawiając mu argumenty typu: mamy harmonogram pracy, listę płac i długi. Mogła sobie wyobrazić jego odpowiedź. - No to co, już jesteśmy zadłużeni, więc co za różnica, że dług będzie większy? Jakoś sobie przecież radzimy. Czy nie postanowiliśmy, że idziemy na całość?

No, a skąd mogła wiedzieć, czy Matt nie ma racji? Może to w swoim myśleniu popełniała błąd, że wołała bardziej umiarkowane tempo i więcej wolnego czasu, który mieli przez ostatnie miesiące dla siebie we dwoje i dla rodziny? Ale w czasie wolnym nie buduje się imperiów ani nie poszerza się kręgu czytelników „Spraw prywatnych”. Co się stało z jej ambicjami, z jej pragnieniem uznania, jakie zdobył sobie Matt? - Jeśli będę zbyt ostrożna - pomyślała - Matt się wybije, oddali, a ja zostanę sama. I pomyśli, że byłam mu kulą u nogi.

- Dobrze - powiedziała znienacka. - Kupujemy drugi tygodnik. Ile nam potrzeba pieniędzy?

Saul spojrział na nią z podziwem, ciekawy, czy Heather lub ktokolwiek zrezygnowałby dla niego z własnych pragnień.

- Sto tysięcy - odparł Matt. - *Alameda Sun* się zwija i możemy go dostać za trzysta tysięcy - sto spuszcza. - No, no, odpowiedź sama się prosi - zauważył Saul. - Przypuszczam, że sobie zaplanowałaś, aby rozmowa potoczyła się w tym kierunku.

- To prawda? - Elizabeth zapytała Matta. - Czy mną manipulujesz?

- Nie mógłbym tobą manipulować - odparł. - Nie chciałbym. Gdybyś sama tego nie zaproponowała, zapytałbym cię, co myślisz o tym, żeby kupić *Sun*. I miałbym nadzieję, że wyrazisz zgodę.

Elizabeth pohamowała się, żeby nie zadać pytania, co by się stało, gdyby nie wyraziła zgody. Jaka różnica? Oboje byli zaangażowani, to było ich wspólne przedsięwzięcie.

- Czy możemy pożyczyć od kogoś drugie sto tysięcy? - spytała.

- Nie całe. - Wyjął ołówek. - Ale jeśli sprzedamy majątek taty w Nuevo...

- Matt!

- Wiedzieliśmy, że kiedyś to będziemy musieli zrobić - powiedział beznamiętnie. - Wcale mi się to nie uśmiecha, tak jak tobie, ale zaproponowano

mi dobrą cenę i jeśli za to kupimy drugie pismo, lepiej na tym wyjdziemy, niż gdybyśmy trzymali działkę i dom. - Zamilkł. - Nie mam na to ochoty, Elizabeth. Ale nie zdobędziemy inaczey pieniędzy.

Kiwnęła głową uświadamiając sobie wielkość ambicji Matta. - Do przodu - pomyślała kwaśno, przypominając sobie chwilę, kiedy trzymając się za ręce jako nowi właściciele wchodzili do budynku *Chieftaina*. A więc innego wyjścia nie było. Sfinalizowanie zakupu *Alameda Sun* postanowili uczcić wyjazdem do Aspen na narty, na pierwszy od dwóch lat urlop. Cała rodzina konspirowała, żeby im to ułatwić.

- Oczywiście, że powinniście wyjechać - powiedziała Lydia, kiedy Matt poruszył ten temat podczas wspólnej kolacji. - Wprowadzimy się na ten tydzień do was, aby Holly i Peter nie czuli się sami bezradni. - Zauważywszy obrażone miny dzieci, ciągnęła pogodnie.

- Nie dlatego, że mamy was za dzieci, ale dlatego, że ja poczuję się przy tym kochana i potrzebna. - Niezdolne do odparcia tego argumentu, dzieci milcząco wyraziły zgodę.

Bilety na samolot kupili w prezencie Lydia i Spencer.

- Ponieważ tak ciężko pracowaliście i wam dobrze się wiedzie - powiedziała Lydia.

- Cieszymy się, że młodsze pokolenie może dokonać tego, czego starsze nie potrafiło. - A Saul wyszukał dla nich lokum w mieszkaniu u dawnego znajomego z Nowego Jorku.

- Całe mieszkanie oddaję im do dyspozycji za darmo - obiecał znajomy. - Niech nowożeńcy sobie pobalują. - Saul nie protestował. Elizabeth i Matt byli małżeństwem od prawie osiemnastu lat, ale patrząc na nich obecnie, jak planują wspólny urlop, można byłoby ich wziąć za nowożeńców.

Nikt ich w Aspen nie zauważył. Byli anonimowymi turystami w mieście, które żyło narciarstwem, zwłaszcza pod koniec marca, kiedy jeszcze trwał sezon. Sami we dwoje, Elizabeth i Matt polecili samolotem z pustynnego płaskowyżu Santa Fe do doliny rzeki Roaring Fork w Kolorado, potem zaś pojechali samochodem przez miasto i dotarli do kompleksu budynków na zboczu Aspen Mountain.

Mieszkanie było przytulne, urządzone kolorowo, z oknami wychodzącymi na zjazd narciarski Little Neli.

- Mieliśmy szczęście - stwierdziła Elizabeth, gdy z Mattem stanęli na balkonie wdychając ożywcze powietrze - że trafiło się nam takie idealne lokum...

Objęli się w pasie i patrzyli na zjazd narciarski z obu stron porośnięty rzędem ciemnych sosen. Niżej w dolinie leżało miasto Aspen w brązach, szarościach, zieleni. Śnieg już stopniał; biały był tylko szczyt Aspen.

Po przeciwnej stronie doliny wznosiła się Red Mountain do połowy zabudowana domami, w oknach których odbijał się blask późnego popołudniowego słońca. Na zachodzie góry nikięły w błękicie i fioletach.

Coraz dłuższe cienie słały się w dolinie; powietrze stało się mroźne. Zamknawszy za sobą szklane drzwi rozpakowali się w sypialni.

- Za wcześnie na kolację - zauważył Matt. - Siądźmy przed kominkiem. Napijemy się czegoś?

Jak opowieść, którą sama mogłabym napisać - pomyślała Elizabeth. Płomienie strzelały i chwiały się; góra za oknem jarzyła się w ciemności. Pili wino Cabernet, przegryzali krakersami z serem Stilton, który znaleźli w lodówce. Ogarnęła ich cisza: cisza absolutna, bez gadaniny nastoletnich dzieci, nawet bez ich obecności w śnie, bez odgłosów z ulicy, bez telefonu, ani psa u sąsiada, bez dzwonka u drzwi. Leżeli przed kominkiem oparci o poduchy w bawełnianych pokrowcach.

- Santa Fe, rodzina, biznes, starte z powierzchni ziemi - powiedział Matt. - Istnieje tylko ten pokój i my. Mam teraz chęć cię uwieść.

Elizabeth uśmiechnęła się i odstawiła kieliszek. Jedną ręką przyciągnęła go ku sobie, drugą zaczęła rozpinąć guziki u koszuli.

- Partnerzy - wymamrotał Matt. - Nie uwodzicie. To mi odpowiada. Pocałowali się w usta wolno, zagłębiając się w siebie. Wzajemnie rozebrali się z koszul i zdjęli sztruksowe spodnie. - Na podłodze czy w łóżku? zapyta! Matt. Rękami dotykał piersi Elizabeth, ustami jej włosów.

- Tutaj - odpowiedziałaomalże szeptem. Zapadła się w poduchy pociągając za sobą Matta. - Tutaj. Teraz. Leżeli obok siebie na stosie poduch, ich ciała muskała miękka bawełna, pieściły je ich dłonie i dotyk skóry o skórę. Matt poszukał palcami zagłębienia między udami Elizabeth i wślizgnął się w nie, Elizabeth całowała go, szybko oddychając, w policzek, usta, ciemne włosy na torsie, słysząc pod ustami bicie jego serca. Znaleźli się w kręgu ciszy. Pokój tańczył pośród migocących płomieni w rytm ich oddechów, półszeptu i słów w połowie urywanych; powoli wzbierała w nich fala pożądania.

Matt przekreślił się i pchnął Elizabeth pod siebie, zacisnęła wokół niego uda i rękami gładziła długą linię kręgosłupa i mięśnie wokół wąskiej talii.

- Ko-cha-na mo-ja... - wyszeptał przedłużając sylaby i Elizabeth czuła ciepło tych słów, żaru z kominka i gorąco, które pod ciężarem Matta wypełniło ją, rozlało się w niej aż po czubki palców stóp. Wszystko w niej płonęło, stało otworem, pragnąc go. Rozchyliła uda i wciągnęła go głęboko do wilgotnego łona, gotowego na jego przyjęcie. Wypełnił ją sobą, mięśnie łona skurczyły się, przylgnęły do niego, dostosowały się. Był nad nią. Wpadłszy w rytm, który odpowiadał im dwojgu, patrzyli w dół na jego twardy penis, obserwując jak wysuwa się i znów się w nią wbija stapiając się z Elizabeth i wzmagając ich żądze i namiętność niemożliwą już do poskromienia. Zatracali się porwani w potężny wir coraz szybszych i szybszych ruchów dążąc do tego momentu, w którym, w jednej przesywającej zmysły sekundzie, wszelki ruch zamiera. Dopiero po jakimś czasie powoli zaczęła im wracać świadomość pokoju, w którym się znajdują,

rzucających cienie płomieni w kominku, miękkość poduch; leżeli cicho uśmiechając się do siebie prosto w oczy.

- Cały czas cię odkrywam na nowo - szepnął w końcu Matt. - Za każdym razem wydajesz mi się kimś nowym... moją nową miłością...

Elizabeth przeciągnęła palcem po jego zmierzwionych ciemnych włosach, potem wzdłuż twarzy.

- Jakiś ty przystojny. Czasem zapominam... Złapał w zęby jej palec.

- Zahipnotyzowały cię poduszki i ogień kominka.

- Nic innego, tylko mój mąż. Kocham cię, Matt.

Przycisnął ją mocniej do siebie, położył się na niej i ustami musnął jej usta.

- Moja śliczna, wspaniała żona. Partnerka. Przyjaciółka. Kocham cię. -Pocałowali się, i ten pocałunek wydał się Elizabeth przypieczętowaniem ich miłości, ważniejszym nawet niż namiętność, jaką dopiero co dzielili - Nigdy tego nie stracimy.

Dni mieniły się kolorami. Z szafirowego przepastnego nieboskłonu padały promienie słońca, skrząc się na świeżym śniegu, który leżał na górach. W ciszy, z rozłożystych gałęzi ciemnozielonych jedlic w białych czapach z miękkim świstem osuwały się kłęby śniegu. Narciarze śmigali po stokach, ubrani w jaskrawe kombinezony, kontrastujące z oślepiającą bielą śniegu; ich twarze lśniły w słońcu, w ciemnych okularach odbijały się góry, drzewa, bezchmurne niebo oraz inni tęczowi narciarze mknący w dół.

Elizabeth i Matt pojechali na górę wyciągiem krzeselkowym; im wyżej, tym rozleglejszy widok roztaczał się przed ich oczami: wyłaniało się coraz więcej łańcuchów górskich z ośnieżonymi szczytami i wystającą spod śniegu łysą skałą; niżej położone partie były porośnięte lasami osikowymi o bezlistnych, rozczapierzonych gałązkach, przeplecione ciemnozielonymi, prawie czarnymi jedlicami. Przypomniały im się pierwsze lata ich życia w Santa Fe, kiedy to pozwalali sobie co roku zimą na luksus, jakim były wypadki na narty do Aspen.

- Dlaczego przestaliśmy tu przyjeżdżać? - spytał Matt. Elizabeth zapięła kurtkę na suwak.

- Nie wiem. Zmieniły się nam zwyczaje, sympatie... ja wiem? Wiele przez to straciliśmy.

- Zagubiliśmy - powiedział. - Nie straciliśmy. - Podchodzili do szczytu. - Znów to odnaleźliśmy. Gotowa?

- Na wszystko.

Uśmiechnął się od ucha do ucha. Jak tylko znaleźli się u góry, zeskoczyli z krzesełek i stanęli obok drewnianego drogowskazu z mapą tras narciarskich, poprawiając sobie wiązania u nart; głęboko wdychali rozrzedzone powietrze.

- Lata przy biurku - mruknął Matt. - Mięśnie mi zwiotczały, zapomniałem technikę jazdy. Chyba się starzeję.

Zaśmiała się.

- Już ci wierzę po tym, co ze mną wczoraj wyprawiałeś na podłodze przed kominkiem. Chodź, pokaż, jak się zestarzałeś. Ścigamy się do trzeciej stacji. - I nie czekając na odpowiedź, odepchnęła się kijkami. Czowała pracę mięśni ud, napięcie w rękach, gdy wbijała kijki w śnieg. - Za twarde podłoże - pomyślała. - Zwolnij. - Zaczęła jechać szerszymi zakosami i wtedy Matt się z nią zrównał, wykrzykując, że zaczeka na nią przy wyciągu. - Co to, to nie! - zawołała, ale on jako narciarz był od niej szybszy; gdy dojechała do stacji, on zdążył zahamować dosłownie sekundę wcześniej i śnieg pryskał mu jeszcze spod nart.

- Fajna z ciebie koleżanka - powiedział. - Nie ma co, tak się od samego rana ścigać ze starym ramolem. Trochę mu kości rozruszać. Myślałem, że podejmujemy decyzje wspólnie. No to co, chcesz się ścigać jeszcze raz?

- O, nie, już nie, i przepraszam.

Zaśmiał się i poprowadził ją do krzeselka. Usiedli sapiąc.

- Całkiem, całkiem niezłe - skomentował Matt. - Jak na parę wyjadaczy prasowych, którzy nie mieli ostatnio za wiele czasu na figle. Niezła z nas spółka.

Niezła z nas spółka. Elizabeth powtarzała sobie te słowa przez cały dzień, gdy zjeżdżali łatwiejszymi trasami zakosami lub szusem, jak w stanie nieważkości, lub gdy obok siebie albo jedno za drugim przeskakiwali nad muldami, które utworzyli narciarze wykonujący skręty na bardziej stromych stokach. Robiło im się gorąco i rozpinali suwaki u kurtki; na krzeselku wklepywali sobie w nosy krem do opalania. Na tarasie widokowym Copper Trail zrobili postój i na powietrzu prześwietlonym słońcem i nasyconym zapachem igliwia oglądali leżącą nisko dolinę i Aspen, które wyglądało jak obrazek namalowany akwarelami. Zanim stamtąd odeszli, długo i powoli całowali się na stojąco. Po południu posilili się na świeżym powietrzu na Sundeck; zdjawszy kurtki i rozluźniwszy buty narciarskie wyciągnęli nogi i bez słów podziwiali widok.

- Jest wspaniale - powiedziała Elizabeth. - Dlaczego tak długo na to czekaliśmy?

- Wydawaliśmy pismo - Matt wydobył z miski ostatni kawałek kurczęcia *gumbo*.

- Mógłbym zjeść jeszcze ze trzy porcje. Ale jakbym wtedy zdołał zjechać z góry? Jak miałbym energię, żeby się kochać z żoną?

- Jak by ci się zmieścił po tym obić? Wziął ją za rękę.

- Kobieta praktyczna. Kocham cię. Chcę jeszcze pojeździć na nartach. Gotowa?

W tydzień odrobili lata zaległych urlopów. Budzili się wcześniej rano, spędzali dni w promieniach słońca na stokach Aspen, po południu zaś, gdy

zapadał zmierzch, wracali na dół i chowali się w ciepłym zaciszu domu, gdzie brali gorący prysznic i pili chłodne białe wino wycierając się wzajemnie puchatymi ręcznikami; potem głowy im same opadały i przed kolacją zapadali w godzinną drzemkę.

Pewnego wieczoru pojechali taksówką wzdłuż Castle Creek do miasta -ducha Ashcroft, gdzie droga kończyła się zaoranym ugorem i tam się przerzucili na biegówki. Pod sierpem księżyca ślizgali się wzdłuż szlaku turystycznego, po wysokim śniegu, pozbawionym śladów, wjeżdżali i wynurzali się z fantastycznych cieni, aż dotarli do Pine Creek Cookhouse, gdzie powitało ich ciepło bijące z grubego, czarnego pieca, świece na stołach przykrytych obrusami w kratę i odsłonięta kuchnia, z której dolatywały zapachy zamówionych potraw tak nęcące, że nie mogli się doczekać zimnych zakąsek i czerwonego węgierskiego wina. I choć mała salka była pełna obcych ludzi siedzących przy długich zbiorowych stołach, mogli zachować intymność znajdując miejsce naprzeciw siebie przy oknie, gdzie cicho rozmawiali.

- Boję się to powiedzieć, żeby nie zapeszyć - odezwał się Matt. - Oczywiście, nigdy nie bywam przesądny, ale czy mogę wyznać, że nigdy się nie czułem tak szczęśliwy, tak bardzo, że aż się boję, by się nie rozwiało jak dym z papierosa?

- Nie rozwieje się - Elizabeth wyjrzała przez okno na rustykalną werandę. - Nie pozwolę na to.

- Oboje nie pozwolimy - powiedział Matt. - Bo wszystko jest idealnie, tak jak trzeba. Uśmiechnęła się do niego. Kochała jego twarz ogorzałą od słońca i śniegu; kołnierzyk kraciastej koszuli wystawał mu spod białego swetra, który sama mu zrobiła na urodziny rok przed kupnem *Chieftaina*: ostatni rok, kiedy miała czas robić na drutach. Kochała jego uśmiech, ciepło kryjące się w głęboko osadzonych, niebieskich oczach, wspomnienie dotyku jego rąk, którym ją obudził tego ranka.

- Czuję się taka rozleniwiona - powiedziała. - Mogę myśleć tylko o miłości, jedzeniu i nartach.

- O czym innym myśli się w Aspen? Chyba z wyjątkiem tego, że ma się piękną żonę.

- Wyglądała o wiele lepiej - pomyślał - zrelaksowana, wypoczęta, nie tak blada i nerwowa jak zawsze pod koniec gorączkowego tygodnia. Przyjrzał się delikatnym zmarszczkom na jej twarzy, cerze lśniącej i rumianej, szarym oczom z zielonymi punkcikami, które podkreślał szmaragdowy sweter z angory, miodowym włosom opadającym w lokach na ramiona, nie zaś ściągniętym do tyłu tak, by nie przeszkadzały w pracy. Piękna i godna pożądania - powiedział. - Nie mogę się tobą nasycić.

Marzycielsko kiwnęła głową przypominając sobie dzień spędzony na stoku.

- Ale kiedyś - rzekł Matt - stwierdziłaś, że naszym problemem jest brak możliwości odseparowania się od siebie.

- Och, ale to było dawno temu. Mieliśmy wtedy kłopoty, wydawaliśmy pismo jednocześnie ucząc się, jak współpracować ze sobą...

- Więc teraz o tym nie myślisz.

- Jak mogłabym? Teraz wszystko gra znakomicie.

- Chciałem, żebyś mi to powiedziała. To szaleństwo, prawda? Po tylu latach nagle czuję, że cię odkrywam, że cię bardzo kocham i potrzebuję, odkrywam możliwości, kim się możemy stać razem. Co myśmy robili przez te pierwsze szesnaście lat?

Lekko zadrżała.

- Matt, my tych lat nie wymazujemy z pamięci. Dokonaliśmy kilku zmian...

- Zmieniliśmy wszystko. I to dopiero początek. Poczekaj tylko, aż ci powiem, co mam w planach na rok następny.

- Mówiłeś. *Sun*.

- To na początek. - Zobaczył, że przez jej twarz przemknął cień zaniepokojenia. -

Ale to nie pora, żeby o tym mówić. W tym tygodniu czeka nas miłość, jedzenie, narty. Zgoda? - Podniósł jej dłoń i pocałował wewnątrz, czując, że pod jego ustami rozluźniają się jej mięśnie; wiedział, że chciała się teraz odprężyć, odsunąć od siebie wszelkie myśli. Z jej twarzy znikło napięcie i trzymając się za ręce wypili gorącą kawę i mówili o innych rzeczach.

Z restauracji wracali na nartach, miękki śnieg padał im prosto w twarz. Następnego dnia rano sypki, nieskalany puch pokrywał górskie szlaki, którymi zjeżdżali długimi, szerokimi zakosami wzbijając pióropusze śniegu, które się za nimi ciągnęły jak wielkie skrzydła. W południe, gdy na górze zrobiło się tłoczno, zjechali w dół i do wieczora zwiedzali butikami z unikatami, galerie sztuki, ekspozycję rzeźb na dziedzińcu, uroczą małą księgarnię w odnowionym budynku wiktoriańskim, który przypominał Elizabeth lokal jej rodziców na Canyon Road, sklepy wzdłuż pasażu wyłożonego kocimi łbami.

- Holly - wyszeptwała Elizabeth wybierając haftowany sweter w Pitkin County Dry Goods. - Peter, Heather, Saul, rodzice... aż się wierzyć nie chce, że są tak daleko. Nie wyobrażam sobie powrotu.

- Zostały nam jeszcze trzy dni - powiedział Matt. - Jest za wcześnie, żeby myśleć o powrocie. Będziemy jeszcze jeździć na inne wakacje. Dłuższe, lepsze.

- Ja się cieszę z tych, co mamy teraz - Elizabeth objęła go ramieniem, wsadziła dłoń do jego kieszeni i zawrócili spacerkiem w stronę domu. Zadzierając głowy widzieli narciarzy dokonujących ostatni tego dnia zjazd w dół: drobne figurki poruszające się na tle ogromnej góry. Minęli sklepy i szli dalej wzdłuż podnóża góry. Nagle doleciał do nich zgiełk głosów przez otwarte i zaraz zatrzaśnięte drzwi od Tipplera.

- Napijemy się czegoś? - zapytał Matt i wkroczyli do środka, gdzie wrzało od gwaru krzyżujących się, wielojęzycznych rozmów. Ścisnięci przy małym stoliku przyglądali się tłumowi. - Chodźmy z powrotem do Chestnut

Run - zaproponował Matt. - Kupię ci ten sweter za osiemset dolarów, który ci się tak podobał.

- Nie mówisz serio - powiedziała Elizabeth.

- Pewnie nie - odparł poważnym tonem. - Ale jeśli ktoś zwróci na nas uwagę, że jesteśmy tu jedynymi gośćmi, którzy mają na sobie swetry za pięćdziesiąt dolarów, to może nam kazać wyjść, a nie chcę, żebyś się czuła jak ktoś gorszy.

Elizabeth parsknęła śmiechem.

- Nie mogę czuć się jak ktoś gorszy. Mam ciebie. A kobiety, które tu siedzą, nic nie obchodzi mój sweter. Wszystkie zachodzą w głowę, gdzie można znaleźć takiego męża jak mój, i oczywiście nie mogą go znaleźć za żadną cenę, więc to one czują się jak ktoś gorszy. Pij wino i się nie martw. Nikt nas stąd nie ruszy.

Najważniejszym tematem rozmów w Aspen jest, po wyczerpującym omówieniu jazdy na nartach danego dnia, kolacja.

- Pozostały nam jeszcze trzy wieczory - powiedział Matt, gdy wychodzili od Tipplera. -1 trzy restauracje. Dwie ostatnie wybierasz ty. Ja zrobiłem na dzisiaj rezerwację.

- Gdzie?

Otwierał właśnie drzwi.

- Twój mąż stawia ci kolację i występy kabaretu w... - Aż podskoczyli, bo dzwonił u nich telefon. Od czterech dni nikt się do nich nie odzywał. Elizabeth chwyciła słuchawkę.

- Nikt by nie dzwonił, chyba że coś się złego stało w domu... Ale telefon nie był z Santa Fe; był z Houston.

- Elizabeth? Tu Keegan Rourke. Zdaje się, że nie widzieliśmy się wiele lat, ale czy mnie pani pamięta...?

- Oczywiście, że pamiętam, ale... - Keegan Rourke? Po cóż znowu Keegan Rourke, którego ostatni raz widziała na swoim weselu, prawie osiemnaście lat temu, dzwoni do niej i to na domiar wszystkiego do Aspen? Chyba że... - Czy coś się stało Tony'emu?

Matt przyglądał się jej z pytającą miną.

- Keegan Rourke - powiedziała zasłaniając słuchawkę "dłonią. - Kto?

- Ojciec Tony'ego.

- Nic mu się nie stało, moja miła - mówił Rourke. - Tony ma się jak zwykle.

Rozmawiałem z nim wczoraj na Alasce. - Głos Rourkego, jak Tony'ego, był aksamitny, głęboki, z lekka erotyzujący i pełen tajemniczych znaków zapytania. -

Przepraszam, że przerywam państwu urlop - powiedział. - Zadzwoń do Matta do redakcji, i podali mi ten numer. Przyjeżdżam jutro na narty i chciałbym się z wami zobaczyć. Może razem pojeździmy? A na pewno zjemy razem kolację.

Elizabeth nie odzywała się. O co mu chodzi?

- Elizabeth?

- Oczywiście, że możemy razem pojeździć na nartach, jeśli sobie pan życzy, Keegan. Ale kolacja chyba nie...

- Proszę. Zapraszam was. To by mi sprawiło ogromną przyjemność. Nigdy nie miałem właściwie okazji, żeby, rozumie pani, porozmawiać z Mattem.

- Czego chce? - zapytał Matt.

- Keegan, niech pan chwilę poczeka - Elizabeth znów zasłoniła słuchawkę. - Przyjeżdża do Aspen. Chce z nami pojeździć na nartach, zaprasza nas na kolację, chce ciebie lepiej poznać.

Matt uniósł brwi.

- Nagle poczuł gwałtowną chęć, żeby mnie lepiej poznać?

- Mnie się to też wydaje bez sensu. Czy mam mu powiedzieć, że nie możemy się z nim widzieć? Już mu powiedziałam, że nie możemy przyjąć zaproszenia na kolację.

- Czy tylko tyle powiedział? Że chce mnie lepiej poznać?

- On nie jest typem, który mówi co myśli. Przynajmniej nie był taki, jak go pamiętam z Los Angeles. Nie mamy powodu, żeby z nim spędzać wieczór, prawda?

- Ciekawostka - zdziwił się Matt. - Jak on nas tu znalazł?

- Zadzwoił do redakcji.

- Redakcji? Nie do nas do domu? Elizabeth, spotkajmy się z nim. Czy naprawdę ci się nie chce? Wolałbym wiedzieć, o co mu chodzi. Czy nie masz nic przeciwko, żeby raz z nim pójść na kolację?

Mam - pomyślała Elizabeth. Ale do słuchawki telefonicznej powiedziała.

- Dziękuję panu, Keegan. Z przyjemnością zjemy z panem kolację.

- Świetnie - poczuła satysfakcję w jego głosie. - Zadzwoię jak tylko przyjadę.

Mogę nie zdążyć na narty. Właściwie to lepiej się umówmy na kolację w czwartek, nie jutro, na wszelki wypadek, jakbym miał poślizg. Myślałem, żeby pójść do Krabloonika, jeśli to wam odpowiada.

- Nigdy tam nie byliśmy.

- No to was tam wprowadzę. Czy może pani zarezerwować stolik?

- Jak pan sobie życzy. Na trzy osoby, na godzinę ósmą?

- Na ósmą jak najbardziej, ale na cztery osoby. Przyjedzie ze mną znajoma.

Oczekuję z niecierpliwością na spotkanie z panią, moja droga. Pozdrowienia dla małżonka.

Elizabeth odwróciła się od słuchawki.

- Nie rozumiem.

- Powiedz mi coś o nim - powiedział Matt. - Wiem tylko tyle, że twoi rodzice wzięli go do siebie, gdy mu umarła żona.

Kiwnęła głową.

- Tony miał trzy latka. Mnie jeszcze nie było na świecie. Z trudnością mi przychodzi mówienie o Keeganie. Wstydzę się, że kiedy dorastałam, tak bardzo go idealizowałam. Wydawał mi się kimś jak król, bogaty, potężny,

taki pewny siebie, zwłaszcza przy moim ojcu, który się zdawał słabeuszem, bo nienawidził swojej pracy, nienawidził smogu...

- Czego nienawidził Keegan?

- Nigdy nie było wiadomo. On nigdy nie dał po sobie poznać, że go coś denerwuje. Wiem, że mama przestała go lubić po pewnym czasie, pewnie dlatego, że nigdy nie lubiła ludzi skrytych, a Keegan taki był. Wszystko robił w sposób pokretny. Ludzie musieli zgadywać, o co mu chodzi. Zawsze się od nich dystansował. Chyba moja mama przejmowała się tym, że ojciec zdawał się... być przegrany, natomiast Keegan żył jak bogacz.

- Z czego?

- Z nafty. Tony powiedział mi, że dorobił się fortuny po tym, jak się przeprowadził do Houston. Wydaje mi się, że można oszacować jego majątek na pół miliarda dolarów... - Miliarda?

- Tak mówił Tony. Keegan zajął się nieruchomościami i chyba stacjami telewizyjnymi. Tony przestał p nim od dawna mówić. Nawet nie wiedziałam, że się kontaktują ze sobą... - głos jej zamarł. Matt objął ją ramieniem.

- Co się stało, kochanie?

- Och... ten jego dziwny stosunek do ludzi. Zawsze trzeba zgadywać, dlaczego chce się z człowiekiem zobaczyć. Poza tym nie lubię, jak ktoś się wprasza, gdy jesteśmy na urlopie i wścibia nos.

- Wiele nie wywacha. Dokąd chce pójść?

- Do Krabloonika.

- Cudownie. Chciałem zobaczyć, jak tam jest. Spotkamy się z nim raz: kolacja i już. Mówiąc o kolacji, co się stało?

- Właśnie sobie uświadomiłam - spotykamy się z nim w czwartek, nie jutro. Matt, czwartek to nasz ostatni wieczór w Aspen. Nie chcę go spędzać z Keeganem Rourke i jakąś nieznaną kobietą.

- Przyjdzie z jakąś kobietą? No to będzie chciał być z nią sam na sam, tak jak my. Dowiemy się, czego chce, zjemy sobie kolację, i mamy jeszcze całą noc. A czy możemy teraz zapomnieć o milionerze Rourke i wrócić do zgłodniałych Lovellów? Mówiłem ci, kiedy nam przeszkodził telefon, że zarezerwowałem miejsca na kolację i późny występ w Crystal Pałace. Jeśli się nie pospieszymy, to nam przepadnie. Pospieszyli się i zdążyli w momencie, gdy ostatni widzowie z kolejki oczekujących byli odprowadzani do stolików. Mieli stół na balkonie restauracji, tuż przy mosiężnej rampie, skąd widzieli znajdującą się na końcu sali małą estradę i pianino stojące pod masywnym kryształowym żyrandolem. Wszystkie ściany zdobiły podświetlane witraże. Duża, rzęsiście oświetlona sala była zapełniona po brzegi, rozlegał się gwar głosów; Elizabeth i Matt powoli spożywali pieczoną kaczkę, do której zamówili butelkę burgunda i potem na deser mus czekoladowy; coraz bardziej czuli, że świat zewnętrzny się od nich oddala. W

przedstawieniu kabaretowym brali udział kelnerki i kelnerzy pracujący w tej restauracji, młodzi, utalentowani i pełni wigoru. Przy drugiej piosence zapomnieli całkowicie o milionerze Rourke.

Do wieczora dnia następnego, kiedy zadzwonił do nich ze swojego domu na Red Mountain.

- Zatrzymały mnie interesy i naprawa mojego samolotu - powiedział Mattowi, który odebrał telefon. - Nicole chce jutro jeździć na nartach na Snowmass, więc nie będziemy razem, chyba że do nas dołączycie.

- Nie - odparł Matt. - Będziemy jeździć tutaj.

- A więc zobaczymy się na kolacji. Czy Elizabeth zarezerwowała stół?

- Na ósmą.

- Doskonale. Poślę po was auto o siódmej trzydzieści. Sprawi mi przyjemność rozmowa z panem, Matt.

O czym? - zastanawiał się Matt, ale nie zdradził się z tym przed Elizabeth. Nie rozmawiali zresztą o Rourke. Był to ostatni dzień, który mogli w całości poświęcić na narty, korzystali więc ze śniegu śmigając po szlakach w górę i w dół aż do zamknięcia wyciągów na Bell Mountain. Zdjęli ubranie, wzięli prysznic i wyciągnęli się na poduchach przed kominkiem, tam gdzie rozpoczęli urlop.

- Chyba stopniałam - westchnęła Elizabeth. - Nie czuję, żebym miała kości czy mięśnie. Sama galareta. Matt objął ją rękami i mocno przytulił. Leżeli bez słów, na miękkich poduchach, morzyło ich.

- Nie chce mi się wcale ruszyć - powiedział. - Chcę cię zawsze trzymać w objęciach, kochać i czuć twoją bliskość, moja połowico, kość z mojej kości.

- Możemy zostać w domu - wyszeptła Elizabeth pokrywając pocałunkami jego tors. - Zrobię omlet, zjemy przed kominkiem, będziemy udawać, że nie ma nikogo poza nami na świecie. - Brzmi to cudownie.

Ale po drzemce obudzili się w ciemności, ledwo parę węgli tliło się w kominku.

Matt potarł brodę. - Muszę się ogolić przed kolacją. Czy nie wiesz, która może być godzina? No i po omlecie - pomyślała Elizabeth. Spojrzała na zegarek.

- Szósta trzydzieści. - Lepiej zacznijmy się szykować.

- Jak tam pojedziemy? - zapytała.

- Przysłała po nas wóz.

- Co?

- Mówił, że przyjedzie po nas limuzyna o siódmej trzydzieści.

- Nic nie powiedziałeś.

- Nie zdawało mi się ważne. Wspomniał też coś o własnym samolocie. Limuzyna, samolot, dom na Red Mountain. My też będziemy to mieć kiedyś.

- Fajnie - odparła machinalnie Elizabeth zastanawiając się, w co się ubrać.

- Zakładasz biały sweter? - spytał Matt.

- Nie wiem. Bo co?

- Bo mam coś dla ciebie. Poczekaj tu. - Włożył do kominka kłodę drewna i poszedł do sypialni. Wrócił niosąc małe białe pudrko. Elizabeth patrzyła na jego gołe ciało w świetle tańczących płomieni. Wysoki, szczupły, muskularny, miał ruchy pełne wdzięku i energię, jakby w sobie uszponą. Dokąd uskoczy, jeśli będzie miał okazję?

- Na pamiątkę tego urlopu - powiedział siadłszy obok niej. - I żeby ci wyznać moją miłość.

Był to naszyjnik Indian Zuni: dziesięć tworzących literę V owali ze srebra filigranowej roboty, w których osadzone były półkule z ciemnoczerwonego koralu.

- Jest przepiękny... - powiedziała cicho. Zapiął go jej na szyi.

- Naga w naszyjniku - wymamrotał jak gdyby była olejnym obrazem. Pocałował jej usta, szyję, piersi. - Moja kochana, śliczna Elizabeth. A teraz idę się ubrać.

Elizabeth została przy kominku. Nie chciała nigdzie wychodzić. Nie obchodził ją Rourke ani jego przyjaciółka. - Mogłabym pójść jak stoję. Naga w naszyjniku. Na pewno by na mnie zwrócono uwagę. I zapamiętano by mnie. Uśmiechnęła się, po czym westchnęła. Niech się to przewali. Żebyśmy znów mogli być sami.

Wysokiego wzrostu jak Mart, choć o dwadzieścia osiem lat starszy, Keegan Rourke, ze srebrną siwizną, o wąskim nosie i jasnych źrenicach, zwracał uwagę swobodą swego zachowania i pewnością siebie przystojnego mężczyzny, który się cieszy bogactwem i władzą. W Krablooniku spojrzenia kierowały się przede wszystkim na niego. Restauracja, wysoko w górach na Snowmass, miała wystrój z powodzeniem łączący rustykalność z elegancją: ciemne drewniane ściany, kilka stolików i łóż, staroświeckie lampy gazowe zawieszane pod niskim pułapem tworzyły atmosferę intymności. - W narożnej łoży Rourke siadł naprzeciw Elizabeth i napotykając jej zaskoczone spojrzenie otaksował ją wzrokiem pełnym podziwu.

- Jest pani tak piękna, jak mówił Tony. O wiele śliczniejsza niż młoda osóbką, którą widziałem ostatnio w dniu jej ślubu... jak to było dawno temu?

- Siedemnaście lat - odparła Elizabeth. - Prawie osiemnaście.

- Mój Boże, ależ czas leci. - Rourke potrząsnął głową. - Odwiedziłem kiedyś Zacharego, zawiózł mnie do Nuevo. Pani z Mattem akurat nie było, pewnie byliście na nartach, jak teraz o tym myślę. Chciałem znów kiedyś wpaść, żeby się zobaczyć z wami i Spencerem z Lydią, odkąd się przeprowadzili do Santa Fe, ale nigdy mi jakoś nie wychodziło. Oczywiście Tony przekazywał mi wiadomości na bieżąco. Ach, Nicole - powiedział, gdy do ich stolika podprowadzono kobietę. - Czy można ci przedstawić moich

znajomych: Elizabeth i Matthew Lovellowie. Nicole Renard. Nicole spotkała jakichś swoich znajomych przy barze i została, żeby zamienić z nimi parę słów.

Czego się, kochanie, napijesz? Wina czy czegoś innego?

Rzuciwszy szybkie spojrzenie na kieliszki do wina, które stały na stole, Nicole dostosowała się do reszty towarzystwa.

- Proszę wino. - Kiedy Rourke napełniał jej kieliszek, otwarcie przyglądała się Mattowi i Elizabeth. Powoli wędrowała wzrokiem od miodowych włosów okalających buzię Elizabeth, do białego kaszmirowego swetra i naszyjnika Zuni. Po czym się skoncentrowała na Mattcie.

Elizabeth w życiu nie widziała tak uderzającej piękności. Nicole miała na sobie czarne welurowe spodnie i czarny sweter wyszywany dżetami. Włosy zaczesane do tyłu odsłaniały twarz, bez śladu makijażu, o gładkich rysach i bursztynowych oczach z ciężkimi powiekami. Młoda, wyrafinowana, powściągliwa; Elizabeth oceniła ją na jakieś trzydzieści lat i nagle zdała sobie sprawę ze swojego wieku. Ale kiedy Nicole przyjrząwszy się Mattowi znów zwróciła na nią wzrok, Elizabeth zrewanżowała się równie uważnym spojrzeniem. Na twarzy, która zdawała jej się dotąd wcieleniem doskonałości, spostrzegła skazę: drobna rysa w kącikach ust wskazywała na pazerność i wyrachowanie. Nie było ją jednak łatwo dostrzec: tylko kobieta, której męża zmierzyły te bursztynowe źrenice, mogła ją zauważyć.

- Jak było na Aspen Mountain? - zagaił Rourke, gdy czytali menu. - Dobrze się jeździ na Campground, nie ma tam tłumów. Trafiliśmy na piekielny zjazd Garret Gulch...

- Spędziliśmy spokojny tydzień - Matt mówił bez emocji. Nie chciał się angażować w obowiązkowe rozmowy o nartach ani rozwlekłe debaty o jedzeniu. Zawsze będąc w restauracji szybko się decydował co zamówić, niecierpliwił się, jak ktoś się wahał. Był gotów, żeby Rourke przeszedł od razu do sedna sprawy. Uderzyła go uroda Nicole i przez moment zaintrygowała go. Była, jak sądził, prawie czterdzieści lat młodsza od Rourkego, ale w Aspen widywało się wystrzałowe młode kobiety w towarzystwie bogatych mężczyzn, i Matta bardziej interesował sam Rourke. - Zastanawiałem się, dlaczego pan

- dzwonił do mnie do redakcji - zaczął, ale przerwała mu kelnerka wyliczająca specjalności wieczoru.

Kiedy już się zdecydowali na dania, Rourke zamówił dwie butelki wina Zinfandel i ze swobodą rozprawiał o jeździe na nartach w St. Moritz, Gstaad, Aspen.

- Gdzie pani najbardziej lubi jeździć? - spytał Elizabeth.

- Mie mam pojęcia - powiedziała. - Nigdy nie byliśmy w Europie.

- Nigdy nie byli! Ależ to by mi do głowy nie przyszło, żeby...

Zbyt uprzejmy, by spytać, czy to nie z braku pieniędzy - pomyślała Elizabeth.

- Zawsze brakowało czasu - wyjaśniła.

- Ależ państwo muszą znaleźć na to czas - Rourke mówił ze swadą. - Pani i Matt jesteście stworzeni do Europy, bo więcej byście skorzystali

z podróży niż większość ludzi - kiwnął głową. - Na pewno musicie *znaleźć* jakiś sposób, żeby pojechać.

Macha nam przed nosem tą Europą jak jakąś przynętą - pomyślała Elizabeth.

- Planujemy - krótko odparła.

Czuła się niezręcznie, denerwowało ją to i miała chęć go wprost zapytać, czego od nich chce. Ale wszyscy byli dobrze wychowani, więc nie powiedziała nic więcej i przeniosła wzrok na widok, jaki się roztaczał za oknem. Rourke zaś dalej rozprawiał o festiwalach muzycznych w Aspen, Salzburgu, o angielskich miastach z katedrami. Podobnie jak Tony mówił potoczyście i z wyczuciem panował nad przebiegiem rozmowy. Oto ojciec, od którego uciekł Tony. Elizabeth sobie przypomniała: jego cień, jego długie macki. Ja też bym chciała uciec - pomyślała. -1 jak tylko skończymy jeść, zrobimy to, nieważne czy zdradzi nam swoje zamiary, czy też nie. Nawet mnie to nie obchodzi, z czym się czai.

Rourke mówił o kwaterach dla narciarzy w Szwajcarii, kiedy kelnerka podała zupę grzybową. Wziął łyżkę do ręki.

- Oczywiście trzeba, żeby tutejsze biuro turystyczne zrobiło wizję lokalną przed dokonaniem rezerwacji. Ta zasada obowiązuje tak w Aspen, jak w St. Moritz. Jakie zmiany chce pan wprowadzić z Miligrimem w *Sunie!*

Przez chwilę ich zamurowało i Matt odparł ostrym tonem.

- Ta transakcja jeszcze nie jest sfinalizowana.

- I nie podawaliśmy jej do publicznej wiadomości - dodała Elizabeth. -A skąd pan zna Saula? Nigdy nie pracował w Houston.

Rourke zaśmiał się pod nosem.

- Jestem czytelnikiem *Chieftaina*, a jego nazwisko widnieje w stopce redakcyjnej. Ponieważ moje interesy wymagają precyzyjnych informacji z różnych źródeł, mam własnych informatorów. Niema w tym nic tajemniczego.

Teatr - pomyślała Elizabeth. - Zupełnie jak Tony. Znowu to samo.

- Podoba mi się, co pan zrobił z *Chieftainem* - mówił Rourke do Matta. - Chociaż wydaje mi się, że pan przebiłby inne pisma w Taos i Española, gdyby zatrudnił pan tam własnych reporterów a nie miejscowych. Czy to Miligrim był taki ostrożny?

Czy Elizabeth? Bo nie wydaje mi się, żeby pana cechowała ostrożność. - Matt odstawił na bok zupę i przyglądał się Rourke'emu, zmieszany, z tajonym podziwem.

-1 pan kupuje *Sun* - Rourke dalej ciągnął - bo nie stać było pana w Albuquerque na nic więcej jak tylko na pismo prowincjonalne. Pytał pan paru bankowców o *Daily News*, ale ta gazeta nie była wystawiona na sprzedaż i zresztą pewnie pan wiedział, że nie stać pana na nią, ale zbierał pan informacje na przyszłość. *Sun* nie jest dla pana, rzecz jasna, dość duży, ale od czegoś trzeba zacząć. Zwróćmy uwagę na smak tej zupy: naprawdę lepszej w życiu nie jadłem.

Nie bał się mówić na żaden temat, nawet zupy - pomyślała Elizabeth. Rourke zaczął ze znużeniem opowiadać o zbieraniu kurek i borowików w lasach w Lincoln Creek i Cobey Park.

- Aspen to moje ulubione miejsce, i zimą, i latem. Lubię też szczyt Red Mountain: fantastyczny jest stamtąd widok na miasto i dolinę. Mogą się państwo czasem tam u mnie zatrzymać.

- Kiedy wreszcie przestanę zaczynać wydawać pisma, które są dla mnie zbyt małe - spokojnie powiedział Matt.

Rourke roześmiał się.

- Pan będzie zawsze rozpoczynał. Na pana, Matt, za każdym zakrętem czeka nowe wyzwanie. - Utkwił swoje jasne źrenice w ciemnych oczach Matta. - Całe życie rozglądałem się za zakrętami i gnam za tym, co za nimi odkrywam. Tę cechę ma bardzo niewielu mężczyzn. - Napełnił im na nowo kieliszki, powoli, z rozmysłem, pozwalając, by zapanowała przy stoliku cisza.

- Proszę mówić - odezwał się Matt, świadom, że przegrał małą potyczkę na siłę woli, ulegając Rourke'owi, który go zmusił do przerwania ciszy. Rourke skinął głową.

- Posiadam na własność dwa tytuły: *Albuquerque Daily News* i *Houston Record*. Znalazłby pan nazwę mojej firmy Rourke Enterprises jako właściciela *Daily News*, gdyby pan to sprawdził w Ayer, ale ponieważ ta gazeta nie była do sprzedania, pan to sobie odpuścił. Potrzebuję wydawcy obu tych tytułów. I zamierzam kupić więcej. Po chwili Matt zapytał. - Ile?

- Kto wie? - Rourke rozłożył ręce o dużych stawach, z wypielegnowanymi paznokciami. - Czy musi być jakiś limit na wstępie? Nie - powiedział głosem tak stłumionym, że prawie niesłyszalnym. Nieokreśloność bywa bardziej kusząca niż konkret. - Gdzie by pan zaczynał? Rourke wymienił ciąg nazw miast, przedmieść i małych miasteczek między Houston a Los Angeles. Elizabeth nie mogła z wrażenia dobrać głosu. Jeśli mówił prawdę, to planował utworzenie jednego z większych koncernów prasowych w kraju. Opisywał miasta z okolicami, znał ich historię i w zaokrągleniu dane demograficzne. Aksamitnym głosem jak narrator w filmie malował obrazy ich życia, wskrzeszał wizje i idee, które Matt hołubił od lat. Słuchał Rourkego i odzywał się w nim wilczy apetyt, który kupno *Chieftaina* jedynie zaostriżyło. Gdybym miał je wszystkie do dyspozycji i... Odetchnął głęboko. -

Dlaczego te? - spytał. - Bo to przyszłość całego południowego pasa. Kiedy koszt utrzymania w Kalifornii za bardzo wzrośnie, przemysł high-tech przeniesie się tutaj do niektórych miast, inne to przyszłe miasta emeryckie, pozostałe to przyszłe duże ośrodki turystyczne. Liczba mieszkańców będzie rosła. Za tym pójdzie biznes, boom gospodarczy, rozwój centrów handlowych i komunikacji. W sumie będzie to przyjemna odskocznia dla kogoś, kto odpowiednio wcześniej wystartuje i zaoferuje mieszkańcom i biznesowi nowoczesną, klawą prasę. - Elizabeth wyłowiła uchem dziwne słowo, które w potoku eleganc-

kiego języka Rourkego zabrzmiało jak zgrzyt, tak jakby chciał mieć pewność, że słuchają go z uwagą.

No cóż, ja go słucham z uwagą - pomyślała. - Wizja na wielką skalę, a on o tym mówi tak jakby to była pestka! - Poruszył jej wyobraźnię, a pozycja ciała Matta, który się pochylił do przodu, jakby był gotów pójść natychmiast z Rourke, zdradzała, że mąż też słucha uważnie. Pomyślała o ich malutkim imperium. Wizja Rourkego była większa. A jeśli tu jesteśmy, to czy to nie oznacza, że on chce nas w to włączyć?

Kelnerka postawiła przed Mattem talerz z daniem głównym, on zaś wpatrywał się w to, co na nim leżało, i spytał Elizabeth.

- Co ja zamawiałem?

- Jelenia - powiedziała cicho, kochając go, wiedząc, że prawdopodobnie skoczył daleko w przyszłość i już planował, jak będzie zarządzać całym...

Myśl się gwałtownie urwała. Czy to oni będą tym zarządzać? Czy ktoś tu mówił o nich?

Cofnęła się myślą do tego, co mówiono w ciągu ostatniej godziny. Rourke zwrócił się do niej dwukrotnie: raz na temat podróży do Europy i raz komplementując jej wygląd. Tak śliczna, jak mówił Tony. Rozmawiał o niej z Tonym. I o Matcie. I czytał *Chieftaina*. I zadzwonił do Santa Fe szukając Matta.

Interesował go Matt, a ona? Nęcił Matta, ale gdzie w tym wszystkim było miejsce dla żony Matta?

Keegan igra kosztem naszego wspólnego przedsięwzięcia. Naszego życia.

Nie: posunął się jeszcze dalej. Keegan Rourke nie odwoływał się do ich wspólnych planów, ale do ambicji samego Matta.

- Odszkodnia do czego?

- Wpływy zawsze się przydają do czegoś. - Rourke kroił na talerzu befsztyk z bizona. - Czy trzeba od początku konkretyzować?

Znow ta kusząca nieokreśloność - pomyślała Elizabeth.

- Co złego w konkretności? Rourke uśmiechnął się do niej.

- Wszystko we właściwym czasie.

- Wydaje mi się - powiedziała - że należy zawsze podawać konkretne informacje.

Chyba że się coś ukrywa.

- Ach - kiwnął głową. - Zgoda. Ale najłatwiej coś ukryć, kiedy się podaje fałszywe informacje. - Poczekał, aż Elizabeth odpowie, ale się nie odezwała.

Rourke z rozmysłem wziął do ust kęs bizona, łyk wina, i uśmiechnąwszy się w stronę Elizabeth, z powrotem się zwrócił do Matta.

- Zabawmy się w taką grę. Interesuje mnie zakup tytułów prasowych. Mam w portfelu dwieście milionów dolarów. Chcę je wydać i pomnożyć zyski. Proszę pana o radę. Co by pan zrobił na moim miejscu?

Wzjąłbym większy portfel - pomyślała szaleńczo Elizabeth i parsknęła śmiechem. Nikt nie zawtórował. Nicole zerknęła w jej kierunku, ale nie spuszczała wzroku z mężczyzn. Rourke znów się uśmiechnął, przez kurtuazję, Matt zerknął na Elizabeth w przelocie, zbyt zajęty własnymi myślami, żeby ją pytać o powód śmiechu, odpowiedział Rourke. - Kupiłbym tytuły prasowe i stacje telewizyjne w miastach o kluczowym znaczeniu i powiązałbym je ze sobą. Stworzyłbym specjalne cotygodniowe działy i programy dotyczące spraw lokalnych - obsadziłbym je pięćdziesięcioma pracownikami, których gdy zajdzie potrzeba, bym delegował do różnych miast. Wprowadziłbym konkursy wyłącznie rodzinne, i pojedyncze osoby nie mogłyby w nich brać udziału. Wprowadziłbym cotygodniową rubrykę komiksów na całą stronę dotyczącą spraw lokalnych i krajowych oraz nadawałbym to samo w wersji animowanej raz w tygodniu wieczorem w telewizji dla dorosłych, nie dla dzieci, i to bym połączył ze swobodną - absolutnie puszczonej na żywioł - dyskusją na temat komiksów, artykułów i reportaży, jakie się ukazały w prasie w danym tygodniu. Organizowałbym spotkania władz i mieszkańców miast, transmitował je przez telewizję i drukował fragmenty, aby rozesłać do szkół, gdzie służyłyby jako materiały do lekcji rządzenia krajem i polityki...

Mówił, Rourke zaś słuchał, Nicole przypatrywała się swoimi bursztynowymi oczami nie spuszczać wzroku z Matta. Elizabeth siedziała jak oniemiała. Matt nigdy się przed nią nie zdradzał z tymi pomysłami, choć miał je w głowie w konkretnej postaci: były zakrojone na wielką skalę, z rozmachem, wiele niepraktycznych, ale były przemyślane.

Matt przestał mówić. Pojawiła się kelnerka i zapytała, co chcą na deser.

- Kawa - zamówił Rourke. - Potem się na coś zdecydujemy. Wreszcie znów ulegając sile Rourkego, Matt odezwał się pierwszy. - Opróżniłem panu portfel. Zabawiliśmy się w pana grę. Co pan teraz zamierza zrobić? - Zaproponować panu funkcję wydawcy. - Rourke rozlał resztę wina do kieliszków. - Obserwowałem pana, jak pan czytał menu momentalnie się decydując, co wybrać. Ja decyduję w taki sam sposób. Jest pan człowiekiem, jakiego mi potrzeba. Zanim tu przyjechałem, właściwie już byłem zdecydowany. Przypieczętowało sprawę to, że ma pan marzenia bez granic. - Ponownie posłał uśmiech w stronę Elizabeth ignorując coraz większy gniew, jakim płonęły jej oczy. - Około roku temu Tony przysłał mi kilka artykułów Elizabeth. To majstersztyki; chcę, by się ukazywały we wszystkich naszych pismach. Od tamtego czasu prenumeruję *Chieftaina* i śledzę, jak się przeobraża. Saul Miligrim nie ma sobie równych; jeśli u pana pracuje, to znaczy, że w pana wierzy. Jest pan inteligentny i ma pan siłę przebicia, zna się pan na wydawaniu prasy, umie pan sobie ułożyć stosunki z ludźmi interesu i ma pan dość pomysłów, żeby z nich korzystała cała sieć gazet przez lata. I zżera pana ambicja. Co jak się już pan pewnie domyśla, jest dokładnie tym, czego szukam.

Z Mattem działo się coś niesamowitego. Rozmawiali z Rourke'iem rozumiejąc się jak ojciec z synem. Ale to nie był ojciec, który go błaga, żeby się nim zająć; to był ojciec, który mu ofiarowywał świat. Mattem zawładnęła euforia; rozumiał siedzącego naprzeciw niego mężczyznę, a on rozumiał jego. Mieli te same pragnienia i będą je realizować. Odszkodnia. Żadnych ograniczeń. Bezinteresna perspektywa. Poczuli na swojej dłoni czyjąś dłoń pod stołem.

- Hej, współniku - odezwała się miękko Elizabeth. - Czy nadal jesteśmy współwydawcami?

Powoli docierały do niego jej słowa. Walcząc z siecią, jaką zarzucił na niego Rourke, Matt wziął ją za rękę i powiedział.

- Mówił pan o mnie. Ale my z Elizabeth jesteśmy współnikami.

- Będą nam potrzebne artykuły Elizabeth - parł Rourke. - Mówiłem szczerze: to majstersztyki o ogromnej sile oddziaływania. I jeśli chce pani zostać szefową publicystyki całej sieci, może pani spróbować, czy pani odpowiada ta rola - zwrócił się do niej. - Ale mnie się wydaje, że będzie pani wolała pisać, niż się rozmieniać na drobne i zajmować czymś, co można powierzyć osobom mniej utalentowanym. Jednak pani sama podejmie decyzję. Ta posada nie ma nic wspólnego z tym, że chcemy zamieszczać pani artykuły. - Spojrzał na Matta. - Ja nie gonię za biznesem rodzinnym. Szukam wydawcy. Takiego, co mówi za siebie. Reprezentuje siebie. Odpowiada za siebie.

W ciszy, jaka zapanowała, kiwnął na kelnerkę.

- Courvoisier. I jeszcze kawy. - Dopił resztę z filiżanki. - Portfel jest pełen - powiedział Mattowi. - Jestem przygotowany na wyłożenie na początek dwustu milionów. Oczywiście, jak mówiliśmy, i pan, i ja zawsze jesteśmy na początku drogi; za każdym rogiem znajdziemy dla siebie nowe wyzwanie. Tą kwotą dysponuje pan na początek. Zostaje redaktorem naczelnym *Albuquerque Daily News* z pensją roczną osiemdziesiąt tysięcy; jeśli Elizabeth chce zostać szefową publicystyki, dostaje trzydzieści tysięcy. Za rok, lub jak tylko gazeta przestanie przynosić straty i zacznie dawać zyski, pan awansuje na stanowisko wydawcy Rourke Enterprises z pensją dwu- lub trzykrotnie wyższą zależnie od efektów pracy, prócz tego będzie pan miał udziały w korporacji. Pan i ja będziemy decydować, które tytuły kupować, w jakiej kolejności, według jakiego planu, ale to pan będzie nimi kierować. To będzie pańska działka. Ma się rozumieć, oczekuję, że pan znacznie pomnoży zyski. Matt bez słowa położył ręce na stole i popatrzył po obecnych. Kiedyś był sfrustrowany, bo tylu rzeczy nie mógł zrobić. Znienacka uprzytomnił sobie, że zostawia Elizabeth z pustymi rękami. Zwrócił wzrok w jej stronę. Ale faktycznie jej nie widział: oczy mu pały, jak gdyby się nagle wydostał z cienia w pełne słońce, które go momentalnie oślepiło.

Nie zwlekając odwrócił się ku Rourke'iemu.

- Kiedy zaczynamy? - zapytał.

Część 2

Elizabeth wymknęła się z zebrania i poszła do swojego gabinetu, skąd zadzwoniła do Isabel.

- Mimo wszystko nie zdążymy na kolację. Przykro mi, bo tak bardzo chciałam do ciebie przyjechać, ale niestety skończymy późno.

- Przyjedźcie później. Jedzenie będzie czekało ciepłe.

- Isabel, jest to tak daleko z Albuquerque, że dojechalibyśmy dopiero po dziesiątej. Przykro mi - powtórzyła. - Nie wiedziałam, za co się bierzemy, kiedy przejęliśmy pismo pięciokrotnie większe od *Chieftaina*, ale zdecydowanie przeliczyłam się z siłami. Jest po prostu za dużo pracy i za mało czasu. A więc nie w ten weekend. Chciałabym zdążyć, ale to niemożliwe.

- Szkoda. Twoje dzieci już przyjechały.

- Do Nuevo? Mieli być z moimi rodzicami. Jak się tam zabrali?

- Z Saulem i Heather. Ale zaraz poszli się gdzieś włóczyć, odkrywają wspólnie piękno przyrody czy coś takiego.

- Kto poszedł?

- No więc w jednym kierunku Saul z Heather, a w drugim Peter i Maya. Dużo słodkiego gruchania dziś wieczorem w naszej kotlinie.

- A Holly?

- Z Luz, jak zwykle. Dwie szesnastolatki narzekające, że brak wrażliwych mężczyzn na świecie. Ona będzie prawdziwą pięknością, Elizabeth. Podobna do ciebie. A jak śpiewa! Będiesz z niej bardziej dumna, niż z męża, który rzuca się na słońce.

- Rzuca się na słońce - powtórzyła Elizabeth. - Jak to brzmi niezwykle.

- Dobrze? Złe? Nie chciałam nikogo obrazić.

- Ależ nie obraziłaś. Trafiłaś w dziesiątkę, sama bym tego lepiej nie ujęła.

- Ale sama mi o tym powiedziałaś, że się uczeplił tego teksańskiego macho z grubą forszą. Chyba już ze cztery miesiące trwa ta zabawa. Czy mniej?

- Gra jest o wielką stawkę - krótko odparła Elizabeth, nagle wzbraniając się przed rozmową na temat Matta, nawet z Isabel. - Umówmy się na kolację na inny dzień. - Popatrzyła na kalendarz. - Od dziś za tydzień? W następną sobotę? Mam rano zebranie, ale dotrzemy do Nuevo przed piątą.

- Jeśli jesteś pewna.

Elizabeth usłyszała w jej głosie błagalną nutkę.

- Coś się stało, Isabel?

- Nie wiem, może właściwie to nic. Ale coś się dzieje w naszej kotlinie, o czym chciałabym z tobą i z Mattem porozmawiać.

- Obiecuję, że przyjedziemy.

Zebranie skończyło się w momencie, gdy Elizabeth wróciła do gabinetu Matta.

- Długo rozmawiałaś - zauważył, notując coś w kalendarzu.

- Myślałam, że wszystko omówiliśmy, co mnie dotyczyło. Czy mnie potrzebowałeś?

- Nie lubię, jak ktoś wychodzi w połowie zebrania.

- Och, przepraszam. To się więcej nie powtórzy, sir. Podniósł wzrok i w jej szarych oczach zobaczył ból.

- To ja powinienem cię przeprosić. Wybacz, kochana. Jak wyszłaś, miałem pewien problem i potrzebowałem twojego wsparcia, pomocy, żeby nie wybuchnąć.

- Problem?

- Nic poważnego. Poradziłem sobie.

- Ale co się stało?

- Pokazał się Chet. Zawsze kiedy przyjeżdża z Houston, siada w kącie jak grzeczny uczeń i gapi się na mnie. Chce, bym uwierzył, że Keegan go na mnie nasyła, żeby mnie sprawdzać.

- Jak sowa.

- Co?

- Ma okrągłe oczy i okrągłe okulary i okrągłe policzki. Wygląda jak sowa i się nadyma, żeby przekonać ludzi, jaki to on ważny.

Matt zaśmiał się.

- To mi pomaga. Mówiłem ci, że mi jesteś potrzebna. Chyba go odeślę, niech się spakuje.

- Pewien jesteś, że pójdzie?

- Zrobi, co mu każe.

- Nawet jeśli przysłał go tu Keegan?

- On go nie przysłał. On by tego nie zrobił. Ma do mnie zaufanie. Wiem, że mi nie wierzysz, ale ja w to wierzę i nie chcę się na jego temat z tobą kłócić, i

- Na temat Cheta czy Keegana?

- Jednego i drugiego. A teraz porozmawiajmy o „Sprawach prywatnych”. Czy masz listę osób, o których zamierzasz pisać?

Spojrzała ze zdziwieniem.

- Nie.
- Jak bardzo jesteś zaawansowana z pracą?
- Mam wyprzedzenie dwutygodniowe. Trzytygodniowe, jeśli będę mieć czas.
- Potrzebne mi są nazwiska osób, o których będziesz pisać do końca października.
- Dlaczego?
- Planowanie długofalowe.
- Myślałam, że planujemy razem.
- Tak. Ale na następny weekend jadę do Houston i chcę być przygotowany do rozmowy z Keeganem o naszych planach. Po chwili Elizabeth powiedziała.
- Nic mi nie mówiłeś, że jedziesz do Houston.
- Zadzwoił tuż przed zebraniem, więc się umówiliśmy.
- Jedziesz sam.
- Byłem tam dwa razy. Ten raz nie różni się od tamtych.
- Poprzednio wspólnie zdecydowaliśmy, że lepiej będzie, jak zostanę w domu z Peterem i Holly.
- A ponieważ było tak dwa razy, to wydawało mi się, że tym razem nie musimy już tego uzgadniać.
- Rozumiem. - Umilkła. - Umówiłam się z Isabel na kolację na przyszłą sobotę.
- No cóż, to pojedziesz sama z Peterem i Holly. Nie jestem tam konieczny.
- Ale ja ci jestem konieczna, kiedy ty potrzebujesz mojego wsparcia i pomocy, żeby nie wybuchnąć...
- Na litość boską! Przestań narzekać jak porzucona żona.
- Matt, postanowiliśmy, że razem wydajemy tę gazetę. Jest to w innym mieście, nie tygodnik, ale dziennik, zespół liczy dziewięćdziesiąt pięć osób, nie piętnaście jak *Chieftain*, za pół roku mamy mieć zyski, to bardzo krótki termin: tylko do października. - Przerwała. Lista osób do końca października. - Jedziesz do Houston robić plany na okres po październiku. Ty i Keegan.
- Ponieważ będziemy na półmetku w sierpniu, to nie wydaje ci się, że lepiej by było, żebyśmy się teraz skupili na bliższych planach?
- Tak. Dziwię się, czemu do tej pory tego nie zrobiliśmy.
- Bo pędziliśmy, żeby tę gazetę wyprowadzić na prostą. I dobrze nam idzie, Elizabeth. Wczoraj wieczorem przyszły dane liczbowe za lipiec. Właśnie je przeglądałem. Słuchaj... - Z szuflady wyjął wydruk komputerowy i zaczął odczytywać sumy dotyczące nakładu, ogłoszeń drobnych i wymiarowych, liczby zamieszczonych reklam.
- I jeszcze coś: więcej niż połowa naszych reklamodawców mówi, że chcą się ogłaszać na tej samej stronie co „Sprawy prywatne”. - Kiedy Elizabeth nie zareagowała na to, powiedział: - Myślałem, że to cię ucieszy.

- Cieszy mnie. To będzie dopiero ścisk na tej stronie. Rzucił ołówek na biurko.
 - Nie mogę go zmusić, żeby zaprosił nas dwoje do Houston.
 - Rozumiem to, ale on wie, że kierujemy tą gazetą razem.
 - On nie miał tego w planie.
 - Też to wiem. Ale się nie sprzeciwił, kiedy mu powiedzieliśmy, że zdecydowaliśmy się pracować razem. Mógłby mnie zaprosić ze zwykłej uprzejmości.
- Matt wzruszył ramionami.
- Cokolwiek zrobi, ty go nie lubisz. Już myślałem, że ci to przeszło. Nie mówisz już tyle na jego temat co wtedy, kiedy wróciliśmy z Aspen.
 - Trzymam język za zębami. To nieprawda, że go nie lubię, Matt, ale nie wiem, o co mu chodzi.
 - Powiedział nam. Czy mu nie wierzysz?
 - Nie tak łatwo jak ty.
 - Na jakiej podstawie?
 - Żadnej. Instynkt.
 - To za mało.
 - Reporterzy wpadają na trop afer, bo słuchają tego, co im mówi instynkt.
 - Ale dowiadują się szczegółów, wypytyują u różnych źródeł, szperają w aktach, piszą godzinami, żeby wszystko się trzymało kupy.
 - Wiem. Dlatego o tym nie mówię. Ale, Matt, przypomnij sobie, kiedy wracaliśmy z Aspen, zapytałam cię, dlaczego my? Dlaczego my? Matt, kocham cię i uważam, że jesteś wspiana, ale Keegan nie kocha ciebie i jedyne, co wiedział o nas, kiedy przyjechał do Aspen, to było to, że jesteśmy parą redaktorów z prowincji, praktycznie bez żadnego doświadczenia. Pełno jest w kraju miast, a w nich redaktorów z referencjami długimi na kilometr. Dlaczego my?
 - Powiedział nam. Podobało mu się, że wyprowadziliśmy na prostą *Chieftaina* i podobały mu się moje pomysły, którymi się z nim podzieliłem w Aspen.
 - Podobała mu się twoja ambicja.
 - Nie ma nic złego w tym, że człowiek jest ambitny. Ty też jesteś ambitna.
 - Tak, ale nie aż tak, żeby nie stawiać pytań, kiedy ktoś mi, proponuje gwiazdkę z nieba.
 - W porządku - powiedział Matt po chwili. - Dlaczego wybrał więc nas?
 - Nie wiem. Ale instynkt podpowiada mi, że być może szukał niedoświadczonych osób z prowincji, bo takimi osobami da się łatwo manipulować.
 - W jakim celu?
 - Nie wiem. Gdybym wiedziała, tobym się nie musiała martwić. Albo bym się z nim związała, albo trzymała z daleka.
- Matt, zamyślony, toczył ołówek po biurku. Wreszcie odezwał się.
- Wydaje mi się, że powinnaś się przestać martwić. Może jesteśmy z prowincji, ale nie jesteśmy znowu tak niedoświadczeni, nie po tym, czego dokonaliśmy przez

ostatnie półtora roku. I nie jesteśmy głupi. Jeśli Keegan Rourke myśli, że damy się wykorzystywać, to się przekona, że tak nie jest. Nie sędzę zresztą, że akurat o to mu chodzi. Nic na to nie wskazywało przez ostatnie cztery miesiące. Ja myślę, że on chce mieć kogoś, na kogo mógłby liczyć...

- Ma personel. Ma Cheta Colfaxes. Sam mówiłeś, że być może go tu nasłał...

- I zaraz powiedziałem, że w to nie wierzę. Rourke znał twoich rodziców, czytał *Chieftaina* przez rok, zanim do mnie zadzwonił, i to co wie na mój temat, na razie mu się podoba. Rozmawiamy trzy, cztery razy w tygodniu przez telefon i nie ma ze mną kłopotów. To mi wystarczy. I wołałbym, do licha, żeby to również tobie wystarczyło, bo męczą mnie te nie kończące się spekulacje na temat człowieka, którego lubię i któremu ufam.

W małym gabinecie zapadło milczenie. Elizabeth otworzyła jedną z teczek, które trzymała w ręce.

- Chcę przedstawić moje propozycje dotyczące nowych cotygodniowych rubryk. Jedna poświęcona nowym książkom do bibliotek na kółkach, druga -układaniu kwiatów, do której klub Ikebany zgłosił akces, i jeszcze jedna, do której będą pisać członkowie klubu Leads na temat zrzeszania się kobiet.

- Proszę o odpowiedź. Czy ci to wystarczy, czy nadal uważasz, że to jakiś diabeł w przebraniu?

- To nieważne. Pracuję u niego i będę się starać to robić tak dobrze jak umiem. Matt, mam dużo do roboty, w tym listę nazwisk do „Spraw prywatnych”, o którą prosiłeś. Czy możemy zacząć?

Zawahał się, po czym skinął głową. Elizabeth rozłożyła na jego biurku próbne strony i pochyłili nad nimi głowy. Ale atmosfera, która była tak serdeczna, kiedy się śmiał z jej porównania Cheta Colfaxes do sowy, zmieniła się; rozmawiali zwięźle i oficjalnie, a za pół godziny Elizabeth siedziała już z powrotem przy swoim biurku, Matt zaś wyszedł na lunch z grupą miejscowych biznesmenów.

Możesz jechać sama z Peterem i Holly. Ja nie jestem konieczny.

Kto wie?

Kłopot był w tym, że nie powinna się z nim sprzeczać, przynajmniej nie teraz. Wizja imperium prasowego, jaką Rourke roztoczył przed Mattem, chwilowo całkowicie zawładnęła jego wyobraźnią i Elizabeth nie powinna mu przeszkadzać. Wszystko, co razem tworzymy - myślała - opiera się na tym, że ja mu towarzyszę, pomagam, wspieram go.

Może nasze małżeństwo też się na tym opiera.

- Więc wcale, ale to wcale w to nie wierzę - powiedziała Lydia następnego wieczoru, gdy Elizabeth przyjechała odebrać Petera i Holly, którzy spędzali niedzielę u dziadków. - Matt by nie dopuścił, żeby wasze małżeństwo-

wo ucierpiało z powodu paru pism. Chodź i usiądź na chwilę na powietrzu. Napij się herbaty z lodem i zrelaksuj. Wyglądasz na wyczerpaną. Jadłaś kolację?

- Coś przekąsiłam - odparła Elizabeth. - Jestem zmęczona. Przydałby się od czasu do czasu wolny dzień na odpoczynek. - Poszła za Lydią przez dom na placita, gdzie po kratkach pięły się róże, a wzdłuż muru rosły chryzantemy.

- Gdziekolwiek zamieszkaż, zawsze wyhodujesz najpiękniejsze kwiaty ze znanych mi ogrodów. - Wzięła do ręki zimną szklanę, którą jej podała Lydia, i z westchnieniem usiadła na ławeczce wyściełanej poduszkami. Dom był położony na wzgórzach Tesuque; słońce zachodziło i zrobiło się chłodniej. - Lepiej tu niż w Albuquerque. Jest tam bardzo gorąco, nawet w nocy. Gdzie są Peter i Holly?

- Są w garażu ze Spencerem. Porządkuje go od paru tygodni. Nie mam pojęcia po co. Twoje dzieci martwią się o ciebie.

- O mnie?

- O swoich rodziców. Mówią, że prawie was nie widują.

- Powiedziałam im, że przez najbliższe pół roku będzie wariactwo, ale że potem się ustabilizuje. Czy mi nie wierzą?

- Myślą, że nie będziesz w stanie nad tym zapanować.

- Och! No więc, zakładając, że zostaniemy z moim mężem przyjaciółmi, będę w stanie nad tym zapanować.

- Przyjaciółmi! Będziecie kochankami i współnikami, i wszystkim innym, czym byliście dla siebie, odkąd kupiliście pierwsze pismo; takie rzeczy nie kończą się tylko dlatego, że mężczyźni ktoś zaimponował ofertą pracy. Matt przechodzi pewien etap. Niedługo przestanie budować zamki na lodzie i wróci do *Chieftaina*. Elizabeth potrząsnęła głową.

- On nie wróci do *Chieftaina*, on chce budować zamki na lodzie. A najważniejsze w tym wszystkim, mam, jest to, że ja mu nie mogę powiedzieć, żeby przestał, bo ja też chcę budować własną karierę.

- Cóż to znowu znaczy?

Elizabeth wypila herbatę z lodem, postawiła szklanę na stoliku i odrzuciła głowę do tyłu. Popatrzyła na ciemniejące niebo i pierwsze planety, które mrugały za górami, jasne jak małe latarenki.

- To znaczy, że oślepiło nie tylko Matta. Nie wiem czemu Keegan wybrał właśnie nas, ani czego tak naprawdę chce, ale to nie znaczy, że mnie nie podnieca możliwość tworzenia sieci prasowej w pasie od Los Angeles do Houston. Czy wiesz, ile bym miała setek tysięcy czytelników „Spraw prywatnych”? A ile artykułów! Mogłabym publikować dwa, trzy razy w tygodniu... Kiedy o tym pomyślę, robię się jak Mart, aż mnie świerzbi, żeby już zacząć i zobaczyć, na co mnie stać. Prawie już słyszę aplauz. Czy mogę to sobie zlekceważyć?

Twarz Lydii nic nie wyrażała.

- Nie wiedziałam, że jesteś ambitna.

Nie ma nic złego w tym, że człowiek jest ambitny.

- Nie jest wadą, że się pragnie poklasku, mamó.

- Ale jeśli to zaszkodzi twojemu małżeństwu? Martwiłaś się, że zostaniecie z Mattem tylko przyjaciółmi.

- Nie to miałam na myśli. Jesteśmy przemęczeni, mamy za dużo roboty i czasem się posprzeczamy. - Elizabeth podniosła się i zarzuciła torbę na ramię. - Czas iść. Peter i Holly chcą jutro jechać do Albuquerque, Matt i Saul opracowują plany na jesień dla *Chieftaina*, a ja chcę w to włączyć moje artykuły. Saul jest tak dobry, że w rzeczywistości nie jesteśmy mu wcale potrzebni, ale lubimy się z nim widywać... - Pochyliła się i pocałowała Lydię. - Nie martw się o nas. Nie mogę zawadzać Mattowi w jego karierze. Muszę być z nim do końca. Ale im bliżej niego będę, tym więcej będziemy ze sobą rozmawiać, tym lepiej się zrozumiemy i zapagniemy tego samego.

Weszły razem do środka domu.

- Czy jesteś pewna, że wiesz, czego chcesz? - zapytała Lydia.

Elizabeth lekko się roześmiała. - Chcę wszystkiego. Męża, dzieci, wspólnego działania i aplauzu dla mnie samej. Może chcę za dużo, ale czemu nie spróbować? Mam prawie czterdzieści dwa lata i nie czułam się nigdy tak młodo jak teraz,, ani nie miałam w sobie tyle energii. No więc kiedy bym miała próbować jak nie teraz? - Pocałowała Lydię na pożegnanie, zawołała Petera i Holly, którzy za chwilę wsiedli z nią do samochodu. I właśnie wtedy, gdy prowadząc auto słuchała dzieci, które opowiadały, co je spotkało tego dnia, przemyślała na powrót wszystko, co powiedziała swojej matce, i uświadomiła sobie, że wiele razy powtórzyło się w tym słowo „ja”.

Dodawałam sobie odwagi; czy jeszcze wierzę w słowo „my”?

- Szukamy stażysty do redakcji - rzekł Saul niezobowiązująco, włączając silnik samochodu.

- W którym dziale? - spytała Heather siadając na miejscu obok kierowcy.

- W związku z nowymi rubrykami, które wprowadza Elizabeth.

Kiwnęła głową, na jej twarzy malował się spokój. Dziesiątki razy rozmawiali z Saulem o możliwości zatrudnienia jej w tygodniku, jak tylko pozwoli na to budżet, ale teraz nie chciało jej się o tym mówić.

Saul wiedział, skąd się bierze to uparte milczenie, wiedział, że Heather nie będzie się chciała narażać na zarzuty, że wykorzystuje znajomość z nim do własnych celów.

- Dałabyś sobie radę - powiedział. Znów kiwnęła głową.

- Chyba tak.

- Pomagałaś nam w planowaniu tych rubryk. Zawsze pomagałaś Elizabeth, kiedy potrzebowała...

- Wiem.
- Chciałaś przyjść na staż do redakcji pisma i wciągnąć się w dziennikarstwo. Łapiesz wszystko w lot.
- A powiedziałaś mi, że jestem tępa, bo nie przyjąłam twoich łaskawych oświadczeń. Jeśli ja jestem taka tępa, to jak sobie poradzę na stażu w redakcji „Chieftaina”?
- Jesteś dziecinna. Westchnęła.
- To twoja ulubiona śpiewka.
- Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Byłabyś świetną redaktorką. Ale jeśli ta myśl sprawia ci przykrość, nie przyjmuj oferty.
- Nie wiem, czyby mi to sprawiało przykrość, czy nie. Do jakiego stopnia pracowalibyśmy razem?
- W pewne dni współpracowalibyśmy bardzo blisko, w inne wcale. Kiwnęła głową.
- Taka ewentualność by mi może odpowiadała.
- Która ewentualność? - zastanowił się Saúl i twarz mu się wydłużyła i zrobiła się bardziej niż zwykle melancholijna. - Pamiętaj - myślał sobie - ty miałaś trzynaście lat, kiedy ta panienska się urodziła; masz być mądrym i dojrzałym mężczyzną. Odpowiednio do tego postępuj. - Skręcił w Camino Rancheros zwalnając, żeby nie wzbijać na drodze tumanów kurzu.
- Nie uważam cię za dziecko - powiedział. - Gdybym cię miał za dziecko, nie chciałbym się z tobą żenić.
- Tak, już to mówiłeś.
- Już to mówiłem?
- Coś takiego. - Spojrzała na niego. - Ja nie chcę za ciebie wychodzić. Nie chcę w ogóle wychodzić za męża. Lubię się z tobą kochać, i ty też to lubisz. Lubię się z tobą umawiać i bawić, i ty też to lubisz. To ci powinno wystarczyć.
- To mi nie wystarcza.
- Wystarczało ci, gdy się spotykałeś z innymi kobietami i to przez trzydzieści osiem lat...
- Trzydzieści siedem. Do licha! Mam tylko trzydzieści siedem lat! Uśmiech zaigrał w kącikach pełnych ust Heather, w zielonych oczach pojawiły się iskierki.
- Przepraszam. Zapomniałam.
- Nie zapomniałaś. Pamiętasz o wszystkim. Kiwnęła głową, nagle spochmurniała.
- Tak, pamiętam.
- Saul położył jej rękę na dłoni.
- Heather. Kochana Heather. Nie wszyscy mężczyźni są jak tamten drań, za którym przyjechałaś do Santa Fe. Ja w ogóle nie jestem do niego podobny. Dlatego że raz komuś zaufałaś i zostałaś zraniona, nie możesz całe życie się bać, że to się powtórzy.
- Ale ja mam jeszcze czas, żeby przestać się bać. Mam tylko dwadzieścia cztery lata.

- Tak, już to mówiłaś.
- Powtarzamy się - powiedziała. - Jak stare małżeństwo. O której będą gotowi Holly i Peter?
- Saul z rezygnacją wzruszył ramionami.
- O trzeciej. A może już to mówiłem?
- Zachowujesz się jak dziecko. Parsknął śmiechem.
- Twoje górą! - Zatrzymując wóz przed domem Lovellów cmoknęła ją w policzek.
- Jak to miło - powiedział Peter ładując się na tylne siedzenie. - Miło, że dla odmiany choć wy się ze sobą zgadzacie.
- Peter - łagodnie upomniała go Heather - to jest osobista wycieczka.
- Tylko drobny komentarz. Interesują mnie ludzie, którzy się ze sobą rozumieją.
- Dlaczego? - spytał Saul.
- Bo moi rodzice ostatnio coś ze sobą nie bardzo. Nadeszła Holly i usiadła w aucie obok Petera.
- Nie bardzo, co?
- Zgadza się ze sobą - odparł Peter.
- Nic mi o tym nie wiadomo - sprzeciwiła się Holly. - Nie widujemy ich dość często, żeby wiedzieć, jak jest z nimi naprawdę.
- Zgadza się z tym twierdzeniem - powiedział ponuro Peter.
- Siedzimy w samochodzie, jest piękne sobotnie popołudnie - Saul wyliczał. - Wasi rodzice cieszą się, wiedząc, że jesteśmy razem w czwórkę. Ja też bym wolał się cieszyć z tego powodu. Czy ktoś ma pomysł, co robić z tak pięknie rozpoczętym dniem?
- Jedźmy do Nuevo - zaproponował Peter. Saul wykręcił się do tyłu na siedzeniu.
- Peter, ty może tam zostałeś zaproszony, ale nie my, wobec czego nie mam ochoty dwa razy tam dziś jechać i służyć ci za kierowcę.
- Jesteśmy zaproszeni - powiedziała Holly. - Isabel ugotowała obiad, bo były umówione z mamą, i kiedy tam zadzwoniłam, prosiła, żebyśmy przyjechali.
- Były umówione z mamą, bo mama obiecała jej, że przyjedzie - dodał Peter. - Jeszcze jedna obiecanka naszej mamy.
- To niesprawiedliwe! - krzyknęła Holly ze złością. - Czemu tak się jej czepiasz? Dotrzymuje obietnic, o ile może. Naprawdę chciała się dziś spotkać z Isabel. Tylko że w ostatniej chwili zdecydowała, że zamiast tego powinna pojechać z tatą do Houston.
- Słusznie - Peter zapadł się na siedzeniu. - Ważniak zawsze w pierwszej kolejności, w drugiej to przekłete pismo, a my na szarym końcu. Jedziemy w końcu do Nuevo?
- zapytał Saula.

Saul spojrział na Heather.

- Na co masz ochotę?

- Zabieramy Petera do Nuevo. A ty co, Holly?

- Ja też chcę jechać. Luz na mnie czeka.

- No to jedziemy. I zjemy u Isabel, przynajmniej ktoś chociaż doceni jej kuchnię.

Saul uruchomił auto i towarzystwo podzieliło się na dwie części. Saul i Heather rozmawiali cicho na przednim siedzeniu, na tylnym Peter i Holly coś niezrozumiale szwargotali, bo zagłuszała ich klimatyzacja, dzięki której sierpniowy upał nie przenikał do wozu. Ale gdy tylko Saul skręcił w stronę Nuevo, Peter pochylił się do przodu i wyglądając przez okno nagle zawołał:

- Stój!

Saul nacisnął pedał hamulca.

- Też coś - powiedziała Heather pocierając szyję w miejscu, w którym ścisnął ją pas, gdy nią szarpnęło do przodu. Ale kierując wzrok tam, gdzie patrzył Peter, zobaczyła Mayę, która siedziała na ławce przed sklepem, i powiedziała łagodnie. - Aha.

- Dzięki - rzucił Peter i wyskoczył z auta.

- O dziewiątej! - zawołał za nim Saul. - Wyjeżdżamy stamtąd o dziewiątej! Peter pomachał im ręką, ale patrzył na Mayę.

- Cześć! - powiedział. Wstała.

- Myślałam, że nie przyjdiesz. - Była drobna, o ciemnej karnacji. Ledwo mu sięgała do brody. Czarne włosy z prostą grzywką nad czarnymi oczami miała zaczesane za uszy; podtrzymywała je opaska z wytłaczanego srebra; długa biała sukienka z muślinu była ściągnięta paskiem ze srebrnych kółek. Tkanina kojarzyła się Peterowi z koszulą nocną, zwłaszcza wtedy, gdy dziewczyna szła. Widział ją pod słońce, długie szczupłe nogi rysowały się wyraźnie pod sukienką, on zaś usiłował sobie poradzić z wyobrażeniem nocnej koszuli, widokiem odsłoniętych nóg dziewczyny i z fizycznym pożądaniem. Maya podeszła do niego blisko i położyła mu obie ręce na piersiach. - Myślałam, że jeśli nie przyjdiesz, to ja pójdę do twojego domu.

- Że co! - Z trudem łapał powietrze. Pachniała różami i szałwią, ramiona same mu się rozwarły i objął ją. - Dlaczego? To znaczy, jak byś się tam dostała?

- Czy to ważne? Autostopem. Mama mówi, że chce, żebym stała się bardziej hiszpańska. Chce, żebym wyjechała do Argentyny.

- Do Argentyny! Mój Boże, przecież to inny kontynent!

- I mieszkała u jej kuzynki w Buenos Aires. Peter, co ja mam zrobić? Jeśli wyjadę, to o mnie zapomnisz. Dlatego chciałam pójść do twojego domu, żeby ci o tym powiedzieć.

Maya zarzuciła Peterowi ręce na szyję, zbliżyła ku niemu twarz, Peter zaś potężnie westchnął, właściwie prawie jęknął, podniósł ją do góry i pocałował. Całowali się i ściskali; jego ręce już dawniej ślizgały się po delikatnych

kształtach jej ciała, ale tym razem było inaczej: Maya pod dotykiem jego Warg otworzyła usta, mały język tańczył, lizał i zawijał się wokół jego języka, a kiedy ją przygarnął mocno do siebie i uniósł, zacisnęła nogi wokół jego ud i przyłgnęła jak ktoś, kto tonie.

Peter czuł, jakby go coś rozsadzało. Członek napęczniał mu do bólu. Pragnął Mai od tygodni, kiedy leżał w łóżku i wariował wyobrażając sobie ją, jak leży pod nim albo na nim, dotyka go, całuje...

Oderwał wargi od jej ust.

- Słuchaj - powiedział, ale dobył z siebie tylko zduszony dźwięk. Postawił ją na zakurzonej drodze i próbował złapać oddech. - Czy możemy? Pójść? Gdzieś?

Maya wzięła go za rękę i poszli przez miasteczko do rzeki i drogi prowadzącej wzdłuż jej biegu w górę kotliny. Szli bez słowa trzymając się za ręce. Peter głęboko oddychał i próbował iść nie zataczając się, równym, zdecydowanym krokiem, przy Mai, która szła spokojna obok. Zbliżyli się do stodoły.

- Należy do mojego ojca - powiedziała Maya. - Tu przechowuje zimą zboże - i otwarłszy wrota weszli do chłodnego, stęchłego wnętrza. Wąska strużka światła słonecznego padała w poprzek podłogi oświetlając kopę siana w kącie. - Nikt tu w ogóle nie przychodzi - powiedziała - tu jest moja kryjówka.

- Kocham cię - wyznał Peter. Spojrzała na niego uroczyście.

- Nie musisz mi tego mówić. Ja i tak chcę się z tobą kochać. Nie muszę być...

- Cholera, kocham cię! Nie mów mi, czego nie muszę! - umilkł. -Przepraszam. Nie chciałem tak krzyczeć.

Uśmiechnęła się.

- Czy moglibyśmy usiąść?

- Boże, tak.

Nie opodal leżał złożony koc, który rozpostarli na sianie.

- M am go tutaj, bo przychodzę tu czytać i rozmyślać - powiedziała Maya.

- O czym?

- O tobie. - Położyła mu głowę na piersi i zwinęła się w kłębek. - Ja też cię kocham.

Nie pojedę do żadnej Argentyny. Ucieknę i znajdę sobie pracę, a kiedy będę mieć dość pieniędzy, pójdę się uczyć do college'u, tam gdzie ty będziesz, i będę się kształcić, żebyś się mnie nie wstydził.

Peter pocałował ją. Odpiął zamek u jej srebrnego paska, ręką wymacał jej nogę pod sukienką i powiodł w górę ku miękkiemu zagłębieniu. Pragnął być przy tym nonszalancki i doświadczony, pragnął się nie bać tego, że jej sprawi ból, pragnął, by mu pomogła. Ale Maya trzymała go obiema rękami za szyję, z głową odrzuconą do tyłu, z zamkniętymi oczami, ustami lekko rozchylonymi, i nagle uprzytomnił sobie, że nie potrafi rozróżnić, czy dziewczyna jest w ekstazie, czy w śmiertelnym strachu.

Ale nie mógł czekać, aż się dowie. Rozpiął zamek džinsów i zrzucił je z siebie, wraz ze slipkami; jak tylko zwolnił się ucisk, poczuł się lepiej, nabrał pewności; jednym ruchem ściągnął z Mai przez głowę sukienkę. Nie widział dotąd równie pięknego ciała, olśniewająco gładkiego, o odcieniu oliwki, z małymi sterczącymi piersiami i niewielkim trójkątem rudych kręconych włosów.

- Koszula - wyszeptała drżącym głosem Maya.

- Och. Zapomniałem... - Zerwał ją z siebie; Maya go znów objęła rękami za szyję, on ją przygarnął, ich ciała mocno do siebie przyłgnęły. Pod dotykiem ciała Mai, jej ust, płonął cały, ale nie odczuwał tego tak silnie jak swojego penisa między jej udami. Zdawało mu się, jakby nie miał stóp, nóg ani ramion; płonął całą powierzchnią ciała, czuł, że nie opanuje tego - Maya - wymamrotał - Proszę...

Bez słowa położyła się na kocu, patrząc na niego ciemnymi, bardzo ciemnymi oczami.

- Kocham cię - powiedziała - Kocham cię. - Peter dotknął ręką trójkąta rudych włosów; wsadził palec w gładką wilgotną ciemność, rozwarła nogi. - Teraz nigdzie nie będę musiała wyjeżdżać - powiedziała. - Teraz nikt mnie nie zmusi do wyjazdu. - Oddychała krótko i łapczywie, jej ręce dotykały piersi Petera i chciał, by go mocno nimi objęła, ale wiedział, że tego nie zrobi; wysunął zatem swój palec i sięgnął do kieszeni spodni, żeby wyjąć paczuszkę, którą tam nosił od tygodni. Trzęsły mu się ręce, gdy cienką gumę nakładał na penisa, na oczach Mai, i za chwilę położył się na niej. Poczuł jej ciało i coś na kształt bólu, coś cudownie radosnego, przeszło go i zaraz pomyślał - oj, nie, Boże, o nie, jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz... - jakoś nad tym zapanował i zaczął się wślizgiwać w wąską ciepłą szparkę tej fantastycznej, przepięknej dziewczyny, która pod nim leżała, głębiej i coraz głębiej, aż całkiem w nią wszedł. Poczuł, że dziewczyna się pod nim cofa i chciał jej powiedzieć, że jest mu bardzo przykro, bo jej sprawia ból, ale jak miał to powiedzieć, odczuwając tę cudowną radość? Wykonywał wolne ruchy, wolniej już nie mógł tego czynić, choć miał ochotę wdrzeć się w nią; lekko kołósce ruszał biodrami ocierając się o nią i pragnąc, by jej to sprawiało przyjemność. - Dziękuję ci - myślał - Mayo, kocham cię, dziękuję ci... - Wszystko było dobrze, nie musiał się już hamować. Wbił się w jej słodkie ciało do końca, wysuwał i wsuwał w tę fantastyczną śliską szparkę aż do szczytowania i raptownej ulgi; wreszcie miał to, przed czym się tak długo powstrzymywał. I wtedy Peter Lovell spoczął obok swej ukochanej z westchnieniem wyrażającym najbardziej zdumiewające szczęście, jakie istniało na całym świecie.

Na stoliku stały dwa kieliszki z wódką.

- Obsługa gości jest tu bez zarzutu. - powiedział Rourke, gdy Elizabeth i Matt usiedli. - Zawsze rezerwuję ten sam stolik, ze stałymi kelnerami,

którzy spełniają moje proste życzenia bez zbędnych słów. Nudno byłoby za każdym razem powtarzać: „Zamawiam stoliczną”. Strata czasu. U Tony'ego to nie grozi, i dlatego tu bywam.

- Bywa pan tu - powiedział Matt z uśmiechem - bo bywają tu wszyscy pana znajomi, bo jedzenie jest wyborne i dlatego, że lubi pan się karmić ploteczkami pani Wilmy.

- Pani mąż zna wszystkie moje sekrety - Rourke zwrócił się do Elizabeth. - Wilma pisze do renomowanej kroniki towarzyskiej i lubi zbierać informacje u Tony'ego.

Czego się państwo napiją?

- Proszę chardonnay - Elizabeth spojrzała na Matta. - Czy spełniają tu również twoje proste życzenia? Nie miałam pojęcia, że pijesz wódkę.

- Lubię kieliszek od czasu do czasu - odparł krótko. Pomiedzy nimi stało nie wypowiedziane - „Ale nie w Santa Fe”.

- Być może lubię tu bywać ze względu na imię mojego syna. - Rourke powiedział to po zamówieniu wina dla Elizabeth. - Bawi mnie, że najslynniejsza restauracja w Houston nosi imię mojej sławnej latorośli. - Przerwał, by przywitać się z Tonym Vallone, właścicielem restauracji, który zatrzymywał się przy wielu stolikach, ale, co Elizabeth widziała wyraźnie, nie przy każdym. Vallone poszedł dalej, a Rourke zapytał: - Mielście z nim ostatnio kontakt?

- Z Tonym? O, dawno - odpowiedziała Elizabeth. Kelner postawił przed nią kieliszek z winem. Chwyciła go nerwowo. Nie wiedziała, co Rourke naprawdę czuje w związku z tym, że dołączyła do ich towarzystwa, bo gdy jego sekretarka poinformowała go przez telefon wewnętrzny, że już są, to czekali prawie dziesięć minut, aż ich zaprosi do gabinetu. Zdążył pewnie przez ten czas opanować wszelką ewentualną irytację czy złość. Przez całe popołudnie, to jest bite pięć godzin narad, okazywał jej wyłącznie życzliwość wyjaśniając przyczyny pewnych decyzji budżetowych, co do których miała wątpliwości, opisując, na czym polegają niektóre działania Rourke Enterprises, o których nic nie wiedziała do tej pory, pytając ją o zdanie, kiedy dyskutowali o polityce redakcyjnej i tematyce wiadomości prasowych w Albuquerque.

Wszystko zdawało się być w porządku; nie powinna mieć w zasadzie do niczego zastrzeżeń. Zwłaszcza w tej chwili, gdy pozałatwiali już wszystkie interesy i nie trzeba było myśleć o niczym prócz kolacji w tej znakomitej restauracji o wystroju w miękkich odcieniach pastelowych, z nowoczesnym malarstwem wyeksponowanym na ścianach obitych zamszem. Sala była obszerna, przedzielona na pół długą niską przegrodą wypełnioną ziemią, w której gęsto kwitły azalie. Na każdym stole stał okazały niski bukiet kwiatów, nie wyższy od rosnących azalii: nic nie miało prawa zasłaniać widoku korporacyjnych i towarzyskich elit, które schodziły się u Tony'ego specjalnie po to, żeby się pokazać.

- Tony ma nową żonę - mówił Rourke. Elizabeth zwróciła się ku niemu, zdziwiona.

- Marion, jak mi się zdaje, albo to była jego pierwsza.

- Ginger była pierwsza - powiedziała Elizabeth - byli razem na naszym weselu.
- Ach - kiwnął głową. - Tracę rachubę. W każdym bądź razie od roku jest znów żonaty. Dla Tony'ego to rekord. Ciepło panią wspomina. Nie przepuści żadnego pani artykułu. Ja też zresztą. Pewien jestem, że Matt pani już to powtórzył, ale nie szkodzi, jak powiem jeszcze raz. Tak, jeszcze raz to samo - odezwał się do stojącego obok kelnera, po czym zwrócił się do Elizabeth. - Jeszcze wina, moja miła?
- Tak, poproszę.

Rourke kiwnął głową i mówił dalej.

- Jesteśmy panią urzeczeni, Elizabeth. Nie wiem, jak to pani robi: pisze co tydzień dwa doskonałe artykuły, sprawia, że dział publicystyki w *Albuquerque Daily News* jest najlepszy w całym mieście. Odchylił się w krześle do tyłu, gdy kelner stawiał drugi kieliszek wina przed Elizabeth i dwa kieliszki wódki w srebrnych czarkach wypełnionych tłuczonym lodem. - Wie pani, moja droga, że znam panią od dziecka i byłem świadkiem, jak stawiała się pani kobietą, niezwykłą kobietą. Nie umiem tego wyrazić słowami, jak bardzo jestem pod wrażeniem pani osoby.

Elizabeth zarumieniła się i rozluźniła. Dlaczego miałyby doszukiwać się w słowach Rourkego jakiejś gry? W rześmiej sali widziała w jego oczach jedynie szczerość i sympatię, a zauważywszy uśmiech dumnego z niej Matta, poczuła, że wreszcie całkowicie pozbywa się napięcia.

Matt położył ręce na jej dłoniach. Nie odzywał się dotąd, chcąc, by Rourke sam pozyskał zaufanie Elizabeth. Męczyło go, gdy stawał w obronie Rourkego; irytowało go, że Elizabeth unika na jego temat rozmów, kiedy wiedział, że wynika to z jej powściągliwości w wyrażaniu krytyki. Dziwne, że nie przyszło mu wcześniej do głowy rozwiązanie oczywiste w swej prostocie: przywieźć ją do Houston, niech spotka Keegana Rourke na jego własnym terenie: inteligentny biznesmen, zamożny w tym stopniu, by szukać szerszych horyzontów, wyrafinowany i czarujący, gdy podejmuje gości, sympatyczna znajomość. Matt zacisnął rękę na dłoni Elizabeth. Najbardziej pragnął tego, by ona i Rourke zostali przyjaciółmi.

- Keegan zachowuje się jak dumny ojciec - odezwał się do Elizabeth. - Obawiam się, że przypisuje sobie fakt stworzenia ciebie.

- Ależ nie - zaśmiał się w kułak Rourke. - Elizabeth Lovell to indywidualność sama w sobie. A od zeszłego tygodnia proszę, proszę, sławna! Droga Elizabeth, jeszcze nie wypiliśmy za pani triumf! - Podniósł kieliszek. - Na zdrowie uroczej i utalentowanej damy, za jej „Sprawy prywatne”, a zwłaszcza artykuł „Joey”, który przedrukowało w tym miesiącu *Good Housekeeping*. Przestała pani już być dziennikarką piszącą do prasy o zasięgu lokalnym, moja miła. Przeskoczyła nas pani wszystkich razem wziętych.

- To był tylko jeden artykuł - powiedziała Elizabeth.

- Jeden wystarczy. Niech pani to sobie zapamięta, Elizabeth, jeden triumf zmienia wszystko. Kiedy czasopismo mające tak wielką rzeszę czytelników robi przedruk

pani artykułu, to wynosi panią na pozycję autora o znaczeniu ogólnokrajowym i powinna pani mieć o sobie odpowiednie mniemanie. Tak panią określam wobec moich przyjaciół, gdy im czytam pani artykuły.

- Co pan robi? - Nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

- Noszę je ze sobą. Nie wszystkie - rzecz jasna, ale - wydobyl mały pakiecik wycinków z gazet - wystarczająco dużo, by dać poznać ich smak. Nie jest to z mojej strony to samo co wciskanie ludziom na siłę do oglądania zdjęć noworodków, ale bliskie temu. - Uśmiechnął się. - I zgadzam się z *Good Housekeeping*: „Joey” to jeden z najlepszych tekstów. Przypomina mi Tony'ego, gdy był młody, jeszcze się wtedy rozumieliśmy. Kiedy czytają go moi przyjaciele, zwłaszcza tę część dotyczącą buntu Joeya i tego, że nigdy nie ma pewności, czy nie posunął się za daleko, doprowadzając do tego, że rodzice przestali go kochać, to pytają się mnie, skąd pani zna ich nastoletnie dzieci. Droga Elizabeth, Joey to każdy nastolatek w Ameryce! To co pani napisała jest genialne!

Elizabeth spoglądała na swój kieliszek do wina zastanawiając się, jak należy reagować na tak przesadnie gorące pochwały. Wiedziała, że tekst był dobry, wiedziała też i to, że nie był genialny.

- Dziękuję - powiedziała. - Wiem, że czytelnikom podobało się, co napisałam o Joeyu; dostaliśmy dużo listów.

- Więcej niż po jakimkolwiek innym artykule - dodał Matt.

- ...ale mógłby być lepszy. Nie mam tyle czasu, ile bym chciała poświęcić na napisanie jednego tekstu.

- Rozumiem. To prawdziwy problem. Ma pani talent, rzadki talent, a tu nie można go w pełni wykorzystać.

Do stolika podszedł Tino Escobedo, gospodarz sali, i Rourke powiedział do Matta i Elizabeth.

- Zamówię coś w waszym imieniu, jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu.

Najlepszych dań nie ma w karcie.

Dwaj mężczyźni wdali się w nader poważną debatę, a Elizabeth i Matt uśmiechnęli się do siebie. Ścisnęli się za ręce.

- Kocham cię - wyszeptała Elizabeth, zbliżając usta do ucha Matta. Matt musnął wargami jej usta. - Cieszę się, że tu jesteś. Miałaś rację i przepraszam, że zachowałem się jak cham mówiąc ci, byś została w domu.

- Okropnie byłeś zły - ciągnęła Elizabeth. - Jak gdybym się wtrącała w nie swój interes... albo przygodę miłosną...

- Nonsens. - Opróżnił kieliszek. - Myślałem, że już te sprawy mamy za sobą.

Przyjrzała mu się badawczo.

- Nigdy nie wypijałeś przed kolacją dwóch kieliszków.

- No, więc - powiedział Rourke odwracając się do nich z powrotem. - O czym to mówiliśmy? A tak, o pisarstwie Elizabeth. - Zamyślił się ob-

racając kieliszek w palcach. - Czy nie ma jakiegoś sposobu, aby się pani na tym mogła bardziej skoncentrować? Zdobyła pani takie uznanie dzięki „Joeyowi”, że powinna pani publikować trzy razy w tygodniu, nie dwa.

- Nie mogę - odparła Elizabeth. - Chciałabym, ale nie mogę. Ledwo znajduję czas na dwa razy.

- Właśnie o tym mówię! Nie ma pani czasu, żeby rozwijać talent, który przyniesie pani sławę. I przy okazji rozsławi naszą prasę.

Elizabeth zmarszczyła brwi. Dlaczego on tak przesadza? Gazety nie zdobywają sławy dzięki jednej dziennikarce, a ma przecież tyle pieniędzy, że może wykupić w krajowych agencjach prasowych każdy artykuł, jaki zechce. Czy on myśli, że jest głupia?

- Elizabeth, zapomina pani, co powiedziałem. Im częściej będzie pani publikować, tym więcej osób będzie panią czytało i tym większe prawdopodobieństwo, że inne wydawnictwa będą przedrukowywać pani artykuły. Wtedy będą panią obsługiwać takie agencje, jak NEA, Knight-Ridder, Markham Features, nie pamiętam wszystkich nazw, i pani artykuły będą się pojawiać jednocześnie w trzystu lub czterystu pismach. No więc, nie powie mi pani, że to nie robi na pani wrażenia!

- Oczywiście, że robi - powiedział Matt. - Trzeba było panu widzieć jej minę, kiedy zadzwoniła redaktorka z *Good Housekeeping* z informacją, że chcą włączyć „Joeya” do ich cyklu o nastolatkach. Przez tydzień nie mogła zejść po tym na ziemię. Rourke kiwnął głową.

- Podniecający awans. Zasłużony.

- Więcej niż podniecający - powiedział Matt. - Po raz pierwszy wtedy Elizabeth znalazła się na tym samym poziomie co profesjonalni dziennikarze publikujący w całym kraju. To trochę tak jakby się narodzić na nowo.

Elizabeth, zdziwiona, powiedziała.

- Nie wiedziałam, że to rozumiesz.

- Bo ty nie wiedziałaś, że ja też się tak czułem.

- Kiedy? - zapytała, po czym szybko powiedziała - Och, rozumiem. - Jakie to dziwne, nigdy dotąd jej nie przyszło do głowy, że to Keegan sprawił, iż Matt poczuł się jak prawdziwy wydawca prasowy. Wydawało się jej, że *Chieftain* i *Sun* dadzą mu tę świadomość. Ale jeśli ja potrzebowałam tego, by się pojawić w czasopiśmie o zasięgu krajowym, aby się poczuć jak autentyczna pisarka - myślała - to pewnie i Mattowi potrzeba było czegoś więcej.

- Cały zespół *Daily News* świętował - opowiadał Matt Rourke. - Holly i Peter odbili tyle kopii artykułu, że mogliby nim zasypać cały południowy zachód. Ale co ważniejsze - puścił jej rękę i objął Elizabeth - Elizabeth Lovell stanęła w centrum uwagi. I czas już był najwyższy. Brakowało jej tego.

Po raz drugi Elizabeth spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Nigdy ci o tym nie mówiłam.

- I sądziłaś, że oślepiło mnie własne powodzenie i tego nie zauważyłem.

Odwróciła wzrok i zobaczyła rozbawioną minę Rourkego.

- Tak - powiedziała. - Tak sądziłam.

Tino zbliżył się do stolika z butelką wina. Rourke przeczytał etykietę i kiwnął głową, na co Tino wyciągnął korek i podał mu go, by go sobie lekko przesunął pod nosem. Znowu kiwnął głową i Tino nalał niewielką ilość trunku do kieliszka Rourkego. Ten zakołysał nim, posmakował, jeszcze raz kiwnął głową. Tino napełnił wszystkie kieliszki i odszedł.

Elizabeth prawie nie zwracała uwagi na cały rytuał. Rozmyślała bowiem o ostatnich czterech miesiącach. Matt miał rację: przeszkadzało jej to, że on był w centrum uwagi i jemu przypisywano zasługi za to, czego dokonywali wspólnie. To do niego dzwonił Chet Colfax, żeby powiedzieć, że Rourke jest zadowolony, albo potrzebuje jakichś informacji, albo poleca napisanie tekstu na jakiś konkretny temat; to Matta chwalili biznesmeni, że gazeta ma nowy żywy styl; to właśnie jego zapraszano - bo on pisał artykuły wstępne - do zabierania publicznie głosu na tematy lokalne.

„Sprawy prywatne”, owszem, wzbudzały podziw, dostawali korespondencję i telefony, ale dopiero wtedy, kiedy jej artykuł ukazał się w piśmie o zasięgu krajowym, Elizabeth potraktowano podobnie jak Matta: jak gwiazdę.

I Rourke chciał wiedzieć, czy to robi na niej wrażenie!

- Chciałem, żeby ci od początku przypisywano więcej zasług - powiedział Matt Elizabeth, kiedy podano im główne danie. - Ale redaktor publicystyki nie zbiera laurów i nie stoi na piedestale. Keegan ma rację; musisz wziąć się wyłącznie za pisanie do „Spraw prywatnych”. Trzy artykuły tygodniowo, to byłoby świetnie; dasz radę, co? - Jasne, że tak. - Wino uderzyło jej do głowy, pastelowe ptaszki na niebieskich perkalowych obiciach krzesel zdawały się śpiewać. Co najważniejsze, czuła się kochana, bo Matt był z niej dumny i rozumiał jej uczucia, kiedy jej się zdawało, że nie zwraca na nią uwagi. Lekko odurzona obserwowała Rourkego.

Nawijał na widelec spaghetti, podnosił do ust i żaden kawałek makaronu nie zwiślał mu z widelca. Musi powiedzieć o tym Peterowi - pomyślała - on zawsze twierdzi, że to niemożliwe do wykonania. - Chłabym pisać trzy artykuły tygodniowo. Ale prowadzę dział publicystyki, a to już jakby cały etat.

- Myślałem, że zrozumiesz - rzekł Matt. - Jest absurdem, żeby ktoś z twoim talentem redagował cały dzień artykuły. Z Keeganem rozmawialiśmy na ten temat i obaj uważamy, że skoro już zorganizowałaś pracę działu, powinnaś się zająć czymś ważniejszym. Minutę trwało, żeby Elizabeth będąc w stanie odurzenia pojęła słowa Matta. Z Keeganem rozmawialiśmy na ten temat. - Nie rozumiem. To już z Keeganem zdecydowaliście? - Oczywiście, że nie. - Rourke odparł z uśmiechem. - Nie zdecydowalibyśmy o niczym za pani plecami. Omawialiśmy pewnego dnia sprawy dotyczące personelu, kiedy zadzwoniłem...

- To ja się zaliczam do personelu?

- Wszyscy się zaliczają, moja miła, łącznie ze mną. Jedyne, co mówiliśmy na pani temat, to to, że marnujemy pani talent zmuszając panią do codziennej orki jako szefa działu.

- Powiedzieliśmy coś więcej. - Matt odłożył widelec. - Chcemy jak najlepiej każdym pokierować, a nie uważamy za korzystne, aby wywiady z ludźmi i pisanie zajmowało u ciebie drugie miejsce po etacie redakcyjnym. Uważamy, że powinnaś zaprzestać redagowania tekstów. Po pierwsze, bo jesteś na to za dobra, ale co więcej: jesteś wskutek tego przemęczona, nie masz czasu dla siebie, nie widzisz się ze swoimi przyjaciółmi, i martwisz się, że nie spędzasz dostatecznie dużo czasu z Holly i Peterem.

- Martwiłam się, że oboje nie spędzamy z nimi dość czasu.

- Wiem o tym i zastanowię się, jak temu zaradzić. Ale obecnie, jeśli któreś z nas powinno z czegoś się wycofać, to osoba, która może pracować wszędzie. Możesz pisać w domu; zresztą przeważnie i tak piszesz w domu po nocach, kiedy cała rodzina już śpi.

- Mówiłam też, że my sami nie spędzamy ze sobą dość czasu razem.

- Coś na to poradzimy - powiedział Rourke. - Nie chcę, żeby moi ulubieńcy byli nieszczęśliwi. Choć pewien jestem, że oczywiście nie zamierzaliście długo jeszcze razem ze sobą pracować. - Oczywiście, że zamierzaliśmy; przede wszystkim mieliśmy razem ze sobą pracować - odparła Elizabeth.

- Obserwuję to cały czas - ciągnął Rourke. - Ludzie zaczynają razem pracować, a w końcu się rozchodzą, bo każde znajduje sobie własnego konika lub nową drogę samorealizacji. Oczywiście, jeśli mają do siebie zaufanie, nic nie szkodzi, że obierają takie kierunki, jakie są konieczne, żeby uzyskali powodzenie. Jak na przykład państwo: dziennik w rozkwicie, nazwisko Lovell staje się coraz bardziej znane, Elizabeth dostaje pochwały od redakcji *Good Housekeeping*. - Uśmiechnął się - Matt też wyrabia sobie nazwisko. Ten odczyt, który wygłosił pan niedawno w stanie Wyoming w -jak to się zwie? - Laramie, odbił się echem aż w Phoenix i Oklahoma City. - Chet był bardzo skrupulatny - powiedział Matt sucho.

- Chet dostaje pensję za to, że jest skrupulatny. Skąd bym wiedział, co sobie poczynają moi dyrektorzy, jeśli on by mi tego nie donosił? Cóż, popularność i sukces mają pewną cenę. Nie dziw, że nie macie państwo dla siebie dość czasu. Ale obiecuję, że znajdziemy rozwiązanie. - Wydaje mi się, że sami je sobie znajdziemy - chłodno odparła Elizabeth, której powróciła zdolność właściwej oceny postępowania Rourkego. -Dziwne - pomyślała - przy całym swoim sprycie Rourke nie zdaje sobie sprawy, że posuwa się za daleko lub za szybko, ani nie uświadamia sobie jej reakcji, gdy wychodzi na jaw, że ich śledził.

Cień mojego ojca. Jego długie macki. W tej luksusowej restauracji, zakosztowawszy życia, jakie się wiązało z przynależnością do imperium Rourkego, Elizabeth zrozumiała, co miał na myśli Tony. Nagle poczuła

gwałtowną tęsknotę za domem i rodziną. - Cała nasza czwórka - pomyślała - jak kiedyś, gdy z radością wydawali własnego *Chieftaina*.

Ale już było za późno. To już Matta nie podniecało. Popatrzyła na niego w zamyśleniu: jej przystojny, ukochany mąż, który tak wiele chciał w życiu osiągnąć. Powtórzył za nią.

- Elizabeth ma rację, Keegan. My sami znajdziemy rozwiązanie tego problemu - i zaczęli rozmawiać o wysokości nakładu *Daily News* i *Houston Record*.

Matt był więc związany z houstońską gazetą Rourkego - pomyślała Elizabeth. - I pewnie z innymi przedsiębiorstwami firmy Rourkego. Za późno; za późno. Myśli kołatały się w jej głowie. Było już za późno, żeby wracać do skromnego sukcesu. Muszą się nauczyć radzić sobie z obecnym większym sukcesem, bo nie miało znaczenia, czy chciała częściowego, czy w ogóle nie pragnęła sukcesu. Już go miała i tak.

Położyła rękę na dłoni Matta przerywając mu.

- Jak ci się zdaje? Chcesz, żebym odeszła z działu publicystyki? Nie pracowalibyśmy razem, jeśli tak postąpię.

Przez twarz Matta przeszedł cień smutku i frustracji. Kochał ją tak bardzo, ale Keegan miał rację: czasem ludzie muszą pójść osobnymi drogami.

- Tak - odparł. - Chcę, byś odeszła. - Odwrócił rękę i zacisnął na jej dłoni. - Nie ma sensu, żebyś robiła coś innego prócz pisania; jest to twój atut, kochasz pisanie, zawsze mówiłaś, że chcesz poświęcić na to więcej czasu. Wyszkołiłaś znakomity zespół, mogłabyś awansować swojego asystenta na szefa, przychodzić raz lub dwa razy w tygodniu, żeby wszystkiego dopilnować i pisać do rubryki w domu, gdzie jest spokój i masz tyle czasu, ile ci potrzeba. I częściej będziesz się widywać z Holly i Peterem. Możesz nawet kontrolować Saula; chyba zaczyna już myśleć, że *Chieftain* i *Sun* są jego własnością. Elizabeth, jest to słuszne wyjście.

- Jest to bardzo dokładnie przemyślane - powiedziała cicho.

- Warto spróbować, nie myślisz?

Brzmiało to pytająco, ale Elizabeth wiedziała, że nie było pytaniem. Jej mąż mówił jej, że chce, aby się zgodziła, bo dla niego to było bardzo ważne. A gdybym odmówiła, co na tym zyskam?

- Oczywiście, że warto spróbować - odparła Elizabeth. - Zawsze możemy to zmienić, jeśli to nie wypali.

- Ale będzie dobrze - powiedział Rourke. - Dla pani to prawdziwy przełom. Niech pani tylko poczeka, aż zaczniemy kupować nowe tytuły prasowe. Moja droga Elizabeth, dla pani to cudowna perspektywa. Tak się cieszę. Pani rodzice będą zachwyceni. - Jeden z kelnerów postawił na stole kosz z owocami, a obok niego naczynie z cukrem pudrem. Rourke wziął truskawkę, zanurzył w cukrze i zarządził:

- Suflet malinowy na deser. A tymczasem wypijemy drugą butelkę wina. Trzeba to oblać.

Wtorek: suchy, upalny sierpniowy poranek, pierwszy od miesiący dzień powszedni, gdy Elizabeth została w domu. Matt sam pojechał do Albuquerque, ona zaś siedząc w kuchni piła drugą filiżankę kawy. Wyobrażała sobie męża za kierownicą, jak mija szkołę w Santo Domingo; wokół piach i bylica, na horyzoncie zarys gór, na drutach telegraficznych ptaki z łebkami przechylonymi na bok, jakby sprawdzały kierunek wiatru, by się zaraz wzbić do lotu i nie zostawić po sobie śladu na drodze, którą co dzień przemierzali z Mattem przez ostatnie cztery miesiące.

Muszę stąd wyjść - pomyślała. - Trzeba się przewietrzyć. Do tyłu rzeczy należy się przyzwyczaić. Zabiorę Holly i Petera na przejażdżkę, wrócę i wezmę się do pracy. Gdzie tam. Nie zabiorę ich na przejażdżkę. Matt ma przecież samochód.

Rzecz, o której zapomnieli oboje. Odkąd kupili *Chieftaina*, nie potrzebowali dwóch samochodów, bo pracowali razem. Teraz mając znowu osobne zajęcia potrzebowali dwóch samochodów.

Elizabeth wykręciła numer telefonu Lydii.

- Mamo, czy mogę od ciebie pożyczyć auto, tylko na dziś rano? Zapomnieliśmy o tym. Musimy kupić drugi samochód.

- Heather podjedzie po was, a ty ją odwieź potem z powrotem - powiedziała Lydia. - Ale zatrzymaj go sobie na parę dni. Ja mogę jeździć autem Heather, a twój ojciec nigdzie nie jeździ. Postanowił zostać stolarzem.

- Stolarzem? Nigdy w życiu nie przepiłował nawet deski.

- Moje słowa. On twierdzi, że jeśli Matt Lovell może mieć kryzys wieku średniego i wszystko zmienić, to Spencer Evans też może mieć kryzys wieku podeszłego i wszystko zmienić. Twierdzi, że zawsze chciał dłubać w drewnie. Twierdzi, że jest niespokojny i mu się nudzi, a ja z Heather możemy świetnie same prowadzić księgarnię. On chce wrócić do natury, używać prymitywnych narzędzi, żadnych pił elektrycznych i innych temu podobnych urządzeń, i pragnie wytwarzać piękne przedmioty.

- Tak powiedział?

- Tak. Między innymi. No więc jeśli to go uszczęśliwi, to czemu nie? Nie będę go teraz często widywać, bo on będzie rezydował w garażu: dlatego tak tam sprzątał. Zamienił pół garażu na warsztat stolarski. Ale jest za to miłszy przy kolacji, więc pewnie warto.

- Zostawił cię samą z księgarnią na głowie...

- To zajęcie bardzo mi odpowiada i ze wszystkiego najlepiej mi wychodzi. Sprawy same się ułożą i jestem pewna, że wyjdzie to nam obojgu na zdrowie.

Gdzie ja to wcześniej słyszałam? - Elizabeth zastanawiała się sprzątając kuchnię. Zerknęła przez okno i zobaczyła Holly i Petera wyglądających Heather i zawzięcie dyskutujących o czymś. - Rozumieją się - pomyślała Elizabeth. - Dorastają.

- Przypuszczam, że od razu gdzieś prysniesz, jak tylko dojedziemy do Nuevo - powiedziała Holly, ręką zasłaniając oczy przed słońcem, żeby wyrzeć na ulicę.

Peter przymknął powieki.

- Chyba tak.

Zerwała gałązkę z drzewka oliwnego i narysowała nią kółko na czerwonym pyle leżącym warstwą na jezdni.

- Maya jest bardzo ładna. Peter kiwnął głową.

- Ma takie piękne włosy. Lśnią w słońcu.

Westchnienie wydarło się z piersi Petera, gdyż wyobraził sobie mały trójkąt włosów, który chciał całować, ale nie wiedział, czy Mai się to spodoba... i w tym momencie ogarnęło go pożądanie, odwrócił się pośpiesznie w drugą stronę i zaczął chodzić w kółko po jezdni kopniakami wzbijając tumany kurzu.

- I jest taka miła - nie ustępowała Holly.

- Aha - Peter stał do niej tyłem. - Umie słuchać - powiedział chcąc na jej temat rozmawiać, ale bojąc się, że się z czymś zdradzi.

- To co wy ze sobą robicie? Rozmawiacie?

- Co złego w tym, że się z kimś rozmawia? Nie pytasz mnie, co robię z mężczyznami w pueblach. - Bo z nimi nie masz ochoty się kochać.

Peter roześmiał się nerwowo, Holly zachichotała, i wtedy, z ulgą, Peter zobaczył, że nadjeżdża Heather.

Widząc ich roześmianych, Heather pomyślała sobie, że obecność matki w domu ma jednak duże znaczenie. Tylko przez jeden dzień, a już wyglądali na szczęśliwszych niż przez całe lato, choć przez ostatnie dwa tygodnie Peter chodził rozmarzony, a właściwie to sprawiał wrażenie nieprzytomnego, jakby całkiem bujał w obłokach.

Holly prezentowała się wspaniale - myślała Heather - w szortach i białej koszulce, opalona, długonoga, o platynowo-blond włosach, które jasną kaskadą opadały jej na plecy. Jej uroda, tak jak uroda Elizabeth, zawsze wywoływała u Heather uczucie zazdrości, ale pozbawione zawiści, bo nie można właściwie zazdrościć ludziom, których się ubóstwia. Poza tym wiedziała, że nie może wyglądać jak Elizabeth czy Holly, chyba żeby pewnego dnia obudziła się z zupełnie innymi włosami, inną twarzą, inną figurą. Mało to prawdopodobne - skonstatowała - więc daję za wygraną. I wtedy pomyślała bezwiednie - Saul kocha mnie taką, jaka jestem.

- Cześć wszystkim - zawołała. - Wskakujcie do auta i odwieźcie mnie do pracy.

Mam bardzo surową szefową.

- Akurat - powiedział Peter, gdy nadeszła Elizabeth, i wszyscy usiedli w aucie. - Babcia przez całe życie nie była surowa.

- Chyba prawda - zgodziła się Heather - i za to ją kocham.

- A nie Saula - zauważyła Holly - który jest bardzo surowy. Elizabeth siedząc z przodu z Heather odwróciła się do dzieci.

- Wygląda na to, że świetnie się orientujecie w tych sprawach.

- Dużo ostatnio byliśmy razem i nasłuchaliśmy się, jak się kłócą, kiedy ty jeździłaś do Albuquerque.

- Proszę o trochę więcej szacunku - twarz Heather była czerwona. - My się nie kłócimy. My dużo ze sobą dyskutujemy.

- Słusznie - powiedział Peter.

Elizabeth zwróciła się z powrotem w stronę Heather.

- Coś u was nie gra?

- Czasami - dolna warga Heather drżała. - On cały czas mi mówi, co powinnam robić. Jest ode mnie dużo starszy, zjechał cały świat, na wiele się napatrzył, zdobył dużo nagród i może wie, co jest dla mnie dobre, ale ja wolę sama dojść do tego i podjąć decyzję samodzielnie. Czy nie sądzisz, że powinnam? Przynajmniej spróbować? - Tak - powiedziała Elizabeth, gdy się zatrzymały przed księgarenką na Canyon Road. - Czy naprawdę mogę zatrzymać auto na trochę?

- Jak najbardziej. Będziemy jeździć moim na zmianę z Lydią, bo Spencer przepadł pod trocinami. Zatrzymaj je sobie do czasu, aż kupisz nowe. Kup coś ekstra. Coś drogiego.

- Dlaczego? - zapytała Elizabeth, rozbawiona.

- Nagroda pocieszenia. No to na razie.

Nagroda pocieszenia... Czy dlatego, że właśnie jej przypadło w udziale siedzieć w domu, a Matt ruszył na podbój świata?

Jednak Matt ma rację; jedno z nas powinno więcej czasu poświęcić Peterowi i Holly. A ja będę pisać. Nie potrzeba mi pocieszenia.

Mimo wszystko jakiś ekstra samochodek by się przydał - pomyślała, włączając klimatyzację, gdy wyjechali z Santa Fe; mając przed oczami na horyzoncie góry Sangre de Cristo, mijali brunatne obłe wzgórza, suche tereny pastewne, kępki zwichrowanych drzew. - Stać nas na nowe auto, czemu więc sobie nie sprawić jakiegoś ładnego? Będę dużo jeździć po całym stanie, robić wywiady, więc mogłabym przy okazji zafundować sobie więcej komfortu.

Autostrada była prawie pusta i Elizabeth przyspieszyła za Canoncito, gdzie droga zaczynała się piąć w górę. Obok Elizabeth siedziała Holly, Peter zaś z tyłu.

Rozmawiali o tym, jak spędzili lato, które się kończyło.

- Czy wiesz, co mi ta rozmowa przypomina? - zapytała Holly. - Jakbyśmy byli w szkole po powrocie z wakacji i wszyscy porównują, co kto robił.

- Prawda - zgodził się Peter. - A co porabiała pani Lovellowa przez ten czas?

Wydawała gazetę? Jakież to ciekawe. My też byliśmy bardzo zajęci; odwiedzałem moją bardzo dobrą przyjaciółkę Mayę Solel w Nuevo i przyjaciół z pobliskich puebli, poznawałem legendy Indian - właściwie to planuję napisać o nich książkę, idąc w ślady mojej słynnej mamy, której artykuł ukazał się w magazynie *Good Housekeeping*. A moja śliczna siostra też była bardzo aktywna; bierze lekcje śpiewu, ćwiczy codziennie przez wiele godzin, odwiedza przyjaciółkę Luz Aragon w Nuevo, bywa w operze... Może już to wszystko pani wie, choć niewykluczone, że wieści jeszcze nie dotarły do Albuquerque...

- Już wystarczy, Peter - cicho powiedziała Elizabeth. - Wiem, że ostatnio mało się widywaliśmy, ale nie musisz aż tak przesadzać. Jesteśmy teraz razem.

- I może wcale to nie takie złe - Holly stanęła w obronie matki. - To znaczy, może członkowie rodzin, którzy są zawsze razem, uważają to za normalne. A my przynajmniej teraz doceniamy to, że jesteś z nami.

- Ja zawsze doceniałem obecność rodziców - powiedział Peter z naciskiem.

- Peter, zamknij się! - zawołała Holly.

- Dobrze - odparł. W tylnym lusterku Elizabeth zauważyła na twarzy syna ten sam dziwny nieprzytomny wyraz, który po raz pierwszy pojawił się u niego parę tygodni temu, mniej więcej w czasie, gdy pojechała do Houston. Miłość albo zmartwienie - pomyślała. - Mam nadzieję, że miłość.

- Ja cenię was dwoje - powiedziała. - I nie zrobiliśmy z waszym ojcem nic, co by wskazywało na to, że was nie cenimy albo nie kochamy. Po prostu mieliśmy robotę i powiedzieliśmy wam o tym. Poprosiliśmy was o cierpliwość na pół roku. Czy prosiliśmy o zbyt wiele?

- Nie - oświadczyła Holly. - Peter właśnie przeżywa niepokoje seksualne i martwi się, że jest prawie dorosły.

- Co?! - wykrzyknął Peter.

- W porządku, rozumiem to - powiedziała Holly. - Może ja też będę się bać, kiedy przyjdzie kolej na mnie. Przez ostatni rok szkoły średniej trzeba się już psychicznie zacząć nastawiać na wyjazd z domu, rywalizację w college[^], samotność w zimnym, okrutnym świecie...

- Pieprzysz.

- Peter - zganiła go Elizabeth.

- Przepraszam. Ale ona nie ma racji.

- Może nie mieć. Ale jeśli ma rację, to nie ma się czego wstydić. Zastanów się nad tym. Peter wzruszył ramionami.

- Dobrze. - Nie wiedział, czy spierać się w sprawie „niepokojów seksualnych”, czy nie, ale postanowił, że to sobie odpuści. Nie wygrałby z Holly na słowa, ale mógł jej naprawdę dopiec zwyczajnie nie reagując na to, co powiedziała. Ściągnął traperki, nogi w skarpetkach oparł o okno i położył się na siedzeniu. Miło być samemu; można się oddać marzeniom. Holly też zamilkła. Jechali główną ulicą Pecos i skęcili w Dolinę Pecos. Wąska droga pięła się miarowo w górę, równoległe do koryta rzeki Pecos. Po obu stronach wznosiły się spadziste zbocza gór porośnięte sosnami, jałowcami, dębami i osikami o smukłych białych pniach i drżących liściach. Nad wąską doliną rozpościerało się intensywnie błękitne niebo.

Elizabeth chłonęła piękno i spokój krajobrazu. Zawsze zapominała, jak bardzo jest różny, choć tak blisko tu od Santa Fe. Dalej dolina jeszcze bardziej się zwęzłała tworząc przesmyk niewiele szerszy niż sama droga. Wtem przed ich oczami roztoczył się widok rozległych pól. W najszerszym

miejscu, w którym stał znak z napisem Nuevo, Elizabeth skręciła w wyboistą drogę gruntową.

- Co chcecie robić? - zapytała Holly i Petera. - Ja będę u Isabel.

- Maya na mnie czeka - powiedział Peter niby od niechcienia.

- Baw się dobrze - głos Holly nagle stał się tęskny. - Ja pójdę z tobą - powiedziała do Elizabeth, gdy się zatrzymali. - Umówiłam się z Luz.

Elizabeth ogarnęła Holly ramieniem.

- Peter, będziemy wracać za parę godzin. Przyjdź odpowiednio wcześniej do Aragonów.

- W porządku - ruszył przed siebie jedyną drogą w Nuevo wyznaczającą oś miasteczka. Elizabeth stanęła obok auta i objęła wzrokiem domy z cegły suszonej na słońcu lub z drewna, a przy każdym ogród warzywny i kwiatowy, skupione na dnie kotliny, między nimi sklep wielobranżowy i warsztat samochodowy z pompą benzynową, dalej mały kościółek z cegły, a za nim cmentarz.

Dookoła wznosiły się strome różnobarwne zbocza górskie, na których połacie lasów sosnowych i osikowych przemieszane były z występami skalnymi. Dno kotliny było uprawne, rosła kukurydza, pszenica, fasola i chili. Przez jej środek wiała się rzeka Pecos.

Rodzice Zacharego hodowali konie i bydło, które się wypasało nad brzegami rzeki. Zachary będąc jeszcze młodym człowiekiem dokupił drugą parcelę z domem w wyższych partiach gór. Trzeba to było zatrzymać dla siebie - pomyślała Elizabeth z żalem - ale wydawało się nam to wtedy takie ważne, żeby nabyć *Sun*. Rosła tam teraz co prawda kukurydza, ale dom wyglądał na opuszczony.

- Elizabeth! Cudownie! Nie wierzyłam we własne szczęście, gdy zadzwoniłaś!

Ginąc w potężnym uścisku Isabel, Elizabeth powiedziała ze śmiechem.

- I moje szczęście, bo wreszcie cię widzę!

- To nam wynagrodzi wszystkie nasze niedosze wspólne kolacje. Modłę się za ciebie od tygodni! Holly, wybacz, Luz jest w garażu, reperuje samochód. Nie lubi tego robić, ale radzi sobie z tym lepiej niż inni. A gdzie jest twój przystojny braciszek?

- Na randce z Mayą. Isabel uniosła brwi.

- O dziesiątej rano? No cóż, czemu nie? Peter to mądry mężczyzna. Zdobędzie sobie niepodzielnie jej serce, zanim ją zacznie kusić świat. Czy inaczej w ogóle można być pewnym czegośkolwiek? Lepiej być pierwszym i tylko nie wypuszczać tego potem z rąk. Chodź, chodź - zaprosiła Elizabeth do środka, gdy Holly odeszła. - Przyniosę coś chłodnego do picia i przywitasz się z ojcem. Wpadnie w trans narracyjny i będziemy musiały przerwać jego zawile, choć oczywiście frapujące opowieści, bo inaczej nie starczy czasu, byśmy same się mogły nagadać. Dobry Boże, tyle czasu... okropnie mi ciebie brakowało!

Isabel Aragon miała czterdzieści trzy lata. Była duża, o pospolitym wyglądzie. Gdy mówiła, niespokojnie zaplatała czarne włosy w ciężki warkocz, by go zaraz rozpleść; rozpuszczone włosy opadały jej wtedy na ramiona. Cechowała ją duma, ale jej zachowanie i szczerzy uśmiech były tak serdeczne i życzliwe, że ludzie po krótkiej rozmowie Ignęli do niej i nikt wtedy już nie dostrzegał jej pospolitej urody. Obok smukłej Elizabeth o miodowych włosach wyglądała na postawniej-szą niż była w rzeczywistości. Przed laty, kiedy obie spacerowały po kotlinie z małymi dziećmi, ludzie w Nuevo zwali je *hermanas contrarias* - siostry odmienne - co zachwycało Isabel. - Każda kobieta potrzebuje siostry. Niekoniecznie u sąsiadów za płotem, ale w pobliżu. Jeśli chodzi o mnie, to mam już za dużo tych sąsiadów za płotem - stwierdzała.

Wszyscy z kotliny i okolic, a nawet z samego Pecos przychodzili do Isabel zwierzać się ze swoich problemów i dostawali zwięzłe, konkretne rady. -...żeby myśleli samodzielnie, nie wikłali się w sytuacje powodujące zmartwienia - wyjaśniała. Własne zmartwienia chowała głęboko lub powierzała je przyjaciółce. Zaczęły się od dnia, gdy jej mąż - młody, przystojny (i taki świetny w łóżku!) - zabił się w wypadku: na jego pikap najechała wysoko w górach furgonetka jakiegoś turysty w pobliżu starej kopalni rudy żelaza. Została sama z ojcem Cesarem i córką Luz, wtedy pięcioletnią, oraz małym kołem garncarskim, dzięki któremu zabrała się za wyrób czarnej ceramiki z czarno-kremowym reliefem niemożliwym do podrobienia. Miała doskonały zbyt w czterech galeriach w Santa Fe i Taos. Dzięki temu i zarobkom Cesara ze sprzedaży utkanych przez niego ręcznie kilimów oraz warzywom, jakie uprawiali koło domu i przetwarzali na konserwy na zimę, starczało na życie.

- Powodzi się nam coraz lepiej - powiedziała, gdy się usadowiły z Elizabeth na krzesłach ogrodowych przed domem. - Turyści przyjeżdżają tu masowo, gdyż odkryli Santa Fe, które istnieje od 1600 roku, oraz sztukę i rzemiosło południowego zachodu... Boże, sprzedają dziesięć razy tyle co dawniej. Gdzie ci ludzie wcześniej wydawali pieniądze?

- Tam, gdzie było to modne - odparła Elizabeth z uśmiechem. Isabel napełniła szklanki. - A teraz opowiadaj o wszystkim. Zaczynaj od samego początku. Jak to jest, że przyjeżdżasz w środku tygodnia? Czy dziś święto?

- Zmieniłam pracę. - Elizabeth opowiedziała jej o kolacji w Houston. Siedząc w ciepłe na słońcu w zacisznej kotlinie wśród gór, popijając lemoniadę i rozmawiając z Isabel, która miała szczególny dar słuchania, Elizabeth rozluźniła się. - Jest tu cudownie. Cieszyłam się z tego, że jadę tutaj, ale towarzyszyło mi cały czas to okropne uczucie, że coś nie tak: jadę w góry w dzień powszedni, sprawiam zawód moim podwładnym...

- I zastanawiam się, co robi mój mąż za moimi plecami? Elizabeth uśmiechnęła się.

- Ja tak tego nie ujęłam: jakby mnie zdradzał.

- Może zdradza z gazetą. - Isabel wybuchła zaraźliwym śmiechem. Wtórując jej, Elizabeth powiedziała.

- Jeśli mnie zdradza tylko z gazetą, to chyba sobie z tym poradzę.

- Cóż, nie martwiłabym się o inne rywalki - ciągnęła Isabel. - Przynajmniej nie w chwili, gdy tak się w to zaangażował. Wpadł po same uszy, prawda? Skąd by teraz znalazł energię lub czas na przygodę miłosną, nawet gdyby chciał? Mówią mi ludzie, że logistyka zdrady jest diabelnie skomplikowana: skomplikowane sposoby umawiania się, zacieranie śladów, kłamstwa, wykrety, konieczność pamiętania, co się komu powiedziało... ja nie nadawałabym się do tego. Elizabeth siedząc z twarzą do słońca przymknęła powieki.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Od ekspertów. Kiedy ich rozwiązania logistyczne zbyt się komplikują, przychodzą do mnie zasięgnąć rady. Do mnie! A to dobre! Żeby wiedzieli, od jak dawna nie miałam mężczyzny w łóżku... Och, Elizabeth, tak mi tego brak. Oczywiście żadna kobieta tego nie zapomina, więc mogę z nimi rozmawiać na temat seksu... ale zdrady! A co ja mogę o tym wiedzieć! Ani mi to było w głowie! Z tym, co czułam do mojego męża... No, ale o tym wszystkim świetnie wiesz. Chodzi o to, że naprawdę mi tego brakuje, no, rozumiesz. Tyle, że mam ogromną satysfakcję, bo ojciec jest mi wdzięczny i dobrze wychowuję Luz... - Potrząsnęła głową. - Muszę przestać o tym mówić, bo potem sama zbyt się podniecam i nie mam spokojnej ręki do gliny, kiedy biorę się do pracy. No więc, o czym to ja mówiłam? Aha, o tych, co szukają u mnie porady. No więc do głowy by ci nie przyszło, że dorośli mężczyźni potrafią się wpakować w takie tarapaty. I wtedy przychodzą do mnie.

- A ty co im mówisz?

- Że jak będą maczać swoje pióra w zbyt wielu kałamarzach, to gdy spróbują pisać, mogą popełniać błędy. Elizabeth parsknęła śmiechem.

- Cudowne. Matt będzie zachwycony.

- Będzie zachwycony, dopóki sam nie umoczy swojego.

- Jest zbyt zajęty. - Roześmiały się razem. - A za parę tygodni, gdy jego obowiązki przejmie sekretarz redakcji w Albuquerque, znów wróci do domu.

- I co będzie robił?

Zapanowała cisza. Przefrunęła obok nich błękitna sójka skrzecząc na coś, czego nie było widać, nad krzakiem wisiał koliber i nagle gdzieś poleciał jak strzała, dzieci biegały po polach goniąc szczekającego psa.

- Będzie pracował u Keegana - powiedziała wreszcie Elizabeth. - Będzie kupował tytuły prasowe. Kierował redakcjami. To zależy, co mu powie Keegan.

- Firma jest w Houston - zauważyła Isabel.

- Tak.

Znów się nie odzywały.

- Może Houston ci się spodoba - powiedziała Isabel.
- Może. - Elizabeth odwróciła wzrok od gór i spojrzała na poważną twarz Isabel. - To daleko od Nuevo.
- I to jak.

Po twarzy Elizabeth przesunął się cień niepokoju. Podniosła wzrok patrząc pod słońce. Za Peterem nieco z tyłu stała Maya. Włosy syna tworzyły płomienną aureolę, hebanowe ciało Mai lśniło. Trzymali się za ręce i oczy im błyszczały. Jak cudownie jest być młodym i odkrywać miłość.

- Mówiłaś, że za dwie godziny wracamy do domu - przypomniał jej Peter. - No więc już dwie godziny minęły. Ale mam nadzieję, że zostaniemy tu dłużej. Moja przyjaciółka zaprosiła mnie na lunch. Poza tym nie widać nigdzie mojej siostry.

- Dwie godziny! - wykrzyknęła Elizabeth. - Już? Isabel potrząsnęła głową.

- Ledwo zaczęliśmy.

- Myślałam, że dziś po południu popracuję - powiedziała Elizabeth - ale może to poczekać do jutra.

- Zostań na lunchu - poprosiła Isabel. - A za pracę weźmiesz się jutro. Elizabeth kiwnęła głową. Za dobrze jej tu było, by się stąd ruszać.

- Czy poszukasz Holly i jej powtórzysz? - zapytała Petera. - Wyjeżdżamy około czwartej. Jeśli pozwolisz - zwróciła się do Isabel.

- Bardzo proszę. - Popatrzyły obie na Petera z Mayą, którzy oddalali się wymachując złączonymi dłońmi. - Żeby mi to z głowy nie wyleciało: miałam cię zapytać, czy wiesz coś o facecie, który kupił tu od ciebie działkę?

- Terry Ballenger? Niewiele o nim wiem. Bo co?

- Czy wiesz, ile ziemi tu kupił?

- Nie. A kupił jeszcze coś prócz działki Zacharego?

- Na to wygląda. On i dwóch jeszcze jakichś. Razem kupili ponad połowę.

- Połowę kotliny?

- Ponad połowę.

Na tę wiadomość w Elizabeth odezwała się żyłka dziennikarska. Terry Ballenger powiedział jej i Mattowi, że zajmuje się handlem samochodami, mieszka w San Diego i szuka spokojnego kąta, dokąd chce przyjeżdżać na lato, może na ryby. Że nie zajmuje się ani uprawą ziemi, ani hodowlą bydła czy koni, żeby potrzebować więcej niż trzydzieści akrów, które od nich kupuje.

- Nie zwróciliśmy na to specjalnie uwagi - ciągnęła Isabel. - Mnóstwo turystów szuka sobie działki rekreacyjnej na wielkim południowym zachodzie. Dopiero kiedy się spotkaliśmy wszyscy i policzyli, ile ziemi w sumie sprzedano w kotlinie, to złapaliśmy się za głowy. Bo to cholernie dziwne.

- Tak. Zbadam tę sprawę, Isabel, i zapytam też o to Matta. Jeśli będzie coś nie tak, to może być z tego niezły artykuł do „Spraw prywatnych”.

- Zaproponował mi kupno mojej działki.

- Ballenger? Za ile?

- Trzydzieści tysięcy.

- Trochę wygórowana cena jak na tę okolicę.

- Słusznie. Ale Aurelio dostał sześćdziesiąt za działkę dwa razy większą od naszej.

- Aurelio przecież nie sprzedał swojej działki. Widziałam go na polu, jak tu jechał.

- To następna niezrozumiała sprawa. Po dokonaniu kupna, ci faceci oddają ziemię w długoterminową dzierżawę po niskich stawkach i mówią ludziom, żeby się nie ruszali, ale mieszkali nadal w swoich domach, uprawiali ziemię... tak żeby wyglądało, że nic się nie zmieniło.

Elizabeth potrząsnęła głową.

- To nie może być ten sam Ballenger. On mówił, że chce przyjeżdżać do tego domu na lato.

- No i jest właśnie lato. Czy dom wygląda na to, że tam ktoś jest? Elizabeth przypomniała sobie, że robił wrażenie opuszczonego.

- Nie.

- To ten sam facet.

- Czy mu sprzedałaś swoją działkę?

- Żartujesz chyba. Tu jest mój dom! Jedyne, jaki mam! Poza tym nie potrzebujemy akurat teraz pieniędzy. Nie podobało mu się, że odmówiłam. To człowiek, który lubi postawić na swoim. - Westchnęła - A kto nie lubi? Luz była wściekła. Chce, żebym to sprzedała i żebyśmy się przeprowadzili do Santa Fe. Chce iść do szkoły średniej i żyć w mieście... No i tak się rzeczy mają.

Leniwie się podniosła i poszła do środka. Wróciła niosąc lemoniadę i półmisek z *burritos* i ryżem.

- Akurat to miałam w piekarniku - napomknęła i obie się roześmiały. - Gdyby nie Peter, to ja sama bym cię namawiała, żebyś została na lunchu. Tak mi szkoda Luz. Jest młoda i ciekawa życia i powinna korzystać z jego uroków w Santa Fe, ale nie mogę sprzedać domu ojca, bo on nie wyprowadzi się z kotliny. Kiedy Luz ułoży sobie życie, zostaniemy sami we dwójkę i muszę to brać pod uwagę. Jest moją najbliższą rodziną i lubię, jak w domu jest mężczyzna - choć to ojciec - i on nie traktuje już mnie jak córkę, tak jak dawniej. Czasem jesteśmy jak para przyjaciół. Mogłoby być gorzej. Cieszę się, że tu wpadasz, Elizabeth, moja siostrze. Nawet kiedy się nie widzimy, to pomaga mi świadomość, że jesteś niedaleko.

Udaje, że nie było rozmowy na temat Houston - pomyślała Elizabeth. Ale sama też zamilkła na ten temat. Nie chciała teraz się martwić na zapas z powodu Houston i Rourkego. Nic nie jest jeszcze pewne: Matt może stwierdzić, że nie chce pracować w firmie Rourkego, coś innego może się zdarzyć... Było dużo czasu.

Cesar przyłączył się do posiłku, po jedzeniu poszedł uciąć sobie drzemkę. Elizabeth i Isabel długo rozmawiały, aż wrócił Peter. - Jest punkt czwarta.

Elizabeth rozejrzała się.

- A gdzie Maya?

- Szykuje ze swoją mamą kolację. Powiedziałem jej, że wrócę dziś wieczorem.

Pomyślałem, że może mi pozwolisz wziąć auto. I na jutro. Albo sama tu zechcesz znów przyjechać.

Zajrzawszy mu jeszcze raz w błyszczące oczy, Elizabeth popatrzyła na spokojną kotlinę, farmerów pracujących w oddali na roli, na Holly i Luz schodzących ścieżką w dół, na Isabel siedzącą obok niej, maszyną i opiekuńczą.

- Jeśli nie jutro, to wkrótce - powiedziała. Leniwie wstała i przeciągnęła się. - Nie czułam się tak wypoczęta od miesięcy. Oczywiście, że wrócimy. Niebawem.

W pamięci, tak realny jak głos błękitnych sójek, usłyszała głos Zacharego opowiadającego o kotlinie, o działce, którą tu ma, bo chce tu wrócić, jak przejdzie na emeryturę.

Nie powinniśmy byli tego sprzedawać - znów pomyślała. I to jej przypomniało o Ballengerze. Musi tę sprawę zbadać dokładnie, bo to dziwne. Może powinni z Mattem teraz coś tu kupić. Jeśli tyle miejscowych osób decyduje się na sprzedaż, powinni się pospieszyć. Daleko nam do emerytury - pomyślała, gdy wsiadła do auta.

- Ale przyjemnie byłoby wiedzieć, że jest, że na nas czeka, a kiedyś będzie jak znalazł.

Dzielnica River Oaks w Houston to enklawa krętych ulic, wzdłuż których rosną ogromne, rzucające cień sosny i szpalery krzewów, a za wysokimi bramami kryją się obszerne, nowoczesne wille i pseudogotyckie pałacyki. Dwudziestopokojowa rezydencja Keegana Rourke na Inwood Street miała wystrzyżony trawnik od frontu a z tyłu ogród. Wyszukany klimat wnętrza tworzyły gobeliny z Aubusson, żyrandole baccarat i ręcznie polerowane europejskie antyki; długi rząd okien wychodził na oświetlone reflektorami tarasowe ogrody różane; najbliższy rząd róż miał kolor ciemnego wina, dalsze zmieniały stopniowo barwę od czerwonego, poprzez ciemny i jasny róż, kość słoniową do śnieżnej bieli. W idealnie wypielegnowanym ogrodzie nie było nikogo: goście przebywali w klimatyzowanych wnętrzach; róże, sosny i aksamitny trawnik sprawiały wrażenie dekoracji w obramowaniu okien.

Patrząc na ogród Elizabeth przypomniała sobie mały opuszczony kościółek, farmera pracującego na polu, lot samotnej sójki.

- Tylko parę centymetrów na mapie - zażartował Peter, kiedy mu powiedziała, po pierwszej wizycie w Houston, że miasto zdawało się daleko od domu. - Jakby to było milion kilometrów - pomyślała i podniosła oczy do góry czując na ramieniu dłoń Matta.

- Oszłamiająco. Kiwnęła głową.

- Myślałam, że wygląda inaczej niż...

- Chodziło mi o to, że moja żona wygląda oszałamiająco.

- Och! - Niepiesznie uśmiechnęła się. - To mi odpowiada.

- Mnie też. O wiele bardziej niż ogród. - Pocałował jej gołe ramię, wdychając zapach olejku do kąpieli na jej gładkiej skórze i ogarnęło go pożądanie. Stuknął się z nią kryształowym kieliszkiem: - Za naszą przyszłość.

- Za nas dwoje - powiedziała Elizabeth i upiła trochę wina podziwiając wyrafinowaną elegancję Matta, tak różną od jego codziennego nie zobowiązującego stylu: sztruksowych spodni i koszul z odpiętym kołnierzykiem. Jego niepokorne włosy były gładko uczesane, buty miał wyglansowane, krawat prosto założony. - Jesteś najprzystojniejszym mężczyzną na przyjęciu.

- Mam nadzieję, skoro moja żona jest najpiękniejsza.

- Nie ja, ale perły. Najpiękniejsze, jakie w życiu widziałam. Czy ci za nie podziękowałam?

- Podziękowałaś mi nie raz. - Tydzień temu na czterdzieste drugie urodziny kupił jej sznur idealnie dobranych pereł. - Włóż je na przyjęcie - powiedział, gdy przymierzała. - Pamiętny październik. Dwie uroczystości...

- Dwa luksusowe zakupy - rzekła. - Wraz z tym, że kupiłam sobie w zeszłym miesiącu nowe, supereleganckie auto, to odkąd mamy *Chieflaina* w życiu nie wydaliśmy tylu pieniędzy na raz.

- To ledwo początek - powiedział. - Nikt bardziej niż ty nie zasługuje na perły. Ani na tę przepiękną suknię. Trzeci luksusowy zakup - pomyślała Elizabeth: najdroższa sukienka u Brocka w Santa Fe. Ale kiedy przejrzała się w lustrze, nie wahała się ani chwili; suknia bez pleców wyszywana była drobnymi koralikami z masy perłowej i awanturynu, drobno plisowany dół sukni falował przy każdym ruchu. Włosy zaczesana gładko na jedną stronę, tak że tworzyły miękko układający się pukiel z podwiniętymi końcami na wysokości ramienia.

- Tato byłby taki dumny - Matt nagle powiedział. - Powinien był dożyć tej chwili. Elizabeth uśmiechnęła się. - Pyszniłby się cały, chodził po tej sali z dumnie wypiętą pierśią i każdemu mówił z osobna, że jest ojcem słynnego Matta Lovella...

- Teściem jeszcze sławniejszej Elizabeth Lovell...

- Droga Elizabeth - Keegan Rourke podniósł jej dłoń do pocałunku. - Jeden miesiąc wolny od redakcyjnej harówki i pani zakwitła. Pani teksty były wyśmienite. Czy dostaje pani korespondencję od tutejszych miłośników pani pióra, którą posyła moja sekretarka? - Tak, dziękuję. Miałam zapytać...

- Fantastyczny odzew. Zwłaszcza sposób, w jaki pani czytelnicy zwracają się do pani: jakby pani była ich dobrą znajomą.

- Miałam zapytać, dlaczego otwiera pan listy adresowane do mnie?

- Bo piszą je ludzie, którzy kupują moją prasę. Przydaje mi się wiedza na ich temat: kim są, co myślą, dlaczego kupują tę, a nie inną gazetę. Ale niemówmy już

o biznesie. Dziś wieczór powinniśmy się tylko bawić, świętować z okazji awansu Matta na nowe stanowisko w naszej malej korporacyjnej rodzinie i też z okazji pani triumfów, Elizabeth. Matt, chciałbym zapoznać Elizabeth z niektórymi gośćmi. Pan już ich w większości zna, a senator Greene chciałby zamienić zpanem słówko.

-Rourke zerwała się. -Chet? -Nagle, jak spod ziemi wyłonił się Chet Colfax i stanął u jego boku. - Zabierz Matta do senatora Greene'a. Znajdź dla nich gdzieś cichy kąt i podaj im coś do picia.

Elizabeth wyciągnęła rękę i Colfax automatycznie podał jej swoją.

- Jak się pan miewa? - zapytała.

- Całkiem dobrze - odparł lakonicznie i widząc wyciągniętą dłoń Matta zmuszony był powtórzyć gest powitania. - Dobrze, że pana tu widzimy. - Usta mu się uśmiechały, ale oczy pozostały zimne i bez wyrazu. - Jeśli pójdzie pan ze mną, znajdziemy senatora.

Matt skinął głową. Dotknął ramienia Elizabeth.

- Do zobaczenia przy stole. - Nim zdążyła coś odpowiedzieć, już przedzierali się z Colfaxem przez tłum gości; czarne marynarki panów kontrastowały z ostrymi kolorami kreacji, w jakich występowały panie. Elizabeth, porównując z nimi swoją jasną pastelową suknię, poczuła się jak szara myszka, ale Rourke, który się jej przyglądał, rzekł.

- Mą pani klasę, moja droga. Pani nie musi się ubierać w krzykliwe kolory, ani obwieszać biżuterią, żeby było panią widać. Większość kobiet na tej sali nie zdążyła się nauczyć, że dobry smak jest ważniejszy niż bogactwo i dochodzi się do niego z o wiele większym trudem. Mimo to musi je pani wszystkie poznać. Nie w celu pisania o nich - bo trudno je uznać za zwykłe osoby, jakimi się pani zajmuje - ale dlatego, że od nich zależy nasz dobrobyt. - Czyj dobrobyt? - spytała Elizabeth.

- Matta. Mój. Rourke Enterprises i najnowszego przedsięwzięcia: Rourke Publishing. Zatem i pani. Chodźmy.

W wirze wzajemnych prezentacji Elizabeth poznała senatorów stanowych, kongresmenów, dwóch senatorów Stanów Zjednoczonych ze stanów ościennych, przedsiębiorców naftowych, budowniczych autostrad i mostów oraz przedsiębiorców budowlanych, którzy dostali się na partery dzielnicy biznesu North Belt i do wspólnot osiedlających się w północnym hrabstwie Harris.

- Chcemy zwrócić na siebie uwagę Houston - jeden z nich tłumaczył Elizabeth. - Dlatego tu jesteśmy. Choć Elizabeth wiele słyszała na temat tego miasta, zwłaszcza dużo się mówiło o naprawach w wyniku szkód, jakie wyrządził szalejący przed miesiącem huragan, to jednak większość gości rozmawiała z nią o „Sprawach prywatnych”. - To wprost zdumiewające, jak pani potrafi oddać charakter tych osób - powiedziała wystrzałowa blondynka w szmaragdowej zieleni. A najbardziej się pani chyba udało przedstawić tę staruszkę - Charlotte des Champs, która obchodziła 99 urodziny. Napisała pani, że ona nadstawiała każdemu policzek

do pocałunku, ażeby dziękowali jej za to, że założyła rodzinę, bo dzięki temu oni sami znaleźli się na świecie. A potem napisała pani, że staruszka popatrzyła na nich świdrującym wzrokiem, tak żeby nikt się nie wymówił od złożenia jej podziękowania? Ależ to jota w jotę moja prababka! Oczywiście zmieniła jej pani nazwisko, ale to przecież ona sama jak żywa! Zupełnie nie rozumiem, jak się pani udało ją poznać?

- Nie poznałam pani prababki. - Twarz Elizabeth promieniała. Charlotte des Champs mieszka w Taos i pozwoliła mi, a niewielu ludzi się na to godzi, podać swoje prawdziwe nazwisko. Wybrałam ją do wywiadu, bo przypomina mi inne kobiety, które się zachowują jak protoplaści...

- Bez pomocy mężczyzny! To jest to, ładząco podobna do mojej prababki! Ona całkowicie wyłączyła z tego pradziadka, który umarł młodo, wskutek czego nikt z nas go nie znał. Ze też pani to potrafi opisać. To zdumiewające!

- Dziękuję. - Oczy Elizabeth błyszczały. Te komplementy bardzo się różniły od tego, co słyszała od podwładnych w redakcji; różniły się od tego, co do niej pisali miłośnicy jej pióra; były inne od telefonu z redakcji *Good Housekeeping*. Goście na przyjęciu Rourkego mieli prestiż, pieniądze, i niełatwo było na nich zrobić wrażenie, gdyż mogli mieć wszystko, a mimo to czytali jej rubrykę i pamiętali jej teksty!

- A Keegan wybrał same bardzo dobre teksty - ciągnęła blondynka. - Uważam, że są świetnym przykładem pani stylu.

Zaskoczona Elizabeth zapytała:

- Wybrał?

- Och, chyba zdradziłam sekret. Ale z jego strony to było bardzo sympatyczne, więc czemu nie ma się pani dowiedzieć? Wysłał do każdego kopie trzech pani artykułów.

- Do każdego, kogo zaprosił na przyjęcie - dodała inna kobieta.

- Na wszelki wypadek, gdybyśmy nie czytali prasy - powiedziała trzecia. - Po to, żebyśmy mogli o tym z panią rozmawiać i żeby się pani czuła dobrze między nami. A wie pani, ja faktycznie nie czytuję gazet, więc postąpił naprawdę mądrze! Teraz dzień w dzień zaglądam do gazety, żeby znaleźć pani rubrykę - a pani artykułów nie ma codziennie, co mnie trochę rozczarowało - ale nawet bym nie wiedziała o pani istnieniu, gdyby nie nasz Keegan. Czy to nie prawdziwe złotko?

Elizabeth popatrzyła na Rourkego, który stanął opiekuńczo u jej boku.

- Nie miałam pojęcia...

Uklonił się paniom na znak, że odchodzi, i podał ramię Elizabeth. Zatrzymali się po drodze przy tacy z przystawkami z homara, którą niósł kelner, i poczęstowali się.

- Widziałem autorów skrepowanych, gdy ludzie pytali ich o dorobek albo się tłumaczyli, że jeszcze się nie zabrali do czytania ich utworów. Chciałem pani tego oszczędzić.

Elizabeth nigdy nie znała go od tej strony. Jeśli nadal nie umiała się o nim wyrazić „złotko”, to nabrała teraz przekonania, że jest troskliwy w stopniu, w jakim nigdy go o to nie podejrzewała.

- Zawsze mam powody, by panu dziękować - powiedziała.

- Nie jest to konieczne. Proszę pamiętać, że czerpię zyski z pani pisarstwa, tak jak też z wiedzy i kompetencji Matta. Ach, nowo przybyły gość! Tony, spóźniłeś się.

- Duży ruch na lotnisku. Cholerny bałagan - Anthony Rourke ujął rękę Elizabeth w obie dłonie. - Cześć, nieznajoma. Boże, wyglądasz imponująco. Nie widziałem cię od bardzo dawna. Dziesięć lat? Dwadzieścia?

Elizabeth zaśmiała się.

- Dwa i troszkę. - Głos miał jak zwykle aksamitny, ciepły, wzrok jeszcze cieplejszy.

- Jak się masz Tony?

- O wiele lepiej niż przez ostatnie dwa lata i troszkę. Chodź, usiądziemy w jakimś spokojnym kątku.

Elizabeth zerknęła na Rourkego.

- Na parę chwil - zgodził się. - Będzie potrzebna pani obecność podczas toastu.

- Mamy mnóstwo czasu - niecierpliwie stwierdził Tony. Wziął Elizabeth pod ramię i udali się w róg sali, skąd mieli widok na ogród. - Brakowało mi ciebie. Nigdy nie przestałem o tobie myśleć. Próbowałem, ale mi się to nie udawało. Nawet się ożeniłem i rozwiodłem, właściwie żyjemy w separacji, ale to na jedno wychodzi. Ale, dobry Boże, gdybym miał lepszą pamięć, wcale bym nie mógł wytrzymać. Jesteś niesamowita. Czy się zmieniłaś? Oczywiście, nigdy cię nie widziałem tak odstawionej na jednym z balów u mojego ojca. Czy oglądasz mój program?

- Kiedy mi czas pozwala. - Będąc obiektem podziwu Tony'ego Elizabeth ogarnęło niecodzienne podniecenie. Tony błyszczał nawet przy innych prominentach, oni zaś też nie szczędzili jej pochwał. Był powszechnie znany. Idąc z nim przez salę słyszała jego imię na ustach wielu osób. W swoim programie telewizyjnym gościł trzech obecnych na przyjęciu kongresmenów i jednego z senatorów; pozostali wyraźnie pragnęli dostać zaproszenie. Ale od reszty wyróżniała go nie tylko aura sławy; miał w sobie coś elektryzującego - co Elizabeth pamiętała z dawnych lat - jakby samą swoją obecnością zapowiadał, że zdarzy się coś niezwykłego, niepowtarzalnego, co jedynie on może sprawić.

Odnaczał się też szykiem w nowym dla siebie stylu. Skończywszy czterdzieści osiem lat osiwiął, dokładnie zresztą w tym samym czasie co Keegan. Ktoś musiał mu powiedzieć, że z siwizną wygląda doskonale - pomyślała Elizabeth - bo nie farbował włosów. I robił też wrażenie bardziej zrelaksowanego i pewnego siebie. Wzbudzał zaufanie: odnoszący sukcesy, fantastycznie zadbany, opalony, kalifornijska znakomitość.

Patrząc na jego uśmiechniętą wyczekującą twarz Elizabeth dokładnie wiedziała, dlaczego mając siedemnaście lat zakochała się w nim i poszła

z nim do łóżka. Niewiele kobiet, zwłaszcza młodych, umiałoby się oprzeć jego podniecającej osobowości, ciepłemu głosowi i intymnemu spojrzeniu. Dość - przeszła ją myśl. - Koniec z przeszłością.

- Nie oglądamy często telewizji - odpowiedziała na jego pytanie. - Zwykle pracujemy wieczorami. - Chciała się przyznać, że Holly nie opuszcza ani jednego odcinka programu „Anthony”, ale coś jej kazało zamilknąć. - Peter ogląda prawie co tydzień, a ja od czasu do czasu. Jest świetny. Ty jesteś doskonała. Podoba mi się, jak z nadętych ludzi wypuszczasz powietrze.

- Miło słyszeć. Podoba mi się, jak malujesz słowami portrety ludzi tak, że chcę ich poznać.

- Jeszcze czytasz moje artykuły?

- Każdy z osobna. Chłubię się też znajomością z tobą. Moja mądra, inteligentna, bardzo utalentowana przyjaciółko! Elizabeth! Posłuchaj teraz: w oczach odbija ci się wdzięczność. Nie dostajesz dość pochwał? Najdroższa, śliczna Elizabeth, powinnaś być głaskana, pieszczona i nagradzana, bo jesteś wspaniała i ludzie cię kochają. Mój szanowny ojciec twierdzi, że najwięcej korespondencji w całej należącej do niego prasie napływa do ciebie. Ludziom najczęściej trudno się zebrać do napisania listu, ale piszą w reakcji na twoje artykuły. Bo czytając je, nie czują się już tak bardzo samotni, wiedzą, że istnieją inni ludzie, tacy jak oni sami, mający te same problemy, lęki i marzenia. Dlaczego masz taką zdziwioną minę?

- Bo ty to rozumiesz.

- Droga Elizabeth, ty mnie zawsze nie doceniałaś.

- Tak - odparła. - To chyba prawda.

Jej uwagę zwrócił ruch i gwar przy drzwiach wejściowych i zerknęła na grono mężczyzn w smokingach, którzy przestępowali z nogi na nogę prawie że szurając butami. - Jak zgłodniałe dzieciaki w kawiarni - zauważyła.

- Czy Keegan zaprosił na dziś kogoś z rodziny królewskiej?

- To by nie było po raz pierwszy - odparł Tony machinalnie. - Rozmawialiśmy o mnie, pamiętasz? - Och!

Skierował wzrok tam, gdzie spoglądała Elizabeth, i wśród smokingów dostrzegł obiekt powszechnego zainteresowania: często towarzysząca jego ojcu, co odnotowywały kroniki towarzyskie, Nicole Renard, oszalałająca w czarnej atlasowej sukni bez ramiączek, z ukośnie przez pierś przewiązaną wstęgą z białego atlasu, która na jednym z odsłoniętych ramion była zakończona ogromną bufą. Na szyi i w uszach miała brylanty. Czarne włosy zaczesła na bok, dokładnie tak jak Elizabeth. Tym razem była umalowana -jaskrawię, prawie teatralnie. Sprawiała wrażenie, że w tym przybytku władzy i pieniędzy czuje się jak ryba w wodzie. A u jej boku stał Matt.

Elizabeth widziała, jak Matt uśmiecha się do Nicole, coś do niego mówiącej, po czym zwraca się do kongresmena. Za chwilę Matt z kongres-

menem odeszli zatopieni w rozmowie. Nicole odprowadziła ich wzrokiem, po czym spojrzała na otaczające ją grono.

Elizabeth zaś zwróciła wzrok na Tony'ego, który pytająco się jej przyglądał.

- Przepraszam. Nie usłyszałam, co mówisz - powiedziała.

- Pytałem, czy zdajesz sobie sprawę, że nawet byś tu dziś się nie znalazła, gdyby nie ja.

Ściągnęła brwi.

- Och, chodzi ci o to, że wysłałeś Keeganowi wycinki z moimi artykułami. Zdaje się, że to było tak dawno temu. No tak, inaczej przecież on niczego by się o nas nie dowiedział. Powinnam ci podziękować, że mu je wysłałeś.

- Powinnaś? Z obowiązku, nie dla przyjemności?

- Nie to miałam na myśli.

- Chyba jednak to. Nie cieszy cię magiczna różdżka mojego ojca? Posłała mu długie spojrzenie.

- Uciekłeś przed nią.

- Tak, najdroższa Elizabeth, uciekłem. On często zapomina, że to różdżka i posługuje się nią jak batem. Ale korzystaj z niej, ile się da, wykorzystaj jego, jeśli możesz, dopóki nie zacznie ci się zdawać, że on wykorzystuje ciebie. Wtedy będziesz musiała uciekać jak ja. Uda ci się. Wierzę w ciebie.

- Czy ta rada stosuje się również do Matta?

- Do Matta. Wiesz, zdumiewa mnie, że on mi ciągle wylatuje z głowy. Oczywiście, że to też się stosuje do Matta. Zwłaszcza że jest w magicznym centrum władzy i buduje mojemu ojcu odskocznię.

- Jaką znowu odskocznię?

- Wyjaśnię ci to kiedy indziej. Albo spytaj Matta. Ale ona powstanie tam właśnie - w centrum; kiedy ty będziesz siedzieć w domu i pisać artykuły. Tak jest?

- Co jest?

- Że siedzisz w domu? Czy masz inne miejsce pracy?

- Czasem piszę w domu, ale najczęściej używam dawnego gabinetu Matta w *Chieftainie*. Lubię czuć się związana z redakcją. No i współpracuję z Saulem. A pracownicy przynoszą mi kwiaty - uśmiechnęła się serdecznie rozbawiona - z karteczkami, żebyśmy się rozchmurzyła. Jak gdybym...

- Tego potrzebowała. Wygląda na to, że twoi pracownicy widzą więcej, niż to sobie uświadamiasz. Jeśli się dowiem, w które dni bywasz w domu, mógłbym wpaść i dotrzymać ci towarzystwa. Przynieść ci kwiaty i karteczki z życzeniami.

- W drodze do Nowego Jorku.

- W drodze do ciebie, póki się tu nie sprowadzisz. Łatwo jest dojeżdżać z Los Angeles do Houston. Mógłbym...

- Ja się tu nie sprowadzę. Zostanę w Santa Fe.

Uniósł brwi.

- Ale Matt będzie zatrudniony w firmie w Houston.

- W niepełnym wymiarze czasu. Będzie miał jedno biuro tu i jedno u nas.

- Nie wierzę w to. Mój ojciec - ojciec, którego znam całe moje życie - nigdy by się na to nie zgodził. - Pozwala nam spróbować. Peter dopiero co zaczął ostatni rok nauki i robi badania w dwóch pueblach. Przedyskutowaliśmy sprawę i postanowiliśmy, że nie będziemy go zmuszać do przeprowadzki.

- Ale się nie ułoży, rozumiesz? Mój ojciec wymaga poświęcenia, dyspozycyjności, u niego trzeba stać na baczność i strzelać obcasami.

- Tony, nie przesadzaj. Powiedziałam ci: tak to sobie zorganizujemy przynajmniej na najbliższe osiem miesięcy, aż Peter skończy szkołę.

- A więc będziesz spragniona towarzystwa bardziej niż normalnie. Będę ci przynosił nie tylko kwiaty i karteczki. Będziesz dostawać ode mnie belgijskie czekoladki i wiersze. Wszystko, co zechcesz. Nauczę się pisać na maszynie. Będę twoim przyjacielem, powiernikiem, podnóżkiem, lokajem, kochankiem. Śmiejesz się ze mnie czy do mnie? Elizabeth, ja mam skłonności do błazenady, ale teraz mówię serio. Najdroższa Elizabeth, dwa lata to dla mnie za mało, by cię zapomnieć, i dwadzieścia by było za mało. Chcę...

- Elizabeth? - Keegan Rourke pojawił się u jej boku. - Potrzebujemy pani. Tony, jeśli chcesz się przyłączyć do naszej grupy... Tony potrząsnął głową.

- Dzięki. Wolę się przyłączyć do grona widzów.

- Miło cię było spotkać - rzekła Elizabeth chłodnym tonem i podała mu rękę.

Podał jej swoją dłoń i pocałował w policzek.

- Widzę, że się trochę zagalopowałam. Następnym razem się poprawię.

- Proszę stanąć po prawej ręce Matta - powiedział Rourke, gdy przeszli przez salę i stanęli przy stole z małym mikrofonem. Matt już tam czekał; chwycił Elizabeth za rękę i trzymał cały czas, gdy stała u jego boku. - Przyjaciele! - Rourke przemówił do mikrofonu, na sali zapanowała cisza.

Powiedział wszystko, co już goście wiedzieli. Uroczystość została wydana na cześć Matthew Lovella, wiceprezydenta Rourke Enterprises i wydawcy kierującego nowym przedsięwzięciem Rourke Publishing oraz jego żony Elizabeth Lovell, której rubryka „Sprawy prywatne” będzie się ukazywać trzy razy tygodniowo we wszystkich pismach należących do Rourkego. Elizabeth przyglądała się badawczo gościom, słuchając jednym uchem Rourkego, który omawiał dotychczasowe osiągnięcia firmy. - Planujemy za rok - Rourke kończył przemówienie - stworzyć sieć pism, z których każde będzie odzwierciedlać specyfikę własnego terenu, ale wszystkie będą nosić wyraźne cechy Rourke Enterprises. Nie zgadzamy się z Mattem co do wszystkiego, ale mamy zbieżne poglądy w kwestiach zasadniczych i nie sądzę, że będziemy często staczać pojedynki odnośnie polityki wydawniczej. - Na sali rozległ się śmiech. - Zgadza się również

w tym, że prasa Rourkego ma się wyróżniać wysokim standardem i publicystyką. I co najważniejsze, jesteśmy zgodni, że to szczęście, iż zeszlśmy się razem i połączyliśmy siły. Amerykańskie stany południowego zachodu czeka radykalna odmiana! Panie i panowie, Matt Lovell.

Oklaski zabrzmiały w całej sali i Rourke cofnął się o krok. Przez chwilę Matt widział uważne spojrzenia gości skierowane ku niemu, połyskującą biżuterię pań, uśmiezek na twarzy Tony'ego, nieruchomy wzrok Cheta, stojącego z tyłu za zebranymi gośćmi.

- Ponieważ zgadzamy się z Keeganem w wielu sprawach, to nie mogę zaprzeczyć żadnemu jego słowu. Pomiął wszakże jedną ważną rzecz: ogrom wyzwania, jakie mi rzucił. Będziemy bardzo szybko iść do przodu i nie będzie czasu na omyłki. Doceniam to, że mnie obdarzył zaufaniem; mam też nadzieję, że zaskarbię sobie zaufanie państwa. Będę z wieloma z was się spotykać przez najbliższe kilka miesięcy, i chciałbym, aby do czasu, gdy Rourke Publishing mocno stanie na nogach, ułożyły się między nami dobre stosunki służbowe, jak również przyjacielskie. Dziękujemy państwu, wraz z Elizabeth, za przyjście na dzisiejszą uroczystość. Liczymy na to, że będziemy się często widywać. A teraz chciałbym wnieść toast. Na zdrowie Keegana Rourke, który ma niebotyczne wizje i odwagę, by powierzyć ich wykonanie nieznanemu, ale bardzo wdzięcznemu za okazane zaufanie, wiceprezydentowi firmy.

Ponownie rozległy się oklaski i szmer pochwał. Wszyscy wypili za zdrowie Keegana Rourkego, który stał cicho, uśmiechając się do gości; teraz odwrócił się i bez słów podniósł swój kieliszek w stronę Matta. Szybko się jednak zreflektował, że popełnił gafę, zrobił ukłon w stronę Elizabeth i wypił za ich dwoje.

- Kolacja będzie za kwadrans - Rourke powiedział do mikrofonu. - Proszę brać kartki z numerem miejsca od Cheta.

Po toastach wszyscy się wokół nich stłoczyli, aby uścisnąć im dłoń i złożyć jeszcze raz gratulacje, którymi ich raczyli już od dwóch godzin.

- To bardzo miłe - odezwał się Chet Colfax do Elizabeth. - To dla państwa miłe chwile. Przyjemnie mi, że jestem tego świadkiem. Zawsze mówię, że przyjemnie jest widzieć, jak nagrodę dostaje osoba, która na to zasługuje.

- Czy mówi pan szczerze, Chet? - zapytała Elizabeth. - Z całego serca? Miał pusty wzrok.

- Podzielam z panem Rourke jego zadowolenie, gdy wszystko się dobrze układa. Wszyscy tutaj, nie tylko ja. Kiedy i pani tu zamieszka, też będzie pani się tak czuć.

- Nie zamierzamy tutaj się sprowadzać, Chet. Myślałam, że to będzie panu odpowiadać.

- Tak pani myślała? - Przez ułamek sekundy głos się mu załamał i zauważyła, że tłumy wściekłość. Zastanowiło ją to. Czyżby był zły, bo nie będzie miał Matta cały czas na oku? Czy dlatego, że bez względu na miejsce

zamieszkania Matt jest nowym faworytem, wielką niewiadomą, którą zawsze od teraz będzie musiał uwzględniać, podczas gdy on, Chet Colfax, będzie zabiegać, by Keegan Rourke nie mógł się bez niego obejść?

- Pani mężowi będzie trudniej, jeśli tu nie zamieszka - powiedział Colfax. - Ale jeśli mu będzie potrzebna pomoc, chętnie jej udzielę. Wie pani, o co chodzi: informacje. Nie jest tak łatwo, jak pani myśli, zaczynać w nowej firmie, na nowym stanowisku. - Wcale nie myślę, że jest łatwo - odparła. Rozejrzała się wokół szukając kogoś, kto wyratowałby ją od uporczywego wzroku i gniewnego tonu głosu, który kępował ją od czasu spotkania Colfaxes w Albuquerque. Ale wszyscy wokół zdawali się zajęci; musi się więc sama wymówić od jego towarzystwa. - Proszę mi wybaczyć, Chet, chcę...

- Chce pani pomóc swojemu małżonkowi. Mówię pani, jak to zrobić. Wszyscy tu obecni, wie pani... - rzucił okiem po sali - są w taki lub inny sposób obserwowani przez pana Rourke. Może pani myśleć, że mówienie o tym wprost świadczy o braku wychowania, ale jest celowe. Pani mąż nie wie, jak sobie radzić w sytuacjach, które zaistnieją na tym tle. Jeśli się oprze na mnie, mogę mu doradzić...

Na jakiej podstawie sądzisz, że ja pomogę mojemu mężowi uzależnić się od ciebie?

- To czemu pan mu nie powie już teraz? - spytała lodowatym tonem. Chwyciła go za rękę i szybko poprowadziła do Matta. Zaskoczyła tym Colfaxes tak, że dał się ciągnąć i za chwilę stanął twarzą w twarz z Mattem, Elizabeth zaś powiedziała: - Matt, Chet chce ci pomóc zdobyć pewne informacje odnośnie życiorysów obecnych na sali gości. Pomyślałam, że chcesz się o tym dowiedzieć.

Matt dostrzegł w oczach Elizabeth piorunujący gniew, na twarzy zaś Colfaxes zmieszanie, i pojął intuicyjnie, że ona znalazła jakiś sposób na tę małą szuję. Poczul gwałtowny przypływ miłości do niej, była szybka, bystra i piękna - a on jej nie mówił tego dość często.

- Chet chce ci powiedzieć, że wszyscy goście są obserwowani przez Keegana, ale on ich rozszyfruje i powie ci, jakie sytuacje mogą zaistnieć, abyś wiedział, jak sobie poradzić. Czy o to chodziło, Chet? Czy to według pana nieokrzesane, czy celowe?

- Chciałem panu pomóc. - Chet zwrócił się do Matta ruszając wąskimi wargami.

- Więc ja też może jestem obserwowany? - spytał Matt miłym tonem. Ale nie czuł się przyjemnie. Był zirytowany i zmęczony sztucznością rozmów. Udawaniem. Graniem ról. Robieniem dobrego wrażenia. Wiedział, że to konieczne: poważna sieć prasowa nie może funkcjonować bez utrzymywania kontaktów z politykami i korporacjami. Ale miał tego gadania powyżej dziurek od nosa; chciał się wziąć do pracy. Miast tego tracił czas na tę gnidę, która... - Co? - spytał ponownie.

- Powiedziałem, że trzeba być cywilizowanym - powtórzył Colfax. - Musimy razem współpracować i chcę, by mnie pan wzywał do siebie jak przyjaciela.

- Nie wątpię, że pan tego chce. Jak będę pana potrzebował, dam znać.

- Ależ pan mnie już potrzebuje! - Gładka fasada zaczynała pękać. - Jak mi pan powie, co pan planuje, z kim pan będzie rozmawiał, jaki ma pan rozkład dnia pracy itp., to mogę udzielić panu informacji z góry...

- Jestem pewien, że pan chce mi to wszystko powiedzieć, Chet, ale ja się nie posługuję takimi metodami pracy. Wezwę pana, obiecuję, gdy będę pana potrzebował. A teraz proszę nam wybaczyć, idziemy z Elizabeth do stołu. Elizabeth zobaczyła na twarzy Colfaxes wyraz wściekłości.

- Mówiłeś do niego jak do dziecka - zwróciła uwagę Mattowi, gdy się oddalili. - Wydaje mi się, że powinieneś być ostrożny, on może być niebezpieczny.

- Nie sądzę. To nic nieznaczący człowieczek, który próbuje być kimś.

- I nie uważasz, że tacy są najbardziej niebezpieczni? Wzruszył ramionami.

- Niech się o niego Keegan martwi. To jego lokaj, nie mój.

Idąc przez salę byli zatrzymywani przez mężczyzn i kobiety pragnące im złożyć gratulacje, dowiedzieć się czegoś o ich dzieciach i gdzie konkretnie będą mieszkać w Houston, zaprosić ich na kolację. Matt pozwolił Elizabeth odpowiadać w imieniu ich dwojga. Był wyczerpany i podenerwowany -niedobre połączenie - i zaczął go ogarniać gniew. Jeśli Chet Colfax myśli, że może mu przysporzyć kłopotów, to się grubo myli. Ktokolwiek sądzi, że Matthew Lovella można przystopować lub mu przeszkodzić, grubo się myli. Wie, jak się tu dostał, i wie, dokąd zmierza. Po raz pierwszy miał wszelkie warunki ku temu, by zająć najdalej jak potrafi, zbudować imperium, o jakim marzył, i nikt go nie powstrzyma, kiedy jest tak blisko celu. Nikt. Nawet Keegan Rourke. Ani Elizabeth. Nikt.

Biuro Keegana Rourkego mieściło się w Transco Building, wieżowcu ze szkła i stali w houstońskim Magie Circle. Niegdyś na tym terenie były nieużytki i drogi gruntowe; w ciągu ostatnich kilku lat wyrosło tu parę połyskliwych kompleksów budowlanych, w których powstały ekskluzywne restauracje, butik, kina i teatry, biurowce korporacji budowlanych z całego świata. Wewnątrz tej zabudowy znajdował się labirynt pasaży handlowych, Galeria, międzynarodowe hotele, kryte lodowisko i liczne restauracje, sklepy, biura.

- Jak ta nazwa pasuje - powiedziała Elizabeth, gdy po raz pierwszy odwiedziła siedzibę Rourkego. - Magie Circle. Zaklęty krąg. Gdzież indziej mógłby urzędować Rourke? - Samo biuro Rourkego było dla niej jednak niespodzianką.

Supereleganckie, zajmowało w małej amfiladzie mniej pokoi, niż się tego spodziewała. Rosnącym imperium Rourkego kierowała stamtąd bez rozgłosu garstka zaufanych osób: wiceprezydenci do spraw leasingu pól naftowych, nieruchomości, inwestycji, rozwoju; dwóch księgowych; dwóch asystentów administracyjnych, którzy sąsiadowali przez ścianę z Chetem Colfaxem; jeden duży pokój zajmowały cztery sekretarki, a na końcu korytarza znajdował się gabinet Matta Lovella z wizytówką: Wiceprezydent, Rourke Publishing.

Piąta sekretarka pracowała w sali recepcyjnej o niezwykle wystrój w stylu art deco: chrom, skóra, szkło, stojące lampy i gruba wykładzina, która kojarzyła się Elizabeth z trawnikiem w ich domu w okresie, gdy Peter zaniedbywał koszenie trawy. Kręcone schody prowadziły na drugie piętro, gdzie w wydzielonym na recepcję miejscu siedziała samodzielna asystentka Rourkego: były tam skórzane beżowe kanapy, zachodnie malarstwo olejne, unikalne starodawne fotografie przedstawiające pierwszy pociąg jadący przez równiny oraz ogródek z kwitnącymi kaktusami. Za

drzwiami w obszernym gabinecie z ciemnobrązową wykładziną i obitymi zamszem meblami z drewna różanego stojącymi przed kominkiem, za wypolerowanym półokrągłym biurkiem z czerwonego paduku i czarnego orzecha rezydował Rourke. Wokół niego na ścianie wisiały akryle pędzla Jean Richardsona o tematyce mistycznej.

- Brakuje tu tylko jednego - zauważyła Elizabeth za swojej pierwszej bytności w biurze - nie odczuwa się, żeby tu pracowali prawdziwi ludzie. Nie ma fotografii członków rodziny, pamiątek, osobistych drobiazgów. Czuć jedynie rękę najwyższej klasy dekoratora wnętrz, z najwyższym budżetem.

- Ktoś mi mówił, że wnętrza zaprojektowała Nicole - powiedział Matt i Elizabeth mruknęła:

- Zdradziła się: jest pewnie tak samo zimna jak ten wystrój.

Na piętrze poniżej gabinetu Rourkego znajdowała się sala konferencyjna bez okien, z przylegającą kuchnią, w której kuchmistrze przygotowywali lunche dla obradującego personelu; odbywały się one przynajmniej raz w miesiącu. W tej właśnie sali, dwa miesiące po przyjęciu, jakie Rourke urządził na cześć Matta u siebie w domu, Matt wygłaszał swoje drugie ważne Sprawozdanie z postępu prac mając za audytorium personel firmy i prawników Rourkego, którzy uczestniczyli obowiązkowo we wszystkich konferencjach.

- Ostatnio przedstawiłem państwu dane dotyczące sieci Chalmersa powiał/i al. - Zakładam, że praca papierkowa zostanie niebawem załatwiona pomimo poślizgu z powodu Święta Dziękczynienia - tu popatrzył pytająco na prawników, którzy przytaknęli - i podpiszemy umowy. Zasięg tych sześciu pism obejmuje zachodni Nowy Meksyk od Los Alamos na południe do Farmington na północy. Mają państwo moje sprawozdania z pertraktacji w sprawie *Phoenix Arizonan* i *Tucson Cali*; jest jeszcze inna sieć, która mnie interesuje. Prospekt mają państwo przed sobą na stole: osiem pism, stacja telewizyjna i radiowa w południowo-wschodnim Nowym Meksyku. Ostatnie dwa tygodnie spędziłem z Jimem Grahamem, który posiada tę sieć na spółkę z synem. Ponoszą straty, ale jestem przekonany, że powodem jest złe zarządzanie; nie mają poważnej konkurencji i jeśli uda nam się zbić ich cenę, zalecam kupno tego tytułu.

- On żąda dziesięciu milionów - przeczytał z prospektu jeden z prawników. - To za dużo. - Oczywiście - zgodził się Matt. - Musimy się z nim potargować. Wokół stołu rozgorzała dyskusja. W jakim stanie jest wyposażenie techniczne u Grahama i kiedy trzeba będzie przeprowadzić modernizację? Ilu pracowników można będzie zwolnić? Ilu jest w wieku przedemerytalnym? Kim są miejscowi reklamodawcy? Czytelnicy, widzowie, słuchacze?

Matt napisał ten prospekt na podstawie informacji o finansach i personelu firmy od Cheta Colfaxesa i własnej wizji lokalnej. Stojąc teraz u szczytu owalnego stołu odpowiadał na pytania dotyczące owych ośmiu miast; ich

gospodarki, polityki, rekreacji, geografii, zainteresowań i bolączek mieszkańców, perspektyw rozwojowych przemysłu i turystyki.

Matt palił się do tych dyskusji, które były rzeczowe i celowe. Przy czym stały za tym tak duże pieniądze, że proces kupna przebiegał zupełnie inaczej niż to znał z doświadczenia. Portfel jest pełny. I portfel z zapleczem biurowym i błogosławieństwem Rourkego był do dyspozycji Matta; kiedy więc Matt udawał się do miasta, uderzało mu do głowy tak ogromne poczucie własnej możliwości rozporządzania... że momentami miewał wrażenie, iż jest kimś innym.

Pamiętał, jak siedzieli z Elizabeth przy kuchennym stole głowiąc się, skąd wykrobać pieniądze na kupno *Chieftaina*; jak postanowili, że muszą sprzedać działkę w Nuevo, aby sfinansować *Suna*.

Boże, że też nie poczekał! Mógł teraz kupić każdy tytuł, jakiego tylko zapragnął.

Ale im mniej wspominał przeszłość, tym bardziej się angażował w tworzenie Rourke Publishing. Pierwsza sieć prasowa wokół Los Alamos to sześć tytułów oprócz dwóch w Albuquerque i Houston. Gdyby kupili sieć Grahama, doszłoby do tego osiem tytułów. Nawet bez *Chieftaina* i *Suna*, które Matt i Elizabeth nie zgodzili się włączyć do sieci Rourkego, mieliby w sumie szesnaście tytułów prasowych oraz stację telewizyjną i radiową przed końcem tego roku, czyli w niecałe trzy miesiące, odkąd zaczął pracę. Imponujący początek.

Skończył przemówienie i mężczyźni siedzący wokół stołu pokiwali głowami z aprobatą. Rourke uśmiechnął się. Przez dwie godziny przyglądał się Mattowi, od czasu do czasu coś szybko zapisując w notesie; wzrok miał beznamiętny. Przez te dwie godziny Matt pilnował się, by napotykając wzrok Rourkego nie mrugnąć okiem. Wiedział, że jest na cenzurowanym. Przypuszczał, że przez co najmniej pierwsze pół roku będzie sprawdzany dość dokładnie. I podobało mu się to: czuł podniecające napięcie, rozpierała go energia, która znajdowała ujście w celowym działaniu, zatem stopniowo co dzień zwiększał wysiłki. Gdyby Rourke dał mu do dyspozycji cały portfel bez żadnych zastrzeżeń, obwarowań, prób czy kontroli, Matt uważałby go za głupca.

Rourke zaś nie miał w sobie nic z głupca. Matt nigdy dotąd nie spotkał tak przenikliwego człowieka interesu, który umiałby tak błyskawicznie i nieomylnie ocenić człowieka czy sytuację, dostrzec słaby punkt i obrócić to na swoją korzyść. Wiedział, że milczenie Rourkego niekoniecznie oznacza pochwałę lub nagane; przeważnie to znaczyło tylko tyle, że obserwuje, bada, osądza. Zajmie stanowisko w odpowiednim czasie, gdy trzeba będzie załagodzić spór albo podjąć decyzję. Gdyby mój ojciec był tak stanowczy i zdecydowany, mógłby zostać kimkolwiek by zechciał, nie zaś rozczarowanym starcem, który synowi powierzył realizację własnych marzeń.

- Gdy więc doprowadzimy do tego, że opuści do sześciu milionów -mówił główny księgowy Rourkego - albo, jeszcze lepiej, do pięciu i pół, to

wtedy zmniejszymy liczbę personelu o piętnaście procent i zwiększymy o jedną trzecią nakład pisma... nie miałbym z tym żadnego problemu.

- Żadnego problemu! - powtórzył jeden z prawników śmiejąc się w kulak. - Czy on opuści do pięciu i pół, Matt?

- Wątpię. Powinniśmy utargować do siedmiu. Może sześciu i pół. Graham stara się nie pokazać, że ma nóż na gardle, więc nie jestem pewien, ile opuści, ale widać wyraźnie, że ma poważny problem...

- Dwa problemy - wszedł mu w słowo Chet Colfax. - Pierwszy, że nie potrafi zrezygnować z wyścigów i dziewięć razy na dziesięć obstawia złego konia. Drugi problem to James Junior, mający przydomek Jim Bob. On też przepada za wyścigami, ale jeszcze bardziej za grą w oko w Las Vegas i drogimi kobietami, gdzie się tylko da. On i papcio przeputali prawie wszystkie pieniądze. A parę miesięcy temu Jim Bob zaczął wypisywać czeków bez pokrycia, które papcio jak dotąd pokrywa.

Nikt nie zapytał, skąd Colfax ma te informacje i czy są prawdziwe. Jego zadaniem było zdobyć informacje; odpowiadał za to, by były prawdziwe.

- Pożyczając od innych - stwierdził Rourke.

- Tak, słusznie - rzekł Colfax. - Dziesięć tysięcy od jednego znajomego, pięćdziesiąt od innego, ćwierć miliona od kumpla w Ohio... Usta jest długa.

- Weksle własne płatne na żądanie - stwierdził Rourke. Colfax przytaknął.

- Matt - Rourke powiedział lekko - zacznijmy od trzech i pół.

- On na to nie pójdzie - odparł Matt. - Wie, że to jest warte więcej.

- Jasne, że wie. Jeśli my wiemy, że pięć i pół jest nie do odrzucenia, to on też to wie. A to, że chciałby sześć lub więcej, to kto by nie chciał, jeśliby musiał dreptać za synkiem i sprzątać to co synek narobił. Ale zdaje mi się, że raczej weźmie cztery i pół niż miałby dalej czekać. Dlatego zacznij od trzech i pół. - A jeśli będę musiał dać pięć? - Jeśli to dobrze rozegrasz, nie będziesz musiał.

Matt zawahał się. Dobrze rozegrasz. Ale przecież Rourke jasno powiedział, że według niego dobrą ceną jest sześć i pół. Jeśli ma go za kogoś naiwnego albo niekompetentnego...

- Zobaczą, co się da zrobić - powiedział.

- Daj znać, jak tylko będziesz wiedzieć. - Rourke przeszedł do omawiania innych spraw. Matt zaś siadł głębiej w krześle i słuchał. Będziemy robić bardzo szybkie postępy. Powinien był rzec: Będziemy się bardzo szybko uczyć. Ciekaw był, czy oni wszyscy myślą o nim, że się wychylił.

Ale po zebraniu, gdy szli do jego gabinetu, Rourke położył mu rękę na karku.

- Słuchaj, synu, wiem, że sobie poradzisz z Grahamem. Jeśli Chet ma rację - a Chet ma zawsze w tych kwestiach rację - Jim Bob nie będzie się kręcił w pobliżu; zostaje ci sam staruszek; ojciec, który się rozczarował wobec syna. - Krótco się zaśmiał, prawie że warknął. - Uwierz mi na słowo; jest bezbronny.

Mattowi ten śmiech dźwięczał w uszach, gdy siedział w małym samolocie dla dojeżdżających do pracy do Roswell. Ojciec, który się rozczarował wobec syna. Dziwne: myślał, że Tony Rourke mu zawadza, ewentualnie zagraża, kiedy pokazywał się u nich w Santa Fe i spotykał z Elizabeth, także gdy zobaczył, jak z nią rozmawia na przyjęciu u Rourkego. Ale od dnia, kiedy dwa lata temu Tony mu wytknął, że nie uwolnił się od własnego ojca... Matt nie traktował w myślach Tony'ego jak syna Rourkego.

Ojciec, który się rozczarował wobec syna. Przypomnił sobie rękę Rourkego, która spoczęła na jego barku, gdy szli korytarzem. „Słuchaj, synu, wiem, że sobie poradzisz z Grahamem”.

Gapiąc się w pustynny krajobraz za oknem, bylicę z badyłami, które toczył wiatr, połacie wypłowiałej trawy, suche zleby, wąskie dróżki, jakby nożem cięte, oświeciła go nagła myśl.

Nic dziwnego, że Chet jest wściekły. Chciał zająć miejsce Tony'ego.

Ale Chet wie, że nie nadaje się na wydawcę - pomyślał Matt wychodząc z lotniska na spotkanie Jima Grahama, który czekał na niego obok swojego auta. - Zatem jedyną rzeczą, której chciał, była chęć zbliżenia. Słuchaj, synu... - A Matt bezwiednie go odtrącił. Gorzej: potraktował go jak dziecko, jak powiedziała Elizabeth. - Matt, miło pana znów widzieć - Graham potrząsnął dłonią Matta.

- Proszę do auta, proszę bardzo, coś przekazamy, porozmawiamy o interesach, najlepiej przy jedzeniu; z pełnym żołądkiem, potargujemy się po przyjacielsku. - Śmiejąc się zbyt serdecznie, otworzył drzwiczki, wpuścił Matta do środka, obszedł wóz i sam wsiadł. Matt spostrzegł, że Graham schudł: policzki mu zapadły, kołnierzyk u koszuli był za luźny, spodnie miał pofałdowane pod ściągniętym paskiem. Graham posłał wzrok tam, gdzie patrzył Matt.

- Moje wyjściowe spodnie - zaśmiał się pod wąsem. - Wszystkie dżinsy, co do jednego, poszły do prania. Tak mi przynajmniej powiedziała moja żonka. Ja myślę, że mi je pochowała, żebym się ubrał, jak to ona mówi, jak człowiek i zrobił na panu wrażenie. Zresztą tak mi się tylko zdaje. Robię na panu wrażenie?

- Większe wrażenie robi na mnie pańska żona, która chowa przed panem dżinsy - odparł Matt z uśmiechem. - Zdaje się, że to kobieta zdecydowana.

- Trafił pan w sedno. Miła kobieta. Nie zawsze łatwa we współżyciu, ale nigdy nie wątpię, że stara się najlepiej o mój interes. Żyjemy ze sobą zgodnie od czterdziestu lat, co jest chyba jakimś rekordem, prawda? Zwłaszcza teraz, kiedy tyle rozwodów co chwastów. No i jesteśmy na miejscu. Usiedli naprzeciw siebie w łoży niedużej jadłodajni przy głównej ulicy miasta. Graham rysował solniczką małe kółka na stole z laminatu. - Tak sobie myślałem, Matt, jak tu pan był ostatnio, nie wiem, czy wyraziłem się wtedy zupełnie jasno. Jestem chyba już zmęczony pracą, to cała prawda, i moja żonka też już ma dość. Długo siedzieliśmy w tym biznesie. No, a żyje się raz i trzeba trochę odpocząć, póki się człowiek nie

zestarzeje i będzie za późno. No, wie pan, ludziom się przytrafiają nagle wypadki: choroba, kraksa samochodowa i tym podobne. No więc chcemy ikorzystać z życia, kiedy jeszcze można. Chodzi mi o to, że skoro się spotkaliśmy, żeby dobić targu, to mogę opuścić o dwadzieścia procent. To nie betka; zniżam cenę do ośmiu milionów. Dla pana to jak za darmo, a ja Z moją żonką zafundujemy sobie wakacje, no i wszyscy będą zadowoleni. Matt potrząsnął głową.

- Przykro mi, Jim, ale jest to jednak więcej niż zakładałem. Powinniśmy mówić o...
- Chwileczkę! Jedną chwileczkę!

Kelnerka postawiła na stole piwo w kufkach z grubego szkła. Matt ciekaw był, czy Graham miał to w stałym repertuarze.

- Nie jestem właściwie głodny...

- Trzeba jeść! Trzeba zamówić jakiś lunch! Przy jedzeniu najlepiej się gada! *Chile*. - Graham zwrócił się do kelnerki.

- W porządku - zgodził się Matt. - Robi apetyczne wrażenie.

- Więcej niż pan zakładał? - spytał Graham. - Osiem milionów? No, więc ja wiem, że jest pan młodym człowiekiem i nowicjuszem w tej branży, ale wydawało mi się, Matt, kiedy ostatnio rozmawialiśmy, że się zgadzamy. Myślałem, że doszliśmy do porozumienia co do tego, co sprzedaję, ile to warte i tak dalej.

- Nie doszliśmy do żadnego porozumienia. Kiedy ostatnio tu byłem, nie byłem upoważniony do negocjacji. Teraz jestem upoważniony. I proponuję...

- Niech pan czeka! - Graham głośno zareagował próbując odwlec chwilę, kiedy Matt zaproponuje konkretną sumę, chciał bowiem na niego wpłynąć, żeby pomyślał o wyższej kwocie, zanim ją wypowie na głos i zanim będą musieli się targować. - Chcę panu powiedzieć to, że od dawna pracuję w branży i wiem, co jest grane, znam wartość tego, co mam, i mówię panu, żeby pan nastawił lepiej ucha, bo jest wiele rzeczy, o których ani pan, ani pana kumple z Houston nie wiedzą. Wysyłają młodego faceta, jak pan, na zwiady, takiego węszącego psa myśliwskiego, żeby wywahał interes, i zachowuje się pan za pierwszym razem bardzo sympatycznie, ale kiedy dochodzi do sedna sprawy, to znaczy do rozmowy o dolarach i o reszcie, to robi się z pana mędrak. A to niedobrze, bo powinien pan wiedzieć, jak się podchodzi do biznesu. Gdyby się pan tyle przy tym nakręcił co ja, toby pan wiedział; gdyby nie był z pana taki siusiumajtek, co to nic nie wie o...

- A teraz proszę, niech pan poczeka - uciał Matt głosem, od którego Grahamowi ścisnęło w dołku. Wszystko źle; żona wytknie Grahamowi, gdy jej powtórzy przebieg tej rozmowy, że mówił nie tak i będzie mieć słusność. Chciała dziś z nim przyjść, uczestniczyć w pertraktacjach, ale on się nie Zgodził, a trzeba było ją wziąć ze sobą. Był na siebie wściekły, że za daleko się posunął w słowach, a teraz Matt Lovell, zdawało się miły, prostolinijny człowiek, z którym się łatwo dogadać, jest wkurzony. Jim Graham wiedział, że to była wyłącznie jego własna wina. - Nie przyjechałem tu po to, żeby

rozmawiać na temat mojej osoby - powiedział Mart. - Przyjechałem, żeby złożyć propozycję kupna pewnych nieruchomości, które pan chce sprzedać. Jeśli chce pan rozmawiać na tematy bardziej osobiste, możemy pogadać o pańskim synu.

Graham poruszył nerwowo głową.

- O Jimie Bobie? A co o nim można powiedzieć? - Matt milczał. - No dobrze.

Widać, że wieści się rozchodzą. No cóż, znajdzie sobie pracę czy coś w tym rodzaju.

Jest dorosły i musi sobie radzić. Jak już mówiłem, żyje się raz

i martwię się o siebie i moją żonkę; nie możemy czekać, aż Jim Bob się namyśli, co robić dalej ze swoim życiem. Nie możemy czekać, Matt. To znaczy, że nie chodzi o to, że jesteśmy w trudnej sytuacji, ale że moja żonka nie chce czekać. Cały czas mnie podkręca; pańska żona pewnie jest taka sama. Wszystkie kobiety są takie. No więc do rzeczy. Dwadzieścia procent. Mniej o dwa miliony.

- To nie wystarczające, Jim.

- Do diaska, opuściłem dwa miliony dolarów!

- Więc powtórzę: to nie wystarczające. Traci pan pieniądze na każdej operacji.

Gdybyśmy zapłacili panu osiem milionów dolarów, nie moglibyśmy doprowadzić sieci do stanu rentowności.

Graham wypił duszkiem piwo i dał znać kelnerce pokazując na kufel.

- Zdecydowanie byście mogli. Może to potrwać dłużej...

- Jim, ja nie mogę powiedzieć szefowi, że umowa kupna jest dobra, tylko że zysk będzie później, niż on to przewiduje.

Następny kufel pojawił się na stole i Graham chwycił go obiema rękami.

- A on przewiduje zysk na kiedy?

- Nie jest to temat naszej dyskusji, my mówimy o cenie. Graham walnął pięścią w stół.

- Dobrze! O jakiej cenie mówimy? Nie lubię, mój panie, jak się mnie wodzi za nos! No więc ile?

- Trzy i pół miliona.

Graham wybałuszył na niego oczy.

- Pan zwariował. Matt pokręcił głową.

- Trzy i pół? - Graham podniósł głos. - Trzy i pół? Ty łajdaku z piekła rodem, co ty sobie myślisz, że jestem jakimś dupkiem, który da się wyzyskiwać? Przyjeżdżają tu te sępy z Teksasu i chcą ludzi doprowadzić do ruiny...

- Nie jestem z Teksasu - Matt zastanowił się, dlaczego się broni, dlaczego przejmuje się tym, że Graham go nienawidzi. - Jestem z Nowego Meksyku, tak jak pan. Z Santa Fe. Pracuję u człowieka, który mieszka w Teksasie i mówi, że zapłaci trzy i pół miliona.

- Santa Fe. Artyści o dwóch lewych rękach. Nie macie z całą resztą nic wspólnego. My pracujemy, żeby zarobić na życie, a u was nic tylko się objijają, a robią szmal na turystach.

Pamiętając, przez co przeszli z Elizabeth, aby utrzymać przy życiu *Chieftaina*, Matt wybuchł śmiechem.

- Jim, nie ma pan o tym najmniejszego pojęcia. Czy mówimy o interesach, czy nie?

- Kurwa - mruknął Graham. - Siedem milionów.

Kelnerka przyniosła ogromne miski *chile* i koszyk *tortillas* z mąki.

- Coś jeszcze?

- Piwo - zamówił Graham.

Kelnerka spojrzała na Matta, który pokręcił głową. Kiedy odeszła, powiedział.

- To za dużo, Jim.

- Za dużo! Do jasnej cholery, to jest w sumie osiem pism, telewizja, radio, kadry, wyposażenie techniczne, budynki... - Kiedy Matt się nie odzywał, powiedział - może sześć i pół. Dobra. Sześć i pół. Cholera, Matt, myślałem, że okaże się pan bardziej miękki. Ale mam własne prob... mam własne sprawy, które trzeba załatwić, żonkę trzeba jakoś zadowolić, ale więcej już spuścić nie mogę. Sześć i pół. Jeśli jest pan porządnym facetem, to pan to weźmie z wdzięcznością, że wcześniej stąd pana nie wykopałem i nie odesłałem z pustymi rękami, niech pan sobie idzie do tych swoich sępów. Pomagam panu dobić interes, nie widzi pan, choć sam pan się zachowuje jak sęp. Ale spodobał mi się pan na początku, więc pomogę panu, i jeśli ma pan choć żdźbło rozumu w tej zakutej pale... - O, cholera, niech pan zapomni, co powiedziałem. Czasem nie umiem utrzymać języka na wodzy. Ale naprawdę panu pomagam. - Zaczął zjadać *chile* głośno sapiąc. - Sześć i pół. Wóz albo przewóz. Matt powiódł palcem po wilgotnej krawędzi kufła. Cokolwiek się stanie, będzie mnie nienawidził. No to co? Keegan Rourke nie został tym, kim jest, dlatego, że go ludzie lubili.

- Co się stanie, gdy od pana zażądatają spłaty weksli? - zapytał swobodnym tonem. Graham zastygł z łyżką w jednej, kuflem piwa w drugiej ręce.

- O czym pan, do licha, mówi?

- Otis Kearney, Fred Lepatta, Calvin Sherl, Ordrey Wayland...

- Jejku, ty skończony kutasie, to ty tu siedzisz ze mną i pijesz piwo, uśmiechając się, a tam twoi szpicle... No dobra, nic się nie stało. To są moi przyjaciele, udzielili mi pożyczki i zwrócę im pieniądze, kiedy sprzedam moje mienie, i oni o tym wiedzą. Oni nie zamierzają żądać ode mnie spłat, ani ja nie zamierzam się tym martwić. Jeśli mnie, mój panie, chcesz przestraszyć, to ci coś powiem. Sześć milionów. Prasa, telewizja, radio. I już. Wie pan o pożyczkach, wie pan, dlaczego chcę to sprzedać. Sześć milionów. Jeśli pan nie chce brać, są inni, którzy zechcą. Moi przyjaciele nie zażądatają spłat, więc nie muszę się spieszyć.

- Ale pan się spieszy; powiedział pan, że nie może pan dłużej czekać. -Matt wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki złożony papier. - To

lista nazwisk i numerów telefonów. Rozmawiałem dziś rano z Ordreyem Waylandem. Słyszał o człowieku, u którego pracuję, wie, że jego interes ubezpieczeniowy podwoiłby się lub potroił, gdybyśmy mu przystali klientów

- To mu pan powiedział? - zapytał Graham.

- On to wiedział. Przypomniałem mu o tym.

- Nie powiedział mu pan, że jego interes by się podwoił albo potroił gdyby zażądał ode mnie spłaty weksla?

- Po co miałbym mu to mówić? - spytał Matt.

- Nie, jasne, że by pan tego nie mówił. Nie musiał pan. - Graham odsunął na bok talerz z *chili*. - Rozmawiał pan z kimś z pozostałych*?

- Nie.

- To znaczy, jeszcze nie.

- Nie rozmawiałem z nikim z pozostałych.

- Ale może pan jeszcze porozmawiać. - Graham kiwnął głową sam do siebie. - Pięć milionów. Warte jest...

- Cztery.

- No więc niech pan, do cholery, posłucha. Ja spuszczam z dziesięciu na pięć, a pan podnosi o marne pół miliona. To nie są uczciwe pertraktacje

- Cztery, Jim.

- Cztery i pół.

Matt wyciągnął z teczki napisany na maszynie dokument i położył go na stole odwracając tak, żeby Graham mógł przeczytać. Jedynym dźwiękiem w całej jadłodajni było stukanie o stół solniczki, którą Graham trzymał w ręce.

- Kurwa. Już wszystko wypisane na gotowe. Cholernie pewni siebie Proszę pióro.

- Powinien pan to przeczytać, zanim pan podpisze.

- Czy wiem, co tu jest napisane?

- Pewnie tak.

Cztery i pół miliona za wyposażenie techniczne, listy prenumeratorów i abonentów, kontrakty na reklamy, dostawy materiałów, budynki. Umowa ma być podpisana tego i tego dnia.

- Tak. Ale wolałbym, żeby pan to przeczytał.

- Kurwa. - Graham zerknął pobieżnie na dokument. - Pióro. - Matt wręczył mu pióro i Graham złożył podpis. - Gratuluję - powiedział z goryczą. - Załatwił pan kontrakt jak cholera. Szef obiecał premię? Norki dla żonki? Panią do towarzystwa na czas po pracy? Matt odłożył dokument na bok i wstał.

- Damy panu znać. - Zawahał się. - Mam nadzieję, że z synem dojdzie pan do ładu.

- Gówno, mój panie. Ma pan to gdzieś, co się stanie ze mną albo moim synem. -

Odwróciwszy się plecami do Matta, Graham wypił duszkiem piwo.

Matt poczekał chwilę, po czym podszedł do kasy, zapłacił za *chili* i piwo za obydwu i wyszedł z jadłodajni.

W życiu czegoś podobnego nie uczyniłem.

I fakt, że Jim Graham sam sobie napytał biedy, po czym obraził jedyne nabywcę, jaki się pojawił w ciągu dziesięciu miesięcy gorączkowych poszukiwań, wcale nie miał wpływu na to, że Matt w tym momencie nie lubił siebie; nawet nie był pewien, czy sam się rozpoznaje: tego Matta Lovella, z którym był w zażyłych stosunkach - pomyślał kwaśno - od czterdziestu dwóch lat.

Stanął przed jadłodajnią i uświadomił sobie, że nie ma stąd jak wrócić na lotnisko. Nie było widać taksówek; nie mógł poprosić Grahama, by go podwiózł. No cóż, przejdzie się pieszo. Pamiętał, którądy jechali. Ruszył przed siebie. To tylko parę kilometrów; miał trzy godziny do odlotu i właściwie potrzebował spaceru. Może się tym sposobem pozbędzie denerwującego nastroju, zastanowi nad swoim postępowaniem - może się nawet zapozna z Mattem Lovellem, jakiego do tej pory nie znał.

Nicole Renard wyszła za męża i rozwiodła się, zanim skończyła dwadzieścia trzy lata; mając dwadzieścia cztery poznała Keegana Rourke na nartach w Aspen; w miesiąc później kupiła obszerny dom w stylu rancho w dzielnicy River Oaks, parę ulic dalej za domem Rourkego; mając lat dwadzieścia sześć wydawała w Houston przyjęcia równie słynne co w Nowym Jorku, gdzie miała mieszkanie w Trump Tower, i w Aspen, gdzie zatrzymywała się w domu Rourkego na górze Red Mountain z widokiem na stoki narciarskie po drugiej stronie doliny.

Sześć lat później, kiedy zaprosiła Matta Lovella do siebie na doroczne przyjęcie przedgwiazdkowe, łączyła ją z Rourke już tylko przyjaźń, faza, w którą przechodził stopniowo ich romans. Czasem spędzali wspólnie wieczór, bo czuli do siebie sympatię i własne towarzystwo ich relaksowało. -Coś jak. stary szlafrok - mówiła Nicole leniwie się przeciągając w łóżku -pasujemy do siebie i nie zmęczymy się sobą nawzajem. - Nie tracili jednak czasu na okazywanie sobie zaborczości czy zazdrości, gdy Rourke miał inne kobiety, a ona innych mężczyzn. Choć różnica wieku wynosiła między nimi trzydzieści osiem lat, nadal stanowili parę, którą cechuje intymność stosunków, jaka wynika z posiadania tych samych poglądów na temat zdobywania JJcorzystania z rzeczy tego świata, i trwa mimo to, że utrzymywali ze sobą kontakt już tylko telefoniczny.

Tak więc Nicole była pierwszą osobą spoza Rourke Enterprises, która się dowiedziała o tym, jak świetnie sobie Matt poradził z nabyciem firmy Grahama. Rourke zaś był pierwszą osobą, która wiedziała, że Nicole planuje zaprosić Matta na grudniowe przyjęcie.

- Może nie przyjdź - powiedział Rourke. - O ile wiem, nie bywa nigdzie prócz kolacji służbowych.

- Może zrobi wyjątek - powiedziała Nicole i w pierwszym tygodniu grudnia zadzwoniła do Matta do siedziby Rourkego. - Przedgwiazdkowe

przyjęcia to moja własna tradycja - odezwała się matowym głosem. - Nie konkuruję z przyjęciami biurowymi ani przytulnymi spotkaniami rodzinnymi; wydaję jedną uroczystą fetę dokładnie w czasie, gdy wszyscy pragną się bawić, ale boją się przyjąć oficjalnych. Proszę obiecać, że pan przyjdzie. Ciągle o panu słyszę, ale nigdy nie rozmawialiśmy. Keegan całkiem zawładnął panem w Aspen i nie udało mi się na tamtym okropnym przyjęciu w jego domu oderwać pana od polityków, choć oczywiście starałam się jak mogłam, co pewnie pan zauważył. I mówią mi ludzie, że moje przyjęcia są niezapomniane. Przyjdzie pan? Może od tego zależeć moja reputacja jako pani domu. I naprawdę nie mogę się doczekać, aż pana naprawdę poznam. Proszę, Matt, obiecać, że pan przyjdzie.

- Chciałbym - odparł, zaintrygowany matową barwą głosu i elokwencją Nicole. - Ale nie jestem pewien, czy będę w mieście.

- Keegan mówi, że pan nigdzie w Houston nie bywa, ale miałam nadzieję, że tym razem pan zechce przyjść. W końcu nie ma wielu zabaw przedgwiazdkowych. Dla mnie to specjalna okazja, może i dla pana? Keegan przyjdzie, na wypadek, gdyby się pan martwił, że nie zna pan nikogo.

- Nie martwię się - odparł Matt. - Znam panią.

- Pozna mnie pan lepiej dwudziestego pierwszego.

Jak się okazało, Matt znał parę innych zaproszonych osób, ale większość gości tłoczących się w trzyskrzydłowym domu Nicole stanowiła nieoczekiwaną dla Matta mieszankę zawodów, grup wiekowych i stylów życia. Aktorzy i aktorki z telewizji, prezenterzy wiadomości, muzycy jazzowi, maklerzy giełdowi, projektanci mody z Europy, projektanci wnętrz, tekściarze piosenek mijali się z przedsiębiorcami naftowymi, budowlanymi, bankowcami, właścicielami kurortów, pływakami - zdobywcami medali olimpijskich i z jednym wydawcą prasowym, który przyleciał na przyjęcie specjalnie z Nowego Jorku.

Wykrzykiwali radośnie witając się i przedstawiając sobie nawzajem, przechodzili na jedną i drugą stronę jak tancerze tworzący najprzeróżniejsze układy choreograficzne. We wszystkich trzech skrzydłach podawano szampana i grzane wino z korzeniami. Salon i jadalnia były położone centralnie i przylegały do basenu z kopułą nieba w górze. Nicole jedno boczne skrzydło przerobiła na ogromną salę gier, w której goście mogli zagrać w kości, kamyki, klasy, domino, ping-ponga, serso, albo dopiąć brodę naturalnej wielkości politykowi z tektury - co miesiąc innemu, jak się dowiedział Matt - albo się pobujać na huśtawce.

- To miejsce cieszy się największą popularnością - powiedziała Nicole oprowadzając go po domu. - Ludzie najpierw wybrzydzą, a potem tu wsiąkają, i okazuje się, że od lat się nie bawili tak dobrze.

Wszyscy słyszeli już o Matcie. Pocztą pantoflową się rozniosło, że Rourke Enterprises ma nowego dyrektora i że Nicole - czy pomyśleliby państwo, że właśnie Nicole się o to postarała? - Jako pierwsza namówiła go do przyjścia na przyjęcie w

Houston, tak że gdy przedstawiała Matta gościom, okazywali mu otwarcie swe zainteresowanie. Na kobietach wrażenie robiła jego aparycja na mężczyznach gwałtowny awans, wszyscy zaś gratulowali mu i dopominali się, by do nich dzwonił, gdy tylko będzie czegoś potrzebował.

- Co znaczy że oni będą dzwonić - zaśmiała się Nicole. - Im się zdaje, że ludzie pokroju Keegana i jego bliscy współpracownicy są wszechmocni, że mogą omijać prawo i rozporządzenia, manewrować głosami przy wyborach...

- Ja nie - powiedział Matt.

- Ale jeśli chcą tak myśleć, to po co im w tym przeszkadzać?

, Gdy znów się znaleźli w salonie i zostawiła go, żeby powitać nowo brzybyłych gości, Matt stanął na boku i zadumał się na temat luda, których do siebie zaprosiła. Rozejrzył się po domu. Było to jedno z piękniejszych Wnętrz jakie widział; jego wysmakowana elegancja w niczym nie przypominała męskiego, surowego stylu, w jakim było urządzone biuro Rourkego. f - Jest bardzo dobra - powiedział Rourke pojawiając się u jego boku. Matt odwrócił się.

- Nie zauważyłem, jak pan wchodził.

- Byłeś w sali gier. Świetny dom, prawda? Matt przytaknął.

- Skąd ma na to pieniądze?

- Nieruchomości.

- W Houston?

Rourke zaśmiał się pod nosem.

- To trwało trzy pokolenia. Jej przodkowie kupili kilka ulic przy Placu Vendôme w Paryżu, dużą część Gray's Inn Road w Londynie, pojedyncze budynki w okolicy Columbus Circle w Nowym Jorku oraz w Australii w Perth i Sydney. A Nicole to inteligentny inwestor; umie zarządzać fortuną. Żyrandol, na przykład, to Waterford; lampy witrażowe są od Tiffany ego, a tamte z abażurami ze szkła z namalowanymi scenkami rodzajowymi to Handel. Dobre inwestycje. Ktoś zawołał Rourkego, który przeprosił i odszedł. Matt kontemplował salon Nicole przypominając sobie resztę jej wnętrza. Brak osobowości - stwierdziła Elizabeth. Ale to dotyczyło Nicole, która zaprojektowała biuro Rourkego. Natomiast Nicole u siebie stosowała miękkie faktury, żywe kolory, które w świetle skrzących żyrandoli i szklanych lamp aż lśniły. Nadzwyczaj piękne. I dobre inwestycje.

Wieczór był chłodny - houstonczycy mówili, że nadeszła fala zimna, bo temperatura spadła poniżej czterech stopni C - ogień palił się w kominkach w salonie i jadalni oraz w pokojach gościnnych, sypialni i gabinecie Nicole w drugim skrzydle. Goście siedzieli na podnóżkach obitych jedwabiem, kanapach wyściełanych aksamitem, fotelach z dzierganymi włóczkowymi oparciami. Ich głosy rozlegały się w całym domu. Idącego przez pokoje Matta zatrzymywano; ci którzy o nim słyszeli, chcieli go poznać, dowiedzieć co robi u Rourkego i w co się aktualnie angażuje Rourke.

Zaproszono

go, by wygłosił wykład trzem grupom biznesmenów, zapisał się do klubu lunchowego i pojawił gościnnie w telewizyjnym talk show. Kiedy wreszcie ktoś pochwalił „Sprawy prywatne”, poczuł ulgę, że wreszcie znalazło się coś, co go łączy z Elizabeth.

Parę minut później podano kolację. Przy dziesięciu okrągłych stołach zasiadło po dziesięć osób. Matt znalazł kartkę ze swoim nazwiskiem tuż obok Nicole. Nie znał pozostałych osób przy stole, przysłuchiwał się zatem ich rozmowie na temat sportów, polityki, ośrodków narciarskich i nieruchomości, mody w Europie i projektantów amerykańskich. Nicole czuwała nad tym, by konwersacja przy stole toczyła się wartko, łagodziła kontrowersje, wprowadzała nowy temat, nim się aktualny wyczerpał, od czasu do czasu odchodziła, żeby dopilnować rozmowy przy innych stołach. W sieni pomiędzy salonem a jadalnią muzycy grali melodie z musicali, kelnerzy sunęli w jedną i drugą stronę napełniając winem kieliszki i uzupełniając pieczywo i masło.

Wszystko było zorganizowane z perfekcją, jaka wynika z doświadczenia i dbałości o szczegóły. Każde danie, począwszy od pasztetu z bażanta z jabłkami w brandy, a kończąc na białym czekoladowym musie i kawie z ekspresu, było podane na innym serwisie z porcelany, każdy rodzaj wina w innym zestawie kryształowych kieliszków. Gdzie się u niej mieści porcelana i szkło na sześćset osób? - zastanawiał się Matt. Zaraz potem zauważył okrągłe świeczniki z rżniętego kryształu, cztery na każdym stole z osadzonymi głęboko w nich świeczkami o migocących płomieniach, a przy każdym świeczniku okrągłą miseczkę z takiego samego kryształu, napełnioną miniaturowymi gałązkami balsaminy i borówki. Przy każdym nakryciu leżał nożyk do owoców ze złożonym trzonkiem. Za nożykami znajdowały się karty z nazwiskami gości: wypisano je grubymi czcionkami na zwitkach z białej, osikowej kory. Matt był oczarowany efektem, jaki osiągnęła Nicole. Wyraźnie wiedziała, czego chce, i umiała to zrealizować. Skończył kawę i deser i zły na siebie, bo skusił się na trufle amaretto z likierem migdałowym, przeprosił i odszedł od stołu, przespacerował się przez całą długość sali gier i z powrotem, aż stanął z boku w sali jadalnej i obserwował osoby jeszcze siedzące przy stołach.

- Samotny? - spytała Nicole zbliżywszy się do niego.

- Dochodzę do siebie - odparł z uśmiechem. - Gdybym nie wstał po tym posiłku i trochę nie rozruszał kości, to nie mógłbym się chyba podnieść przez miesiąc.

Nie odpowiedziała, że mógłby zostać i przez miesiąc, co zauważył z zadowoleniem; po prostu uśmiechnęła się i dała mu tym samym kolejną okazję, by się zachwycił jej urodą. Czarne włosy miała luźno rozpuszczone, tym razem karbowane - za każdym razem, kiedy ją widział, miała inną fryzurę - dzięki czemu jej twarz zdawała się mniejsza i tak jasna jak najdelikatniejsza porcelana; miała na sobie suknię bez ramiączek z białego jedwabiu, wymodelowaną do sylwetki; na szyi, jak wspaniały kołnierz,

układał się naszyjnik z hebanu i kości słoniowej. We włosy wpięła czerwoną kamelię, pasującą kolorem do jej szminki: jedyne dwa akcenty kolorystyczne.

- Czy panu się podoba? - spytała i mogłoby się to odnosić do przyjęcia, ale również do jej osoby.

- Bardzo - odparł Matt pozwalając jej samej się domyślić, co kryło się za jego stwierdzeniem. Rozejrzał się po pokoju. Niezła kolekcja typów.

- Co pana dziwi? Zakłopotany spytał.

- Czy to aż tak po mnie widać?

- Nie tak jak u innych mężczyzn. To jeden z powodów, że wydaje mi się pan interesujący. Ale ja dla pana stanowią zagadkę i tego pan się nie spodziewał. Mam rację? Mój dom pana zaskoczył, kolacja zadziwiła, goście też.

- Pani mnie obserwuje.

- Obserwuję wszystkich gości, żeby mieć pewność, że dobrze się bawią. Spędził pan wieczór próbując zaszufładkować mnie i rzeczy, których jestem właścicielką. A propos, dywan w bibliotece to Bakhtiari. - Zaśmiała się. -Przepraszam pana, Matt, ale czytam z pańskiej twarzy. Mnie się to podoba: oto mężczyzna, który okazuje po sobie, że stanowią dla niego zagadkę, bo nie łatwo mnie zaklasyfikować.

Potrząsnął głową.

- To niesprawiedliwe. Ja nie szukam zawsze łatwych odpowiedzi.

- Ależ gdzie tam. Mężczyźni tego szukają.

- Chłubi się pani tak dobrą znajomością mężczyzn, że musi pani dobrze wiedzieć, iż nie wszyscy.

Roześmiała się.

- Jest pan bystry. To następny powód, że wydaje mi się pan interesujący. Niewielu mężczyzn tak bym określiła.

- A ilu ich było? - zapytał z ciekawością.

- Nie liczyłam - odparła uśmiechając się. - A pan liczy kobiety?

- Tak. Było ich bardzo niewiele.

- Ach, nie tylko bystry, ale i szczęściarz. Co pan chce o mnie wiedzieć?

- Co pani mi chce powiedzieć? Cicho się zaśmiała.

- Nic w tej chwili. Kiedyś w odpowiednim czasie. Opowiem panu historię Renardów. Jestem wobec pana do przodu. Już znam historię pana rodziny. Matt Lovell, najjaśniejsza gwiazda w galaktyce Keegana Rourke.

- To przesada. Keegan musiał ulec jakiemuś urokowi. Czy to pani rzuciła go na niego?

Nadal się uśmiechając pokręciła przecząco głową.

- Keegan od lat nie jest podatny na mój czar. Pan zrobił na nim wrażenie bez czarów. I na co zresztą by się panu przydały czary? Radzi pan sobie świetnie bez tego.

- Tylko głupiec, jeśli mu się proponuje pomoc, nie skorzysta.

- Nawet gdy jest demoniczna?
- Jeśli umie nad tym zapanować.
- Ach, ufa pan własnym siłom. Nic dziwnego, że Keegan panu ufa powierzając jedno z najwyższych stanowisk.
- Jeśli ufa. Jestem wciąż na cenzurowanym.
- I terytorialnie podlega panu cały południowy zachód. Niebagatelna scena.
- Niebagatelny szef. Keegana nie jest łatwo zadowolić
- A pana?
- Łatwo zadowolić? Nie.
- Zwycięzców tego świata nigdy się nie da łatwo zadowolić. Współczuję panu; z Keeganem nie pracuje się lekko. Ale warto, bo nagroda wielka.
- Nie mówi pani o pieniądzach. Nieznacznie wzruszyła ramionami.
- Wielu ludzi dochodzi do fortun. Trudniej jest dojść do władzy i wpływów.
- I myśli pani, że do tego dążę?
- Mam nadzieję.
- A pani?
- Oczywiście.

Popatrzył na nią z ciekawością.

- A kiedy będzie pani miała dość? Co pani wtedy zrobi?
- Nigdy się nie ma dość. Poprzeczka stale się podnosi. Keegan to wie i dlatego nigdy nie jest nudny. Chce, żebym panu zaprojektowała gabinet. Zgadza się pan?
- Bywam tam tak rzadko, że nie ma to dla mnie znaczenia. Podoba mi się pani projekt biura.
- Najlepiej mi się pracuje dla przyjaciół. Oczywiście, wykonuję projekty wyłącznie dla przyjaciół.
- Myślałem, że zajmuje się tym pani zawodowo.
- Zawodowo zajmuję się sprawianiem sobie przyjemności. Projektuję wnętrza biur, bo mnie to bawi i chroni przed nudą. I jestem w tym bardzo dobra. - Znów się roześmiała widząc jego zmarszczone brwi. - Matt, okazuje mi pan dezaprobatę. Cóż w tym złego, że człowiek chce sobie sprawiać przyjemność? Czy pan nie chce? To po co pan kupował pierwszy tytuł prasowy? Dlaczego pan się związał z Keeganem? Chce pan sobie sprawiać przyjemność, uniknąć nudy i robić to, w czym jest pan dobry. Pan jest dokładnie taki sam jak ja. A ponieważ jesteśmy tacy jacy jesteśmy, stajemy się coraz bardziej interesujący i jest przyjemniej przebywać innym z takimi osobami - nie męczymy nikogo frustracją czy zazdrością - mamy więcej satysfakcji z życia. Czy jest coś ważniejszego?

Matt wlepił w nią wzrok.

- Jest pani dobrą tego orędowniczką.
- Dobrą orędowniczką czego? - spytał Rourke przyłączając się do nich. - Doskonała kolacja, moja droga Nicole, zresztą jak zawsze. Twój

kucharz jest bardziej pomysłowy od mojego. Może powinienem tu przysłać mojego na pobranie nauki. Czy orędownałaś za urządzeniem Mattowi gabinetu?

- Zapropnowałam. Dostałam kosza.

- Matt, ty mnie zadziwiasz. Pani domu osobiście ci proponuje...

- Ja tylko powiedziałem, że bywam tam tak rzadko, że nie doceniłbym tego.

- Powiedział pan, że nie ma to dla pana znaczenia - poprawiła go Nicole.

- I będzie miało dla ciebie znaczenie, i to docenisz, kiedy Nicole zaprojektuje ci gabinet - powiedział Rourke. - Gdyby to zrobiła parę miesięcy temu, czułbyś się w nim wygodniej i częściej byś z nami przebywał, był pod ręką, gdy cię potrzebujemy, nie latał po całym kraju. Jeśli pójdiesz za moją radą, Nicole weźmie się za twój gabinet zaraz po Nowym Roku.

Matt popatrzył na Rourkego i potem na Nicole. Jakież to było przemyślane; jak gdyby z góry ukartowali przebieg rozmowy. Częściej byś z nami przebywał, nie latał po całym kraju. Innymi słowy byłby w Houston, nie w Santa Fe. Gdyby Rourke chciał wrócić do sprawy jego zatrudnienia, nawet po udzieleniu mu zgody na pracę w niepełnym wymiarze godzin do czasu, gdy Peter skończy szkołę, to czy byłby lepszy sposób, by mu to wypomnieć, jak nie przez Nicole? Ale Matt nie mógł być pewien. I wolał nie wierzyć w to, że konspirowali, aby go nakłonić do zmiany planów.

Nicole przyglądała mu się badawczo.

- Myślę, że Matt wolałby nie wprowadzać na razie zmian - powiedziała miękko. - Jeszcze nie teraz. I chyba ma rację. Powinien sobie samodzielnie wszystko rozplanować w czasie. Ale jak pan będzie gotów, Matt, chętnie wykonam dla pana projekt. Czy pan mi da znać?

W bursztynowych oczach Nicole malowała się gorliwość i lekki niepokój. Matt poczuł wyrzuty sumienia z powodu swoich myśli. Podejrzliwość nie była jego cechą.

- Oczywiście - odparł. - Właściwie czemu miałyby pani nie rozpocząć, kiedy to pani wygodnie, jeśli naprawdę ma pani ochotę. Nie wiem, ile czasu będę przebywał w gabinecie, ale zawsze byłoby mi przyjemniej, gdyby był urządzony na nowo.

Nicole krótko dotknęła jego ręki.

- Dziękuję. Nie będę w styczniu zajęta. Mogę zacząć zaraz po feriach. A za tydzień będę już mieć gotowe szkice.

- Nie ma pośpiechu. Będę w Santa Fe aż do pierwszego stycznia.

- Och. Dobrze. Szkice będą więc na pana czekać.

- Rourke! - odezwał się jakiś głos. - Świetnie wygląda, nie głodny, nie śpiący ani nie zły. To na pewno dzięki temu dos-ko-na-łe-mu jedzeniu, które dobrze ułożyło się w brzuchu, bardzo dobrze. Dziękuję pani, Nicole; nie mógłbym wyjechać z Houston nie będąc u pani na jednej z tych ipek-ta-ku-lar-nych kolacji.

- Już pan wyjeżdża, Terry? - zapytała Nicole.

- Niestety, z wielką przykrością. - Uścisnęli sobie z Mattem dłonie. - Terry Ballenger. Nie wiem, czy mnie pan sobie przypomina, kupilem...

- Oczywiście, że pamiętam - powiedział Matt. - Myślałem, że się spotkamy, gdy pan kupował naszą działkę, ale agenci i prawnicy od handlu nieruchomościami byli szybsi od nas. Czy dobrze się pan czuje w Nuevo?

- Nie miałem czasu, żeby tam zajrzeć. Nu-e-vo. Muszę się tam kiedyś wybrać. A teraz, z przykrością, Nicole skarbeńko, ale jednak naprawdę się żegnam. Jutro wieczorem lecę na Hawaje rozejrzeć się za nieruchomościami - o-bo-wią-zek, wie pani; o-bo-wiąz-ki mnie wzywają, nawet w czasie ferii - a potem lecę do Japonii, muszę więc już pędzić.

- Dużo pan kupuje tej Japonii? - spytała Nicole, po czym żartobliwie ostrzegła Marta. - Proszę uważać na Terry'ego. Ten człowiek jest w stanie, nim się pan zdąży obejrzeć, kupić pana dom.

Pośmiali się i pogawędzili, gdy tymczasem Terry żegnał się z resztą gości; Rourke osobiście odprowadził go do drzwi.

- Nie cierpię, jak ktoś się do mnie zwraca per skarbeńko! - zawołała Nicole z obrzydzeniem. - I jak on rozdziela słowa na sylaby... nie mogłabym z nim wytrzymać pięciu minut w jednym pokoju; doprowadziłby mnie do

^{SZa} ~ Kiedy kupował ode mnie działkę, nic mi nie wspominał o tym, że kupuje grunty gdzie indziej - powiedział Matt zamyśliwszy się. - Właściwie to chyba mi powiedział konkretnie, że zajmuje się handlem samochodami.

- Też to robi. On ma firmy handlowe w czterech branżach. Czy to ważne?

- Co robi z działkami, które nabywa?

- Buduje coś na nich, sprzedaje, hoduje żonkile - kto to wie? Tak bardzo go nie mogę ścierpieć, że nie próbuję się nawet dowiedzieć. Keegan skądś wynajduje takie przedziwne typy. Albo nudziarzy. Większość to nudziarze.

Matt zapomniał o Ballengerze. Spojrzał na Nicole czekając, że mu powie, że on nie jest ani dziwaczny, ani nudny. Ale znów pominęła milczeniem to co

oczywiste. - Szkoda, że nie będzie tu pana na sylwestra. - Jej matowy głos omal zanikał w rosnącym gwarze; przyjęcie nabierało tempa. Matt pochylił się bliżej - Przyjdzie garstka przyjaciół, kameralnie, me jak dziś, Keegan wyjeżdża z miasta. Planowałam pana zaprosić. Będzie muzyka, rozmowy, tańce w sał gier, o północy kolacja. Ale pana tu nie będzie. Zauroczyła go spojrzeniem bursztynowych oczu i półuśmiechem; prawie że czuł na języku jej korzenną woń. Zaraz jednak do jego mózgu wdarł się hałas bawiących się gości, nos drażnił zapach kawy, wosku ze świec i kadzidła.

- Niestety nie - powiedział. W jej oczach zobaczył cień rozczarowania, co odnotował, nie zaś irytacji dlatego, że nie postawiła na swoim; wydała mu się przez to tym bardziej sympatyczna. - Moja rodzina liczy, że przyjadę na

święta i sam się nie mogę doczekać, by spędzić z nimi wreszcie cały tydzień. Nie mamy dla siebie ostatnio wiele czasu. Lekko przechyliła głowę na bok.

- Jakie są pana ulubione kolory?

- Moje co?

- Ulubione kolory. Muszę wiedzieć, żeby zaprojektować pana gabinet.

- Nie mam żadnych.

- Musi pan mieć jakieś. Tylko że pan o tym nie wie. Biedny Matt; żadnych przesądów? Muszę pana nauczyć. Obrzuciła go krytycznie wzrokiem. - Burgund. Szafir. Beż. Zdecydowanie nie zieleń ani oranż. Co? zapytała, gdy uniósł brwi.

- Właśnie pani wykluczyła dwa kolory, które najmniej lubię. Mam nadzieję, że niczego więcej pani nie umie odczytać w myślach.

- Umiem - odparła. - To ostrzeżenie.

W tym momencie goście się przemieścili; hol wypełnił się ludźmi, którzy ich otoczyli. Nicole uśmiechnęła się do niego.

- Na razie koniec z prywatnymi rozmowami. Ale mam parę pomysłów na po pierwszym styczniu.

- To ostrzeżenie? - spytał od niechcienia.

- To ostrzeżenie - powtórzyła za nim i ręką musnęła jego dłoń; uniósł ją tłum gości, a Matt został sam i uśmiechnął się do siebie. Jak twierdził Rourke, była bardzo dobra. - Powinno mi to pochlebiać - pomyślał - zwłaszcza że nie spodziewałbym się po niej, że będzie marnowała czas dla żonatego mężczyzny.

Obserwował jej ruchy pośród gości. Poszedł za nią do sali gier, gdzie na krótko się przyłączyła do gry w kamyki i zamachnąwszy się jak dziesięciolatek na ulicznym chodniku trafiła w agat.

- Nauczyłam się tego w Paryżu - powiedziała swobodnie i spojrzała Mattowi prosto w oczy rzucając mu wzrokiem wyzwanie. Bez słowa przykucnęła obok niej i rzucił kamykiem trafiając bez pudła w dwa kolorowe siarczki.

- Urodziłem się z tą umiejętnością - odparł wyszczerzywszy zęby. Przez cały wieczór, kiedy nie był zajęty rozmową z którymś z gości, Matt znajdował się obok niej albo rozglądał się i stwierdzał, że Nicole stoi za nim lub gdzieś w pobliżu. Kiedy zastanowił się nad tym później wieczorem i następnego dnia rano, uświadomił sobie, że rozmawiał może z pięćdziesięcioma lub więcej osobami, ale pamiętał tylko Nicole. - To stanowi część gry - powiedział do siebie, gdy wsiadłszy do samolotu patrzył na rozległą zabudowę miasta Houston wraz z szaroniebieską zatoką znikającą w dole -która, rzecz oczywista, jest sztuką dla sztuki. Jak gra w kamyki. Tak rzucić kamykiem, by trafić i zyskać poklask, po czym przejść do innej gry, aby uciec przed nudą. Dobry pomysł na grę. Bez niczyjej straty. Ale co najlepsze - pomyślał otwierając poranną gazetę - mogę być pewny, że nie wrócę do zielono-pomarańczowego gabinetu.

Na Wigilię spadł śnieg. Z niskich chmur leciał biały puch i otulił Santa Fe. Ludzie wracający o północy z kościoła stawiali stłumione kroki, cicho, jak duchy, niewyraźni w mdłym świetle ulicznych latarni, w kręgu których wirowały płatki śniegu. W domach rodziny zapalały *farolitos*- świece umieszczone w piasku wewnątrz dużych papierowych toreb - wiele osób rozpałało przed domem małe ogniska zwane *luminarias* na pamiątkę ognisk, przy których grzali się pasterze z Betlejem.

Następnego ranka słońce świeciło i śnieg skrzył się w całym mieście, mimo iż już stopniowo zaczął topnieć. Dzwony były na Boże Narodzenie.

Czysty sopran Holly wypełniał dom. Śpiewała kolędy, pieśni ludowe i urywki arii operowych. Przez cały tydzień występowała na koncertach bożonarodzeniowych i brała udział w dwóch żywych obrazach w Las Posadas, które przedstawiały Marię i Józefa szukających schronienia, raz wystąpiła w kościele i raz w domu Lydii i Spencera w Tesuque dla grona przyjaciół. Śpiewała w chórze szkolnym na koncercie wigilijnym na centralnym placu, i przez cały dzień Bożego Narodzenia, kiedy wraz z Elizabeth gotowały i sprzątały; była wciąż tak przepełniona muzyką, że pragnęła śpiewać bez końca. - Może to dlatego, że tatuś jest w domu - wyjaśniła matce wpadłszy do kuchni i zaglądając do piekarnika. - Czuję się cudownie.

Przepełnia mnie miłość. Kiedy tu wszyscy będą?

- O piątej - odpowiedziała Elizabeth. - O której Peter mówił, że wróci?

- Około czwartej, ale wiesz, że on nigdy nie wraca punktualnie. Czy o mnie martwisz się tak samo jak o niego?

- Martwiłabym się, gdybyś jeździła wszędzie stopem.

- Mamo, on ma prawie osiemnaście lat. Jest mężczyzną.

- Och. A mówisz, że starsi, którzy się chcą z tobą umawiać, to pętaki. Holly zarumieniała się. - Bo się zachowują jak pętaki. Ja jednak się umawiam, choć nie ma wielu naprawdę dorosłych mężczyzn na tym świecie.

Boże, ona rzeczywiście ma rację - zamyśliła się Elizabeth przypominając sobie mężczyzn, których spotkała na przyjęciu u Rourkego w Houston -pazernych na pieniądze, wpływy, władzę, także mężczyzn z *Chieftaina* i *Daily News*, którzy, zdawało się, zajmowali się pracą, a obserwowała, jak część z nich szukała kozła ofiarnego, żeby na niego zrzucić winę za własne niepowodzenia.

- Ale powinnaś częściej się umawiać, Holly - powiedziała. - Nie dość często się zadajesz ze swoimi rówieśnikami. - Ty też nigdzie nie wychodzisz, kiedy tatuś jest w Houston. - Oczywiście, że nie. Czekam, aż wróci tutaj.

- No dobrze, to ja też czekam. Kiedy znajdę kogoś, kogo polubię, to będę się z nim umawiać. Często. Obiecuję.

- Co obiecujesz? - spytał Matt wchodząc do kuchni.

- Obiecuję, że cię ucałuję bożonarodzeniowo - powiedziała Holly i zarzuciła mu ręce na szyję. - Jest tak cudnie, kiedy jesteś w domu.

- To prawda - odparł Matt zastanawiając się, jak mógł przez ostatnie parę miesięcy tak dużo czasu spędzić poza domem. Od chwili, gdy przyjechał, to znaczy od poprzedniego dnia czuł, że wciąga go ciepło rodzinne, atmosfera przynależności, której nie było podczas wszystkich poprzednich weekendów, kiedy ich odwiedzał. - Pewnie dlatego, że zawsze brałem ze sobą robotę - pomyślał - i zamykałem się albo w *Chieftainie*, albo w gabinecie w domu. - Tym razem miał prawdziwe wakacje: pierwszy wolny tydzień, odkąd podjął pracę u Rourkego; nie wziął nawet ze sobą teczki.

- Jeśli więc myślisz, że to cudnie, to dlaczego nie przyjeżdżasz częściej? - zapytała Holly i o to go zresztą wszyscy pytali - cała rodzina, Saul, Heather - kiedy zasiedli razem do stołu i patrzyli, jak kroi indyka.

- Wydawało mi się, że mówiłeś - zauważyła Lydia - kiedy objąłeś to nowe stanowisko, że będziesz tu przez co najmniej połowę czasu. Ale może mnie słuch z wiekiem zawodzi.

- Wcale nie - Peter nalał miodu na pękate trójkąty z pieczywa zwane *sopapillas*. - Ja słyszałem dokładnie to samo.

- Cóż, mężczyźni muszą dojeżdżać do pracy. - Spencer odezwał się bez zainteresowania. - Czy wszyscy widzieli miszkę, w której jest *posolę*!

- Tak, jest piękna - powiedziała Heather. - Najpiękniejsza, jaką zrobiłeś. Myślałam, że Matt zamierza pracować w swoim gabinecie w *Chieftainie*.

- Ty nie dojeżdżałeś do pracy - Lydia zwróciła się do Spencera.

- Ale też nie zarabiałem tyle co Matt - odparł. - Wiecie co, to jest piękna miska. Trzeba mi było już w młodości wziąć się za drewno, nie spędzać najlepszych lat mojego życia przy biurku przerzucając papierki z cudzymi życiorysami.

- I dziesięciu lat jako właściciel księgarni i galerii sztuki? - zapytała Lydia. - Czy to było aż takie poświęcenie?

- Co? Dobre nieba, wcale nie. Pracowaliśmy razem - bardzo przyjemnie - i po pracy w uniwersytecie odżyłem. Ale mężczyzna nie może stać w miejscu. Nawet mając siedemdziesiąt pięć lat. - Co ty na to, Matt? - zapytał Saul. - Miałeś pracować poza Santa Fe najdalej do wiosny. - Myślałem, że będę mógł - Matt odparł krótko. - W Houston myślą, że za dużo przebywam w Santa Fe; w Santa Fe... - Czy wszyscy mają indyka? - Ja nie mam - cicho powiedziała Elizabeth.

- Przepraszam, kochanie, pominąłem ciebie. Powinienem był najpierw nałożyć tobie. Wszystko wygląda wspaniale.

- Wszystko jest wspaniale - powiedziała Holly. - To by cię nie dziwiło, gdybyś cały czas jadał z nami, jak większość ojców.

- Już dość - wtrąciła się Elizabeth. - Właściwie to już dość się dostało Mattowi od wszystkich. Pozwólcie mu zjeść spokojnie. Chciałabym, żeby nam Peter opowiedział o college'u. To duże wydarzenie, zostać przyjętym przed terminem na uczelnię, na której komuś bardzo zależy.

Petera nie trzeba było namawiać; był wciąż tak samo tym podekscytowany jak tydzień wcześniej, w dniu, w którym otwierał grubą kopertę z nadrukiem „Stanford” i zaraz potem dzwonił do wszystkich, żeby się podzielić nowiną. Z przejęciem mówił o uniwersytecie i antropologii: kierunku, jaki zamierzał studiować, co dało Elizabeth okazję do zadania mu następnego pytania.

- Opisz nam *Los Matachines*; nigdy nie widziałam tego tańca. Gdzie byłeś, Peter? W którym pueblo?

Scharakteryzował ten indiański taniec bożonarodzeniowy językiem barwnym, pełnym żywych opisów, które przypominały styl Elizabeth. - Będzie dobrze włądała piórem - skonstatował w myślach Matt obserwując syna, dumny z niego, ale nagle niepewny, czy go zna dobrze. Peter się zmienił przez ostatnie tygodnie; jego zachowanie stało się mniej przewidywalne niż zazwyczaj, nastrój zmieniał mu się od pochmurnej zadumy do nienaturalnej wesołości, ale jednocześnie bardziej się w sobie zamknął, trzymał z dala od innych. Matt pomyślał, że przyczyną mogła być dziewczyna, Maya, którą przyprowadził na kolację, i że przez ostatnie parę miesięcy, kiedy on był zajęty pracą, Peter pożegnał na dobre wiek chłopięcy. Elizabeth znów się wtrąciła, gdy tylko Peter zaczął tracić tempo. Zgrabnie kierowała rozmową tak, aby nikt nie miał szansy znów czynić Mattowi wyrzutów. Poprosiła Spencera, by opowiedział im o stolarce, Heather o swoim stażu redakcyjnym w *Chieftainie*, Saula, by przedstawił im plany obsługi dziennikarskiej festiwalu Bachowskiego w lutym.

- To coś nowego - zauważył Matt.

- Dopiero co się na to zdecydowaliśmy - szybko wtrąciła się Elizabeth. - Miałam ci o tym powiedzieć, ale tyłu jeszcze rzeczy nie zdążyłam...

- Będziemy się produkować w ośrodku narciarskim - oświadczył Saul. - Nie możesz sobie tego odpuścić. Wystąpimy pod nazwą Bach! Na nartach.

- Ojoj - jęknął Peter.

- Nic się nie bój; Elizabeth sprzeciwiła się tej nazwie.

- I - dodała Heather - zaprotestowała też przeciwko nazwom: Jak nie zatańczysz, to ci Hopi przyfasoli, proponując Taniec Fasoli Indian Hopi w lutym i zamiast Nie jeleni się... Taniec Jelenia w San Ildefonso w styczniu...

- Nie mówiąc o... - dodała Elizabeth i oczy jej błyszczały. - Pamiętaj o świcie wodza w San Ildefonso, która będzie maszerować, gdyby ktoś miał wątpliwości dotyczące... - Świty! - wykrzyknęli chórem Peter i Holly i wybuchnęli śmiechem.

- Zdaje się, że ominęło mnie parę wesołych rozmów - powiedział Matt. Śmiech ucichł. - Powinieneś tu być - uroczyście stwierdziła Heather.

- Chyba masz rację - odparł Matt.

Zapanowała krępująca cisza, którą przerwała Heather.

- Mam ogłoszenie.

Lydia przyjrzała się dokładniej jej minie.

- Och, cudownie - skomentowała.
- Jakie? - spytał Spencer,, po czym spojrzawszy na Saula i Heather również rzekł. - Och, dobrze, to świetnie.
- Dajcie jej wreszcie powiedzieć! - krzyknęła Holly.
- Chyba nie potrzeba - odparła Heather. - To znaczy, wygląda na to, że wszyscy już wiedzą, a ja się dowiaduję ostatnia.
- Saul przygarnął ją ramieniem i pocałował.
- Pierwsza dowiedziałaś się, że cię kocham i chcę się z tobą ożenić. Pierwsza wiedziałaś, że z wzajemnością. Pierwsza też wiedziałaś, że zaryzykujesz. Co jeszcze się liczy?
- Tak naprawdę, to nic. Ale bardzo chciałam zaskoczyć tym wszystkich.
- Mnie to zaskoczyło - powiedział Matt. - Ale może dlatego, że nie było mnie tu, aby obserwować postępy w miłości, co mi wszyscy wypominają.
- Czy mogę zaśpiewać na waszym weselu? - spytała Holly. - Kiedy to będzie?
- Jutro - odparł Saul.
- Jeszcze nie zdecydowaliśmy - poprawiła go Heather. - Ależ tak, oczywiście chcemy, żebyś zaśpiewała. Nie poprosilibyśmy o to nikogo innego.
- Dobrze, ale niech to będzie, zanim pojedę do college'u - powiedział Peter - żebym niczego nie stracił.
- Dobry Boże! - wykrzyknął Saul. - Wyjeżdżasz dopiero w sierpniu! Za osiem miesięcy! Czy to wiktoriańskie zaręczyny, czy współczesny romans, w którym bohater i bohaterka wychodzą z łóżka, żeby zdążyć na ślub i szybko wskakują do niego z powrotem z chwilą, gdy goście weselni sobie pójdą?
- Saul! - zaprotestowała Heather.
- Wybacz - odparł Saul. - Ale moja droga Heather, my mówimy o ślubie, nie o zaręczynach. - Wiem - wymamrotała. Saul westchnął.
- Krok po kroku, pomalutku. Jeśli idzie o datę uroczystości, wszystkim damy znać, jak tylko ją ze sobą uzgodnimy. Czy będzie deser na ukoronowanie tej genialnej uczty? I czy zaraz przejdziemy do prezentów?
- Będzie jedno i drugie - odparła Elizabeth. - Co chcecie najpierw? Matt obserwował ją, jak spogląda na Heather i Saula, i dostrzegł w jej oczach skupienie i zaciekawienie, jakby próbowała sobie przypomnieć, jak to było, gdy czuła się zakochana i planowali się pobrać. - Cóż, było to dawno temu - pomyślał - prawie dziewiętnaście lat. Ale tych rzeczy tak naprawdę się nigdy nie zapomina; żyjemy pod zbyt dużą presją. W czerwcu, kiedy będziemy już razem w Houston, zaczniemy wszystko od nowa; będzie dokładnie tak jak wtedy, gdy kupiliśmy *Chieftaina*.
- Tato? - zawołał niecierpliwie Peter.
- Tak? - odparł Matt. - Zamyśliłem się.
- Najpierw prezenty, a potem deser, dobrze?

- Dobrze. Niech się ułoży w brzuchu. Saul odsunął krzesło od stołu.
- W takim stanie jak teraz przydałoby mi się moje mieszkanie w Nowym Jorku; po obżarstwie zawsze robiłem bieg po schodach w górę i w dół. Dla formy.
- Możesz się przebiec do swojego mieszkania na Fort Marcy - zaproponowała Heather, gdy wchodzili do salonu. - Na sam szczyt wzgórza.
Matt poszedł za nimi. Gdybym nie wstał po tym posiłku, to nie mógłbym się chyba szybko w ogóle podnieść.

Życie w Houston stało mu nagle przed oczami: hałas, pośpiech, autostrady; spaliny samochodowe i wilgoć oblepiająca drapacze chmur; dom Rourkego cały w gobelinach, marmurach i szkle; luksusowy dom Nicole, w którym przeszedł się przez całą długość sali gier, by stracić kalorie po sutej kolacji; gabinet, w którego zaciszu występował z propozycjami i podejmował decyzje mające wpływ na cztery stany i miliony mieszkańców...

Najjaśniejsza gwiazda w galaktyce Keegana Rourkego.

Nic dziwnego, że Santa Fe zdawało mu się, zawsze gdy powracał, zacofane. Bo takie było. I już od dawna było dla niego za małe i za spokojne.

- Chcesz być pierwszy, Matt? - spytała Elizabeth. Pokręcił przecząco głową siadłszy obok niej.

- Wolę najpierw na wszystkich popatrzeć.

Było to pierwsze Boże Narodzenie, kiedy Matt i Elizabeth mieli dość pieniędzy, aby sobie pozwolić na hojne prezenty gwiazdkowe. Wspólnie je kupili podczas jednego z weekendów w Santa Fe w listopadzie, a teraz przyglądali się, jak wszyscy krzyżąc z zachwytem rozpakowywali prezenty, o jakich od dawna marzyli: Lydia dostała staroświecki bujany fotel do księgarni, Spencer - zestaw dęt z Anglii, Heather - bransoletkę ze srebra i koralu od Richarda Chaveza, Saul - akwafortę Josepha Lonewolfa, którą podziwiał, gdy szperali w Eagle Dancer Gallery, Holly - własny sprzęt grający, a Peterowi Matt wręczył małe pudełeczko i wyjaśnił:

- To na gwiazdkę i z okazji ukończenia szkoły, bo jesteśmy z ciebie bardzo dumni. Gdy Peter obracał w rękach pudełeczko, Matt i Elizabeth uśmiechnęli się porozumiewawczo, widząc, że syn próbuje ukryć rozczarowanie; wiedzieli, czemu odczuwa rozczarowanie, a jednocześnie znali zawartość pudełeczka. Ten uśmiech rozładował napięcie, jakie się wytworzyło podczas kolacji i pozwolił się Mattowi oderwać myślą od Houston. Objął żonę ramieniem i przygarnął do siebie.

- On nawet się nie domyśla.

Elizabeth potrząsnęła głową; z uśmiechem przyglądali się Peterowi, który otwierał pudełeczko, powoli rozwijając bibułę, aż zpiersi mu się wyrwał okrzyk.

- Kupiliście mi jednak! Domyśliliście się, czego chciałem! - i wyjął ze środka parę kluczyków samochodowych na kółeczku. W słowach brzmiał śmiech. - No, ale chyba robiłem różne aluzje. Jaki mi kupiliście? To znaczy, gdzie on jest? Czy go mogę dziś zobaczyć, czy...?

- Możesz wyjrzeć na zewnątrz na podjazd - powiedział Matt.
Peter rzucił się do drzwi frontowych, za nim popędziła Holly i zaraz za nią Saul, i we trójkę stanęli na chłodzie wlepiając wzrok w lśniącego wagoneera z napędem na cztery koła, którym Peter będzie mógł dojechać każdą górską drogą w każdą pogodę do każdego pueblo, albo w sierpniu prosto do Stanford. Długo i z ulgą westchnął.

- Ależ to fantastyczny widok! - Zapуścił motor, wyłączył. Wrócił do środka i rzucił się na szyję Mattowi i Elizabeth. - Dziękuję, dziękuję, nigdy się chyba dość nie nadziękuję. Jesteście genialni; kocham was; nie umiem tego wyrazić, jak bardzo wam dziękuję...

- Już to wyraziłeś - powiedział Matt. - A teraz tylko, żebyś ostrożnie jeździł.
Elizabeth zaśmiała się.

- Bałam się, że ja będę tą osobą, która to powie. Jak miło z twojej strony, że mnie uprzedziłeś.

- Czy mogę go teraz wyróbować? - zapytał Peter. - Nie, w porządku, poczekam, aż wszyscy obejrzą swoje prezenty.

- I zjedzą deser - powiedział Saul. - A potem może zechcesz mnie wziąć na przejażdżkę.

- Właściwie to... - zaczął Peter i się zawahał.

- Właściwie - powiedziała Holly - to Peter chciał pojechać do Nuevo, prawda?

- Rzeczywiście.

- Rewelacyjna trasa na próbną jazdę - zauważył Saul. - Jak wrócisz, to mi opowiesz, jak ci się jechało.

- Opowiem. Dzięki ci, Saul. Jak tam wasze prezenty? - Peter zwrócił się do rodziców. - Nic sobie nie daliście.

- Zrobimy to później - odparł Matt. - Musisz nam wybaczyć; postanowiliśmy poczekać, aż zostaniemy sami.

Zaczekali dopóki wszyscy nie poszli i dopiero w sypialni wymienili podarunki: Elizabeth dostała szlafrok z atłasu o barwie burgunda z haftem w kolorze kości słoniowej, Matt zaś szlafrok z ciemnoszafirowego kaszmiru. Elizabeth popatrzyła na oba szlafroki.

- Jakie są rokowania dla pary, która ma identyczne pomysły co do tego, jakimi się obdarzyć prezentami?

- Zdecydowanie pomyślne, jeśli są małżeństwem od dawna.

- Tak sądzisz? - Zdjęła z siebie bawełnianą podomkę frotté i włożyła nową. Chłodny atłas muskał jej ciało. - Ciekawa jestem.

- Dlaczego? - Matt zakładał swój szlafrok. - Czy wiesz, że nie miałem bardziej seksownego stroju?

- Bo choć jesteśmy od dawna małżeństwem, to już nie jesteśmy ze sobą tak blisko jak kiedyś. Dlatego nas zdziwiło, że wybraliśmy dla siebie podobne prezenty.

- Cóż, może teraz się do siebie bardziej zbliżymy - powiedział Matt i wyciągnął do niej rękę.

- Zawsze rozmawialiśmy ze sobą, gdy coś nas trapiło - zauważyła Elizabeth.

- Nie zawsze. Czasem czekaliśmy na lepszy moment.

- Zdaje mi się, że obecny moment jest dobry.

- Mnie się tak nie zdaje. Daj spokój, Elizabeth. Są święta, zjedliśmy ogromną kolację, wszyscy się doskonale bawili i przed nami cały tydzień. Pobądźmy ze sobą przez ten czas; czy możesz sobie zrobić wolne od pisania na lalka dni? Powłóczymy się po mieście jak turyści, pochodzimy do restauracji, pozbędziemy się stresów... i będziemy ze sobą rozmawiać.

- Dobrze - powiedziała po chwili. Znow wyciągnął do niej rękę. Gdy poddała się jego pocałunkowi, wiedzieli oboje, że za chwilę się całkiem zatracą w miłości. Ich ciała wykonywały ruchy, które znali na pamięć, bo znali siebie tak dobrze; wiedzieli, jak się nawzajem podniecać, sprawiać przyjemność i zadowolić; osiągnęli szczytowanie w znajomym rytmie i w tej samej chwili, po czym powoli się wyciszali.

Ale nie wszystko przebiegało w znajomy sposób. Miast pomruków i rozmów, które zawsze towarzyszyły im, gdy się kochali, milczeli i gdy leżeli obok siebie odpoczywając, też milczeli. Wreszcie Matt powiedział.

- Przykro mi.

- Mnie też - powiedziała Elizabeth i oboje wiedzieli, że zabrakło intymności i namiętności, która cechowała złoty okres ich małżeństwa, gdy razem pracowali w *Chieftainie* i pojechali na wakacje do Aspen.

Ale odkładali rozmowę o tym na później, choć cały czas byli razem, jak Matt chciał. Pierwsze dwa dni spędzili w *Chieftainie* i *Daily News*; oba pisma świetnie sobie radziły i mimo że Saul i sekretarz redakcji w Albuquerque naciskali na Matta, by im doradził, jak zaplanować pracę na najbliższe pół roku, czuł się jak piąte koło u wozu i po paru godzinach już nie mógł tam usiedzieć.

Powłóczyli się zatem po ulubionych zakątkach Santa Fe, zaglądali do galera sztuki, zjedli lunch u Josiego, kolację zaś w The Haven przy Canyon Road po wizycie w księgarni u Lydii, która mieściła się parę kroków dalej, i odwiedzinach w warsztacie stolarskim Spencera w garażu. I po raz pierwszy od lat spędzili przedpołudnie w Wheelwright Museum, w którym Peter odkrył sztukę indiańską.

W mieście panowała cisza i spokój. Pojawili się narciarze, ale w porównaniu z hordami turystów, jakie tu zjeżdżały latem, ulice świeciłyomalże pustkami.

Najbardziej tłoczna była Cerillos Road, po której uczniowie szkół średnich, jako że mieli ferie świąteczne, jeździli tam i z powrotem autami, szukając jakichś atrakcji.

- Dlaczego nie pojedą na narty? - spytał Matt. - Najlepiej do Szwajcarii.

- Nie stać ich na to - odparła Elizabeth z uśmiechem.

- Czy odzywał się ostatnio Tony Rourke?

Ze zdziwieniem odparła.

- Dlaczego ci nagle przyszedł do głowy?

- A propos Szwajcarii. Czy kiedyś nie mówił, że kupił tam sobie willę?

- Chyba we Włoszech. W Amalii. Od czasu do czasu dzwoni.

- I wpada?

- Nie. Powiedziałabym ci o tym, gdyby wpadał.

Matt pokiwał głową i zmienił temat, nim Elizabeth zdążyła powiedzieć, że z Tonym łączy ją tylko przyjaźń, no bo czy Matt nie ma nikogo takiego w Houston?

Zatrzymali się w La Fonda chcąc się czegoś napić. Aby dotrzeć do barku ciemnego jak wnętrze jamy, trzeba było przejść przez zatłoczony hotelowy westybul, który był centralnym punktem spotkań w mieście. Przy małym narożnym stoliku, na którym stał dzbanek z matowego szkła z margerytkami i dwie szklanki o oszronionych brzegach, opowiadali o wszystkich drobnych zdarzeniach, jakie im się przytrafiły, a o których nie zdążyli sobie powiedzieć przez telefon ani podczas wizyt Matta w domu. - Mówiłeś, że jedziesz do Roswell spotkać się z kimś o nazwisku Graham - zaczęła Elizabeth. - Czy coś z tego wyszło?

- Tak - odparł. Zainteresowało ją to.

- I co?

- Nic specjalnego. Potrzebował pieniędzy - wraz z synem tak się hazardowali, że popadli w długi - chodziło o negocjacje wyłącznie na temat ceny.

- Nie stawiał się więc za bardzo. - Nie.

- Keegan na pewno był zadowolony.

- Tak. Dobry pakiet; stacja telewizyjna i radiowa i osiem tytułów prasowych.

Wszystko na małą skalę, ale z potencjałem rozwojowym, zwłaszcza, jeśli ta część stanu będzie się rozwijać.

Kiwnęła głową.

- To dlaczego nie byłeś z tego zadowolony?

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo miałeś taki ton głosu, jakby coś ci się w tym nie podobało.

- Skądże - odparł. - Wszystko szło dokładnie według planu. Pewnie w moim głosie słyhać było brak zainteresowania sprawą; bardziej mnie teraz zajmują pertraktacje w Phoenix i Tucson. Dotyczą poważnych pism i jeśli je kupimy, to być może na jakiś czas będę mógł przestać kupować nowe tytuły i skoncentruję się na kierowaniu siecią. Tyle czasu mi teraz zajmuje biznes, że prawie zapomniałem, jak to jest, kiedy się jest wydawcą. Opowiedz mi o twojej rubryce; sekretarka Keegana mówi, że posyła ci sterty listów od czytelników.

- To prawda. Zdumiewające, że odkąd publikuję trzy razy w tygodniu, tylu ludzi do mnie pisze. I druga nowość: wiele osób przysyła mi swoje zdjęcia wraz z życiorysem. Żebym pisała o nich.

- I piszesz?

- Czasem. To ryzykowne. Kiedy ludzie sami się reklamują, często zależy im na zrobieniu dobrego wrażenia, a wtedy gdzieś po drodze umyka cała prawda o nich.

- A to inteligentna uwaga - powiedział Matt. - Nie zawsze jest to łatwo spostrzec. A więc nadal wyruszasz sama na poszukiwanie odpowiednich typów.

Przytaknęła.

- Ludzi, którzy są w cieniu i nie afiszują się. To mój ulubiony typ nadający się i na przyjaciół, i na bohaterów „Spraw prywatnych”.

Matt chciał zapytać, dlaczego więc lubi Tony'ego, o ile go faktycznie lubi, ale zrezygnował.

- Co ci jeszcze innego przysyłają oprócz fotografii?

- Nic więcej. Ale za to dzwonią do mnie i proszą o radę. To bardzo dziwne; czytelnikom się zdaje, że jestem psychologiem albo doradcą małżeńskim, albo specjalistą od spraw spornych między lokatorami a właścicielami domów, albo spraw polityki biurowej... Zrobiłam sobie listę profesjonalnych doradców na każdą ewentualność, żeby w razie czego odsyłać ich do nich; nie chcę, żeby mi wytoczono proces za praktykę terapeutyczną bez licencji. Najtrudniej jest w tym wszystkim przekonać ludzi, że nie umiem rozwiązywać ich problemów.

- Zwracają się do ciebie, bo mają do ciebie zaufanie. Z każdego twojego słowa bije sympatia do ludzi, próba zrozumienia, nie osądzania ich, i jesteś w tym uczciwa.

Czegóż więcej mieliby ludzie oczekiwać od doradcy?

- Dziękuję ci - odparła Elizabeth. - To dla mnie ogromny komplement. Rozmawiali ze sobą tak oficjalnie, jakby byli przygodnymi znajomymi - pomyślał Matt. Co ich tak od siebie odgradzało?

- No i jest nowy drukarz w *Chieftainie* - powiedziała Elizabeth. - Młody, chętny i mam z nim pewien kłopot. Wydaje mu się, że jestem damą w tarapatach.

- Jak to w tarapatach? Z jakiego powodu? Potrząsnęła głowę.

- Ponieważ zostałam porzucona - Nie zauważyła miny Matta, gdyż trzymając dzbanek napełniała szklanki. - Oczywiście W tym tygodniu się nie pojawił, bo jesteś w domu, ale przychodzi co najmniej raz na dzień, żeby spytać, czy nie potrzebna nam jakaś pomoc, co doprowadza Petera do furii. Muszę z nim porozmawiać, ale on ma do tego tak poważny stosunek, że cały czas to odkładam; nie chcę go urazić.

- Lepiej teraz, niż gdy będzie za późno - skonstatował Matt.

- Naprawdę? - zapytała Elizabeth. - Dlaczego więc odkładamy na później rozmowę o tym, co jest dla nas ważne? Przez cały tydzień nie mówiłeś nic o Keeganie.

- A co miałbym mówić?

- Co czujesz na jego temat. Czy go lubisz, Matt? Teraz, jak go lepiej poznałeś.

- To nieważne, czy go lubię, czy nie. Odpowiada mi to, co ma mi do zaoferowania.

- Ale to ważne dla mnie, żebym zrozumiała, co się dzieje w twoim wnętrzu. Czy go lubisz?

- Jest to imponujący człowiek.
 - To znaczy, że go podziwiasz.
 - Podziwiam to, czego dokonał. On sobie stawia cele i osiąga je; wie co robi i nie pozwoli innym, by mu w tym przeszkadzili. Wie, czego chce.
 - Czego chce?
 - Między innymi chce mieć sieć prasową obejmującą cały południowy zachód.
 - Po co?
 - Dla pieniędzy, jak przypuszczam; nie pytałem go o to. Jest również właścicielem szybów naftowych, dwóch ośrodków narciarskich i paru hoteli. Nie pytałem go, dlaczego je posiada. Pewnie dlatego, że lubi, a poza tym jest dobrze widziane zwiększać inwestycje. To cię nie zadowala?
 - Nie wiem. Nigdy nie myślałam, że pasują do niego prostolinijne wyjaśnienia.
 - Wyraziłaś się bardzo jasno.
 - Chcesz, żebym trzymała język za zębami? Albo udawała, że biorę go za miłego człowieczka, który po prostu lubi szastać pieniędzmi i chce być dobroczyńcą nieznanym dziennikarzy z małego miasteczka?
 - Chcę, żebyś go widziała jako przebojowego biznesmena, który odnosi sukcesy w twardym świecie. - Matt powiedział to spokojnym głosem. - Niepodobnego do mojego własnego ojca, który nigdy do niczego nie doszedł, ani twojego ojca, który miał nudną pracę aż do emerytury, a potem zostawił księgarnię na głowie żony, a sam znikł oddając się miłemu hobby i podniecając drewnianymi miskami.
 - Matt! - Elizabeth utkwiała wzrok w mężu. Kelnerka, która podchodziła do ich stolika, żeby spytać, czy im czegoś nie donieść, szybko skierowała się w inną stronę; nie należała do osób, które pakują się między walczących na noże. - Nigdy tak nie mówiłaś ani o Zacharym, ani o moim ojcu.
- Lekko wzruszył ramionami.
- Utrudniasz mi wszystko. Współpracuję z Keeganem i wcale mi to nie pomaga, jeśli mówisz o tym tak, jakbym sprzedał duszę diabłu. Jest mi trudno już choćby dlatego, że kursuję między Houston i Santa Fe; czasem czuję się tu jak ktoś obcy...
 - Wyraziłaś się bardzo jasno.
 - ... i czasem czuję się jak ktoś obcy tam, ale przynajmniej, kiedy jestem tam, mogę liczyć na współczucie... - Zamilkł.
 - Och - powiedziała Elizabeth. - Kimże ona jest?
 - Mówię o mężczyznach, którzy ze mną pracują, i o ludziach, których tam spotykam. Wiedzą, czym się zajmuję; podziwiają to. Potrzebuję tego tak bardzo jak ty pochwał za „Sprawy prywatne”.

Kiwnęła głową.

- Matt, tamtej nocy powiedziałam, że nie jesteśmy ze sobą tak blisko jak kiedyś, i obiecałeś, że o tym porozmawiamy. Czy możemy teraz?

- Czy to konieczne? Wszystko jest na razie przejściowe. Jak się przeniesiesz do Houston, sprawy się ustabilizują. Właściwie, dlaczego się nie przeniesiesz już teraz?

- Peter nie skończył jeszcze szkoły.

- Wiem. Ale to jest ważniejsze. Wszystko się zmienia, Elizabeth, i powinniśmy razem to przeżywać, nie ledwie za tym nadażać. Coraz mi trudniej dojeżdżać. Peter może skończyć szkołę równie dobrze w Houston; jeśli mu zależy na ukończeniu jej tutaj, to niech zamieszka z Lydią i Spencerem; oni byliby zachwyceni, a on miałby przez parę miesięcy opiekę.

- A Holly? Też chce tu skończyć rok szkolny.

- Więc dwoje nastolatków decyduje o losach naszego małżeństwa?

- Te nastolatki to nasze dzieci. I chyba chcą mieć przy sobie rodziców, a przynajmniej jednego rodzica.

- Na Boga, to tylko pięć miesięcy ich życia!

- I tylko pięć miesięcy twojego życia. Dlaczego więc nie możesz dalej dojeżdżać przez ten krótki okres?

- Bo tam jest moja praca, u licha!

- A moja rodzina, u licha, jest tu! Matt szurnął szklanką po stole.

- Jest tu głośno jak w piekle. Idziemy? I tyle ustalili rozmawiając o sobie.

Męczyło ich to, ale nie poruszali tematu, bo następnego dnia, ostatniego w roku, wzięli Holly i Petera do Nuevo, żeby pobiegać na nartach z Isabel, Cesarem, Luz i z Mayą, i nie mieli czasu dla siebie. Isabel i Cesar zaprosili garstkę przyjaciół na kolację; Holly odmówiła trzem chłopcom, którzy ją zapraszali na sylwestra, tłumacząc się, że woli być z rodzicami i Luz; Peter planował być cały czas z Mayą.

- Wezmę mój samochód - powiedział. - Bo nie wiem, o której wrócę do domu.

- Ale pójdziecie z nami na narty - prosiła Elizabeth. - Byłoby nam przyjemnie.

- Jasne. Nam też.

- A co z kolacją?

- Zjemy u Mai.

- Z jej rodzicami? - spytała Holly.

- Będą przez weekend w Albuquerque - wymamrotał Peter. Elizabeth z Mattem popatrzyli na siebie, po czym odwrócili wzrok. -

Za wiele rzeczy przywodzi na myśl dawną młodzieńczą miłość - pomyślał Matt.

Do Nuevo przyjechali wcześniej, kiedy słońce było wysoko, i od razu zaczęli sunąć po śniegu wzdłuż suchego koryta rzeki. Górskie powietrze było ostre, ale kotlinę omijały wiatry; już po paru chwilach zrobiło im się od ruchu ciepło; ten piękny dzień wprowadził ich w lepszy nastrój. Kierowali się ku górze, przyjaźnie rywalizując, kto będzie szybszy, śmigali po śniegu, nabierali prędkości,

aż zaczęły im się zacierać kontury gór po obu stronach i biel zmieszała się z zielenią, brązem i czernią. W końcu Peter krzyknął, żeby się zatrzymali.

- Nic nie widzę! Potrzebne mi wycieraczki do powiek!

Śmiejąc się, nie mogąc złapać tchu, zatrzymali się; Cesar i Matt zrobili pod osłoną klifu z drewna sosnowego ognisko, Isabel i Luz wyjęły z plecaków wino, sery, jabłka i pokrojoną kiełbasę. Maya odezwała się nieśmiało.

- Upiekliśmy z Peterem ciastka, jeśli ktoś ma ochotę, proszę.

- Peter i tatuś jadają ciastka dzień i noc -powiedziała Holly. - Upiekłyśmy wczoraj z mamą chleb, ale zapomniałam noża.

- Ja mam nóż - zgłosiła Isabel i usiedli na płaskich kamieniach tuż przy ognisku, jedli i pili obserwując, jak zwinne wiewiórki biegną od jednego cienia do drugiego, zostawiając za sobą na śniegu długie ślady drobnych jak koraliki odcisków łapek. W kotlinie cień zaczął się coraz bardziej wydłużać. Matt włożył do ognia następną kłodę drewna; syknęło, strzeliły płomienie i zrobiło się cicho. W kryształowym powietrzu jedynym dźwiękiem, jaki słyszeli od czasu do czasu, był skrzek sójki lub trzask gałązki, gdy z drzewa na drzewo skoczyła wiewiórka. Wyjątkowy moment - zadumała się Elizabeth - zawieszony w czasie między wczorajszym a jutrzejszym dniem. Przypomniało się jej, że nie porozmawiała z Mattem o kupnie nowej działki w Nuevo. - Po tym, co było dziś, zgodzi się - pomyślała. Bez względu na to, jakie mamy aktualnie problemy, to będzie wiedział, że jest słuszne, by na nas czekała: obietnica na przyszłość.

Było ciemno, gdy dotarli z powrotem do domu Aragonów. Zmęczeni i zziębnięci brali po kolei prysznic i przebierali się w trzech małych sypialniach, nim przeszli do salonu, gdzie Cesar przed huczącym kominkiem mieszał i nalewał przez sitko gorące wino z korzeniami, a Isabel i Elizabeth szykowały w kuchni kolację.

Kiedy przybyli goście, wszyscy usiedli na podłodze na poduszkach powlekanych materiałem tkanym przez Cesara, i jedli przy małych, niskich stołach koło kominka. Po kolacji Luz i Holly oddaliły się, bo chciały być same we dwie, a ci, co pozostali w pokoju leniwie rozmawiali o pogodzie, nowych przybyszach, którzy budują sobie letnie domki w okolicach Holy Ghost i Grass Mountain, położonych wyżej w górze, o przyszłorocznych zbiorach i o tym dziwaku Ballentine, który skupywał grunty w kotlinie i od razu je oddawał w dzierżawę dotychczasowym właścicielom, płacąc nieźle za coś, czego w ogóle nie oglądał.

- To nie jest jego nazwisko - powiedziała Isabel nalewając gościom kawy. - On się nazywa Ballenger.

- Ależ to wariat - zauważył Cesar. - I choleryk. Wcale mu się nie podobało, że Isabel nie chce mu sprzedać ziemi.

- Kupił od nas dom Zacharego z działką - powiedziała Elizabeth. - I tak się zastanawiam...

- Ja go poznałem - wtrącił się Matt. - Zapomniałem wam powiedzieć. Był na jednym przyjęciu w Houston. Zdaje się, że on nie tylko handluje samochodami, ale również skupuje grunty na całym świecie.

- Ach tak? - szepnęła Elizabeth. - Miałam w sierpniu czegoś więcej dowiedzieć się o nim, ale za dużo czasu zajmowała mi moja rubryka; nigdy się za to nie wzięłam.

- Czego chciałaś się dowiedzieć?

- Nie jestem pewna. Isabel mówi, że on i takich dwóch innych wykupili ponad pół kotliny. Wydawało mi się to dziwne.

Matt zmarszczył brwi.

- Niemi o tym nie wspomniał, kiedy rozmawialiśmy. To jakiś szczególny typ. Nadmiernie entuzjastyczny. I dzieli słowa na sylaby.

- Jak na przykład? - spytał Cesar.

- Nu-e-vo. Szcze-gól-ny. A-ra-gon.

- To by mnie doprowadziło do szału - stwierdziła Isabel.

- Ktoś też to powiedział.

Jeden z sąsiadów Isabel powtórzył pogłoskę z Pecos, że w okolicy ma być nowa droga; nikt inny o tym nie słyszał, ale zastanawiali się nad korzyściami, jakie by przyniosła. Elizabeth lekko się kręciło w głowie od świeżego powietrza, wina i ciepła, jakie emanowało z kominka; zwinęła się w kłębek na dywanie, położyła Mattowi głowę na udzie i patrzyła na płomienie. Siedzieli w pewnej odległości od reszty towarzystwa.

- Wydaje mi się, że powinniśmy kupić coś w kotlinie - powiedziała głosem, który zagłuszyła ogólna rozmowa. - Zanim Ballenger wykupi wszystko.

Matt nie usłyszał jej słów. Rozmowa na temat gruntów przypominała mu spór, w jaki się wdał ostatnio z Rourkem. Mieli różne zdania na temat tego, czy należy budować ośrodki rekreacyjne na terenach dziewiczych. - Będziemy musieli to rozstrzygnąć - pomyślał; potrzebna mu była wolna ręka w decydowaniu o polityce wydawniczej ich pism. Nagle poczuł się niespokojny, chciał już wracać, załatwić sprawy sporne z Rourkem i zająć się pracą, która tam na niego czeka. Do uszu wpadły mu strzępy rozmów na temat sprzedaży gruntów, nawadniania, uprawiania ziemi, znajdowania nabywców na garncarstwo i kilimy wytwarzane w kotlinie.

- Oni nigdy o niczym innym nie mówią - mruknął. Elizabeth spojrzała w górę.

- To ich życie. - Mówiła tak cicho jak on. - Oni tak się z tym czują jak ty ze swoją pracą u Keegana.

- Sądzisz, że to jest to samo? - zapytał z zaciekawieniem. - Ci ludzie mieszkają w zapadłym miasteczku w małej kotlinie ukrytej w górach. Nie widzę najmniejszego związku z tym, co ja robię. Niewiele też tu znajduję rzeczy, które mnie pociągają. Elizabeth usiadła.

- Nie myślisz chyba tego naprawdę. - Zamierzała z nim powtórnie zacząć rozmowę o kupnie działki, ale teraz się powstrzymała. - Przez tyle lat przyjeżdżaliśmy tu z Zacharym, zawsze mówiliśmy sobie, że postawimy tu drugi dom i będziemy przyjeżdżać na lato...

- To było dawno temu. Ledwo pamiętam, jakie to wtedy miało dla mnie znaczenie. Czy było wszystkim, czego pragnąłem? Czy pod jakimkolwiek względem przypominam tutejszych ludzi?

- Ci ludzie to moi przyjaciele. - Przyjrzała się dokładnie jego twarzy w świetle kominka. - I podobieństwo między tobą a nimi jest większe, niż sądzisz. Oni czują miłość do tego miejsca, do sposobu, w jaki tu żyją, do codziennej krzątaniny, oporządzania bydła, pracy na roli, bez względu na to, czy mają akurat na to ochotę, czy nie, czy mają pewność, że są w kotlinie widoki na przyszłość, czy nie. To jest ten sam rodzaj miłości, jaką ty odczuwasz do Keegana, do pracy u niego. Ta sama miłość cię popycha do tego, że jutro wrócisz do Houston, choć nic z tego, co zaczęliśmy tydzień temu, nie zdążyliśmy skończyć.

- Świeże wino - powiedziała Isabel wręczając im po kubku. - Jest północ. Ojciec wygłosi toast.

- Życzymy zdrowia i obfitości - odezwał się Cesar i zaczął się rozwodzić na temat miłości i przywiązania do miejsca, do którego człowiek należy, życząc płodnych pól i bydła, wielodzietnych rodzin i pomyślnego roku.

Elizabeth podniosła swój kubek i pochyliła się, by pocałować Matta.

- Szczęśliwego Nowego Roku - powiedziała miękko. Ani ona, ani on nie byli pewni, czy to było życzenie czy błaganie.

Elizabeth usiadła w oszklonym gabinecie Matta w *Chieftainie* i zabrała się do pisania „Spraw prywatnych” o swoim ojcu.

„Miał siedemdziesiąt pięć lat, gdy po raz pierwszy w życiu chwycił ręczną piłę; wykonał nią podłużne cięcie na kawałku dębiny, pokonując opór drewna siłą własnych mięśni. Kiedy heblował, rzeźbił, szlifował, kiedy trzymał w dłoniach przedmiot własnoręcznie wykonany z tworzywa będącego fragmentem planety, którą zamieszkuje, miał świadomość, że po pięćdziesięciu latach nareszcie robi to, na co naprawdę ma ochotę. I odczuwał zadowolenie”.

Pisała szybciej niż zwykle, mechanicznie podnosząc wzrok, gdy szukała w myślach odpowiedniego słowa lub zwrotu. Przez szklaną ścianę widziała rozgardiasz panujący w głównej sali redakcyjnej, uśmiech Saula, przyjacielski gest powitania Barneya Kella, zbliżającego się w jej kierunku Wally'ego. Pokręciła przecząco głową, by nie wchodził, i pochyliła się z powrotem nad maszyną do pisania. Później po południu wyciągnęła z maszyny ostatnią stronę i przeczytała cały tekst.

Zatrzymała się przy zdaniach końcowych: „...nareszcie robi to, na co naprawdę ma ochotę. I odczuwał zadowolenie”.

Matt - pomyślała.

Potrząsnęła głową. Nie chodziło w gruncie rzeczy o Matta. „Robi to, na co naprawdę ma ochotę” dotyczyło ich dwojga. Jednak Matt, idąc za głosem własnej ambicji, zmylił kierunek. I będzie tkwił w tej pułapce, dopóki nie znajdzie sposobu, jak równoważyć ambicję z innymi sprawami w życiu.

O tym powinni byli porozmawiać w czasie świąt - pomyślała - o przepaści dzielącej obecną rzeczywistość od dawniejszych marzeń.

W nagłym odruchu podniosła słuchawkę i wykręciła numer jego biura w Houston.

- Jest na zebraniu, proszę pani - poinformowała ją sekretarka. - Z panem Rourke, gubernatorem i paroma członkami Teksasńskiej Komisji do Spraw Parków Stanowych. Może się przeciągnąć do kolacji. Czy coś przekazać?

- Nie - odparła Elizabeth. - Dziękuję. Proszę mu tylko powiedzieć, że zadzwonię później do domu.

Do jakiego „domu”? To tylko wynajęte mieszkanie! Ale nie zastała go tego wieczoru, a następnego ranka zadzwoniła do niej sekretarka.

- Pan Lovell wyjechał z Houston wczoraj wieczorem po kolacji, proszę pani.

Pojechał do Austin z członkami Komisji do Spraw Parków. Właśnie dzwonił i przekazałam mu wiadomość od pani, prosił, żeby pani powiedzieć, że zadzwoni, jak wróci do Houston dziś późnym popołudniem.

Elizabeth automatycznie jej podziękowała. Matt był dziennikarzem, wydawcą. Co robi w stołecznym mieście Teksasu z członkami Komisji ds. Parków?

- Tak mnie to zastanowiło - powiedziała mu, gdy zadzwonił wieczorem. - Takie to mi się wydało dziwne.

- Udzielali mi informacji - odparł. - Ja stawiałem pytania, oni odpowiadali, dlatego polecałem z nimi na resztę dnia. Planujemy cykl artykułów na temat użytkowania gruntów w Arizonie, Nowym Meksyku, części Teksasu i południowym Kolorado...

- Użytkowania gruntów?

- Kontroli przeciwpowodziowej, nawadniania ośrodków rekreacyjnych, parków stanowych - projekty na ogromną skalę, Elizabeth; to co się z tym wiąże, to niesamowite. Pejzaż całych stanów może ulec przeobrażeniu. Jesteśmy w samym centrum tych zmian; posiadamy tyle tytułów prasowych, że możemy wpływać na kształtowanie życia, zdobyć poparcie społeczeństwa, proponować nowe prawa... czy ty sobie wyobrażasz, co to znaczy? Jaki to ma zasięg! Stany nie mają możliwości sfinansować tego samodzielnie, więc trzeba zdobyć fundusze federalne i prywatne... Mówił jak najęty. Napalił się na to - jakby to określił Peter, a Elizabeth nie usiłowała go zniechęcać. Ich ostatnie rozmowy przez telefon były lakoniczne i niezadowolające, bo Matt myślał wyłącznie o pracy, a Elizabeth czuła się niepotrzebna, odrzucona. Lepiej więc rozmawiać o użytkowaniu gruntów niż wcale nie rozmawiać, lepiej też słyszeć w głosie męża entuzjazm niż nieokreślone mruknięcia na odczepnego. Ale kiedy następnego dnia opowiedziała o tym swojej matce, Lydia nastawiła się krytycznie. - Nie powiedziałaś mu, że wciąż się czujesz porzucona? - To nie był odpowiedni moment.

- Każdy moment jest odpowiedni, żeby powiedzieć własnemu mężowi coś ważnego o sobie. Jeśli ty się czujesz porzucona, gdy on fruwa po całym kraju i udaje wydawcę pełną gębą, to mu powinnaś to powiedzieć.

- Mamo, czy ty mówisz swojemu mężowi, że nie lubisz sama prowadzić księgarni, skoro zaczynaliście to robić wspólnie?

- Oczywiście, że nie. Zaczęłyby się bronić i stawiać, że ja nie pozwalałam mu na coś, co ukochał, i że to jest jego pierwsza szansa. - Och. Cóż, to coś innego.

- Dlaczego?

- Nie wiem, ale to coś innego.

- Więc nic się nie stało - powiedziała Elizabeth. - Bo to jest przejściowe, że jesteśmy osobno. Jak tylko się przeniosę do Houston, wszystko się zmieni.

- Czy rozmawialiście o przeprowadzce?

- Nie. Tak się rozgadał na temat parków stanowych i kontroli przeciwpowodziowej, że nie powiedziałam nic z tego, co planowałam. Nawet mu nie powiedziałam, że kupiłam w zeszłym tygodniu dwie parcele w Nuevo, tuż przy centrum miasteczka.

- Kupiłaś działkę w kotlinie? I nawet tego z Mattem nie uzgodniłaś?

- Ostatnio zdaje się, że wiele rzeczy robimy na własną rękę. To jest rzecz, której ja chcę, a nie jestem pewna, czy jemu tak bardzo zależy. Powiem mu w ten weekend, jak przyjedzie do domu.

Ale Matt nie przyjechał tego weekendu do Santa Fe, bo obowiązki go wezwały do Denver.

- Jakiś niepoprawny optymista zaczął tam wydawać gazetę nie mając w ogóle pojęcia, co to znaczy - powiedział Elizabeth, gdy zadzwonił w czwartek. - A teraz chce, żeby go zwolnić za kaucją. To może być dla nas okazja.

- I musi to być w ten weekend?

- To był jedyny termin, który pasował. Czy coś się specjalnego zdarzyło, że chciałaś, bym był w domu? Ugryzła się w język, żeby nie wypalić czegoś ze złością.

- Czy to, że cię kocham to coś nie dość specjalnego?

- Przepraszam, kochanie, nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Chodziło mi o to, czy coś się dzieje szczególnego w domu? - Byłoby miło, gdybyś się częściej o to pytał. - Och, na Boga, słuchaj Elizabeth...

- Matt, przepraszam, ale o wiele więcej słucham niż mówię. - Za co ja przepraszam?

- Masz tu rodzinę, dwójkę dzieci, które szybko dorastają, i powinieneś dotrzymywać im tempa zamiast...

- Zamiast czego? Zamiast pracy, żeby im było w życiu lepiej, żeby było więcej pieniędzy i mogli robić to, na co mają ochotę?

- Może mają ochotę mieć ojca. Holly się denerwuje, bo ma przesłuchanie; pomogłoby jej, gdyby miała ojca, który jej doda otuchy.

- Przesłuchanie do opery w Santa Fe? Jeszcze jest czas przecież.

- Za dwa tygodnie od dzisiaj. To będzie do chóru operowego. Mówiła ci o tym.

- Wiem. Za dwa tygodnie? No więc będę u was do tego czasu i dam jej tyle wsparcia psychicznego, ile potrzebuje. Właściwie to dlaczego nie miałbym z nią teraz porozmawiać? Zacznę jej dodawać otuchy w miarę wcześniej. Czy jeszcze nie śpi?

- Oczywiście, że nie; jest dopiero dziesiąta. Czy zapomniałeś, że ma siedemnaście lat? Zawołam ją. A jak skończy, przekażę słuchawkę Peterowi.

- Dobrze. Choć wczoraj już z nim rozmawiałem.

- Wczoraj?

- Zadzwoił do biura. Myślałem, że wiesz.

- Wiem, że oboje do ciebie dzwonią; płacę przecież rachunki za telefon. Nie zawsze mi mówią.

- Cóż, nie ma sensu, żeby zawsze mówili. Wywołał mnie zresztą z zebrania i porozmawialiśmy tylko parę minut, dlatego chcę z nim teraz pogadać. A z tobą zobaczę się w następnym weekend. Nawiasem mówiąc twój artykuł o publiczności na koncercie muzyki kameralnej to perełka. Pękaliśmy ze śmiechu czytając fragment o człowieku, który przez cały występ chrapał. -Nieproszona tuba grała obligato w drugim rzędzie - Keegan pokazywał to w całym mieście. Nie wiem, jak sobie radzisz, że piszesz aż trzy takie teksty tygodniowo.

- Radzę sobie pracując dziesięć godzin dziennie. Lub nocą. Gdybyś więcej się o nas pytał, tobyś wiedział. Poczekaj, zawołam Holly.

Już przestań jęczeć - powiedziała sobie idąc przez sień. Ale nie była pewna, co by zrobiła, gdyby Matt przestał im okazywać zainteresowanie. Nie chciała zrzędzić i niczego na nim wymuszać; chciała, żeby się interesował z własnej woli.

Zapukała do drzwi pokoju Holly.

- Tatusz przy telefonie; chce z tobą rozmawiać.

Znajdę sposób - pomyślała - na te parę miesięcy rozłąki. Trzeba; bo inaczej przeprowadzę się do Houston i okaże się, że mieszkam z kimś obcym.

Holly nie chciała, żeby Elizabeth poszła z nią na przesłuchanie.

- Proszę, mam; nie mogę ścierpieć myśli, że będziesz tam siedzieć i się denerwować. Nie wiem nawet, czyby cię wpuścili. Chyba nie. Oni nie chcą tłumów rozgorączkowanych rodziców, którzy się tam będą kręcić i denerwować...

- Ja się nie denerwuję - łagodnie powiedziała Elizabeth, rozumiejąc, kto tu naprawdę się denerwuje; chciała pomóc Holly, żeby tak bardzo tego nie przeżywała, ale wiedziała, że to niemożliwe. - Denerwowałam się, gdy po raz pierwszy miałam wystąpić przed zespołem *Chieftaina* i po raz pierwszy, gdy wydrukowano moją rubrykę, ale z twojego powodu się nie denerwuję. Wypadniesz doskonale, najlepiej jak cię stać, i sądzę, że ci się uda.

- Naprawdę tak sądzisz? - Holly odetchnęła. - No dobrze... ale mimo to, proszę, nie przychodź.

- Oczywiście, że nie pójdę, jeśli nie chcesz. Ale jak się dostaniesz do Albuquerque?

- Peter powiedział, że mnie zawiezie.

- I pójdzie na przesłuchanie?

- Zastanawiam się nad tym. Może się powłóczyć po kampusie, jeśli nie będę chciała, żeby wchodził na salę.

Elizabeth kiwnęła głową.

- Zadzwoń, jeśli spóźnicie się na kolację.

Usiadłszy obok Petera na wysokim siedzeniu jego nowego auta, Holly marzycielsko wpatrywała się w pokryte śniegiem góry na horyzoncie.

- Mama jest taka miła ostatnio. Tak jakby chciała mi wszystko... umilić. Peter chrząknął.

- Co to ma znaczyć?

- Ona się stara, żebyśmy się nie martwili o nią ani o tatę. - Holly westchnęła.

- Wiem. Ona się też stara nie martwić o siebie. - Zamilkli.

- Trzeba się nam było przenieść do Houston zeszłej jesieni, wszystko by wtedy grało.

- To ma być moja wina, że się rozchodzą?

- Nie mówiłam, że to twoja... chcesz przez to powiedzieć, że się rozchodzą? Czy mama coś takiego powiedziała?

- Nie musi mówić; wystarczy na nich popatrzeć, na miłość boską. Ile są ze sobą razem? A obserwowałaś ich, kiedy są razem? Dawniej się dotykali, no wiesz, tu i ówdzie... I całowali się w przelocie, na przykład tata przechodził przez kuchnię i dał jej całusa albo uszczypnął w pupę...

- Peter!

- Co?

- Tak nie wypada mówić o mamie.

- Każdy ma pupę, Holly. Nawet matka. Po chwili znów westchnęła.

- Masz rację. Już tego ze sobą nie robią. Tatusz po prostu przyjeżdża... z wizytą.

- Jak do hotelu w Santa Fe.

- No, właśnie o to mi chodziło. Powinniśmy być z nim wszyscy razem w Houston.

- Cóż, przeprowadzamy się tam w czerwcu. Ale to dla ciebie naprawdę niesprawiedliwe. Ja tu skończę szkołę, a ty nie.

- Peter! - Holly nagle wykrzyknęła.

- Co?

- Moje przesłuchanie!

- O co chodzi? Boisz się, że się spóźnimy? Mamy mnóstwo czasu...

- Nie o to chodzi. Co będzie, jak mi się uda?

- Nie rozumiem. Czy nie o to się starasz?

- Całe lato będę wtedy występować z zespołem opery. Nie będę mogła pojechać do Houston!

Zaklął.

- Kurwa.

- Cóż, ty i mama pojedziecie, i już. A ja tu zostanę.

- Ona ci nigdy nie pozwoli, żebyś została tu sama.

- Pewnie, że nie sama. W domku dla gości u dziadków.

- Heather tam mieszka.

- Heather wychodzi za Saula.
 - Kiedy?
 - W każdej chwili.
 - Heather nigdy nie wyjdzie za Saula - zawyrokował ponuro Peter. -Zawsze będzie to odkładać na potem. A mama z tatą się rozejdą. I dziadek będzie siedział w stolarni dzień i noc. Wszyscy wokół mają spięrzzone małżeństwa.
 - To nie jest prawda!
 - To na pewno prawda. A ja wyjadę do Stanford i Maya zostanie tutaj, znajdzie sobie kogoś innego...
 - Och, to cię gnębi! Wzruszył ramionami.
 - Wszystko się zdaje takie... bez sensu. Może ja po prostu zacznę żyć na haju. Holly zerknęła na niego.
 - Na czym?
 - Brać kokainę, na przykład.
 - Próbowaleś?
 - Parę razy.
 - Nigdy nie mówiłeś.
 - Bo nie pytałaś.
 - Czy ci się podobało?
 - Pewnie. Bierzesz i wszystko się zdaje naprawdę proste. Nigdy nie próbowałaś? Ani razu?
- Pokręciła głową.
- Boję się, że mi zniszczy głos.
 - Koka nie niszczy głosu.
 - Nie chcę ryzykować.
 - Dobrze, rozumiem to. Nie chodzi o to, że boisz się koki; po prostu chcesz mieć sprawny głos.
 - Właśnie tak. - Zamilkli. - Dlaczego spróbowałaś tylko parę razy, jeśli ci się podobało? Wzruszył ramionami.
 - Nie chciałem, żeby mi zniszczyła perspektywy badawcze.
 - Aha. Chcesz powiedzieć, że nie boisz się koki; po prostu chcesz mieć błyskotliwy umysł. - Dokładnie tak.
- Wybuchnęli śmiechem. Peter wyciągnął rękę i poklepał Holly po ramieniu.
- Jesteś w porządku, wiesz. Ty i Maya jesteście jedynymi osobami, przed którymi w ogóle się przyznaję, że się czegoś boję. Właściwie to nie boję się ftni koki, ani trawy, ale tego, że może mi się to wymknąć spod kontroli. Nie cierpię nie wiedzieć, co się dzieje w moim wnętrzu - na przykład pozwolić na to, by decydowało o mnie coś innego niż mój błyskotliwy umysł.
- Holly kiwnęła głową.
- Czuję to samo.

- Tak się domyśliłem. Nie jesteś taką znowu złą kompanką, wiesz, kiedy wreszcie stajesz się dorosła.
- Ja się staję dorosła? To ty wreszcie zacząłeś mnie doganiać! Chłopcy się rozwijają wolniej niż dziewczyny; każdy to wie.
- Mówisz mi to dość często. Wiesz o tym, że chłopaki w szkole mają cię za zimną rybę. I za snobkę.
Wzruszyła ramionami.
- Kiepsko. Nie myślisz, że Maya naprawdę sobie znajdzie kogoś innego, co? Ona cię ubóstwia.
- Tak sądzisz?
- Wiesz przecież. Peter?
- Co?
- Czy wy z Mayą uprawiacie miłość? Peter ściągnął brwi patrząc na autostradę.
- Pewnie, że tak.
- Naprawdę?
- Pewnie.
- Czy to jest wspaniałe?
- Pewnie.
- Nie robisz wrażenia, żeby to było romantyczne.
- Cóż... Boże, Holly, ja nie umiem o tym mówić!
- W porządku.
- To jest... jak powiedziałaś. Wspaniałe. - Umilkł. - A ty? - Ja nie.
- Bo nie chcesz?
- Nie z tymi, których znam. Dużo o tym myślę. A ty myślałeś? Zanim z Mayą...?
- Pewnie. Wciąż o tym myślę. Zdaje się, że bez przerwy. Stale mnie napada, i na lekcjach, i jak piszę pracę końcową, i kiedy indziej. Czy naprawdę nie możesz znaleźć kogoś, kogo byś lubiała?
- Niektórych lubię. Ale nie mogę ścierpieć myśli, żeby mnie mieli dotykać łapskami. Chcę powiedzieć, że jak czytam o tym w powieściach - gdzie opisane są wszystkie możliwe pozycje, no, te różne perwersje - to im więcej o tym czytam, to wydaje mi się tym obrzydliwsze, żeby ktoś, kogo nie kocham, we mnie wchodził. - Na tę myśl otrząsnęła się. - Jestem chyba jedyną dziewczyną w klasie, która jeszcze tego nie robiła, i czasem czuję się tak, jakby one były dorosłe, aja nie, aleja po prostu tego nie mogę zrobić -nie z chłopakami, jakich znam. Czy poczułeś się bardziej mężczyzną, kiedy to zrobiłeś po raz pierwszy? Wzruszył ramionami.
- Chyba tak. Przede wszystkim poczułem się po prostu szczęśliwy.
- Och. To mi się podoba. Nikt, kto o tym mówi w szkole, nie twierdził, że był przy tym szczęśliwy. Oni tylko mówią o robieniu tego, jakby wyrabiali ciasto albo łapali autobus. Zwyczajnie. Chcę, żeby to było piękne i... szczęśliwe. Wiem, że mnie w szkole nazywają snobką i kokietką, ale... och, tak

mi się w głowie miesza! Chcę tego i nie chcę, i boję się, ale umieram z ciekawości, jak to jest naprawdę... Czy możesz mi powiedzieć, jak to się odczuwa?

- Jak coś zamkniętego, ciepłego i ciasnego.

- Nie dla dziewczyn, bracie. Zachichotali.

- Słusznie - rzekł Peter. - Nie wiem, jak to odczuwa dziewczyna. To zależy od faceta. On musi być uważny.

- To inna rzecz. Chcę kogoś, kto wie, co robi, i myśli o mnie. Obawiam się jakiegoś gnojka, który po prostu chce zaliczyć dziewczynę albo znaleźć coś lepszego niż własna ręka. - Zaczerwieniła się. - Rozmawiamy o tym dużo z Luz; przepraszam, jeśli cię to kępuje.

- Czemu? Ja nie traktuję Mai w ten sposób.

- Bo ją kochasz. Gdybym ja kogoś kochała...

- Dobrze, ale mogłabyś kogoś bardzo polubić. To znaczy, ja kocham Mayę, ale nie mam pewności, czy to na zawsze. Mama Mai powiedziała jej, że nie powinna nikomu pozwolić się dotknąć aż do ślubu.

- Nikt już w to nie wierzy.

- Mama Mai wierzy. Chciałem raz o tym pogadać z tatą. Co myślał kiedyś o seksie, dziewczynach, małżeństwie... Ale nie przyjechał na tamten weekend do domu.

- Trzeba było do niego zadzwonić.

- Zadzwoniłem. Nie było go. Myślałem, żeby pojechać do Houston, żeby się z nim spotkać, ale, kurwa, nie będę za nim latał. Jeśliby mu zależało na tym, toby przyjechał do domu i był dla nas ojcem.

Holly przytaknęła.

- Mama chyba to samo czuje. Dlatego też nie dzwoni do niego tak często jak dawniej.

- Kurwa.

- Za często przeklinasz.

- Wszyscy przeklinają.

- Wszyscy biorą kokę, a ty nie.

- To co innego. - Umilkł. - Tolerowałybyś piekło i potępienie?

- Pewnie. - Roześmiali się. - Będzie mi cię brakowało, jak pojedziesz do Stanford.

- Jakaś rodzina nam zostanie. Ja w Kalifornii, ty z dziadkami...

- Może.

- Prawdopodobnie tak. A mama w Houston. Prawdopodobnie. A tata będzie jeździł po kraju i wpadał od czasu do czasu na chwilę po kawałek ciepłej dupy.

- Peter, jaki ty jesteś ordynarny!

- Dlaczego, Holly, do kurwy, ja jestem na niego wściekły!

- Ja też, ale nie powinieneś tak się o nim wyrażać.

- Dużo mu na tym zależy, jak się o nim wyrażamy. Martwię się o jedno. O mamę.

Czy sądzisz, że ma kogoś?

- Nie! Peter, co cię napadło? Tatuś nie ma nikogo ani mama me ma nikogo! Zejdą się w czerwcu i wszystko będzie grało.

- Pewnie. - Jechali bez słów. - Chyba dojeżdżamy do Albuquerque. Gdzie jest Uniwersytet Nowego Meksyku?

Holly rozwinęła mapę i wyjaśniła mu, jak dojechać.

- Och, Boże, zaczynam się trząść.

- Chcesz, żebym z tobą poszedł?

- Nie wiem. Tak. Nie, oj, Peter. Boję się śmiertelnie!

- Jak zaśpiewasz, z wrażenia pospadają z krzesel. Będziesz rewelacyjna. Będiesz najwspanialszym sopranem w historii chóru Opery Santa Fe.

Holly nabrała w płuca powietrza.

- Możesz iść ze mną. Chyba cię potrzebuję, mimo wszystko.

- Jak ci się uda na przesłuchaniu, to zadzwonisz do taty i mu powiesz?

- Jasne. Peter, czy moglibyśmy już przestać o nim mówić? Mam dość powodów do zdenerwowania... Skręć teraz w lewo... nie rozmawiajmy o nim ani o mamie, w ogóle o niczym. Dobrze?

- Dobrze. - Parę chwil potem odezwał się. - Czy to ten gmach, tam na wprost?

- Chyba tak. - Holly zadrżała. Peter znów dotknął jej ramienia.

- Nie przejmuj się. Jestem twoją rodziną i będę tu. A tobie się uda. I wszystko będzie dobrze.

W bładoniebieskiej sukience z lekkiej welenki, z lśniąco-blond włosami do połowy pleców, Holly stała sama na podwyższeniu auli uniwersyteckiej patrząc na ludzi siedzących w pierwszym rzędzie. Nie miała pojęcia, że gdy wyszła zza kulis, zaparło im dech na widok jej urody; na ich twarzach schowanych w cieniu dostrzegała jedynie uprzejme zainteresowanie, jakie okazywali innym przesłuchiwanym. Daleko za nimi, w środkowym rzędzie, gdzie były same puste krzesła, usiadł Peter i posłał jej ręką pocałunek.

Nie mogła jednak wydobyć z siebie głosu. Nie mogła sobie przypomnieć pieśni.

Miała suche gardło, ściśnięty żołądek, ręce i nogi ciążyły jak ołów i zbierało jej się na wymioty. Muszę stąd wyjść. Umrę na oczach tych wszystkich ludzi.

Siwowłosy mężczyzna przy pianinie odchrząknął i wtedy spojrzała w jego kierunku.

- Wszyscy na początku są jak sparaliżowani - powiedział łagodnie. Uśmiechnął się do niej. - Zaczynamy?

Holly w desperacji kiwnęła głową. Wciąż patrząc się na nią i uśmiechając, zagrał pierwszy akord akompaniamentu i Holly wszystko się przypomniało. Splotła lekko dłonie i uniosła do góry głowę; z jej ust wysoko w przestrzeń popłynęły dźwięki Mozartowskiego „Non mi dir”. Pieśń mówiła o miłości kobiety do mężczyzny; w głosie Holly brzmiało uczucie miłości, które wypełniało ją całkowicie, i smutek, że nie ma nim kogo obdarzyć.

Och, chce kogoś kochać - myślała w trakcie treli i fraz, które dobywały się z jej gardła jak srebrna kaskada. Chcę być kochana, znaleźć się w objęciach, być pieszczona. Chcę się kochać z... kimś.

Wyciągnęła ręce, przepelniona miłością, w jej głosie słyhać było pasję, ból i pragnienie, by jej piękne ciało młodej kobiety zostało rozbudzone. Chciała dawać miłość. Gdy skończyła, na sali było cicho jak makiem zasiał.

- Brawo! - krzyknął Peter. Holly zarumieniła się ze wstydu.

- Słusznie - odezwał się któryś z mężczyzn siedzących w pierwszym rzędzie. - Czy ma pani coś po angielsku?

Rozpromieniona Holly skłoniła się do akompaniatora i gdy zaczął grać, zaśpiewała „Małego dobosza”, bożonarodzeniową pieśń ludową tak różną w narracyjnej prostocie od Mozarta, że aż trudno było uwierzyć, że śpiewa ta sama młoda kobieta. Pod jednym względem tylko pieśń przypominała poprzednią: mówiła o kimś, kto pragnie, by go dostrzeżono, podziwiano, kochano, i tak jak w pierwszej pieśni tęsknota wyrażona czystym głosem Holly była tak namiętna, że gdy skończyła, rozległy się owacje.

Kobieta z grona przesłuchujących dała znak akompaniatorowi, który podał Holly nuty. Rzuciła na nie nerwowo okiem: aria z „Peter Grimes”, współczesnej opery, której nie ćwiczyła. Ale śpiew z nut był na przesłuchaniach obowiązkowy; odetchnęła głęboko, spojrzała jeszcze raz na akompaniatora i zaczęła śpiewać, najpierw ostrożnie, wczuwając się w rytm pieśni i wyrażane emocje, potem coraz pewniej, aż wydobyła z siebie silny, pełny głos, osiągając przez parę ostatnich taktów ton, którego nigdy dotąd nie udało jej się uzyskać bez trudu, utrzymała go i powoli ściszała. Kiedy powietrze wibrowało jeszcze od dźwięków, wykonała powolny ukłon, choć jej serce biło tak mocno, że prawie nie mogła złapać oddechu, i zmusiła się do zejścia z estrady nie oglądając się za siebie.

Peter czekał na nią za kulisami.

- Jestem z ciebie dumny jak żaden inny brat. - Podtrzymał ją, gdy ona próbowała przestać się trząść. - Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś gwiazdą?

- Nie jestem - udało jej się wyszeptać.

- Dla mnie jesteś. Będiesz gwiazdą dla wszystkich. Jesteś największą, najwspanialszą... czy ty wiesz, jak to brzmiało?

- Panno Lovell - odezwał się jeden z mężczyzn z pierwszego rzędu. - Czy można panią prosić? Chcielibyśmy z panią porozmawiać.

Elizabeth siedziała przy stole w jadalni i słuchała, jak Holly i Peter opowiadają Mai o przesłuchaniu. Upłynęło od tamtego dnia trzy tygodnie, powtarzali już tę historię dziesiątki razy, ale za każdym razem dodawali nowe szczegóły.

- Powiedzieli, że nie słyszeli jeszcze, żeby ktoś w jej wieku miał taki głos! - Peter wykrzyknął z takim samym podnieceniem jak wówczas, gdy wrócili z Albuquerque i oboje usiłowali opowiedzieć Elizabeth jak było. -

Oni przyjmują tylko czterdziestu praktykantów z całego kraju, zwykle osoby w wieku co najmniej dwudziestu lat, ale czasem robią wyjątki i to był wyjątek. Powiedzieli, że Holly ma doskonale perspektywy, że nie musi czekać na zawiadomienie i że zaczyna w czerwcu.

- To jak sen - powiedziała Maya.

- Lepiej - rzekł Peter. - Bo na jawie. Kiwnęła głową.

- Znaczy... że osiągnęłaś to, czego zawsze pragnęłaś.

- Jeszcze nie osiągnęłam - powiedziała Holly. - To dopiero początek. Dwa letnie sezony z operą, lata w konserwatorium muzycznym, potem może wrócę tu do opery... mnóstwo praktykantów tak robi, wracają i śpiewają w operze pomagając innym praktykantom, jak mnie.

Elizabeth słuchała rozentuzjasmowanej Holly, Petera rozprawiającego z dumą w głosie i Mai mówiącej z nutką zazdrości; od czasu do czasu proponowała, by zjedli *paellę*, nim całkiem wystygnie, ale poza tym przeważnie przysłuchiwała się rozmowie żałując, że nie było z nimi Matta, właściwie zła na niego, że go nie było. Wiedział, że Peter po raz pierwszy zaprosił do domu na kolację Mayę: była więc specjalna okazja. Ale w ostatniej chwili Matt zadzwonił, że nie da rady przyjechać, że się postara znaleźć czas w następną niedzielę, nawet jeśli to będzie tylko jeden dzień.

- Powiedz Mai, że mi przykro; Peter ma taką minę, jak o niej opowiada, że naprawdę nie mogę się doczekać, kiedy ją lepiej poznam. Może pojedziemy w niedzielę do Nuevo.

- Jeśli tu będziesz - odparła Elizabeth.

- Postaram się. Nawiasem mówiąc, szukałem dla nas domu; powinnaś zaplanować sobie przyjazd tutaj, żeby mi pomóc coś znaleźć

- Dobrze.

- Nie zdradzasz zbytniego entuzjazmu.

- Dużo żądasz ode mnie, Matt; rozczarowałaś dopiero co Petera i nas wszystkich.

- Byłem u was w zeszły weekend; świętowaliśmy triumf Holly. Robię, co mogę, Elizabeth. Tyle się tu dzieje; nawet Keegan nie miał urlopu.

Nie jest urlopem spędzanie weekendów z rodziną - pomyślała. Ale nie chciała się kłócić, zbyt wiele ich rozmów przez telefon kończyło się ostatnio kłótnią.

- Dobrze - odparła dziarsko. - Czekamy na ciebie w niedzielę.

- Kocham was wszystkich. I tęsknisz za nami?

- My też cię kochamy, Matt. I brak nam ciebie.

- To już nie będzie długo. Trzy miesiące. Holly zaśpiewała fragment „Małego dobosza”.

- To łatwe - powiedziała Mai. - Cały czas trzeba się trzymać rytmu werbli. Spróbuj.

Maya nieco skrepowana zanuciła razem z Holly, potem zaczęła śpiewać słowa.

Dołączył do nich Peter fałszując bez najmniejszego zażenowania. Elizabeth

uśmiechnęła się do trzech główek blisko siebie: platynowoblond Holly, czarna Mai i płomiennie ruda Petera - jak mozaika -pomyślała - jak moje obecne życie, w którym mieszają się zdarzenia, ludzie, emocje.

Pod pewnymi względami była jak nigdy dotąd zadowolona. Dzięki rozbudowanej przez Matta sieci prasowej jej rubrykę drukowało dwadzieścia pism i kupowało setki tysięcy nowych czytelników, adresowana do niej korespondencja nigdy nie była liczniejsza, a kiedy przychodziła do *Chieftaina*, dzwonili do niej bez ustanku czytelnicy z sugestiami, problemami prosząc o radę, chcąc się z nią sprzeczać na temat, na jaki akurat pisała, albo wyrażając pochwały.

Wreszcie robi to, na co naprawdę ma ochotę.

Po napisaniu fragmentu o Spencerze, zastanawiała się potem, czy dotyczyło to też Matta, ale czy jej samej to także nie dotyczyło? Przecież po raz pierwszy pisała w pełnym wymiarze czasu; traktowano ją poważnie jako autorkę artykułów prasowych, a nie gospodynię domową, która pisze dla zabawy w wolnych chwilach; zarabiała tyle, że mogła się utrzymać, nawet gdyby nie było Matta.

Ale gdyby nie było Matta, nie drukowano by moich artykułów w dwudziestu pismach.

I gdyby mnie tu nie było, *Chieftain* nie odnosiłby takich sukcesów i Keegan nie zatrudniłby Matta, a Matt nie nabyłby dwudziestu pism, w których zamieszcza się moje artykuły.

Elizabeth słuchała, jak młodzież śpiewa, czysty głos Holly niósł się wysoko przebijając nieśmiały głosik Mai i pełen animuszu, fałszujący głos Petera.

Taką byliśmy razem dobrą parą; taką dobrą spółką. Czy jemu tego nie brak, skoro mnie jest brak?

Na tym polegał cały problem. Wreszcie po długim oczekiwaniu robiła to, co zawsze chciała, ale nie mogła być usatysfakcjonowana, bo Matt tego z nią nie dzielił. Nie był już pod żadnym względem partnerami: ani w pracy, ani w małżeństwie.

I zdawało się, że on jest zbyt zajęty i zbyt dobrze mu się wiedzie, by to w ogóle dostrzec.

- Nieźle! - wykrzyknął Peter. - Jak na paru amatorów, którzy próbują dotrzymać kroku gwiazdzie Opery Santa Fe, wypadliśmy całkiem nieźle. Maya była dobra, ja śpiewam do bani.

- Wszyscy byliście dobrzy - powiedziała Elizabeth odpychając od siebie myśli.

Później się z nimi zmierzy, jak co wieczór, kiedy kładła się do łóżka sama, patrzyła na telefon obok, rozmyślała, w końcu decydowała - ostatnio coraz częściej - że nie zadzwoni do męża, bo mieli sobie bardzo mało do powiedzenia.

- Tatusz powinien nas słyszeć - powiedziała Holly. - To jedna z jego ulubionych pieśni.

- Czy jedziemy z nim w niedzielę do Nuevo? - spytał Peter.

- Powiedziałam wam, że tak, jeśli tu przyjedzie - odparła Elizabeth.

- Taak. Tylko byłem ciekaw, czy coś nie mówił, że zmienia plany.

- Jak na razie nie. Co chcecie na deser? Świeże figi? Zrobiłyśmy z Holly ciasto czekoladowe. - Usłyszeli dzwonek u drzwi. - Peter, czy możesz otworzyć? Holly, jeśli z Mayą sprzątniecie ze stołu, zaparzę kawę.

Za chwilę do kuchni z Peterem wszedł Saul.

- A niech to jasna cholera weźmie - zaklął Saul całując Elizabeth w policzek. - Przeglądałam sobie aktualny *Capitol Observer*, z tego tygodnia. I co ja widzę? Popatrz. - Podał Elizabeth tekst codziennej kroniki z działalności legislatury stanowej z jednym punktem zakreślonym na czerwono: dolina Pecos: park stanowy i zaporą w Nuevo. Przesłuchania komitetu 9-10 marca godz. 9.00.

Park stanowy i zaporą w Nuevo? - powtórzyła nie wierząc własnym oczom.

- Co? - spytały chórem Maya i Holly.

- Nie ma parku stanowego w Nuevo - powiedział Peter. - Ani zapory.

- Jeszcze nie ma - odparł Saul. - Wygląda na to, że ktoś ma taki zamysł. Maya ściągnęła brwi.

- Czy nam potrzebna zaporą?

- Dobre pytanie. A drugie pytanie: jak to się stało, że ja nic o tym nie wiem? Zwykle, zanim się zaczyną przesłuchania, przez jakiś czas do pisma napływają kilometrami dane i tyle się robi szumu wokół sprawy, żeby odnosiło się wrażenie, że nasi ustawodawcy lada chwila zniosą jajko. Natomiast tę sprawę tak wyciszono, że na mój dziennikarski nos coś tu źle pachnie.

- Ktoś chce to zachować w tajemnicy - zauważył Peter. Saul kiwnął głową.

- Na to wygląda.

- Zaporę buduje się po to, żeby utworzyć sztuczny zbiornik wody -stwierdziła Elizabeth. - Jezioro.

- Dokładnie po to - przytaknął Saul.

- Ale jeśli ktoś postawi zaporę na Pecos w Nuevo... Nie, no to jest niemożliwe. Tam przecież jest miasteczko.

- Może być dalej. Na dnie jeziora.

- Niemożliwe, żeby ktoś to zrobił! - zawołał Peter. - Nie można zatopić całego miasteczka! - Już kilka miasteczek leży na dnie jeziora, i stało się to w naszych czasach - powiedział Saul.

- Ale tam są domy - rzekła Maya dołączając do Petera. - Tam są farmy i bydło. Nie można tego zatopić!

- Bydła nie. Ktoś kupuje grunty z budynkami, ludzie zabierają dobytek i przenoszą się w inne miejsce.

- Gdzie? Mój ojciec ma tylko jedną farmę w Nuevo. Jak ktoś go może stamtąd wygonić?

- Maya - odezwała się Elizabeth. - Czy twój ojciec nadal posiada ziemię na własność?

- Och. - Nastąpiła długa przerwa. - Nie, oczywiście, że nie, zapomniałam, że kupił ją jakiś pan Ballenger. Ale to było ze dwa lub trzy lata temu! I od niego teraz dzierżawimy. Nigdy nie mówił, że chce tej ziemi; mamy umowę...

- Ballenger - zadumał się Saul. - Dwa lub trzy lata temu! Jak ma na imię?

- Nie wiem. Ale mamy...

- Terry - powiedziała Elizabeth. - Od nas też kupił ziemię.

- Ktoś inny tam jeszcze kupował grunty?

- Dwóch mężczyzn, jak mi powiedziano. Znasz ich nazwiska, Maya? Maya pokręciła przecząco głową.

- Może mój ojciec wie, aleja chciałam powiedzieć, że...

- Ile kupili?

- Ponad pół kotliny - odparła Elizabeth.

- Czy ktoś pozwoli Mai dokończyć? - zagrział Peter.

- Przepraszam, mów dalej - powiedział Saul.

- Mamy taką umowę, że Ballenger wydzierżawia nam ziemię z budynkami. Na dwadzieścia lat.

- Dwadzieścia lat? - powtórzył Saul. Kiwnęła głową.

- Mój ojciec w tym akurat czasie przejdzie na emeryturę, a ponieważ Ballenger zaproponował wysoką cenę i zgodził się, żebyśmy zostali, ojciec uważa, że zrobił dobry interes.

- Za dobry. - Saul odchylił do tyłu głowę i patrzył w sufit. - Moje starzejące się i cyniczne oczy widzą, że ktoś usiłuje przez legislaturę cichcem przepchnąć jakąś grubszą sprawę. Sam się teraz siebie pytam: po co? I jakim sposobem? Czuję, że coś tu mocno śmierdzi. Instynkt dziennikarski mi mówi, że bym poszedł na te przesłuchania.

Elizabeth spojrzała na zakłopotaną twarz Mai i oburzonego Petera.

- Pójdę z tobą - powiedziała. - Nic mnie nie powstrzyma.

Najpierw jednak pojechali do Nuevo. Maya przekazała ojcu nowinę, która się rozeszła po całej kotlinie. Kiedy Elizabeth i Saul przyjechali w niedzielę z Holly i Peterem, ale bez Matta, który w ostatniej chwili odwołał mimo wszystko swój przyjazd, ujrzeli ludzi zbitych w małe grupki, którzy głośno dyskutowali, wymachiwali rękoma, niektórzy chodzili w tę i z powrotem, inni stali z pochylonymi głowami rysując czubkami butów kółka w kurzu na drodze. Wszyscy przemieszczali się powoli w stronę starego kościółka, gdzie Cesar mocował się z ciężkimi drzwiami, próbując je otworzyć na oścież.

- Elizabeth! - krzyknęła Isabel, kiedy zobaczyła całą czwórkę. - Co, do diabła, się dzieje?

- Nie jesteśmy jeszcze pewni. Przyproceedziłam kogoś życzliwego, żeby nam pomógł. Saul Miligrim, sekretarz redakcji *Chieftaina*; Isabel Aragon; Cesar Aragon - przedstawiła ich Elizabeth.

Uścisnęli sobie ręce i Saul popatrzył na otwarte drzwi kościółka.

- Wygląda, jakby ktoś zwołał wiec.

- Ja zwołałam - odezwała się Isabel. - Chciałam, żeby to zrobił ojciec, ale on uważa, że jest za stary.

- Za stary, żeby się wdawać w walki - powiedział Cesar. Miał obszerną klatkę piersiową, szerokie ramiona, ciężkie brwi i gęste, opadające w dół wąsy. - Walczyć powinni młodzi. Starzy i zmęczeni powinni pomagać, ale na zapleczu. - Isabel wzruszyła ramionami.

- Próbowałam go namówić. Ale się uparł.

- Namówić do czego? - spytała Elizabeth.

- Żeby poruszył całe miasteczko. Saul, miło mi pana poznać, Elizabeth mi o panu mówiła. Może powinnam pana zaprosić, żeby pan u nas wygłosił przemówienie. Czy można będzie? Żeby nam pan powiedział, co się dzieje w tym pańskim stołecznym mieście.

- Nie tylko moim, ale i pani - odparł Saul. - Ale ja nie jestem publicznym mówcą.

- Saul, im są potrzebne informacje - odezwała się Elizabeth. - Wiesz, że ludzie w ciemności czują się bezradni. Proszę, pomóż im.

- Chce pani tylko informacji? - spytał Saul Isabel. - A nie chcecie przywódcy z dużego miasta?

- Informacji - odparła Isabel.

Elizabeth przyjrzała się badawczo przyjaciółce.

- Chyba ludzie w Nuevo już mają przywódcę. Isabel rozłożyła ręce.

- Ktoś musiał się tego podjąć. Zobaczymy się w środku. Usiądź w pierwszym rzędzie, jeśli będą miejsca.

- Saul, pomożesz im? - poprosiła Elizabeth. - Po prostu powiedz im, co się prawdopodobnie wydarzy. Możesz to potem zamieścić w artykule, który napiszesz.

- Żeby pisać, trzeba być bezstronnym obserwatorem.

- Będziesz bezstronny potem. Pomyśl o nich, nie o sobie. Będziesz miał materiał na artykuł. Jak chcesz, zrobię za ciebie notatki, kiedy będziesz do nich przemawiać.

Popatrzył na nią z zaciekawieniem.

- To oni są dla ciebie tak ważni?

- To są moi przyjaciele. A ty, tak jak ja, nie lubisz być świadkiem cudzej krzywdy. Kiwnął głową w zamyśleniu.

- Elizabeth, ludzie z kłopotami małżeńskimi mają skłonność rzucać się do walki o cudze sprawy. Bądź ostrożna.

- Ty nic nie wiesz o moim małżeństwie, Saul.

- Akurat. Masz to wymalowane na twarzy. Słuchaj, ja ci wcale nie mówię, żebyś się wykrciła plecami do przyjaciół; mówię, że mogłabyś sobie oszczędzić trochę energii życiowej, żeby rozwiązać własne problemy. Taka jest moja przyjacielska rada, nic więcej.

Wszedł do środka. Elizabeth powoli dołączyła do niego. Holly i Peter z Mayą, Luz i Cesar już byli w środku. Isabel stała przy pulpicie. Ubrana w długą spódnicę z niebieskiego dzinsu i białą bluzkę ściągniętą sznureczkiem na szerokiej szyi, z włosami splecionymi w warkocz; silna kobieta o królewskiej postawie i mocnym głose. Poczekala, aż wszyscy zajmą miejsca. Słońce słabo przeświecało przez nie myte okna; drewniane ławki były pokryte grubą warstwą kurzu. Elizabeth policzyła osiemdziesiąt osób, ale jeszcze wchodzili inni, gdy Isabel zaczęła mówić.

- Zrobiliśmy obrachunek. Trzy czwarte farmerów sprzedało ziemię. Z centrum nikt nie sprzedał. Nie wiemy, kto jest właścicielem tego kościoła ani gruntu, na którym stoi. Nie wiemy, co się dzieje w legislaturze stanowej. Niektórzy z zebranych tutaj są jeszcze właścicielami ziemi, inni ją dzierżawią, ale teraz wynikła tu sprawa zapory - ewentualnej zapory - która spowodowałaby zatopienie części kotliny. No, więc ja nie zamierzam czekać z założonymi rękami, aż ktoś wyleje kilka milionów albo więcej litrów wody na mój dom i ziemię, ale nawet nie wiem, do kogo mam mieć o to pretensje. Jest tu z nami człowiek, który może nam o tym powiedzieć coś więcej. - Wyciągnęła rękę do Saula - i chciałabym go wam przedstawić: Saul Miligrim, dyrektor *Chieftaina* w Santa Fe.

Saul spojrział na Elizabeth. - Dyrektor?

- Niech tak myślą - powiedziała ściszym głosem. - To przecież prawie że prawda, nie? Uśmiechnął się i dotknął jej dłoni, po czym podszedł do pulpitu.

- Faktycznie wcale nie wiem więcej niż wszyscy tu zebrani. - Zwrócił się do osób wpatrujących się w niego z nateżeniem. - Próbowałem zdobyć wczoraj informacje, ale w sobotę nie ma nikogo w gmachu legislatury. Proponuję, jeśli to coś pomoże, żeby pohamować gniew, dopóki nie poznamy przeciwnika i jego planów dotyczących kotliny. Wydaje mi się, że należałoby wysłać kogoś w przyszłym tygodniu na przesłuchania, kto reprezentowałby mieszkańców kotliny, z kopiami aktów dzierżawy i pismem, w którym należy wyliczyć trudności, jakie będą się wiązać z koniecznością wyprowadzenia się, a także z pytaniami: ile trzeba będzie zapłacić za kupno ziemi i domów gdzie indziej, ile wyniesie koszt przeprowadzki całego dobytku i tak dalej. Należy żądać w najgorszym wypadku odroczenia decyzji; zostaliście zaskoczeni tą wiadomością i należy się wam więcej czasu na zbadanie sprawy, abyście mogli właściwie zareagować i mieć udział w ostatecznej decyzji. Jeśli potrzeba państwu pomocy w uzyskaniu informacji, zrobię, co będę mógł. -Rozejrzał się. - To wszystko jak na razie.

- Żadnych propozycji - mruknął Cesar.

- Jak to, jest - powiedziała Isabel. Wstała. Jej głos zadźwięczał w całym kościele. - Deleguję Cesara Aragona, aby pojechał do Santa Fe i pokonał tych wszystkich, którzy chcą zatopić naszą kotlinę.

Cesar potrząsnął głową.

- Już powiedziałem, że nie zrobię tego. Jestem za stary, żeby się tym zajmować. Isabel powinna pojechać.

- Oddeleguj ją - szepnęła Elizabeth mu do ucha. Skoczył na równe nogi.

- Deleguję Isabel Aragon, aby nas reprezentowała w Santa Fe i pokonała każdego łajdaka, który chce zatopić naszą kotlinę.

Wszystkie kobiety wykrzyknęły.

- Tak! - Utkwiły wzrok w mężczyznach i mężczyźni przytaknęli.

- Czy to głosowanie? - spytała Isabel.

- Jednogłośnie - powiedział Saul. - Jesteś przywódcą.

- No, dobrze. - Isabel popatrzyła na swoich sąsiadów. - Nie mam pojęcia, czego ja tam dokonam, ale obiecuję, że będę działać ostro.

Ktoś zaklaskał, inni się dołączyli. Gromkie brawa odbiły się echem po całym kościele. Isabel spojrzała na Elizabeth i roześmiała się.

- Oj, bo się jeszcze do tego przyzwyczaję.

Elizabeth też się roześmiała, ale oczy miała poważne. Wtedy przechylił się w ich stronę Peter.

- Czy mogę też pójść na przesłuchania? Maya też chce iść.

- Ja myślę, że oboje powinniście być w tym czasie w szkole - odparła Elizabeth. -

Wszystko wam opowiem. A Saul napisze artykuł.

W ostatnim rzędzie Luz szepnęła do Holly.

- Wolałabym, żeby moja mama niczego nie robiła. Jeśli zatopią to miejsce, to byśmy się stąd wynieśli z kupą pieniędzy. Dlaczego ona tego nie zostawi w spokoju?

Nikomu nie zależy na jakiejś starej kotlinie. Pieniądze są o wiele ważniejsze.

- Ciii - powiedziała Holly. - Ktoś cię usłyszy.

Ale nikt nie słuchał; ludzie wychodzili z kościoła pograżeni w rozmowie. Elizabeth poczekała na Saula i wyszli razem.

- Szkoda, że nie mogłeś im powiedzieć niczego konkretnego - zauważyła.

Potrząsnął głową.

- Cholerna sprawa. Wszystko utajnione. Kimkolwiek by był Ballenger i spółka, są kryci.

- Spotkamy ich na przesłuchaniach.

- Nie mogę się doczekać.

W drodze powrotnej do Santa Fe nikt się nie odzywał. Raz Holly powiedziała.

- Cały czas mam przed oczami te domy i farmę na dnie jeziora...

- Jak duchy - dodał Peter melancholijnie. - Pokoje zalane wodą, rzeczy pływają...

Holly zadrżała.

- To okropne. I nasza działka, którą dopiero co mama kupiła... Znow zamilkli, dopóki Saul nie zatrzymał się przed ich domem.

- Do zobaczenia w środę w gmachu legislatury - pożegnał się z Elizabeth. Jej uwagę zaprzętnęło jednak coś w głębi posesji, za murem, przy drzwiach frontowych do domu. Saul też zwrócił wzrok w tamtą stronę; również Holly i Peter spojrzeli.

- Tony! - radośnie wykrzyknęła Holly i wyskoczywszy z samochodu popędziła zwirowaną aleją. Peter bez pośpiechu poszedł jej śladem.

Saul zwrócił się do Elizabeth.

- Miła niespodzianka?

- Skomplikowana. - Wyszła z auta i pochyliła się, by pocałować Saula w policzek. - Dzięki za podwiezienie mnie. Do zobaczenia w środę.

Tony z uwagą przypatrywał się promiennej twarzy Holly, gdy mu opowiadała o przesłuchaniu.

- Jeszcze wystąpisz w moim programie - zbliżając się do nich Elizabeth usłyszała obietnicę. Podszedł do niej. - Droga Elizabeth, jak cudownie znow cię widzieć. W jego wzroku malowała się otwartość i podziw, jak u niewinnego chłopca. Wytworny, przystojny, o srebrzystych włosach i ciemnych oczach, ubrany w krótki kożuszek, pod spodem ciemny półgolf. - Stuprocentowy gwiazdor - pomyślała Elizabeth. Ale jego spojrzenie miało wyraz, który sprawił jej przyjemność, i nagle uświadomiła sobie, że nie licząc Saula nie przebywała w męskim towarzystwie od ostatniej wizyty Matta dwa weekendy temu, ale nawet wtedy Matt godzinami pracował w *Chieftainie*, załatwiał sprawy przez telefon i dyktował listy.

- Zostań na kolacji - powiedziała.

- Miałem nadzieję, że uda mi się ciebie gdzieś zaprosić. Od tak dawna nigdzie nie byliśmy razem.

- Chętnie. - Elizabeth spojrzała na Holly i Petera. - Wy macie do odrobienia lekcje, prawda?

- Wiesz, że tak - odparła Holly ze złością.

- Jaki masz problem? - spytał Peter.

- Żaden. - Pochyliwszy głowę Holly odezwała się do Elizabeth. - Przepraszam. Chyba... wolałabym wyjść z tobą niż odrabiać pracę domową.

- W porządku, kochanie - łagodnie odparła Elizabeth. - Przepraszam, że poczułaś się, jakbym ciebie pominęła. W lodówce jest *paella*...

-- Poradzimy sobie - zapewnił Peter. Zmarszczył brwi próbując zrozumieć, o co chodzi siostrze.

- Muszę wziąć prysznic i się przebrać - powiedziała Elizabeth Tony'emu.

- Tymczasem będą mnie zabawiać Holly i Peter - zaproponował. Elizabeth poszła do sypialni zostawiając ich w trójkę w kuchni. Kiedy wróciła, Peter kroił pomidory, Tony pił scotcha, a Holly odpowiadała mu na jego pytanie, jak się robi *paellę*.

- Trzeba mieć kurczaka, kielbasę, krewetki, małe, ryż, szafran, pomidory, cebulę, chili... Mógłbyś zostać na kolacji. Mamy tu pełno wszystkiego.

- Innym razem. - Tony spojrział na wchodzącą Elizabeth i na jej widok zaniemówił z wrażenia. Dzinsy i koszulę khaki zamieniła na suknię z białej ręcznie tkanej wełny, do której założyła naszyjnik z płatków skamieniałego drewna tak wypolerowanych, że błyszczały jak agaty. Jej twarz okalały długie włosy, oczy w świetle kuchennego żyrandola miały odcień dymnej szarości. - Elegancka dama - powiedział Tony. - Czy może być Rancho Encantado? Zarezerwowałem stół.

Krótko się zawahała; tę restaurację szczególnie lubili z Mattem. No, ale w końcu to tylko restauracja.

- Jasne - odparła i pocałowała Holly i Petera na pożegnanie. - Nie wrócę późno. Gdyby ktoś dzwonił... - zamilkła.

- Tak? - bystro spytała Holly.

- Powiedz tylko, że wrócę gdzieś o dziesiątej. Niech wam smakuje kolacja.

Gdy drzwi frontowe zamknęły się, Peter powiedział do Holly.

- Co o tym myślisz?

- O czym?

- O mamie i Tonym. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy zadzwonić do taty i mu powiedzieć.

- Nie ma o czym mówić! - zawołała Holly i wybuchnęła płaczem.

- Co ci dolega? - zapytał Peter ostrym tonem.

- Nic! - Za chwilę otarła łzy i pociągnęła nosem. - Dlaczego nie na-kryjesz do stołu? Ty nigdy nie pomagasz!

- Jeejku - mruknął Peter i zaczął wyjmować talerze i szklanki z szafki obok stołu śpiewając przy tym jedną z piosenek z repertuaru Holly; fałszował każdą nutę i nucił melodię w miejscach, w których nie pamiętał słów.

- No dobrze - powiedziała Holly, gdy znów otarła łzy. - Przepróś mnie; lepiej z tobą rozmawiać, niż słuchać, jak śpiewasz. Dzięki - dodała stawiając na stole *paellę*. - Już mi jest dobrze. Zdaje się, że byłam zdenerwowana tym wszystkim... Zatopieniem Nuevo i w ogóle...

- W porządku - powiedział Peter. Nałożył sobie furę jedzenia na talerz. -No więc jesteśmy przy stole, rodzina Lovellów. Mało nas, ale trzymamy się dzielnie. - Podniósł do góry szklankę z wodą sodową. - Na zdrowie.

Tony wziął dłoń Elizabeth i ucałował w zagłębienie.

- Tęskniłem za tobą. Jak zwykle. Odsunęła rękę, aby podnieść szklankę z wodą.

- Czy jesteś w drodze powrotnej z Los Angeles, czy tam jedziesz?

- Jadę. Wracam z Houston. Od razu podniosła wzrok.

- Widziałeś Matta?

- Wczoraj wieczorem. Był u mojego ojca na kolacji. Bardzo z Matta i zajęty człowiek. Spotyka polityków, kupuje tytuły prasowe, pisze artykuły

wstępne... I we wszystkim jest dobry. Mój ojciec wynosi go pod niebiosa.

I to cię trapi - pomyślała Elizabeth. - Ty i Keegan od lat się nie rozumiecie, ale mimo to chciałbyś, żeby wynosił pod niebiosa ciebie, nie Matta.

Teraz już rozumiała, dlaczego Tony przyjechał do Santa Fe; wiedział, że i Matt spędza weekendy w Houston.

- Przyjeżdża w następny weekend - powiedziała - a w czerwcu przeprowadzamy się do Houston, zaraz jak Peter skończy szkołę.

- Ach tak? - Otworzył kartę z menu. - Co tu dają dobrego?

- Wszystko.

Kiedy wybrali dania, Tony zaczął opowiadać o Los Angeles, o swoim programie, o podróżach.

- Nagrywałem wywiady w najokropniejszych miejscach. Czy wyobrażasz sobie, co to jest siedzieć obok Sfinksa? A masz pojęcie, jak się szczeka zębami w lutym w Quebecu? Potem byłem w łodzi podwodnej gdzieś u jakichś wybrzeży, gdzie dostałem klaustrofobii i żeby skończyć wywiad z aktorem, który udawał kapitana tej zanurzonej w wodzie trumny, musiałem sobie wlać do gardła pięć kieliszków martini, i dopiero wtedy mogłem się zadowolić we własnym łóżku i czuć, że to potworne miejsce to tylko zły sen...

Elizabeth parsknęła śmiechem. Z ciekawości zapytała.

- Nigdy nie opowiadasz o ludziach, z którymi przeprowadzasz wywiady?

- Wiesz co, to dziwne, ale ledwo ich pamiętam. Zamazują mi się, wszyscy mówią o tym samym: o seksie i pieniądzach. Czy to sukces w filmie, na Broadwayu, w projektowaniu mody, budowie domów, to zawsze mówią o tym samym, niezależnie od branży. Forsa i seks. Forsa, sukces i seks. Nie zauważyłaś, że słowa „seks” i „sukces” mają podobne brzmienie? Spróbuj powiedzieć dziesięć razy „seks”, „sukces”, szybko. Śmiejesz się. Ale większość sławnych osób, z którymi przeprowadzam wywiad, powtarza te dwa słowa dwadzieścia albo sto razy, szybko i z sukcesem. Sekscsem. No i masz. Złożyłem je w jedno jak jeden z moich rozmówców.

Uśmiechnęła się.

- Zauważyłam, że ciebie też to interesuje.

- Tak. Przyznaję się. Niemniej jednak - jego twarz posmutniała. - Mam ostatnio dużo sukcesów, ale mało sekscsemów. - Poczekał chwilę. - Nie pytasz czemu. Powiem ci to jednak. Bo ciągnie mnie tylko do jednej kobiety. Chodzę samotny po moim domu i szukam jej. - Elizabeth - cicho nawołuję, ale nie przychodzi. Podnoszę głos. - Elizabeth, chodź tu! - wołam, ale nadal jej nie widać, więc zaczynam krzyczeć...

- Nie krzyczysz, ale to wzruszające, co mówisz. Myślałam już, że wyrosłeś z aktorstwa.

- Zasadniczo tak. Ty wyzwalasz we mnie moje najlepsze cechy. Przypomniało mi się: z przyjemnością czytam twoje artykuły. Czekam na nie. Pisziesz coraz lepiej.

- Miło mi. To dla mnie ważniejsze, niż teatr, który tu odstawiasz.
- Ja nie gram. Mówię ci prawdę. Czasem, kiedy się czuję wyjątkowo samotny w moim domu w Malibu, który jest jak mauzoleum, wyjmuję twoje artykuły z szafki przy łóżku i wyobrażam sobie, że leżysz obok mnie...

- Dość, Tony. Rozłożył ręce.

- Jak sobie życzysz. Naprawdę o tobie myślę. Zapytaj którejkolwiek z moich znajomych, które są ciekawe, kto to taki jest na fotografii, która stoi przy moim łóżku.

Z ulgą się roześmiała.

- To już lepiej. Bałam się, że zostałeś mnichem.

- Terapia, droga Elizabeth; mężczyzna musi mieć komfort. - Zlustrował potrawę na talerzu, który przed nim postawiono. - Wszystko w tym domu jest nowe; nie mógłbym ścierpieć samotności w starym wnętrzu. Ale moja willa w Amalfi jest cała w antykach, lekko zmurszałych, ale lśniących od pasty do polerowania mebli. Przypomina jakąś wiekową ciotkę, o której myślało się, że nie żyje od lat, a która nagle przychodzi z wizytą, odmłodziła po operacji plastycznej.

Elizabeth parsknęła śmiechem.

- Ale ty nie jesteś sam w Los Angeles i nie jesteś też sam we Włoszech.

- To prawda - przyznał. - Nie znoszę samotności. Nie mogę ścierpieć echa własnego głosu i kroków... czuję się pusty. Niewidzialny.

- A więc ludzie to lustro, w których się przeglądasz i dzięki temu czujesz się żywy. Popatrzył na nią z podziwem.

- To bardzo inteligentne. Mogłabyś napisać artykuł na ten temat: ludzie, którzy się czują żywi tylko wtedy, kiedy się odbijają w oczach innych ludzi.

- Chcesz, żebym napisała o tobie?

- Nie możesz. Jestem zbyt sławny i nie nadaję się do „Spraw prywatnych”.

- Niestety. Ale jeśli kiedykolwiek będę się zajmował również ludźmi sławnymi, którzy się czują niewidzialni, to ty będziesz pierwszy.

- Nie czuję się niewidzialny z tobą. Z tobą się czuję mocny, mam władzę.

- Władzę?

- Bo cię rozśmieszam.

- I dlatego lubisz moje towarzystwo - stwierdziła Elizabeth. - Każdy mężczyzna chce władzy.

- Lubię twoje towarzystwo, bo jesteś urocza, piękna i pełna życia. Przy tobie tacy zharowani gwiazdorzycy telewizyjni jak ja czują się młodo.

- Nie jesteś zharowany. Jesteś zmęczony chodzeniem za błędnymi ognikami.

- Masz na myśli Elizabeth Lovell, żonę Matthew Lovella, która na zawsze jest dla mnie nieosiągalna?

- I inne, jak się zdaje. Niemożliwe, żebyś chodził tylko za mną.

- Tylko za tobą. I nie jesteś dla mnie nieosiągalna, droga Elizabeth. Dlatego jestem tutaj i zalecam się do ciebie.
 - Do zalotów trzeba, żeby było dwoje, Tony. Ja chcę się tylko przyjaźnić i bawić.
 - Jak na razie.
 - Znowu robisz teatr. Masz tyle innych kobiet, Tony, masz pracę. Czy praca nie daje ci radości? I satysfakcji?
 - Czy pisanie daje ci satysfakcję?
 - Często. Ale mówimy o tobie.
 - Dobrze, pomówimy o mnie. Czy moja praca daje mi radość? Oczywiście. Pomijając Sfinksa i łódź podwodną, uwielbiam ją, zwłaszcza zaś władzę, jaką mam nad ludźmi, którym zadaję takie pytania, że aż się zzymają, ale mi na nie odpowiadają i gotowi są mówić, bo wielomilionowa publiczność jest dla nich ważniejsza niż poczucie własnej godności i prywatność. Ale czy wiesz, który moment kocham najbardziej? Kiedy się włącza czerwone światelko na kamerze, oznaczające, że jestem na wizji.
 - I nie jesteś wtedy już Tonym Rourke - zauważyła Elizabeth. - Ale słynnym „Anthonym”, którego oglądają miliony widzów. Miliony lusterek, dzięki którym czujesz się żywy. I ważny, gdy cię kochają i oklaskują.
 - Najdroższa Elizabeth, czy ty się ze mnie nabijasz?
 - Nie - odparła poważnie. - Wszyscy potrzebujemy miłości i aplauzu.
 - Dobrze, to daję ci jedno i drugie: Kocham Elizabeth Lovell, oklaskuję „Sprawy prywatne”. Czy wiesz, że zjedliśmy pstrąga i nie mam najmniejszego pojęcia, jak w ogóle smakował?
- Zaśmiała się.
- Zamówimy dokładkę?
 - Szkoda wielka, lecz nie. Kamera telewizyjna pokazuje każdy funt nadwagi. Ale od czasu do czasu wolno mi pozwolić sobie na deser. - Pomachał na kelnera i zamówił szarlotkę z rumem, następnie kawę z koniakiem. Podowcipkowali, powspominali, było im ze sobą dobrze i ciepło, aż świece na ich stole prawie całkiem się wypaliły. Wtedy Elizabeth uświadomiła sobie: - Bawię się doskonale, najlepiej od miesięcy.
 - Powiedz mi coś o kolacji u Keegana - odezwała się zniecka. - O czym rozmawialiście?
 - O polityce. - Tony obserwował kelnera, jak mu ponownie nalewa kawy do filiżanki. - Mój ojciec sądzi, że powinienem się teraz zająć polityką. Powiedziałem mu, że nie potrzebuję nowego zajęcia i odpowiada mi telewizja.
 - Czy Matt sądzi, że powinieneś się zająć polityką?
 - Nie rozmawialiśmy o tym. Widzieliśmy się tylko przy kolacji, było tam dużo ludzi. Och, rozmawiałem przez parę chwil z kimś, kto cię zna; spotkałem go w redakcji wiadomości „Recorda”. Pojechałem oddać Chetowi

samochód, bo nim jeździłem, i akurat rozmawiał z kimś, kto u ciebie pracował. Artner. Coś jak Artner.

- Cal? Cal Artner w Houston? Z Chetem?

- Tak, to on. Mówił, że pracował w *Chieftainie* na początku, jak go kupiliście. Parę miesięcy temu Chet spotkał go w redakcji pisma, które Matt kupił w Roswell od faceta o nazwisku Graham, i sprowadził go do Houston. Świat jest mały.

- Tak. - Elizabeth przypomniała sobie moment, kiedy po raz ostatni widziała Calą. Opróżnił swoje biurko po tym, gdy go Matt wyrzucił z pracy. Cal i Chet. - Czy Matt wie, że tam pracuje Cal?

- Nie mam pojęcia. A powinien?

- Chyba tak. Powiem mu. Co jeszcze robiłeś w Houston?

- Spotykałem piękne kobiety i myślałem o tobie. - Pochylił się. - Czy możemy porozmawiać o tobie? Wszystko, co wiem, to to, że piszesz fantastyczne artykuły prasowe o ludziach, których bym chętnie poznał. Co poza tym porabiasz?

- Och, jestem zajęta w równym stopniu co Matt - odparła. - Będę uczestniczyć w batalii o uratowanie miasteczka.

- Miasteczka? Ktoś chce je zniszczyć?

- Zdaje się, że ktoś chce postawić zaporę i je zatopić.

- A ty chcesz je przed tym uchronić, żeby o tym potem napisać?

- Chcę je uchronić przed zagładą, bo mieszkają tam moi przyjaciele. Nie wszystko się robi dla pieniędzy, Tony.

Odchylił się, świdrując ją wzrokiem.

- Elizabeth samarytanka. Pierwsza, z jaką w ogóle miałem do czynienia.

- Nie jestem samarytką. Powiedziała ci: pomagam przyjaciołom.

- Cokolwiek by to było, brzmi rozrywkowo. Czy mogę się w to włączyć?

- Jak?

- Nie mam pojęcia. Wymyśl coś. Zrobię, co każesz.

- Dobrze, jeśli coś wymyślę. Jeszcze nie wiemy, co się stanie.

- Cóż, podoba mi się to na oko. Lepsze to od Sfinksa i zimy w Quebecu. Wszyscy twoi przyjaciele są moimi przyjaciółmi.

- Ostrzegam: faktycznie mogę cię do tego zaangażować.

- Moja droga. Zawsze szukam sposobów, żeby uciec od nudy i samotności. Jeśli przy okazji mogę ci pomóc, to byłoby jak w raj. Proś mnie o pomoc: wykorzystaj moje wielkie możliwości. Cokolwiek ci leży na sercu, mnie też leży na sercu.

Wypijemy na tę intencję? - Podniósł do góry kieliszek z koniakiem. - Za Elizabeth. I za Tony'ego: jej najbardziej lojalnego pomocnika.

Była prawie pierwsza w nocy, gdy Matt odebrał telefon. Elizabeth wykrecała do niego od jedenastej, odkąd się pożegnała z Tonym.

- Myślałam, że znów jesteś w delegacji - powiedziała, gdy usłyszała w słuchawce jego głos.

- Byłem na długiej i nudnej kolacji - odparł.
- Masz zmęczony głos.
- Jestem wykończony. Miałem cholerny tydzień. Zmieniamy szatę graficzną gazety w Phoenix, to znaczy dajemy nowy krój pisma, nowy układ typograficzny...
- Wiem, co to znaczy zmiana szaty graficznej, robiliśmy to w *Chieftainie* jeśli pamiętasz. '

Cisza po drugiej stronie.

- Gdybym miał chęć na kłótnię, tobym powiedział, że to złośliwa uwaga
- Tak. Przepraszam, Matt. To dlatego, że często mam wrażenie że zapominasz, kim jestem, albo chociaż o tym, co kiedyś robiliśmy wspólnie.
- Nie zapominam. Jeśli wyjaśniam znaczenie różnych rzeczy, to dlatego, że co dzień, dzień w dzień muszę wszystko wyjaśniać i tłumaczyć. Niewiele jest w moim otoczeniu osób, z którymi mogę rozmawiać jak z tobą.
- A z Keeganem?
- On się nie zna na wydawaniu prasy. Nie udaje, że się zna. Gdyby się na tym znał, toby mnie nie potrzebował. Widziałem twojego znajomego Tony'ego, nawiasem mówiąc. Był wczoraj wieczorem na kolacji u Keegana, mówił, że zostanie senatorem. Myśli, że powinien zmienić zajęcie i zostać teraz politykiem.
- Kto co myśli?
- Powiedziałem: Tony. Zgaduję, że chce mieć coś na czarną godzinę. Mówi, że popularność gwiazd telewizyjnych nie trwa w nieskończoność i dlatego ci sprytni mają w rezerwie coś innego na przyszłość. Drugą karierę Z czego się śmiesz?
- To miało zupełnie inny sens, kiedy sam mi o tym mówił.
- Dzwonił do ciebie? Dziś? Elizabeth zawahała się.
- Był tu. Poszliśmy do restauracji.
- Poszliście do restauracji. A gdzie jest teraz?
- Słucham?
- Zapytałem: gdzie jest teraz?
- Słyszałam twoje pytanie - powiedziała zimnym tonem. - Wolałabym żeby nie padło. '
- Nie mów do mnie takim tonem!
- Dlaczego? Ty mi zadajesz obraźliwe pytania...
- Na które nie odpowiedziałas. Odetchnęła głęboko.
- Jest w La Fonda, na pewno śpi jak suseł, bo wcześniej rano leci do Los Angeles. Mówiąc o śnie, jestem bardzo zmęczona. Dobranoc, Matt...
- Do licha, nie odkładaj słuchawki, myślisz, że cię obraziłem...
- Wiem, że mnie obraziłeś. Jeśli myślisz, że śpiam z Tonym, to powiedz to. Już to przerabialiśmy parę lat temu, pamiętasz? Oskarżasz mnie, że śpiam z Tonym, jakby to tłumaczyło, skąd się biorą nasze problemy. Ale to me na tym polega. Nie musiałam ci mówić, że Tony przyjechał; mogłam ci

powiedzieć, że rozmawiałam z nim przez telefon, albo w ogóle mogłam ci o niczym nie mówić. Aleja cię, Matt, nie okłamuję, i wiesz o tym. No, a teraz naprawdę jestem zmęczona...

- Dobrze już. Przepraszam - powiedział. - Miałem cholerny tydzień, ale już ci to mówiłem, prawda? Nie odkładaj jeszcze słuchawki, chcę cię o coś zapytać. Miałem właściwie dzwonić jutro w tej sprawie. Są tu dwa domy, które chciałbym, żebyś obejrzała; będę przez cztery dni w Nowym Jorku...

- Jedziesz tam na weekend?

- Prawdopodobnie tak. Nic się na to nie da poradzić. Ale chcę, żebyś tu przyjechała na środę i czwartek. Odwołam wszystko inne, abyśmy mogli być razem; obejrzymy domy, pojedziemy zwiedzić Galveston i pospacerujemy po plaży, zjemy kolację w Wentletrap. Elizabeth? Słuchasz, co mówię?

- Tak. Matt, ja nie mogę przyjechać w środę.

- Możesz tak sobie zaplanować pracę, żeby wykroić czas na wyjazd na dwa dni. Jeśli ja mogę odwołać terminy dziesięciu spotkań z okładem, to ty też możesz skorygować plany.

- Nie o to chodzi. Idziemy z Saulem do gmachu legislatury na przesłuchania w sprawie Nuevo. Coś tam się dzieje takiego, że...

- Saul może ci powtórzyć, co było, wcale tam nie musisz być osobiście.

- Chcę tam być.

- Bardziej niż przyjechać do Houston.

- Jeśli przyjadę do Houston, to przyjedziesz do domu na weekend?

- Czy się bawisz ze mną w licytację? Mówiłem ci, że muszę być w Nowym Jorku.

- A ja chcę, tak bardzo jak ty chcesz być w Nowym Jorku, być na przesłuchaniach.

- Do diabła! - Usłyszała, jak głęboko odetchnął. - Przepraszam. Cały czas dziś to mówię, prawda? Słuchaj, przemyśl tę środę. Możesz mi dać znać jutro.

- Lub pojutrze?

- Jeśli zadzwonisz wcześniej. Potrzebami trochę czasu, żeby poprzestawiać plan zajęć. - Nie odpowiadała, co go wytrąciło z równowagi. - Ja mam pracę. Ty masz pracę. Dopóki rodzina się nie połączy - i nawet potem - musimy się dostosowywać do rozkładu naszej pracy zawodowej, wiesz o tym. Przecież i tak na pierwszym miejscu jest praca, nawet jak jesteś z Holly i Peterem, prawda?

- Znowu ich nie zobaczysz przez następny tydzień.

- Jak tobie, tak i mnie to nie odpowiada.

- Ja nie myślę o sobie. Myślę o nich.

- Na miłość boską...

- Matt, idę spać. Porozmawiamy później.

- Zadzwoń jutro. - Spróbuję.

- Elizabeth, czy mnie słyszałaś? Chcę, żebyś do mnie jutro zadzwoniła.

- Dobranoc, Matt.

Odłożyła słuchawkę. Nie powiedzieli sobie: Kocham cię. Nie powiedzieli sobie: tęsknię za tobą. I zapomniała nadmienić o Calu Artnerze. Zadzwoń jutro. Jeśli będę mieć czas.

W niedzielę po przesłuchaniach mieszkańcy Nuevo znów się zebrali w kościele. Wielu usiadło na tych samych miejscach co poprzednio; Elizabeth, Peter, Maya, Holly, Luz i skrzywiony Cesar w pierwszym rzędzie, a Isabel i Saul stanęli przy pulpicie.

- Poprosiłem Isabel, żeby mi udzieliła głosu, zanim sama zacznie mówić - odezwał się do wszystkich Saul. - Isabel będzie przepraszać, że nic nie wskórała. Było to niemożliwe. Tak jak przyrzekła, była stanowcza, właściwie to zrobiła duże wrażenie, nawet mimo to, że nie miała czasu przygotować się do wystąpienia. Ale jestem przekonany, że to nie miałyby i tak znaczenia: oni już zdecydowali. Wszystko już było ukartowane wcześniej.

Elizabeth, jak za pierwszym razem, robiła notatki. W pamięci stanęła jej przegrzana sala, znudzone twarze członków Komitetu ds. Użytkowania Gruntów i Rekreacji, którzy się wiercili, coś zapisywali i szeptali między sobą podczas przemówienia Isabel. Kiedy skończyła, podziękowali jej za zwięzłe wystąpienie; następnie zabrał głos Terry Ballenger, a po nim Thaddeus Bent, przewodniczący Komitetu, który przedstawił wyniki ekspertyz dotyczących środowiska naturalnego, ośrodków rekreacyjnych, parków stanowych, konserwacji zasobów wodnych i zatrudnienia. Przygotowywano je i opracowywano od czterech lat.

- Od czterech lat! - Saul z wściekłością wyszeptał do ucha Elizabeth. - A myśmy nic o tym nie wiedzieli. Co znaczy, że wpakowali nas do jednego worka z innymi parkami stanowymi. Dlaczego trzymali w tajemnicy? Nieważne - dodał. - Znam odpowiedź. Dopóki to było tajemnicą, nikt inny nie interesowałby się terenami w okolicy Nuevo, dlatego Ballenger i spółka mogli tam kupić co chcieli. Ale chciałbym wiedzieć, po co ten Komitet miałby im w tym pomagać wyciszając sprawę. I kto, do diabła, stoi za Ballengerem i spółką.

Stojąc obok kościelnego pulpitu Saul popatrzył na mieszkańców miasteczka siedzących w ławkach.

- Isabel więcej zrobić nie mogła. Obroniła waszą godność. Pamiętajcie o tym. - Zakończył. Jego miejsce zajęła Isabel.

- Więc tak się rzeczy mają. - Obiema dłońmi uchwyciła się boków mównicy; oczy jej płonęły. - Komitet postanowił, że park stanowy i sztuczny zbiornik wodny, służący kontroli przeciwpowodziowej i rekreacji byłby korzystny dla całego stanu. Jednogłośnie przegłosowali zalecenie dla legislatury, żeby głosowała za sfinansowaniem zapory na rzece Pecos w miejscu, gdzie się rzeka zwęża, poniżej Nuevo, i za utworzeniem dwutysięczakowego jeziora - o szerokości około półtora i długości pięciu kilometrów - oraz parku stanowego Nuevo.

- A co tam robił Ballenger? - spytał ojciec Mai.

- Ten piekielny Ballenger jest właścicielem ponad połowy kotliny. Okazuje się, że tamci dwaj kupowali w jego imieniu. Oddaje za darmo teren po jednej stronie przyszłego jeziora na park stanowy. Jego firma zapłaci też za budowę nowej drogi przez kotlinę, bo obecna droga będzie częściowo zatopiona. Jego firma zapłaci również za skrócenie o szesnaście kilometrów drogi prowadzącej przez góry do ośrodka narciarskiego Pecos.

- Ale dlaczego? - ktoś krzyknął.

- Dlatego że to ścierwo Ballenger chce mieć całoroczny ośrodek rekreacyjny. Zimą narciarstwo przełajowe i zjazdowe, latem golf, jazda konna, żeglarstwo, pływanie, łowienie ryb. Kupił ziemię pod ośrodek narciarski, ale mu teraz potrzebne jezioro. A żeby mieć jezioro, musi zbudować zapórę. A żeby mieć zapórę, musi mieć zgodę rządu stanowego. Ponieważ Ballenger to bardzo cwane ścierwo, zapewnia sobie zgodę rządu stanowego oddając za darmo ziemię na park stanowy i fundując nową drogę wokół zalanego terenu, czyli jeziora.

W kościele zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

- Ale my dzierzawimy ziemię! - zaprotestował ojciec Mai. - Rząd stanowy nie może utworzyć tu ani parku, ani jeziora - ani nawet zbudować zapory na rzece - dopóki ważne są nasze umowy o dzierzawę!

Isabel potrząsnęła głową.

- Jeśli rząd stanowy wydaje decyzję dotyczącą projektu, w którym liczy się dobro całego stanu, może unieważnić dzierzawy prywatne.

Z piersi wszystkich wydobyło się ciężkie westchnienie.

- Chwileczkę! - zawołał Cesar. - To im się nie uda. Co ta świnka sobie wyobraża?

Nie jest właścicielem miasteczka - nie sprzedaliśmy mu go przecież, ani wszystkich terenów w kotlinie, żeby mógł nas zatopić.

Patrząc na salę, Isabel natknęła się na wzrok Elizabeth. - Posłaniec ze złymi wieściami - pomyślała Elizabeth wiedząc, że przyjaciółce jest bardzo trudno. Ale Isabel nie osładzała wiadomości.

- Rząd stanowy może na ten cel przeznaczyć ziemię. Może unieważnić dzierzawy i wykupić te grunty, jeśli uzna, że to będzie dobre dla wszystkich mieszkańców stanu.

- Chyba chcesz powiedzieć: dobre dla Ballengera! - zawołał Peter ze złością.

- Właścicielem ośrodka będzie Ballenger. Ale po jednej stronie jeziora będzie park stanowy, dlatego nawet jeśli ośrodek Ballengera będzie po stronie przeciwnej, to do jeziora wszyscy będą mieć dostęp. Zgodzili się tylko na jedno ustępstwo:

przedłużyli nam termin, do którego możemy tu zostać, szukając czegoś innego.

Mamy dwanaście miesięcy - do przyszłego marca. Żeby się stąd wyprowadzić.

- Dlaczego - zawołał Peter. - To jest decyzja zależna od legislatury, od wyników głosowania...

Isabel zacisnęła usta.

- Już głosowali. Dziś rano. Od marca dysponują naszą ziemią. - Podniosła głos wobec nagłej fali protestów biegnącej z ławek. - Budowa zapory zaczyna się tej wiosny, jak tylko pogoda...

Jej ostatnie słowa zagłuszył hałas na sali:

- Jak to! Ot tak sobie?

- Zabiorą nam domy...?

- ...i sklep Gasparego...?

- ...i ten kościół? Isabel przytaknęła.

- Oni to kupują.

- Kupują! - Cesar się pienił. - Ale oni decydują za ile!

- Tak, ale Saul mówi, że cena jest zazwyczaj uczciwa - odparła Isabel. - Według rzeczywistej wartości rynkowej.

- Uczciwa! Zmuszać nas do wyprowadzki wbrew naszej woli?

Znów podniósł się gwar. Elizabeth szybko notowała, opisywała zgromadzonych ludzi, ich argumentację, postawę Isabel i jej zdecydowanie, żeby spotkanie było sprawnie przeprowadzone i nie przerodziło się w chaotyczne krzyki rozzłoszczonego tłumu. Usłyszała, jak Maya mówi do Petera.

- Mimo wszystko wydaje mi się, że przez to nie będę mogła studiować w Stanford, nawet gdyby mi mama pozwoliła. Chyba muszę zostać i pomagać rodzime.

- Pomagać w czym? - spytał Peter.

- Nie wiem. W walce.

- Jak?

Potrząsnęła głową. W oczach miała łzy. Peter wstał i krzyknął.

- Co możemy zrobić?

Isabel podniosła rękę, żeby uciszyć tłum.

- Spróbujemy załatwić, aby wydano zakaz rozpoczynania budowy przed przyszłym styczniem, kiedy legislatura zbiera się ponownie. Jeśli to się nie uda - a Saul uważa, że nie mamy dużych szans - wtedy jedyne, co możemy zrobić, to oprotestować ustawę w przyszłym styczniu.

- Kiedy już zaczną prace przy zaporze? - spytała Maya.

- Zawsze można zaniechać czegoś, co nie zostało skończone.

- Jak? - zapytał Peter. - Co, u licha, możemy zrobić? Elizabeth położyła mu rękę na ramieniu.

- Coś wymyślimy. Już mam w głowie parę pomysłów. Przecież mamy całe lato na to, żeby obmyślić sposoby, jak zwrócić na siebie uwagę legislatury.

Dopiero dwie godziny później, gdy wrócili do domu w Santa Fe, uświadomiła sobie, co powiedziała. Całe lato.

Nie przeprowadzali się więc w czerwcu do Houston, żeby być razem z Mattem?

Tony siedział milcząc w rogu pokoju o niskim suficie i słuchał, jak Elizabeth przeprowadza wywiad z Isabel. Byli tam od wczesnego ranka; Isabel poczęstowała ich kawą i *sopapillas* z miodem i opowiadała o dzieciństwie, które spędziła w kotlinie, o nauce garncarstwa w szkole średniej w Pecos i sprzedaniu pierwszego wyrobu, gdy miała dwanaście lat.

- Musiałaś być tym bardzo podniecona i na pewno rozpierała cię duma -powiedziała Elizabeth.

- Byłam zachwycona. - Isabel zerknęła na okno, za którym pod podmuchami kwietniowego wiatru drżały pierwsze, delikatne gałązki osiki. -Czułam się kimś ważnym, nie jak jakaś mała dziewczynka z gór, ale wielka artystka. Myślałam, że się na tym wzbogacę, a potem wyjedziemy stąd.

- Na zawsze?

- Oczywiście. Wszyscy młodzi chcą wyjechać z kotliny. Słuchałaś Luz. Ona się nie może doczekać, kiedy się stąd wyrwie.

- Ale ty nie wyjechałaś.

Isabel przytaknęła z pełnym żalu uśmiechem.

- Nie wzbogaciłam się. Po czterech latach stwierdziłam, że powinnam zamieszkać gdzieś bliżej galerii sztuki. Więc pojechałam do Denver. Ale nie cierpiałam tego miasta: ja nie jestem stworzona do życia w mieście. Więc pojechałam w góry - do Central City i Estes Park - i wszystkie moje wyroby sprzedawałam turystom. To były moje szczytowe osiągnięcia - zaśmiała się. -Naprawdę, w tamtych niesamowitych górach. Wiesz, są wyższe od naszych, ostrzejsze, ciekawsze widokowo.

- Ale wróciłaś do Nuevo. Isabel kiwnęła głową.

- Zdaje się, że nie miałam wyjścia. Poznałam kogoś w Central City; byłam w ciąży z Luz. Jej ojciec był właścicielem galerii; twierdził, że jestem największą na zachodzie artystką i zachowywał się tak, jakby mi robił zaszczyt, że ze mną śpi. Ale ojcostwo mu za bardzo nie odpowiadało, tak że kiedy już się nie dało ukryć, że mam brzuch, wygonił mnie. Później, już tutaj poznałam mojego męża. Najlepszy w świecie ojciec i mąż.

- Ale kiedy byłaś w Central City w ciąży i sama...?

- Urodziłam tam Luz, no i zaczęłam krążyć po ośrodkach turystycznych z kołem garncarskim, gliną i niemowłębem w nosidełkach na piersi. Pamiętam, jak jej puszysty łepok uderzał mi o brodę. Wiedziałam, że nie chcę takiego życia włóczęgi, bez żadnej rodziny, kiedy dla mojej córeczki jedynym dachem nad głową była moja broda. - Po śmierci matki ojciec prosił, żebym wróciła i zamieszkała z nim. Kręcili się koło mnie tacy różni przystojniacy, co przyjeżdżali na narty i myśleli, że można mnie przelecieć. Byłam wtedy ładniejsza i miałam dobrą figurę i Bóg wie, że potrzebny mi był chłop. Więc od czasu do czasu się przespałam z jakimś, ale oni na poważnie traktowali tylko narty, a na pewno nie jakaś Hiszpankę z dzieckiem. Zawsze pierwszy raz był ostatni...

Głos jej się załamał.

- Na co liczyłaś z ich strony? - łagodnie zapytała Elizabeth.

- Przede wszystkim na to, że będą chcieli mnie, Isabel Aragon, a nie fizycznej przyjemności.

- Nie chciałaś wyjść ponownie za męża?

- Ależ tak, gdybym pokochała kogoś. Nawet przyjaźń by mi wystarczyła, gdyby była prawdziwa. Chciałam, żeby komuś na mnie zależało. No i okazało się, że jedyni ludzie, którym na mnie zależy, są w Nuevo.

- Wróciłaś więc tu, do domu.

- Tak. Dom to dla mnie prawie święte miejsce. Jak tylko weszłam do tego domu i usiadłam, stało się to dla mnie jasne. Ja tu należę.

Elizabeth wypytywała ją dalej o ojca i Luz, sąsiadów i pracę. Isabel przyniosła swoje nowe wyroby i pokrótce opowiedziała o tym, jak eksperymentuje z polewą i reliefem wzorując się na dawnych motywach zdobniczych. - Nie mogę wiele o tym mówić, bo mi ukradną pomysły - i pokazali ła szkice wzorów, które sprzedawała. - Ale coś ci powiem - dodała chowając ' szkice do skórzanej teczki. - Myślę o tym, żeby rzucić garnce. - Rozumiem - powiedziała Elizabeth.

- Rozumiesz? To. wszystko, co masz do powiedzenia? Nie jesteś zdziwiona? Dobry Boże, ty z góry wiesz, co powiem!

- Powiedz. Będę mieć wtedy pewność, że się nie mylę.

- Chyba nie, moja ty odmienna siostrze. Zaczęło się w kościele, kiedy wszyscy klaskali... - I powiedziałaś, że możesz się do tego przyzwyczaić.

- Tak. A potem na przesłuchaniach, kiedy zobaczyłam, że ci dranie, którzy za nas decydują o tym, co dla nas ma być dobre, a kiedy nas widzą, to uciekają wzrokiem i mają nas gdzieś, a właściwie to nawet nic o nas nie wiedzą, pomyślałam sobie wtedy „Czemu nie?” Byłabym o wiele lepszym rzecznikiem spraw obywateli, niż oni.

- Będziesz więc kandydować do legislatury?

- Boże, ależ ty jesteś moją siostrą, ty mnie rozumiesz jak nikt. No więc, tak. Myślę o tym, żeby się zająć polityką. Jak ci się wydaje, jakie mam szanse?

- Wydaje mi się, że wygrasz. Byłaś fantastyczna na przesłuchaniach; masz matczyzny wygląd, tak że wielu mężczyzn będzie na ciebie głosować; od trzynastu lat pomagasz ludziom rozwiązywać problemy, co znaczy, że wszyscy cię znają. Nie wiem, jak możesz przegrać. A co z Tomem Ortizem? Czy on nie będzie tym razem startował? - On się coraz bardziej starzeje. Jest reprezentantem tego okręgu - jeśli to tak można nazwać - od trzydziestu lat. Chyba jest tym zmęczony. A jeśli nie jest, to inni są nim zmęczeni. Czy naprawdę uważasz, że nie przegram?

- Nie jestem ekspertem. Ale myślę, że ty nie możesz przegrać.

- Miło słyszeć. Wiesz, jeszcze się nie zdecydowałam. Myślę tylko o tym, kiedy lepiej garnki, ale muszę przyznać, że to było przyjemne uczucie, kiedy Stałam przy pulpicie i ludzie mi klaskali. Dużo o tym myślę.

- O czym jeszcze myślisz?

- Och, o tym, co się stanie, jak Luz wyjedzie, o tym, że ojciec zaczyna tracić pamięć, o tym, że na pewno już sobie nie znajdę mężczyzny, co ma wpływ na to, że inaczej też myślę o moim życiu...

Ich ciche głosy, łagodne i intymne, przeplatały się w rytmie pytanie - odpowiedź aż do późnego popołudnia, kiedy Elizabeth wreszcie zamknęła notes.

- Dziękuję - powiedziała. - Byłaś cudowna. Isabel objęła Elizabeth ramionami.

- Znaleźć prawdziwych przyjaciół jest jeszcze trudniej, niż dobrego mężczyznę.

Dzięki tobie nie jestem aż tak bardzo samotna. Zrobię dla ciebie wszystko. - Tony wstał. Isabel podskoczyła.

- Taki był pan cichy, że o panu całkiem zapomniałam. Proszę nas znów odwiedzić; dopuścimy pana wtedy do głosu.

- Pani lepiej to wychodzi na spółkę z Elizabeth - odrzekł i schylił głowę przechodząc przez niskie drzwi. Czekał w samochodzie, gdy obie się całowały na pożegnanie, po czym Elizabeth siadła za kierownicą i ruszyła.

Nic się nie odzywał; patrzył na nią podziwiając jej profil. Ze wzrokiem utkwionym w drogę Elizabeth powiedziała.

- Trzeba oglądać pejzaże.

- Wolę oglądać ciebie. Poza tym pejzaże już widziałem jadąc w tamtą stronę.

- Są inne, kiedy się na nie patrzy z drugiej strony.

- No właśnie cały czas ci to mówię. Jeśli spojrzysz na sprawy z mojego punktu widzenia, wszystko będzie wyglądać inaczej.

Roześmiała się.

- Mój Tony, któremu jedno w głowie. Nie jadę z tobą do twojej rezydencji w Kalifornii. Porozmawiajmy o Isabel.

- Porozmawiajmy o tym, dlaczego nazwałaś mnie „mój” Tony.

- Tak powiedziałam? Ale wiesz, że miałam na myśli „mój stary przyjaciel” Tony. A teraz odpowiedz: podobała ci się?

- Oczywiście. Dobra kobieta. Bez polotu, ale daje się lubić.

- To nieprawda, że bez polotu.

- Dla mnie tak. Poświęciła się dla ojca, córki, garncarstwa, swojej kotliny. Ani piękna, ani bystra, ani wyrafinowana. Nie podniecająca seksualnie, niekobieca. Jest bardzo dobrą, uczciwą, prostolinijną kobietą, którą oboje lubimy. - Kiedy Elizabeth się nie odzywała, spytał. - Co to ma za znaczenie? Jest twoją przyjaciółką, nie moją; ja jej nigdy więcej na oczy nie zobaczę. Tak naprawdę to chcę rozmawiać o tobie.

No, nie marszcz brwi. Chcę porozmawiać o twoim wywiadzie z Isabel. Czy wiesz, że byłaś znakomita?

- Tony, ja wiem, że dobrze robię wywiady, bo to robię od dawna. Choć ten był wyjątkowy. Mamy z Isabel umowę, że zadamy bobu Ballengerowi.

- Ballenger mnie obchodzi tyle co zeszłoroczny śnieg, choćby to był bóg-wie-kto. Mówimy o Elizabeth Lovell. Tak podziałałaś na rozmówczynię, że się rozgadała, panowałaś nad przebiegiem wywiadu, sprowokowałaś ją do zwierzeń w taki sposób, że ona sobie nawet czasem nie zdawała sprawy, że mówi o rzeczach intymnych. A kiedy sobie uświadamiała, że poruszasz się po jej prywatnym terytorium, to się nie krępowała, okazywałaś jej zainteresowanie i współczucie, a nie byłaś ani ciekawska, ani wścibska. - Wyrwało mu się z piersi długie westchnienie. - Gdybym umiał być taki jak ty, byłbym popularny po wsze czasy. Marnujesz wybitny talent pisząc do paru gazet. Powinnaś wypłynąć na szersze wody.

Elizabeth rzuciła na niego okiem, nim cofnęła się na wąską drogę.

- Co przez to rozumiesz?

- Że powinnaś przejść do telewizji.

- Tony, ja pracuję piórem. Nie lubię telewizji. Jest za szybka, zbyt ulotna.

- A gdyby ci to zaproponowano, to nie chciałabyś występować w programie telewizyjnym?

- Jakim programie? Jak mogę na to odpowiedzieć? To nieważne, prawdopodobnie nie chciałabym. Ja naprawdę uwielbiam składać słowa w zdania i przelewać myśli na papier, a nie wygłaszać je przed kamerą, gdzie nie zostaje po nich żaden ślad. Poza tym nie zamierzam się przeprowadzać do Los Angeles lub gdziekolwiek, aby zaspokajać fantazje wielomilionowej publiczności. Lubię to, co robię, to jest autentyczne: moje artykuły ukazują się w dwudziestu pismach, przeszło to moje najśmielsze marzenia. - Skręciła w kierunku Pecos i przyspieszyła na pustej drodze.

- Co miałaś na myśli mówiąc, że gdyby zaproponowano mi program w telewizji?

- Nie miałem na myśli samodzielnego programu. Myślałem o tym, żebyś współpracowała ze mną. Czy już ci tego nie proponowałem dawno temu? Nie pamiętam, czy mówiłem to serio, czy nie, ale teraz, jak cię zobaczyłem w akcji, mówię to absolutnie serio. Elizabeth, porozmawiam o tobie z moim producentem. Zapytam go po prostu o jego zdanie na ten temat. W moim programie trzeba więcej życia - och, Boże, ja nie o tym myślałem, nie krzyw się znowu, o tyle jesteś piękniejsza, gdy się uśmiechasz - chodziło mi o to, że jesienią, po letnich powtórkach, trzeba nam będzie wprowadzić jakieś innowacje, żeby było więcej różnorodności...

- Żeby opóźnić nadejście czarnej godziny, kiedy zaczniesz się zajmować polityką? Nastąpiła przerwa.

- Kto to powiedział? Mój mąż.

- Rozumiem. Przeinaczył.

- Naprawdę? Parę minut temu mówiłeś, że popularność nie trwa w nieskończoność.

- Nikt nie jest popularny na wieki. Nawet Pan Bóg dostaje czasem złe recenzje.

- Co więc powiedziałaś na kolacji u Keegana?

- Że telewizja i polityka są do siebie podobne. W obu dziedzinach najwyżej wynagradza się osoby, które potrafią przekonać publiczność, że naprawdę wierzą w te bzdury, które wygadują, i że autentycznie tak myślą. Ale ty jesteś autentyczna - ciągnął. - A ponieważ twój utalentowany mąż to najnowsza ofiara uroku mojego ojca, tym więcej masz powodów, by poszerzyć pole swoich zainteresowań zawodowych i zrobić karierę w telewizji. Czym się zresztą będziesz zajmować, gdy dzieci pójdą z domu? Nie będzie już komu sprzątać ani gotować, żadnych malców, którzy zmuszają iść drogą prostą i wąską... co będziesz robić, żeby mieć w życiu frajdę? Siedzieć sama cały dzień przy maszynie do pisania? Możesz to robić częściowo - nie ma potrzeby, żebyś rzuciła pisanie - ale przez resztę... przydałoby się jakieś wyzwanie, sprawdzenie się w czymś nowym, zweryfikowanie umiejętności, robienie wywiadów z nowymi ludźmi... Czy mnie słuchasz?

- Tak - odparła.

- No to widzisz, że nie mówię o willi we Włoszech ani rezydencji w Kalifornii. Mówię o jednym występie tygodniowo - dziesięć - piętnaście minut - w programie „Anthony”. Zdziwiłabyś się, jak dużo informacji można upchnąć w jeden kwadrans. Więcej niż w całym twoim artykule. Porozmawiam o tym z moim producentem. Tylko go o to spytam. Może mu się zresztą ten pomysł nie podobać, w takim razie chyba będę musiał zrezygnować, przynajmniej na jakiś czas. Producent jest jak małżonek: albo idziesz z nim na kompromis, albo się rozwodzisz. Mam dość rozwodów z żonami, żeby jeszcze to robić z producentem. Możemy więc wrócić do tego tematu następnym razem, gdy będę w Santa Fe; do tego czasu już będę wiedział, czy się zgadza. Czy chcesz spróbować?

- Tak - powiedziała po raz drugi. Tony wydał z siebie cichy dźwięk, coś jak pomruk zadowolenia i rozparł się na siedzeniu, żeby podziwiać pejzaż.

„Dumna jak królowa, Isabel Aragon stoi nad brzegiem rzeki Pecos w Nuevo. Kiedy wyciąga przed siebie ramiona, to jakby tuliła do siebie góry wokół kotliny - jej rodzinnego domu. - Chcą mi go zniszczyć - mówi. -Niespokojni ludzie w niespokojnym kraju wciąż depczą własną przeszłość jak sieroty nie znające własnych korzeni, nie rozumieją słowa dom. Mali ludzie, którzy tylko wtedy czują się mocni, mogąc sobie innych urabiać, jak chcą, i psuć, co się da. Słuchajcie, wy mali ludzie! Tu jest nasz dom! Nasze korzenie w tej kotlinie sięgają trzystu lat! Pogrzebano tu piętnaście pokoleń mieszkańców, a wraz z nimi ich marzenia, radości i smutki; oni żyją w naszych sercach, tak jak my żyjemy od lat na tej ziemi, w tej kotlinie. Niektórzy z nas sprzedali ziemię zwodzeni gotówką i obietnicami. Jednak pokażemy, jak się walczy o własny dom! Odkupimy naszą ziemię. Myślicie, że nie możemy? To poczekajcie i zobaczycie. Będziemy pracować dzień i noc, póki nie zgromadzimy dość pieniędzy, i wtedy uniemożliwimy wam wasze plany, narobimy takiego smrodu w legislaturze, że w porównaniu z nim gnojówka na naszych

polach będzie pachnieć jak gardenie. Bo my nie pozwolimy, by zatopiono nasze miasteczko..."

Artykuł zawierał również soczyście opowiedziane przez Isabel legendy indiańskie i hiszpańskie oraz współczesne historie o mieszkańcach kotliny, , którzy przychodzili do niej ze swoimi problemami, kończył się obrazem Isabel stojącej przed starym kościołkiem.

„Zbyt wielu takich małych ludzi myśli sobie, że mogą innych zdeptać jak stonogę. Ale ja im mówię, że im się to nie uda! Za dużo nóg! Jest nas zbyt wielu! Zobaczą, że nie tak łatwo damy się zgnieść...!"

Elizabeth wiedziała, że był to najlepszy tekst, jaki w życiu napisała. Dziesiątego maja, czyli w trzy tygodnie po wydrukowaniu artykułu w sieci Rourkego, co spowodowało istny zalew listów i telefonów, został przedrukowany w „Los Angeles Times" jako część dwustronicowego tekstu na temat ośrodków rekreacyjnych na południowym zachodzie. Tony wydarł go i wysłał swojemu producentowi z uwagą na marginesie: „Proszę przeczytać! Odrzucił pan mój genialny pomysł, żeby Elizabeth Lovell robiła wywiady w »Anthony« z niesławnymi ludźmi. Proszę uprzejmie wyjaśnić, czemu jest dobra dla »Timesa«, ale nie dla nas".

- Nie mówimy o tym, czy jest dobra - odpowiedział mu producent następnego dnia przez telefon. - Mówimy o publiczności. Nikogo nie obchodzą ludzie, o których nic nie słyszeli.

- Proszę zadzwonić do „Timesa" - zażądał Tony. - I zapytać, ile do nich napłynęło listów. Tydzień później producent oddzwonił.

- Skąd o tym wiedziałeś?

- Jestem jej wielbicielem. Ile dostali listów?

- Pięćdziesiąt listów, dziewięćdziesiąt dwa telefony, osiemdziesiąt jeden propozycji pomocy finansowej dla kobiety, która walczy o tę kotlinę.

- Ha! Czy weźmiemy ją na próbę do mojego programu?

- Tony, czy ty ją dymasz? Ja tu nie chcę tych histeryczek, bo kiedy z nimi zrywasz, to urządzają awan... - Spokojna głowa. Ta się nie zalicza do histeryczek.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Moje życie osobiste to moja sprawa: tego nasz kontrakt nie reguluje. - Odparł słodziutko Tony. - O tym się nie dyskutuje.

- Ale dyskutuje się o twoich notowaniach. Które spadają. Pewnie dlatego, że nie jesteś tak ostry jak pięć lat temu...

- Nikt nie jest tak ostry jak pięć lat temu. Włączając w to ciebie.

- ...albo dlatego, że widzowie znudzili się samymi sławnymi osobami - w co wątpię - albo wybieramy nie tych co trzeba. Albo wszystko na raz. W porządku, niech ta twoja przyjaciółeczka nagra coś na próbę, ale jeśli narobisz mi tu seksualnego bigosu...

- Już ci powiedziałem: spokojna głowa - odparł Tony. - Poradzę sobie z nią.

- Pod warunkiem, że odpowiedzialność bierzesz na siebie. Jeszcze jedno: wiem, że nie podrywasz jakichś brzydactw, ale na wszelki wypadek wolę spytać: jak ona będzie wyglądać przed kamerą?
 - Jakby była dla niej stworzona. Ma klasę. Dlaczego mi nie ufasz w tych sprawach? Jestem koneserem, wiesz przecież.
 - Wiem, że często tracisz głowę.
 - Udaję, gdy mi się to do czegoś może przydać. O tym też wiesz. A teraz słuchaj: ona nic nie wie, że moje notowania spadają. Myśli, że jestem na topie. Nie ma co jej mówić, że jest inaczej.
 - Myśli, że jesteś taki wspaniałomyślny, że to płynie z głębi twego parszywego serca.
 - Nie sil się na dowcip. Ona nie myśli, że jest parszywe. Czy będziesz uważał, jak z nią będziesz rozmawiać, czy nie?
 - Oczywiście, że będę. Pod warunkiem, że to nam pomoże uratować program.
 - Gratuluję słusznej decyzji.
- Tony odłożył słuchawkę i od razu zadzwonił do Elizabeth.
- Mam dla ciebie wiadomość - powiedział, jak tylko usłyszał jej głos. -Mój producent, człowiek niesympatyczny, ale za to inteligentny, wkrótce do ciebie zadzwoni z propozycją pracy w „Anthonym”. To znaczy poprosi cię o zrobienie paru próbnych wywiadów, jeśli mu się spodobają, puścimy je tej jesieni i popatrzymy, jaki wywołają odzew. Czy wiesz, ile pieniędzy proponowali ludzie za pośrednictwem „Timesa”?
 - Tak, przekazano mi listy. Tony, redakcja chce ode mnie kupować artykuły. Czy się zgodzić?
 - Nie rób tego bez agenta. Pomogę ci znaleźć jakiegoś. Czy słyszałaś, co powiedziałem ci a propos mojego programu?
 - Tak. Jak często musiałabym być w Los Angeles?
 - To zależy. Możesz nagrywać wywiady na miejscu przy pomocy personelu naszych stacji lokalnych albo sprowadzimy twoich rozmówców tutaj i będziesz przeprowadzać wywiad w naszym studiu. Prócz tego jeden dzień tygodniowo na montaż i odprawę organizacyjną. Będzie cię bawić uczestniczenie w tym wszystkim, co? No, a samo Los Angeles? Będzie to dla ciebie jak powrót do domu. I trzeba, abyś tu też była po to, żeby nam pomagać, w razie potrzeby.
 - Nie wiem, Tony. Przemyślę to. - Czy to zamierzasz powiedzieć mojemu producentowi? - To zależy, co postanowię, gdy zadzwoni.
 - Co ja mogę zrobić, żeby cię przekonać? Mam przylecieć i wziąć cię na kolację? Do M&J Sanitary Tortilla Factory w Albuquerque na słynne *burritos Bei Montoya* ? Zaśmiała się. - Skąd wiesz o restauracji Bei?
 - Oglądałam telewizję. Przyniosła jej sławę. Przyniesie też ją tobie. No to co? Mam przyjechać i zabrać cię na kolację?

- Nie dziś.

- Więc niebawem. I powiesz mi, jak się tylko zdecydujesz?

- Oczywiście. I dziękuję ci, Tony. - Odkładając słuchawkę Elizabeth przyjrzała się telewizorowi we wnęce. Przyniesie ci sławę.

Na zakończenie szkoły Petera, w ostatnią niedzielę maja, Elizabeth z Mattem, Spencer z Lydią i Holly z Mayą przeciskając się przez tłum zajęli środkowe miejsca na trybunach stadionu gdzieś pomiędzy boiskiem a rozpiętym wysoko napisem „Kraj Demona”. Ośmiuset uczniów w strojach akademickich wchodziło marszowym krokiem na stadion; tymczasem odczytywano ich nazwiska po dwa na raz. Kiedy Maya usłyszała nazwisko Petera, westchnęła głęboko. - To tak jakby zrobił ogromny skok i mnie zostawił w tyle.

- Wiem - powiedziała Holly. - Bardzo się zmienił. - Później, gdy Peter wstał i wygłosił krótkie przemówienie adresując je do swojej klasy, za które starsi studenci zgotowali mu gromkie owacje, potrząsnęła głową nie wierząc własnym oczom. Przez cztery lata nigdzie nie pasował; wyśmiewano jego nieśmiałość i miłość do indiańskiej sztuki i legend, a nie do sportu. Nie pojechał na wycieczkę ze starszą grupą, nie poszedł na ich bal, za to zaprosił Mayę na kolację i Wiosnę Sztuki w Taos. I choć zapisał się do kółka fotograficznego i kółka francuskiego, nadal czuł, że odstaje od reszty i każdego popołudnia opuszczał kampus zaraz po zajęciach. - Dlaczego tak wiwatują? - Holly spytała Elizabeth.

- Bo jest wybitnym uczniem - odparła. - I wszyscy dzięki niemu dobrze wypadają, jeśli sami to akceptują.

- Dzięki niemu cała szkoła dobrze wypada - powiedział Matt. - Poza tym ludzie biją brawo przystojnemu człowiekowi, który coś sobą reprezentuje, czy go lubią, czy nie. Wiwatują, bo im pokazał, że sukces jest możliwy.

- Bardzo to inteligentne - powiedziała Elizabeth. - Czy właśnie dlatego ludzie biją tobie brawo w Houston?

- Niektórzy - odparł stonowanym głosem.

- A pozostali?

- Pozostali sądzą, że wykonują kawał dobrej roboty.

Kilka minut potem nastąpiło zakończenie uroczystości i boisko zaroilo się od uczniów i ich bliskich. Rodzice na cześć Petera wydali kolację, na którą zaprosili Saula z Heather, Mayę i paru przyjaciół z redakcji *Chieftaina*.

- Było wspaniale - skonstatowała potem Elizabeth, gdy przy herbacie z lodem i ciastkach siedzieli z Mattem na dziedzińcu ich domu. - Uczciliśmy to dokładnie tak jak Peter chciał. A najważniejsze, że ty tam byłeś.

- Jak mogłaś wątpić o moim przyjeździe.

- Kiedyś bym nie wątpiła.

- Ale teraz tak.

- Tak.

Przyjrzał się dekoracjom na jednym z ciastek.

- Osiem miesięcy - powiedział półgłosem. - Tak szybko zleciało, że aż się wierzyć nie chce. Ale to tyle czasu, że zdążyłaś już do mnie stracić zaufanie.

- Chyba dałaś powody ku temu - Elizabeth pochyliła się i położyła rękę na jego dłoni. - Matt, może powinieneś zwolnić tempo. Dokonałeś tyle, że to przerosło wszelkie nasze oczekiwania: masz dwadzieścia tytułów...

Czy musi być jakiś limit na wstępie?

Popatrzyli po sobie, bo oboje pamiętali to zwodnicze, zagadkowe pytanie, które postawił w Aspen Rourke.

- Nie ma limitu - odparł Matt. - Chcemy mieć wpływ w pewnych stanach, a to oznacza posiadanie na własność ważniejszych tytułów, które się tam wydaje.

Dopóki tego nie zrealizujemy, będziemy wciąż kupować.

- To i dwadzieścia jeden nie wystarczy? Tobie, Mattowi? Nie, Keeganowi i jego korporacji, ale nie tobie. Pamiętam, jak rozmawialiśmy o tym, żeby mieć jeden, dwa tytuły...

- I chciałaś drukować swoje artykuły w jednym, dwóch pismach. Jesteś niezadowolona z dwudziestu i jednego?

- Oczywiście, że jestem zadowolona. Ale nikt się nie pytał, czy mi nie wystarczy do szczęścia dziesięć czy piętnaście.

- A starczyłoby?

- Tak dokładnie jak teraz wystarcza mi dwadzieścia i nie potrzebuję trzydziestu.

Matt, mnie interesują inne sprawy. Myślałam, że i ciebie. Co z tego, że się zarabia krocie, kiedy nie możemy się tym razem cieszyć? Co z tego, że pozbywamy się długów, jeśli nie mamy czasu, żeby dokądś pojechać razem z Peterem i Holly, lub sami we dwoje, lub po prostu być ze sobą, całą rodziną? Krążymy tam i z powrotem między Houston i Santa Fe, wpadamy na krótko z wizytą i to nawet ostatnio niezbyt często; każde z nas idzie w zupełnie innym kierunku; nie dzielimy ze sobą życia; nie łączy już nas idea partnerstwa, od której zaczynaliśmy. Nad niczym już razem nie pracujemy, nawet nie nad naszym małżeństwem. Matt, czy słuchasz?

Patrzył na gałązki drzewka oliwnego, które wyrastały ponad mur i niewyraźnie rysowały się na tle rozgwieżdżonego nieba. W powietrzu unosił się zapach pierwiosnka. Odetchnął głęboko. - Oczywiście, że słucham. Żałowałem tego przez te ostatnie miesiące, ale myślałem, że to nadrobimy. Myślałem, że buduję przyszłość dla nas dwojga... - Sam. Beze mnie.

- Tak wyszło. Chciałaś tu zostać, aż Peter skończy szkołę, i to mi się wydawało logiczne. - Chyba popełniłam błąd. Takie to się wydawało proste, ale jak można było wierzyć, że będziemy sobie wciąż bliscy, kiedy tak bardzo się oddaliliśmy? To romantyczna koncepcja, która w życiu się nie sprawdza, przynajmniej nie wtedy, kiedy życie się zmienia, kiedy my się zmieniamy. Zrobiliśmy błąd myśląc, że to dobry pomysł.

- Nie wydaje mi się. Był to dobry pomysł, jeśli idzie o Petera, a ja tak często, byłem w rozjazdach, że i tak nie widywalibyśmy się częściej niż to miało faktycznie miejsce. Zresztą już to jest za nami. Rozpoczęliśmy ogromne dzieło, a ty chcesz, żebym go zaniechał.

- Ja nie powiedziałam, żebyś zaniechał. Powiedziałam: zwolnij tempo, abyśmy znów mieli wspólne życie.

- Myślałem, że planujemy wspólne życie w Houston. Właściwie to gdybyś przyjechała wybrać dom w czasie, gdy cię o to prosiłem, tobyśmy się już pakowali, a nie mówili o tym. Czy wiesz, ile razy byłeś w Houston od czasu przyjęcia u Keegana?

- Trzy.

- W ciągu ośmiu miesięcy.

- Nie czuję się tam dobrze, Matt. A ty się nie czujesz tam dobrze ze mną. Byłeś stale w rozjazdach, a mimo to zdażyłeś tam nawiązać przyjaźnie i ułożyć sobie życie, ale nie są to ludzie, z którymi ja się przyjaźnię i nie jest to moje życie.

- Bo zawsze przyjeżdżasz z wizytą. Gdybyś tam zamieszkała, zaprzyjaźniłabyś się z nimi.

- Bo byliby wszystkim, co bym tam miała? Bobym stwierdziła, że w gruncie rzeczy są sympatyczni? A może zaprzyjaźniłabym się z nimi dlatego, że są ważni w twoim imperium?

Machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

- Wybrałabyś sobie i znalazła takich, co ci odpowiadają. Czy chcesz powiedzieć, że nie znalazłabyś nikogo w całym Houston? Kiedyś byłeś bardziej przebojowa.

- Rzeczywiście chcesz mieć przebojową żonę? A może taką, co to ci pomoże się realizować jako szef Rourke Publishing, taką która poprowadzi dom, będzie dla ciebie towarzyszką, wysłucha cię, zadbaną, atrakcyjną seksualnie...

- Co w tym złego? Pracowalibyśmy razem...

- Ja nie chcę takiej pracy!

- To nie praca, ale coś, co robilibyśmy wspólnie. Nie chcę, żebyś rzuciła pisanie; wiesz, że jestem dumny z tego, co robisz. Ale im bardziej będziesz mi pomagać, tym szybciej stworzymy sobie takie warunki życia, że będziemy mieć wszystko, czego chcemy.

- Matt, czy ty mnie słuchasz? Ja wcale nie jestem pewna, czy chcę takich warunków życia.

- Bo ty tego nie rozumiesz.

- Rozumiem tyle, że się zmieniasz w taki sposób, który mnie niepokoi, albo z powodu ludzi, z jakimi masz do czynienia, albo z powodu charakteru twojej pracy...

- Nigdy nie aprobowałaś mojej pracy, bo mam ją u Keegana. Ty nie rozumiesz, jakie to ważne...

- I jaki ty jesteś ważny dzięki tej pracy.

- Co w tym złego? Elizabeth, posłuchaj. Tym krajem rządzą małe grupy ludzi. Czemu ja nie miałbym do nich należeć? Czemu miałbym nie korzystać z największej szansy, jaka mi się w życiu trafiła, żeby zostać kimś? Ile razy do człowieka uśmiecha się fortuna? Raz - jeśli w ogóle. Gdybym tę okazję zlekceważył, gdy się nadarzyła w Aspen, i teraz się wycofał, to już po niej, nie powtórzy się. Wróciłbym do pracy jako małomiasteczkowy redaktor bez wpływów, bez znaczenia, nawet nie na peryferiach władzy. Byłbym jedną z osób, o których piszesz, które przeżywają życie nie mając nic do powiedzenia w sprawach decydujących o kształcie tego kraju. Czy sądzisz, że mógłbym do tego wrócić po tym, czego zaznałem w ostatnich miesiącach?

- Zżera cię ambicja.

Oboje pamiętali, jak Rourke to powiedział.

Matt wstał i pochylił się, opierając się obiema rękami o stół.

- Jak często w życiu człowiek ma możliwość wybiecia się ponad innych? Większość ludzi nawet nie śmie o tym marzyć. Ale kiedy człowiek ma tę możliwość i wie, że powinien z niej skorzystać, chciałby, żeby mu w tym towarzyszyła jego żona. Ale moja żona chce, żebym zrezygnował. Bo przecież to masz na myśli mówiąc, żebym zwolnił tempo, nieprawda? Ty nigdy nie chciałaś, żebym skorzystał z tej szansy; od dnia, kiedy Keegan złożył mi propozycję, ty próbowałaś mnie hamować. A teraz, po tym, jak od kilku miesięcy pracuję dwadzieścia godzin na dobę, ażeby się utrzymać na powierzchni, uczę się dysponować pieniędzmi i władzą, którą mi przekazano, wszystko, co ty masz do powiedzenia, to jest to, że chcesz, byśmy trochę czasu spędzali razem. Choć nie jestem pewien, dlaczego chcesz tego, skoro mówisz, że ci nie odpowiada to, w jaki sposób się zmieniłem.

- Chcę tego, bo jesteś moim mężem i cię kocham.

- Jeśli to faktycznie prawda, jeśli rzeczywiście cokolwiek cię obchodzi nasza przyszłość... - Czyja przyszłość? Twoja czy nasza?

- Nasza przyszłość, do licha. Kiedy żona pomaga mężowi wygrać wyścig, do którego się szykował całe życie, to chodzi o przyszłość obojga.

- Pomagam ci od początku. Czyżbyś zapomniał?

- Nigdy nie zapomniałem ci tego. Prawdopodobnie nie kupiłbym *Chieftaina*, gdyby nie ty. Nie odniósłbym sukcesu, gdyby nie ty. Ale ty stworzyłaś z tego opowieść jak z bajki. Zapomniałaś, jak ciężko pracowaliśmy? I po co? Żeby podwoić nakład dziesięciotysięczny! Są w tym kraju miliony czytelników, a my się cieszyliśmy z dwudziestu tysięcy! - Wyprostował się i popatrzył na nią z góry. - Nie rozumiem, dlaczego ze mną walczysz. Ty też masz teraz to, czego zawsze pragnęłaś. Stajesz się coraz bardziej znana, coraz więcej pism zamieszcza twoje teksty, zarabiasz więcej... Boże, Elizabeth, to nie jest tak, że ja ci mówię, żebyś siedziała w domu, a ja się bawię i zbieram laury dla siebie; ty jesteś obdarzona ogromnym talentem i czeka cię kariera, która z każdym moim awansem będzie coraz większa...

- I to jest wszystko, co się liczy, nieprawda, Matt? Duży, większy, największy.

- Czemu nie? Kiedy przedtem to w ogóle było możliwe?

- Kiedy przedtem to było w naszym życiu główną sprawą?

Nagle zamilkli. Matt stopą wyciągnął zza stołu krzesło i usiadł. Elizabeth wrzuciła do szklanek kostki lodu i liście mięty, podniosła polewany dzbanek, który Isabel zrobiła jej w prezencie na zeszłoroczną gwiazdkę, i rozlała herbatę.

- Matt, czy ty naprawdę myślisz, że ja nie chcę, by ci się powiodło?

- Nie wiem, czego chcesz. Próbuję od jakiegoś czasu domyślić się, czego chcesz.

Kiedyś się rozumieliśmy. Ale przez ostatni rok nie dałaś mi żadnego faktycznego wsparcia, ani mi nie pomagałaś w niczym; właściwie to przy każdej okazji mi tylko mówisz, że nie lubisz Keegana, nie lubisz Cheta i nie podoba ci się, że Cal Artner zna Cheta, tak jakby to, do cholery, miało jakiegokolwiek znaczenie! Tobie nie odpowiada, że się zmieniłem... Może byś mi powiedziała, co ci w tym wszystkim odpowiada?

- Odpowiadało mi, jaki byłeś kiedyś. To co kiedyś mieliśmy. Determinacja, z jaką parę lat temu pracowałeś u siebie i dla siebie, nie dla kogoś innego. Co ci się stało? Nie przeszkadza ci to, że pracujesz dla Keegana, że jesteś na każde jego skinienie ręki...

- On tak się nie zachowuje. Próbowałem ci to powiedzieć: daje mi tyle przestrzeni, ile mi potrzeba. Robię to, co chcę.

- Dobrze, kiedy więc ty robisz, co chcesz, on jakoś mimo to ma na ciebie wpływ. Bo wiele twoich koncepcji brzmi tak, jakby były pomysłem Keegana Rourke, nie Matta Lovella.

- Nic nie wiesz o jego koncepcjach. Chyba że... - Zmarszczył brwi. - Chyba że Tony opowiada ci historie o swoim ojcu-potworze. Czy tak? Jak często przyjaciel Tony zatrzymuje się ostatnio w Santa Fe?

- Dwa, trzy razy w miesiącu.

- Dobry Boże, prawie tak często jak mąż. To ci mile upływa czas, prawda?

- Nigdy nie przyjeżdżał, gdy pracowaliśmy razem! - Elizabeth zawołała. - Zostaw go, on nie ma nic wspólnego z tym, o czym teraz mówimy. Znam Keegana dłużej niż ty... - Ale nie lepiej. Przez ostatni rok widuję go i rozmawiam z nim codziennie, i mu ufam. Nie mam powodów, by mu nie ufać. A ty?

Nie odpowiedziała.

- Więc nie masz też podstaw, by go krytykować. Ale ty wolisz skrytykować i nie jechać ze mną. Raczej wolisz marzyć o tym, co kiedyś było - a co w porównaniu z tym, co jest teraz, wypada blado i mizernie - niż skorzystać z przyszłościowej szansy, jaką nam stwarza Keegan Rourke. - Ponieważ Elizabeth dalej milczała, Matt ciągnął. - Powiedziałaś, że odpowiadało ci to, co było. A co ci odpowiada z tego, co jest teraz?

- Między nami? Nic.

Matt odsunął się z krzesłem do tyłu.

- Zapytam cię jeszcze raz: Czy przeprowadzisz się do Houston i włączysz się tam w moje życie?

- Chcesz?

- Nigdy nie powiedziałem, że nie.

- To nie jest odpowiedź, Matt. Zaczynasz się zastanawiać, czy się ułoży? Przecież nadal będziesz dużo podróżować służbowo, prawda?

- Przez jakiś czas.

- Miesiąc? Pół roku? Rok?

- Nie wiem.

- A więc zostałyby nam najwyżej weekendy. Bo ja oczywiście też bym podróżowała, bo jak inaczej mogłabym robić wywiady i pisać do rubryki; może nasze drogi by się skrzyżowały raz w miesiącu. Holly zostawałaby w Houston sama, a nie ma tam ani dziadków, ani przyjaciół. - Znajdzie przyjaciół.

- Pewnie, że tak. A kiedy nam dwojgu uda się czasem jakoś spotkać w domu, będę twoją gospodynią, powiernicą i kochanką, czyli tym wszystkim, co ci trzeba, a w wolnych chwilach będę jedną ręką stukać na maszynie artykuły...

- Przestań.

- Powiedz, że się mylę. Powiedz, że przypilnujesz, abyśmy mieli czas dla siebie. Powiedz, że naprawdę chcesz, bym z tobą dzieliła życie, co znaczy, żebym mówiła ci, co czuję. Bo nie potrafiłabym w Houston być z tobą nie mając niczego do powiedzenia, nie mając możliwości wypowiedzenia się na temat moich uczuć wobec ciebie i Keegana, a nawet Cheta i Cala.

- No to nie musisz wcale być ze mną. - Echo słów rozległo się po dziedzińcu. - Nie chciałem tego powiedzieć - ocknął się Matt. - Chciałbym ci to umieć wytłumaczyć, żebyś zrozumiała, jakie to dla mnie ważne. Mówię o emocjonującej bliskości władzy i samo... ale to nie są zabawy w klocki, Elizabeth; to nie są proste problemy, jakie były w *Chieftainie*. Tu jest walka, bo muszę udowodnić, że potrafię być samodzielny; tu jest manewrowanie wokół rekinów, którym się zdaje, że mogą rządzić światem - a wielu z nich faktycznie rządzi, do licha, i wiedzą o tym, i dlatego są jeszcze bardziej bezwzględni; tu jest stawianie wokół siebie murów, bo muszę obronić to, co już zdobyłem, żeby mi nikt tego nie zabrał... - Pochylił się. -

Potrzebuję ciebie, byś była przy mnie, podtrzymywała wiarę we mnie i w to, co robię, pomagała mi wywalczyć wszystko, co się da. Kiedy będziemy mieć własną sieć prasową i jednolitą politykę, podwładnych, którym mogę ufać, wtedy będę mógł się odprężyć, być wydawcą i więcej czasu spędzać z żoną, mając masę pieniędzy i cały świat do zabawy. A ty mogłabyś zdobywać własnych czytelników i tym samym pomagać w zabezpieczeniu naszej przyszłości.

- Jakież to uładzone - wymamrotała. - Nie potrafię sobie wyobrazić szczęśliwszej pary.

Popatrzył na nią z powagą.

- Moglibyśmy być bardzo szczęśliwi. Elizabeth powiodła palcem po brzegu szklanki.

- Co myślisz o tym, żebym przeprowadzała wywiady oprócz prasy w telewizji?

- W telewizji? - Zamyślił się. - Byłoby idealnie. Każdy widz kojarzyłby twoje nazwisko z lokalnym pismem, w którym jest twoja rubryka: najlepsza forma reklamy. Oczywiście musiałabyś się uprzeć przy tytule „Sprawy prywatne”.

Elizabeth poderwała się z krzesła i omal wbiegła do wnętrza domu. Matt zobaczył ją w kuchni, jak chodzi tam i z powrotem, ze skrzyżowanymi ramionami

- Co jest, do cholery? Spojrzała z wyrzutem.

- Chciałam wiedzieć, co myślisz dla mnie o telewizji. Dla mnie, i ciebie też, bo jedno z moich pytań dotyczyło tego, na ile ta decyzja może kolidować z naszym małżeństwem - z resztkami naszego małżeństwa. Pytałam o moją własną osobę, nie sieć Rourkego. Czy potrafisz przez sekundę pomyśleć o mnie w oderwaniu od twojej ukochanej prasy i potężnego bossa? W nosie mam sieć Rourkego...

- Powtarzasz to dość często i dość dobitnie.

- Nie dość dobitnie. Ani dość często. Chcę, żebym i ja, i twoje dzieci były dla ciebie równie ważne jak ta twoja firma. Może nawet to, żebyś na pierwszym miejscu stawiał nas. Czy ty to rozumiesz? Czy zapomniałeś może, jak to się robi?

- O tyle, o ile ty zapomniałaś, żeby stawiać na pierwszym miejscu mnie. Ja ci opowiadam, co się u mnie dzieje, a ty myślisz tylko o sobie. A teraz słuchaj. Do cholery, siadaj i słuchaj!

- Nie chcę siadać. Wzruszył ramionami.

- Nie to nie. - Stali po przeciwległych stronach kuchni jak gdyby trzęsienie ziemi uczyniło między nimi wyrwę w podłodze. - Jeszcze raz spróbuję ci to wyjaśnić. Po raz pierwszy w życiu mam kontrolę nad własnym życiem. Nie żyję według marzeń mojego ojca; żyję własnym życiem, według moich własnych marzeń, tych, które snułem, kiedy się pobieraliśmy. Pamiętasz?

- Czy pamiętam! Myśmy je zrealizowali! Co robiliśmy w *Chieftainie*! Nie miałeś wtedy kontroli nad swoim życiem?

Nastąpiła cisza.

- Tak. Ale to było...

- Myśmy kierowali naszym życiem!

- Pozwól, że skończę. *Chieftain* to było marzenie chłopca w wieku szkolnym; marzenie dwudziestotrzyletniego chłopaka. Wydawało się wtedy nieosiągalne; pragnąłem mieć własne pismo! Mój Boże, jeden tytuł! Ledwie

śmiałem czasem westchnąć, że pragnąłbym mieć może dwa. Naprawdę wydawało mi się, że to mnie zadowoli!

- Może by zadowoliło. Gdybyśmy to robili wtedy razem, tak jak planowaliśmy.

- Może. Ale Saul jest zadowolony, bo ma swoje szalone lata za sobą. Ja nie miałem tego. Ja dopiero teraz zaczynam. I dam z siebie wszystko -nieważne, ile godzin pracy dziennie, ile dni w roku - ale osiągnę sukces. Nie wrócę do tego miasta na kolanach jak niedojda. Keegan dał mi szansę i robię wszystko, i jestem wszystkim, czego dusza zapagnie, a ty mi podajesz argumenty, które mają na celu mnie pohamować. Próbowałaś mnie przekonać, że nie warto Keeganowi ufać.

Zastanawiałaś się, dlaczego wybrał mnie. Mogłaś mieć dość wiary w swojego męża, żeby sądzić, że wybrał mnie, bo jestem dobry na stanowisku! Za każdym razem, gdy przyjeżdżasz do Houston, krytykujesz ludzi, z którymi pracuję. A teraz chcesz, żebym to rzucił -przepraszam: zwolnił tempo, był zadowolony z tego, co mam, zlekceważył możliwości osiągnięć i awansu, usiadł w bujanym fotelu i oświadczył, że jestem szczęśliwym człowiekiem.

Elizabeth pokręciła głową.

- Nie, ty nie byłbyś szczęśliwy. Jest za późno. Zawsze byś myślał, że wielki, ekscytujący świat przeszedł ci koło nosa. I miałbyś mi to za złe.

- Nigdy byś...

- Nie, gdybym się z tobą zgadzała i zaakceptowała życie, jakie prowadzisz. Ale na to już też za późno. Nie sądzę, że próbowałam cię hamować, Matt. Ja zawsze w ciebie wierzyłam. Ale chciałam być realistką, zrozumieć, co się dzieje, postępować niespiesznie, żeby naprawdę mieć kontrolę nad kierunkiem, w jakim się posuwamy. My, Matt. Razem. To właśnie wypadło z twojej wersji opowieści. Mieliśmy wspólne marzenia, może nieśmiałe i młodzieńcze, ale mnie one porywały, bo byliśmy dwojgiem zakochanych w sobie ludzi, którzy się pobrali i planowali pracować razem jako partnerzy. A kiedy tu przyjechaliśmy, żeby się zająć Zacharym, nie byłeś jedyną osobą, która zrezygnowała ze swoich marzeń; ja też zrezygnowałam. Ja też czekałam, jak i ty. Ale Keegan nie szukał w Aspen mnie; przyjechał do ciebie i poszedł za nim, wpatrzony w niego jak jakiś nastolatek, i zajął się przebudową świata, co położyło kres temu, co budowaliśmy razem: nowy partnerski związek w domu i w pracy. Obecnie możemy nawet porozmawiać o możliwości pracy dla mnie w telewizji. Czy zapytałeś się mnie, co ja na ten temat czuję? Czy zapytałeś, ile dni musiałabym spędzić w Los Angeles? - Los Angeles?
- Nieważne gdzie. Nowy Jork, Berlin, Moskwa, co za różnica? Nie ciekawiło cię to nawet w takim stopniu, żeby zapytać. Wszystko, co pomyślałeś, to było, jaką korzyść będzie miała z tego twoja sieć prasowa. Parę lat temu nie martwiłeś się tak bardzo o to, że stracisz okazję, jak fortuna się do ciebie uśmiechnie -miałeś wtedy dla nas czas - ale Keegan zawsze wykorzystywał okazje, myśląc przede wszystkim o sobie. Musi być zadowolony, kiedy widzi, że świetnie sobie przyswajasz jęgo nauki.

Miała ściśniętą krtani. Odwróciła się kładąc rozłożone dłonie na chłodnych kafelkach kuchennego blatu.

- Powiedziałeś, że nie muszę być przy twoim boku. Tak myślisz rzeczywiście. Próbujesz udawać, że mnie chcesz, pewnie dlatego, bo myślisz, że mężczyzna powinien chcieć swojej żony, ale mnie się wydaje, że byłbyś szczęśliwszy, gdybym trzymała się z dala od twoich spraw. I wolę tak postąpić, Matt: trzymać się z dala, kiedy ty z Keeganem zdobywać będziecie wszelkie pieniądze, władzę i wpływy, jakie są możliwe do zdobycia, bez względu na metody, bez słuchania moich uwag i zastrzeżeń. To chyba jest dla ciebie najlepsze; czasem zachodzi się dalej i szybciej w pojedynkę. - Podeszła do drzwi, odwrócona do Matta tyłem, aby wyjść z kuchni, nim wybuchnie płaczem. - Szkoda, że nie znaleźliśmy jakiegoś... jakiegoś sposobu, żeby... - Elizabeth, do licha, ja cię kocham. - Matt stanął za nią i przytulił do siebie, stojąc przodem do jej pleców, twarz zanurzony w jej włosach. - Pojedź ze mną. Pomogłaś mi wcześniej; pomóż mi teraz. I będziemy mieć wszystko. Nie ma rzeczy, której byśmy nie mogli dokonać, jeśli się za to zabierzemy razem.

Czuła siłę, ciepło tych opasujących ją ramion, położyła dłonie na jego rękach, przypomniały jej się wszystkie te momenty, kiedy dotykali się ciałami blisko, coraz bliżej, do stopienia się w jedno.

- Zamieszkać z tobą w Houston, jeśli się zgadzasz, że będę ci sprzyjała, kiedy będę myśleć, że masz rację, i sprzeciwiała się tobie, kiedy będę myśleć, że nie masz racji, i próbowała cię przystopować, jeśli będę myśleć, że to, co robisz, niszczy nasz dorobek. Czy chcesz tego?

- To pytanie o dużym ciężarze gatunkowym - powiedział ironicznie. - Odpowiedz za mnie.

- Twoja odpowiedź brzmi „nie”. Ty mnie tam nie chcesz. Sądzę, że nadal mnie kochasz... albo to, co kochasz, to jakiś ideał: kochająca żona, matka, pomocnica, kobieta mająca własne osiągnięcia zawodowe, własną rubrykę w prasie, może i własny program telewizyjny. Idealna towarzyszka życia wydawcy prasowego u Keegana Rourke. Dlaczego mnie tak trzymasz, że się nie możemy widzieć ani pocałować? Po chwili, wciąż zanurzając usta w jej włosach, powiedział.

- Nie chcę, żebyś widziała moje oczy. Kiwnęła głową. Poczowała pustkę i chłód.

- Miałam nadzieję, że się mylę, ale się nie mylę, prawda? - Zwalniając jego uścisk wokół swojej talii, wciąż pozostając w jego objęciach przekreśliła się przodem do niego, ręce mu położyła na ramionach, podniosła wzrok ku jego oczom i zrozumiała, że on też tak myśli: zajdzie dalej i szybciej w pojedynkę. - Kocham cię, Matt. Ale chcę, żebyś sobie poszedł. Teraz.

Dotknął jej włosów, opuścił ramiona.

- Czy powiesz Peterowi i Holly, że... musiałem wyjechać wcześniej? Zadzwońię do nich. Chciałbym, żeby przyjechali do Houston. Mogłabyś przyjechać z nimi. Zorganizujemy to, dobrze? Zadzwońię do ciebie. Będziesz tutaj?

- Tak.

- Zadzwoń. Powiedz Peterowi i Holly... Elizabeth kiwnęła głową. Długo się nie odzywali. Po czym odwrócił się i wyszedł.

- Poczekaj! - zawołała. - Nie spakowałeś się. - Ale już go nie było. I wtedy uprzytomniła sobie, że to było nieważne. Miał w Houston szafę pełną ubrań. I miał tam pracę i znajomych, czekały go tam nowe wyzwania i realizował swoje marzenia.

Miał tam inne życie. Kiedy się przyzwyczaiła do tej myśli, uzmysłowiła sobie, co to dla nich dwojga znaczy, mianowicie, że będzie musiała sobie ułożyć życie bez niego. Przynajmniej na jakiś czas. Przynajmniej dopóki nie stwierdzą, że ten układ - jakkolwiek nazwać to, co zaszło między nimi - im nie odpowiada.

Na stole obok telefonu stała fotografia ich dwojga w gabinecie Matta w *Chieftainie*. Podniosła ją i rękawem przetarła szkło. Tarła coraz mocniej i mocniej. Coraz szybciej poruszała dłonią, aby jak najdokładniej wypolerować szkło osłaniające ich uśmiechnięte twarze, aż sobie uświadomiła, że były zamazane dlatego, że patrzyła na nie przez łzy. Ostrożnie odłożyła fotografię i odwróciła się. Przez drzwi mignął jej odbiornik telewizyjny stojący we wnęce - i znów wydało jej się, że słyszy głos Tony'ego: to może uczynić cię sławną.